



LIAN HEARN

NA POSŁANIU Z TRAWY

(TYTUŁ ORYGINALNY : GRASS FOR HIS PILLOW)

CYKL: OPOWIEŚCI RODU OTORI TOM 2

PRZEŁOŻYŁA BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

DLA D.

TRZY KRAINY



pole bitwy



warownia



święte miejsce



świątynia



granica lenna



*granica lenna
przed Yagaharą*



gościniec

Wydarzenia opisane w tej książce rozegrały się w ciągu roku od śmierci Otori Shigeru w tohańskiej warowni Inuyama. Wtedy to, jak powszechnie sądzono, Otori Takeo, adoptowany syn Shigeru, zabił z zemsty Iidę Sadamu, przywódcę klanu Tohan; wtedy to również Arai Daiichi z klanu Seishuu z Kimamoto wykorzystał zamęt po upadku Inuyamy, aby przejąć władzę w Trzech Krainach.

Arai bardzo liczył na sojusz z Takeo i jego szybkie zaślubiny z Shirakawa Kaede, dziedziczką dóbr Maruyama i Shirakawa. Jednakże Takeo, rozdarty między chęcią spełnienia przedśmiertnych życzeń Shigeru a żądaniami krewnych swego prawdziwego ojca, rodziny Kikuta z Plemienia, zrzekł się dziedzictwa i odstąpił od małżeństwa z ukochaną Kaede, po czym przystał do Plemienia, posłuszny więzom krwi oraz złożonej wcześniej przysiędze.

Otori Shigeru został pochowany nieopodal samotnej świątyni w Terayamie, w samym sercu gór Środkowej Krainy. Arai, odniósłszy zwycięstwa pod Inuyamą i Kushimoto, przybył tam, aby złożyć ostatni hołd zmarłemu sojusznikowi oraz przypieczętować nowy alians; również Takeo i Kaede spotkali się tam po raz ostatni.



W nocę, gdy wichę
w zawody z deszczem hula, w nocę, gdy z deszczem
na przemian śniegiem miecie

...

Dialog o nędzy Yamanoue-no Okura
ze Zbioru dziesięciu tysięcy liści (Man'yōshū),
księga V, pieśń 892,
przełożył Wiesław Kotański

Osoby:

KLANY

OTORI

(Środkowa Kraina; warownia: Hagi)

Otori Shigeru - prawowity dziedzic klanu (1)

Otori Takeshi - jego młodszy brat, zgładzony przez **klan Tohan** (zm.)

Otori Takeo - (d. Tomasu) jego przybrany syn (1)

Otori Shigemori - ojciec Shigeru, zginął w bitwie pod Yaegaharą (zm.)

Otori Ichiro - daleki krewny, nauczyciel Shigeru i Takeo (1)

Chiyo, Haruka - pokojówki w domu Otori (1)

Shiro - cieśla (1)

Otori Shoichi - stryj Shigeru, obecnie przywódca klanu (1)

Otori Masahiro - jego młodszy brat (1)

Otori Yoshitomi - syn Masahiro (1)

Miyoshi Kahei, Miyoshi Gemba - bracia, przyjaciele Takeo (1)

Miyoshi Satoru - ich ojciec, dowódca straży w zamku Hagi (3)

Endo Chikara - starszy służący (3)

Terada Fumifusa - pirat (3)

Terada Fumio - jego syn, przyjaciel Takeo (1)

Ryoma - rybak, nieślubny syn Masahiro (3)

TOHAN

(Wschód; warownia: Inuyama)

Iida Sadamu - przywódca klanu (1)

Iida Nariaki - jego kuzyn (3)

Ando, Abe - ludzie Iidy Pan Noguchi - sojusznik (1)

Pani Noguchi - jego żona (1)

Junko - służąca w zamku Noguchi (1)

SEISHUU

(alians starożytnych rodów Zachodu; główne warownie: Kumamoto i Maruyama)

Arai **Daiichi** - przywódca wojskowy (1)

Niwa Satoru - najemnik (2)

Akita Tsutomu - najemnik (2)

Sonoda Mitsuru - siostrzeniec Akity (2)



Maruyama Naomi - pani na dobrach Maruyama, kochanka

Shigeru (1) Mariko - jej córka (1)

Sachie - jej pokojówka (1)

Sugita Haruki - najemnik (1)

Sugita Hiroshi - jego bratanek (3)

Sakai Masaki - kuzyn Hiroshiego (3)

PanShirakawa (1)

Kaede - jego najstarsza córka, krewna pani Maruyama (1)

Ai, Hana - jego pozostałe córki (2)

Ayame, Manami, Akane - pokojówki w jego domu (2)

Amano Tenzo - najemnik rodu Shirakawa (1)

Shoji Kiyoshi - stary siuga w domu Shirakawa (1)

PLEMIĘ

RODZINA MUTO

Muto Kenji - nauczyciel Takeo, mistrz (1)

Muto Shizuka - siostrzenica Muto, kochanka Araiego, towarzysza Kaede (1)

Zenko, Taku - jej synowie (3)

Muto Seiko - żona Kenjiego (2)

Muto Yuki - ich córka (1)

Muto Yuzuru - kuzyn (2)

Kana, Miyabi - pokojówki (3)

RODZINA KIKUTA

Kikuta Isamu - prawdziwy ojciec Takeo (zm.)

Kikuta Kotaro - jego krewny, mistrz (1)

Kikuta Gosaburo - młodszy brat Kotaro (2)

Kikuta Akio - ich bratanek (1)

Kikuta Hajime - zapaśnik (2)

Sadako - pokojówka (2)

RODZINA KURODA

Kuroda Shintaro - słynny skrytobójca (1)

Kondo Kiichi (2)

Kudo Keiko (2)

INNI

Pan Fujiwara - możnowładca wygnany ze stolicy (2)

Mamoru - jego protegowany i towarzysz (2)

Ishida - medyk Ono Rieko - jego krewna (3)

Murita - służący (3)

Matsuda Shingen - przeor klasztoru w Terayamie (2)

Kubo Makoto - mnich, przyjaciel Takeo (1)

Jin-emon - rozbójnik (3)

Jiro - syn chłopca (3)

Jo-An - niedotykalny (1)

KONIE

Raku - pierwszy koń Takeo, podarowany Kaede, siwek

Kyu - koń Shigeru, przepadł w Inuyamie, kary

Aoi - brat przyrodni Kyu, kary Ki - wierzchowiec Amano, kasztan

Shun - koń Takeo, bardzo mądry, gniadosz

druk tłusty - główne postaci

(1,2, 3) - postać pojawia się po raz pierwszy w Księdze 1,2 lub 3

(zm.) - postać zmarła przed rozpoczęciem opowieści



Rozdział pierwszy

Shirakawa Kaede leżała bez czucia, pogrążona w głębokim śnie, który Kikuta umieją wywoływać spojrzeniem. Noc powoli mijała; o świcie gwiazdy zbladły, świątynne dzwony odezwały się i ucichły, ona jednak spała nieporuszona. Nie słyszała zatroskanych okrzyków swej towarzyszki Shizuki, nie czuła dotyku jej dłoni na czole, nie obudzili jej zniecierpliwieni ludzie pana Araiego, którzy przybyli na werandę oznajmić Shizuce, że ich dowódca pragnie mówić z panią Shirakawa. Oddech Kaede był spokojny i cichy, a twarz nieruchoma niczym maska.

Pod wieczór w jej wyglądzie zaszła zmiana - powieki zadrżały, usta wygięły się w lekkim uśmiechu. Palce, dotąd zgięte, wyprostowały się i naprężyły.

„Bądź cierpliwa. On przyjdzie po ciebie”.

Kaede śniła, że została zamieniona w lód, a słowa odbijają się dźwięcznym echem w jej głowie. Nie odczuwała lęku - miała jedynie wrażenie, że w milczącym, lodowatym, zaczarowanym świecie pochwyciło ją coś chłodnego i białego.

Otworzyła oczy.

Było jeszcze jasno, lecz długie cienie powiedziały jej, że zbliża się wieczór. Raz, delikatnie, zadzwonił wiatrowy gong, po czym zapanowała cisza. Dzień, którego nie pamiętała, musiał być gorący: skórę pod włosami na karku wciąż miała lekko wilgotną. Pod okapem ćwierkały ptaki i rozlegał się lekki trzask dziobów jaskółek, łowiących ostatnie dzienne owady. Wkrótce odlecą na południe, pomyślała Kaede. Już jesień.

Ptasie odgłosy przypomniały jej podarunek Takeo, otrzymany wiele tygodni wcześniej właśnie tutaj, w Terayamie - szkic dzikiego leśnego ptaszka, który rozbudził w niej pragnienie wolności. Obrazek ten, jak wszystkie jej rzeczy, ślubne szaty i stroje, zginął podczas pożaru zamku w Inu-yamie. Nie miała już nic. Shizuka wyszukała dla niej stare ubrania w domu gościnnym, gdzie się zatrzymały, pożyczyła też grzebień i inne drobiazgi. Kaede nigdy przedtem nie mieszkała w takim miejscu; owa kupiecka siedziba, przesiąknięta odorem sfermentowanej soi, była pełna ludzi, których dziewczyna próbowała unikać, choć od czasu do czasu pokojówki przychodziły zerknąć na nią przez szparę w parawanie.

Obawiała się, że wszyscy widzą jak na dłoni, co się zdarzyło w noc zdobycia zamku. Zabiła mężczyznę, po czym spała z innym i walczyła u jego boku, z mieczem zmarłego w dłoni. Nie mogła uwierzyć, że tak postąpiła; czasem sądziła wręcz, że istotnie opętał ją zły duch, tak jak powiadano. Ludzie mówili, że ten, kto jej pożąda, umrze - i rzeczywiście, mężczyźni przez nią umierali. Wszyscy, ale nie Takeo.

Nienawidziła mężczyzn od chwili, gdy jako zakładniczka w zamku Noguchi

została napadnięta przez strażnika. Również lida wzbudził w niej taką odrazę, że musiała się bronić - lecz przed Takeo nie czuła lęku. Chciała jedynie tulić go mocno; od pierwszego spotkania w Tsuwano jej ciało pragnęło jego bliskości, tęskniło za dotykiem jego skóry. Wspominając po raz kolejny tamtą straszliwą noc, pojęła, że nie może poślubić nikogo innego, nikogo innego nie pokocha. Będę cierpliwa, obiecała sobie. Ale skąd wzięły się te słowa?

Odwróciła lekko głowę i na brzegu werandy dostrzegła sylwetkę siedzącej Shizuki. Dalej ciemniały wysokie, odwieczne drzewa świątyni. W powietrzu unosiła się woń cedru i kurzu. Świątynny dzwon wybił godzinę. Kaede milczała - nie chciała z nikim rozmawiać, słuchać obcego głosu, chciała jedynie powrócić do owego świata z lodu, w którym spała tak długo.

Wtem coś zamajaczyło wśród drobin kurzu, wyłóconych ostatnimi promieniami słońca - duch, a przecież więcej niż duch, istota konkretna, niezaprzeczalnie realna, migotliwa niczym świeży śnieg. Oszołomiona Kaede uniosła się na posłaniu: stała przed nią Biała Bogini, wszechwspółczująca, wszechmiłosierna, która jednak znikła w chwili, gdy została rozpoznana.

- Co się dzieje? - podbiegła zaniepokojona Shizuka.

Jej zatroskany wzrok uświadomił Kaede, jak wiele zawdzięcza tej kobiecie, która stała się jej najbliższą, jedyną przyjaciółką.

- Nic. Majaki. - Jak się czujesz?

- Nie wiem. Czuję... - głos Kaede zamarł. Przez kilka chwil wpatrywała się w Shizukę. - Spałam cały dzień? Co się stało?

- Nie powinien był tego robić! - warknęła Shizuka, a w jej głosie zabrzmiał niepokój i gniew.

-Takeo?

Shizuka skinęła głową.

- Nie miałam pojęcia, że potrafi. To cecha rodziny Kikuta.

- Pamiętam tylko jego oczy. Patrzyliśmy na siebie, a potem zasnęłam... - Kaede urwała. - Odszedł, prawda? - zapytała wreszcie.

- Wczoraj wieczorem przyszedł po niego mój wuj, Muto Kenji, oraz mistrz Kikuta.

- I nigdy go już nie zobaczę? - zapytała Kaede, wspominając rozpacz, jaka ogarnęła ją wczoraj, zanim zapadła w długi, mocny sen. Błagała Takeo, aby jej nie zostawiał, przerażała ją samotna przyszłość, jego odmowa zraniła ją i rozgniewała. Ale ta burza uczuć już ucichła.

- Powinnaś o nim zapomnieć - szepnęła Shizuka, ujmując i gładząc jej dłoń. - Jego życie i twoje nie mogą się już zetknąć.

Kaede uśmiechnęła się lekko. Nie zapomnę o nim, pomyślała, i nikt mi go nie odbierze. Spałam wśród lodów i widziałam Białą Boginię.

- Na pewno dobrze się czujesz? - dopytywała się Shizuka z niepokojem. -

Niewielu ludziom udało się przeżyć sen Kikuta. Na ogół budzą się już na tamtym świecie. Nie mam pojęcia, co on ci zrobił.

- Nic złego się nie stało. Ale coś się we mnie zmieniło, wydaje mi się, że nic nie wiem. Jakbym musiała uczyć się wszystkiego od nowa.

Towarzyszka uklękła przed nią i badawczo wpatrzyła się w jej twarz.

- Co teraz zrobisz? Dokąd pójdziesz? Wrócisz z Arai do Inuyamy?

- Chyba powinnam pojechać do domu, do rodziców. Muszę zobaczyć się z matką. Tak się boję, że umarła; bardzo długo zatrzymywano nas w Inuyamie. Rano wyjeżdżam. Pewnie trzeba powiadomić pana Araiego?

- Rozumiem twoje obawy, ale być może Arai nie zechce cię puścić.

- Więc będę musiała go przekonać - rzekła spokojnie Kaede. - Najpierw jednak chciałabym coś zjeść. Poproś, żeby przygotowano posiłek, dobrze? I przynieś herbatę.

- Pani - skłoniła się Shizuka i opuściła werandę. Kaede patrzyła w ślad za nią, kiedy z ogrodu na tyłach świątyni dobiegły ją łkające tony fletu. Domyśliła się, że to gra młody mnich, którego poznała, gdy pierwszy raz odwiedziła klasztor, żeby obejrzeć słynne obrazy Sesshu, lecz nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Muzyka mówiła o nieuchronności cierpienia i utraty; drzewa zaszumiały na wietrze, w górach rozległo się pohukiwanie sów.

Wróciła Shizuka z herbatą. Kaede miała wrażenie, że pierwszy raz ma ten napój w ustach, czuła na języku wyraźny, dymny aromat każdej kropli. A gdy stara kobieta, która obsługiwała gości, podała jej ryż z warzywami w sosie z fasoli, Kaede wydało się, że nigdy nic podobnego nie jadła. Owe nowo odkryte zdolności napełniły ją zdumieniem i cichym zachwytem.

- Pan Arai życzy sobie mówić z tobą jeszcze dziś - oznajmiła Shizuka. - Jest urażony i oburzony zniknięciem Takeo. Pod jego nieobecność prawie na pewno będzie musiał walczyć z Otori. A tak liczył, że szybko się pobierzecie i...

- Nie mówmy o tym - przerwała Kaede. Dokończyła ryż, ułożyła pałeczki na tacy i skłoniła się w podziękę za posiłek. Shizuka westchnęła.

- W gruncie rzeczy Arai w ogóle nie rozumie Plemienia ani jego poczyną. Nie wyobraża sobie, czego Plemię wymaga od tych, którzy do niego należą.

- Nie wiedział, że jesteś jedną z nich?

- Wiedział, że mam swoje sposoby, aby dowiadywać się różnych rzeczy i przekazywać dalej wiadomości; skwapliwie to wykorzystywał, kiedy chciał zawrzeć sojusz z panem Shigeru i panią Maruyama. Słyszał o Plemieniu, ale jak większość ludzi sądził, że to coś w rodzaju cechu. Świadomość, że ludzie Plemienia mogli przyczynić się do zabójstwa lidy, głęboko nim wstrząsnęła, chociaż sam bardzo na tym skorzystał. - Urwała, po czym dodała cicho: - Stracił do mnie całe zaufanie... chyba dziwi się, jak to możliwe, że tyle razy spał ze mną i nie został zabity. Cóż, nie będziemy już razem sypiać. To się skończyło.

- Boisz się go? Groził ci?

- Jest na mnie wściekły - odparła Shizuka. - Uważa, że go zdradziłam, gorzej, że wystrychnęłam go na dudka. Nie sędzę, by mi kiedykolwiek wybaczył. - Do jej głosu zakradła się nuta goryczy. - Byłam jeszcze dzieckiem, gdy zostałam jego najbliższą powiernicą, kochanką i przyjaciółką. Urodziłam mu dwóch synów. A jednak gdyby nie twoja obecność, bez wahania kazałby mnie uśmiercić.

- Zabiję każdego, kto zechce cię skrzywdzić - oświadczyła Kaede.

- Jakże krwiożerczo wyglądasz, mówiąc te słowa! - uśmiechnęła się Shizuka.

- Ludzie umierają od byle czego - głos Kaede zabrzmiał głucho. - Od ukłucia igłą, dźgnięcia nożem. Sama mnie tego nauczyłaś.

- Mam nadzieję, że nie zdążyłaś jeszcze wykorzystać tych umiejętności. Chociaż w Inuyamie walczyłaś dzielnie. Takeo zawdzięcza ci życie.

Kaede milczała przez chwilę, po czym powiedziała cicho:

- Nie chodziło wyłącznie o walkę na miecze. Zrobiłam coś więcej. Nie wiesz wszystkiego.

- Co ty mówisz?! - źrenice Shizuki rozszerzyły się. - Zabiłaś pana Iidę?!

- Takeo odciął mu głowę, kiedy był już martwy. Postąpiłam zgodnie z twoją radą. Zamierzał mnie zgwałcić.

Shizuka chwyciła ją za rękę.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć! Tego nie daruje żaden wojownik, nawet Arai!

- Nie czuję się winna i niczego nie żałuję - powiedziała Kaede. - Nigdy nie uczyniłam nic mniej godnego potępienia. Nie tylko zdołałam się obronić, lecz pomściłam także śmierć wielu osób: pana Shigeru, mojej krewniaczki pani Maruyama i jej córki oraz wszystkich niewinnych ludzi, których Iida zadręczył i zamordował.

- Ale jeśli to się rozejdzie, zostaniesz okrutnie ukarana. Żeby kobieta chwyciła za broń i szukała zemsty! Mężczyźni uznaliby, że świat się do góry nogami przewraca!

- Mój świat już jest przewrócony do góry nogami - odparła Kaede. - Cóż, muszę iść porozmawiać z panem Araiem. Przynieś mi... - urwała ze śmiechem. - Zamierzałam powiedzieć: „Przynieś mi ubranie”, ale nie mam ubrań. Nie mam nic!

- Masz konia - oznajmiła Shizuka. - Takeo zostawił ci swojego siwka.

- Zostawił mi Raku?

Kaede rozpromieniła się w uśmiechu, po czym utkwiała zamyślane oczy w ciemniejącym niebie.

- Pani? - Shizuka dotknęła jej ramienia.

- Rozczesz mi włosy i poślij do pana Araiego z wiadomością, że zaraz do niego przyjdę.

Gdy opuszczały pomieszczenia dla kobiet, aby udać się do głównych pokoi gościnnych, zapadł już zmrok. W świątyni jarzyły się światełka, wśród drzew na zboczu, przy grobie pana Shigeru, stali mężczyźni z zapalonymi pochodniami. Nawet o tej porze było tu pełno odwiedzających; ludzie przynosili kadzidła i dary, stawiali na

płycie świeczki i lampki, prosząc o pomoc zmarłego, który z dnia na dzień stał się dla nich bogiem.

Śpi pod okryciem płomieni, pomyślała Kaede, modląc się cicho, aby duch Shigeru pokierował nią podczas trudnej rozmowy z Arai. Zastanawiała się, co powiedzieć - jako spadkobierczyni dóbr Shirakawa i Maruyama wiedziała, że Arai będzie dążył do zawarcia z nią trwałego sojuszu, pewnie zechce nawet wydać ją za mąż za kogoś, kto pomoże mu umocnić władzę. Rozmawiała z nim kilkakrotnie podczas pobytu w Inuyamie oraz w podróży, lecz wówczas jego uwagę pochłaniało zdobywanie terenu i układanie planów na przyszłość. Nie uznał za stosowne się nimi podzielić, wyraził jedynie życzenie, by jak najszybciej poślubiła Otori Takeo. Kiedyś - zda się, w innym życiu - chciała być czymś więcej niż tylko pionkiem w rękach wojowników, którzy decydowali o jej losie. Teraz, gdy lodowaty sen dodał jej siłę, zapragnęła znowu sama rządzić swoim życiem. Potrzebuję czasu, myślała. Nie mogę postępować pochopnie. Muszę pojechać do domu, zanim cokolwiek postanowię.

Na skraju werandy powitał ją przyboczny Araiego - przypomniała sobie, że nazywa się Niwa - i poprowadził ku wejściu. Wszystkie okiennice stały otworem. Arai siedział w końcu sali, rozmawiając z trzema swoimi ludźmi, lecz kiedy Niwa zapowiedział Kaede, podniósł wzrok. Przez chwilę patrzyli na siebie nieruchomo. Kaede, pewna mocy pulsującej w żyłach, wytrzymała jego spojrzenie, po czym opadła na kolana, niechętnie kłoniąc głowę, świadoma, że choćby pozornie musi się podporządkować.

Arai oddał ukłon, oboje wyprostowali się równocześnie. Kaede poczuła, że mierzy ją wzrokiem, i spokojnie odwzajemniła się tym samym, choć własna śmiałość przyprawiła ją o silne bicie serca. W przeszłości lubiła tego człowieka i ufała mu. Teraz ujrzała, jak zmieniła się jego twarz, jak pogłębiły się bruzdy wokół ust i oczu. Kiedyś był giętkim pragmatykiem - teraz opanowała go przemożna żądza władzy.

W pobliżu domu jej rodziców rzeka Shirakawa płynęła przez ciąg ogromnych wapiennych jaskiń, rzeźbiąc w miękkim kamieniu posagi i kolumny. Kiedy Kaede była mała, zabierano ją tam co roku, aby oddała cześć bogini zamieszkującej jedną z takich kolumn u stóp góry - posąg, który pod wpływem wody zmieniał kształt, niemal ożywał, jakby zaklęty w nim duch nieustannie próbował wyrwać się spod warstwy wapienia. Teraz wspomnienie skalnej postaci powróciło: czyżby władza była jak rzeka pełna wapna, zmieniająca w kamień każdego, kto ośmielił się w niej zanurzyć?

Wzrost i siła fizyczna Araiego wzbudziły w niej wewnętrzny dygot, uzmysławiając jej siłę mężczyzn, którzy mogli wymusić na kobietach wszystko, co chcieli - wciąż pamiętała, jaka bezradna była w ramionach Iidy. Nie pozwól im wykorzystać tej siły, przemknęło jej przez głowę, a zaraz potem: Zawsze bądź uzbrojona. Do jej ust napłynął smak słodki jak owoc persymony, mocny niczym krew - smak i świadomość władzy. Czy to dla niego mężczyźni wciąż dążyli do zwarcia, do pokonania i zniszczenia przeciwnika? I czy tego smaku nie mogła poczuć kobieta?

Przyjrzała się Araiemu, szukając na jego ciele tych miejsc, gdzie wbite w lidę igła i nóż otworzyły go na świat, którym usiłował zawładnąć, upuściły z niego krew, pozbawiły go życia. Nie wolno mi nigdy o tym zapomnieć, powtarzała sobie. Mężczyzna może zginąć również z ręki kobiety. Uśmierciłam najpotężniejszego władcę Trzech Krain.

Wychowano ją tak, by ustępowała mężczyznom, poddawała się ich woli i większej inteligencji. Serce jej waliło, bała się, że zemdleje. Odetchnęła głęboko, tak jak nauczyła ją Shizuka, i poczuła, że jej tętno zwalnia.

- Panie Arai, jutro wyjeżdżam do Shirakawy. Będę wdzięczna, jeżeli dasz mi eskortę, która odprowadzi mnie do domu.

- Wolałbym, żebyś została na Wschodzie - odrzekł powoli wojownik. - Ale nie o tym chciałem z tobą mówić. - Jego oczy zwęziły się. - Otori zniknął. Możesz mi wyjaśnić ten niesłychany postępek? Udowodniłem, jak mniemam, że mam prawo rządzić tym krajem. Już wcześniej zawarłem sojusz z Shigeru. Jak ten młodzieniaszek śmiał zlekceważyć zobowiązania wobec mnie i swego zmarłego ojca? Jak śmiał okazać mi nieposłuszeństwo i tak po prostu odejść? I dokąd?

Moi ludzie cały dzień przeszukiwali okolicę aż po Yamagatę. Przepadł bez śladu.

- Nie wiem, gdzie przebywa.

- Doniesiono mi, że rozmawiał z tobą wczoraj wieczorem.

- Tak - odparła krótko.

- Może przynajmniej ci powiedział...

- Wzywały go inne powinności - wymawiając te słowa, Kaede poczuła przyływ smutku. - Nie zamierzał cię obrazić.

W gruncie rzeczy nie przypominała sobie, by Takeo wspominał o Arai, ale zachowała to dla siebie.

- Powinności wobec kogo? Wobec Plemienia? - Do tej pory Arai panował nad sobą, teraz jednak w jego głosie zabrzmiał gniew, a wściekły wzrok powędrował ponad ramieniem Kaede ku werandzie, gdzie w mroku klęczała Shizuka. - Co ci wiadomo o tych ludziach?

- Bardzo niewiele - odpowiedziała. - Pomogli panu Takeo wejść na zamek w Inuyamie. Sądzę, że choćby z tego powodu wszyscy jesteśmy ich dłużnikami.

Wymawiając imię Takeo, zadrżała. Znów przypomniła sobie dotyk jego ciała w owej chwili, kiedy oboje spodziewali się śmierci. Jej oczy pociemniały, twarz złagodniała. Arai spostrzegł przemianę, choć nie znał jej przyczyny, i gdy znowu przemówił, w jego głosie oprócz gniewu dało się słyszeć coś jeszcze.

- Mógłbym zaaranżować dla ciebie inne małżeństwo. W rodzinie Otori jest wielu młodych mężczyzn, krewnych Shigeru. Wyślę do Hagi posłańca.

- Oplakuję pana Shigeru - odparła. - Na razie nie zamierzam wychodzić za mąż. Chcę wrócić do domu i dopełnić żałoby.

Zadała sobie pytanie, czy ktokolwiek zechce się z nią ożenić, znając jej reputację,

lecz zaraz potem nawiedziła ją nieproszona myśl: Takeo nie umarł.

Obawiała się, że Arai będzie nalegał, ten jednak po namyśle ustąpił:

- Może istotnie będzie najlepiej, jeżeli pojedziesz do rodziców. Poślę po ciebie, gdy wrócę do Inuyamy. Wtedy porozmawiamy o twoim ślubie.

- Czy ogłosisz Inuyamę swoją stolicą?

- Tak, zamierzam odbudować zamek. - W migotliwym świetle jego twarz była mroczna i zacięta. Kaede milczała. Wreszcie warknął: - Wracając do Plemienia, nie zdawałem sobie sprawy, że jego wpływy są aż tak wielkie. Zmusić Takeo, żeby odstąpił od takiego małżeństwa, odrzucił taki spadek! Tak dobrze go ukryć! Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, z czym mam do czynienia! - Znów zerknął na Shizukę.

Zabije ją, pomyślała Kaede. To coś więcej niż złość na krnąbrny postępek Takeo. Ucierpiała jego miłość własna. Pewnie podejrzewa, że Shizuka szpiegowała go od lat.

Zastanowiła się, gdzie podziały się miłość i pożądanie łączące tych dwoje. Czyżby wyparowały z dnia na dzień? Czyżby lata służby, zaufanie, lojalność już się nie liczyły?

- Postaram się więcej o nich dowiedzieć - ciągnął Arai, jakby do siebie. - Gdzieś muszą być ludzie, którzy coś wiedzą, którzy będą mówić. Nie mogę pozwolić na istnienie takiej organizacji. Podważą moją władzę tak, jak białe mrówki drążą drewno.

- Panie, odniosłam wrażenie, że przysłałeś Muto Shizukę, aby mnie chronić. Tej ochronie zawdzięczam życie. Wydaje mi się również, że w zamku Noguchi byłam wobec ciebie lojalna. Łączą nas silne więzy, nic tego nie zmieni. Człowiek, którego poślubię, kimkolwiek będzie, złoży ci przysięgę na wierność. Shizuka pozostanie u mnie na służbie i pojedzie ze mną do domu moich rodziców.

Popatrzył na nią uważnie, ona zaś odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem.

- Minęło zaledwie trzynaście miesięcy, odkąd zabiłem człowieka w twojej obronie - mruknął. - Byłaś prawie dzieckiem. Zmieniłaś się...

- Musiałam szybko dorosnąć - odrzekła. Starła się nie myśleć o pożyczonych szatach, o tym, że nie posiada nic osobistego. Jestem dziedziczką wielkich dóbr, powtarzała sobie. Patrzyła mu w oczy, aż niechętnie skinął głową.

- Niech będzie. Dam ci eskortę do Shirakawy, możesz również zabrać tę Muto.

- Tak, panie Arai.

Dopiero teraz spuściła wzrok i złożyła ukłon.

Arai zawołał Niwę, by wydać polecenia na dzień następny. Kaede pożegnała się uniżenie. Wiedziała, że w rozmowie dobrze się spisała; mogła sobie pozwolić na udawanie, że bezwarunkowo uznaje władzę mężczyzny. Bez słowa wróciły z Shizuką do pomieszczeń dla kobiet. Stara służąca, która rozłożyła już posłania, przyniosła nocne stroje i pomogła Shizuce rozebrać Kaede, po czym usunęła się do sąsiedniego pokoju, życząc im dobrej nocy.

Shizuka była blada i zgaszona - Kaede jeszcze jej takiej nie widziała. W końcu dotknęła ręki Kaede i szepnęła: -Dziękuję. - Kiedy spoczęły pod bawełnianymi

kołdrami, słuchając, jak komary bzyczą wokół nich, a ćmy z trzepotem rozbijają się o lampy, Kaede wyczuła obok siebie zeszywniałe ciało Shizuki i pojęła, że dziewczyna zмага się z żalostí, choć nie uрониła ani jednej łzy.

Kaede, milcząc, wyciągnęła rękę i mocno przytuliła towarzyszkę. Przeżywała taki sam smutek, ale też nie płakała. Nie mogła dopuścić, by cokolwiek osłabiło rosnącą w niej moc.



Rozdział drugi

Następnego ranka kobiety wyruszyły tuż po wschodzie słońca; przed domem czekały na nie lektyki oraz eskorta. Pomna rady swej krewniaczki, pani Maruyama, Kaede wsiadła do palankinu tak lekko, jakby wzorem większości kobiet stała się istotą kruchą i bezsilną. Upewniła się, czy koń Takeo został zabrany ze stajni, a na drodze podniosła zasłony z woskowanego papieru i ciekawie wyjrzała na zewnątrz.

Nie mogła jednak znieść kołysania; nawet piękne widoki nie powstrzymały ataku mdłości. Na pierwszym postoju w Yamagacie poczuła taki zawrót głowy, że nogi się pod nią ugięły. Nie była w stanie patrzeć na jedzenie, a gdy wypita odrobinę herbaty, natychmiast zwymiotowała. Niedomaganie fizyczne doprowadzało ją do szału, podkopując nowo odkryte poczucie własnej siły. Shizuka zaprowadziła ją do zajazdu, zmusiła do krótkiego odpoczynku i obmyła jej twarz zimną wodą. Słabość minęła równie szybko, jak się pojawiła, Kaede zdołała nawet przełknąć trochę zupy z czerwonej fasoli oraz wypić czarkę herbaty.

Niestety, na widok czarnej lektyki znowu ją zemdliło.

- Przyprawiajcie konia - poleciła. - Pojadę wierzchem.

Z pomocą giermka dosiadła Raku, a Shizuka zwinnie skoczyła na siodło za jej plecami. Przez całe przedpołudnie jechały tak razem, pograżone w myślach, niewiele mówiąc, czerpiąc pociechę z wzajemnej bliskości.

Za Yamagatą droga wznosiła się stromo pod górę; miejscami pokrywały ją ogromne stopnie, ułożone z płaskich kamieni. Choć dzień był ciepły, a niebo błękitne, wokół dostrzegało się już oznaki jesieni. Wysoko nad wierzchołkami buków, sumaków i klonów, muśniętych karmazynem i złotem, przelatywały klucze dzikich gęsi.

Las stawał się coraz gęstszy i bardziej duszny. Koń, spuściwszy głowę, ostrożnie stąpał po kamiennych płytach. Czujna eskorta nasłuchiwała w napięciu - po upadku lidy i klanu Tohan w kraju roило się od mężczyzn rozmaitego autoramentu, którzy straciwszy pana, przedłożyli rozbój nad przysięgę wierności nowemu władcy.

Raku był silny i sprawny - kiedy podróżni zatrzymali się w zajeździe na przełęczy, jego sierść, mimo upału i wysiłku wspinaczki, tylko nieznacznie pociemniała od potu. Minęło południe. Wierzchowce odprowadzono, aby je nakarmić i napoić, mężczyźni rozłożyli się w cieniu drzew przy studni, a stara służąca przygotowała w jednym z pokoi materac dla Kaede, która wyciągnęła się na nim z wdzięcznością.

Wysokie cedry za oknem osłaniały pokój przed jaskrawym blaskiem słońca, światło było tu przyćmione, powietrze miało barwę ciemnej zieleni. Z oddali dobiegał chłodny plusk strumyka, spokojne rozmowy mężczyzn, czasem wybuch śmiechu

Shizuki gawędzącej z kimś w kuchni. Słyszając jej wesołą paplaninę, Kaede ucieszyła się, że towarzyszka najwyraźniej odzyskuje dobry humor, jednak niebawem pogawędka przybrała głębszy, poważniejszy ton i wkrótce Kaede przestała rozróżniać słowa.

W końcu rozmowa ucichła zupełnie. Po chwili do pokoju weszła Shizuka i położyła się obok Kaede.

- Z kim rozmawiałaś?

Shizuka obróciła głowę i szepnęła Kaede wprost do ucha:

- Pracuje tu moja krewna.

- Wszędzie masz krewnych.

- Tak to jest w Plemieniu.

Kaede milczała przez moment, po czym rzekła: - I nikt z zewnątrz nie podejrzewa, kim jesteście? Nikt nie chce...

- Nie chce czego?

- Pozbyć się was?

- Nikt by się nie ośmielił! - zaśmiała się Shizuka. - Znamy nieskończenie więcej sposobów, aby pozbyć się owego kogoś. W dodatku nikt nie wie o nas nic konkretnego, choć oczywiście wielu ludzi coś podejrzewa. Chyba zauważyłaś, że zarówno mój wuj Kenji, jak i ja potrafimy pojawiać się w wielu różnych wcieleniach. Członkowie Plemienia, oprócz innych zdolności, mają to do siebie, że trudno ich rozpoznać.

- Opowiesz mi więcej? - poprosiła Kaede, zafascynowana obcym światem, skrytym w cieniu tego, który znała.

- Trochę mogę ci powiedzieć. Nie wszystko. Ale później, kiedy nikt nas nie podsłucha.

Za oknem rozległo się skrzekliwe nawoływanie wrony.

- Od kuzynki dowiedziałam się dwóch rzeczy - podjęła Shizuka. - Po pierwsze, Takeo nie opuścił Yamagaty. Ukrywa się w mieście. Arai wszędzie go szuka, wysłał zbrojnych na gościniec.

Wrona znów krzyknęła. Kraa! Kraa! Być może dzisiaj mijałam jego kryjówkę, pomyślała Kaede.

- A druga rzecz? - zapytała po dłuższej chwili.

- W drodze może się nam przytrafić wypadek. -Jaki wypadek?

- Mam zginąć. Arai, jak to ładnie ujmujesz, najwyraźniej pragnie się mnie pozbyć. Nie może znieść świadomości, że wciąż żyję, ale nie chciałby obrazić ciebie, więc zdarzenie ma wyglądać na przypadkowe, napasć rozbójników, coś w tym rodzaju.

- Musisz natychmiast odejść! - przejęta Kaede aż podniosła głos. - Dopóki jesteś ze mną, wie, gdzie cię szukać!

- Ciii! - uspokoiła ją Shizuka. - Tylko cię uprzedzam, abys nie zrobiła niczego głupiego.

- To znaczy czego?

- Mogłabyś użyć noża, próbować mnie bronić.

- Pewnie tak bym postąpiła.

-Wiem. Ale twoja odwaga i umiejętności muszą pozostać tajemnicą. Zresztą jedzie z nami ktoś, kto mnie ochroni, może nawet tych ludzi jest więcej. Oni zajmą się walką.

- Kto taki?

-Jeżeli panienka odgadnie, dam panience podarek! -zawołała Shizuka beztrąsko.

- Co się stało z twoim złamanym sercem? - zdumiała się Kaede.

- Wściekłość świetnie goi rany - odparła Shizuka, po czym dodała poważniejszym tonem: - Pewnie już nigdy nikogo nie pokocham tak jak jego. Ale nie zrobiłam nic haniebnego. To nie ja postąpiłam niegodziwie. Byłam jego kochanką, ale i zakładniczką. Odpychając mnie, jednocześnie zwrócił mi wolność.

- Powinnaś jak najszybciej odjechać - upierała się Kaede. - Jakże mogę cię teraz porzucić? Jestem ci potrzebna bardziej niż kiedykolwiek!

Kaede znieruchomiała.

- Dlaczego bardziej niż kiedykolwiek?

- Panienko, wiesz przecież. Krwawienie ci się spóźnia, rysy złagodniały, włosy zgęstniały. Te nudności, a zaraz po nich głód... - Głos Shizuki był miękki, współczujący.

Serce Kaede załomotało. Owo przeczucie tkwiło w niej od dawna, lecz nie miała odwagi się z nim zmierzyć.

- Co mam robić?

- Czyje to dziecko? Mam nadzieję, że nie lidy?

- Zabiłam lide, zanim zdążył mnie zgwałcić. Jeżeli istotnie jestem w ciąży, to tylko z Takeo.

- Kiedy? - Shizuka aż wstrzymała dech.

- Tej nocy, gdy zginął lida, Takeo przyszedł do mego pokoju. Oboje myśleliśmy, że czeka nas śmierć.

- Czasem wydaje mi się, że on jest trochę szalony.

- Szalony nie, ale może opętany - powiedziała Kaede. - Zupełnie jakby w Tsuwano ktoś rzucił na nas urok.

- Cóż - westchnęła Shizuka - to po trosze вина moja i mojego wuja. Nie powinniśmy byli dopuścić do waszego spotkania.

- Nikt, ani ty, ani twój wuj, nie mógł temu zapobiec - mówiąc to, Kaede poczuła mimowolne drgnienie radości.

- Gdyby to było dziecko lidy, wiedziałabym, co zrobić - ciągnęła Shizuka. - Nie wahałabym się ani chwili. Znam różne zioła, które mogłabym ci dać, żebyś pozbyła się kłopotu. Ale dziecko Takeo to moja krew, moja rodzina.

Kaede nie odezwała się. Być może dziecko odziedziczy zdolności Takeo, myślała. Zdolności, które czynią go tak cennym. Wszyscy chcą go wykorzystać do swoich celów, ale moja miłość jest bezinteresowna. Nigdy nie pozbędę się jego dziecka. I nie pozwolę, by Plemię mi je odebrało. Czy Shizuka potrafiłaby to zrobić? Czy byłaby zdolna do

zdrady?

Milczała tak długo, że Shizuka uniosła się, by sprawdzić, czy towarzyszka śpi. Ale oczy Kaede były szeroko otwarte, wpatrzone w zielone światło za oknem.

- Jak długo potrwają mdłości?

- Niedługo. I przez trzy, cztery miesiące nie będzie nic widać.

- Wszystko wiesz. Mówiłaś, że masz dwóch synów?

- Tak. To dzieci Araiego.

- Gdzie są teraz?

- U moich dziadków. On o tym nie wie.

- Nie uznał ich?

- Bardzo się nimi interesował, dopóki się nie ożenił, ale potem prawowita żona urodziła mu syna. A ponieważ moi synowie są starsi, uznał, że stanowią zagrożenie dla dziedzica rodu. Domyśliłam się, co zamierza, i ukryłam ich w wiosce rodziny Muto. Nie pozwolę, by poznał miejsce ich pobytu.

Pomimo upału Kaede zadrżała.

- Sądzisz, że mógłby ich skrzywdzić?

- Nie po raz pierwszy wielki pan, wojownik, tak by postąpił - odparła gorzko Shizuka.

- Boję się ojca - szepnęła Kaede. - Co on mi zrobi? Shizuka pochyliła się ku niej.

- Przypuśćmy, że pan Shigeru, obawiając się, że Iida go zdradzi, nalegał na zawarcie potajemnego małżeństwa w Terayamie tego dnia, kiedy odwiedziliśmy świątynię. Przypuśćmy, że świadkami były twoja krewna, pani Maruyama, oraz jej służąca Sachie. Niestety, obie zginęły.

- Nie mogę tak kłamać przed światem... - zaczęła Kaede.

- Nie będziesz musiała nic mówić - uciszyła ją Shizuka. - Wszystko odbyło się po kryjomu, a teraz spełniasz życzenie swego zmarłego męża. Rozpowiem tę wiadomość jakby

nieumyślnie. Zobaczysz, że strażnicy nie potrafią dochować sekretu.

- A dokumenty, dowody?

- Spłonęły wraz ze wszystkim, gdy padła Inuyama. To będzie dziecko Shigeru. A jeśli urodzi się chłopiec, zostanie dziedzicem Otori.

- Za daleka to przyszłość, by się nad nią zastanawiać - rzekła Kaede pośpiesznie. - Nie kuś losu.

Pomyślała bowiem o prawdziwym, nienarodzonym dziecku Shigeru - tym, które w łonie matki utonęło w wodach rzeki pod Inuyamą. Modliła się, by jego duch nie był zazdrosny, aby pozwolił jej własnemu dziecku żyć.

Po tygodniu mdłości trochę ustąpiły. Piersi Kaede obrzękły, brodawki stały się bolesne, nękały ją niespodziewane napady głodu, ale poza tym czuła się świetnie, lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Jej zmysły wyostrzyły się, zupełnie jakby dziecko užyczyło jej swoich talentów. Ze zdumieniem patrzyła, jak pozornie sekretna wieść Shizuki zaczyna

krążyć wśród strażników z eskorty, aż jeden po drugim jęli zwracać się do niej „pani Otori”, z szacunkiem ścisząc głosy i odwracając wzrok. Czuła się nieswojo w tej roli, lecz zgadzała się na nią, gdyż nie bardzo wiedziała, jak postąpić.

Uważnie przyglądała się mężczyznom, próbując odgadnąć, który z nich jest owym członkiem Plemienia, mającym w odpowiedniej chwili obronić Shizukę. Ta, odzyskawszy pogodę ducha, śmiała się i żartowała ze wszystkimi jednakowo, a oni reagowali zgodnie ze swoim usposobieniem, jedni uznaniem, inni pożądaniem, ale żaden nie przejawiał jakiegś szczególnej czujności.

Rzadko patrzyli wprost na Kaede, toteż byliby zdziwieni, wiedząc, jak dobrze ich poznała. W ciemnościach rozróżniała ich po głosie i kroku, a czasem nawet po zapachu, nadała im też imiona: Blizna, Zezowaty, Milczący, Długa Ręka.

Długa Ręka pachniał gorącym korzennym olejem, którym strażnicy przyprawiali ryż; głos miał niski, wymowę chrapliwą, w jego obejściu kryło się coś bezczelnego, jakby ironia, która bardzo Kaede złościła. Był niewysoki, o dużej głowie, wysokim czole i lekko wyłupiastych oczach, tak czarnych, że wydawały się pozbawione źrenic. Często je mrużył, jednocześnie mocno pociągając nosem i odrzucając głowę do tyłu. Ręce miał długie, a dłonie wielkie; jeśli ktoś mógłby zamordować kobietę, myślała Kaede, to właśnie on.

Drugiego tygodnia wędrówki nagle burza zatrzymała podróżnych w małej górskiej wiosce. Kaede, uwięziona przez deszcz w ciasnej, wąskiej izbie, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Dręczył ją niepokój o matkę, a gdy próbowała połączyć się z nią w myślach, napotykała jedynie ciemność. Usiłowała przypomnieć sobie jej twarz, ale bez skutku, nie umiała też przywołać obrazu sióstr. Najmłodsza miała już prawie dziewięć lat! Jeżeli matka, jak się obawiała, nie żyje, ona, Kaede, będzie musiała zająć jej miejsce, opiekować się siostrami, prowadzić dom - nadzorować gotowanie, sprzątanie, tkanie i szycie, wszystkie te całoroczne zajęcia kobiet, których dziewczęta uczyły się od matek, ciotek i babek. Nie miała o nich pojęcia; kiedy była zakładniczką Noguchi, całkowicie ją zaniedbano. Niewiele umiała, oprócz tego, jak przetrwać w zamku, po którym biegła niczym pokojówka, usługując uzbrojonym mężczyznom. Cóż, będzie trzeba nauczyć się różnych praktycznych umiejętności. Dzięki dziecku, które nosiła w łonie, odkryła w sobie nieznane dotąd uczucia i odruchy, instynkt, który każe troszczyć się o bliskich. Myślała o wiernych doradcach rodu Shirakawa, ludziach takich jak Shoji Kiyoshi i Amano Tenzo, którzy przyjechali z jej ojcem odwiedzić ją w zamku Noguchi, oraz o służbie domowej, o starej opiekunce Ayame, za którą tęskniła niemal tak jak za matką, gdy w wieku lat siedmiu odesłano ją w niewolę. Czy Ayame jeszcze żyje? Czy pamięta dziewczynkę, którą się opiekowała? Kaede wracała, rzekomo zameżna i owdowiała, odpowiedzialna za śmierć kolejnego mężczyzny, a w dodatku w ciąży. Jakie powitanie czekało ją w rodzinnym domu?

Strażnicy także wydawali się rozdrażnieni zwłoką. Wiedziała, że chcą jak najprędzej pozbyć się uciążliwego obowiązku, że niecierpliwie pragną wrócić na wojnę,

która była ich pracą, ich życiem. Chcieli być na Wschodzie i brać udział w zwycięstwach Araiego nad Tohańczykami, a nie pilnować kobiet na Zachodzie, z dala od wszelkich walk.

Arai to tylko jeden z nich, pomyślała zaskoczona. W jaki sposób nagle stał się tak potężny? Co takiego miał w sobie, że ci mężczyźni, w końcu dorośli i silni fizycznie, szli za nim i byli mu posłuszni?

Deszcz wreszcie ustał i mogli ruszyć w dalszą drogę. Burza oczyściła powietrze z duchoty i dni, które nastąpiły, były olśniewająco piękne; ogromne, błękitne niebo wisiało rozpięte wysoko nad szczytami gór, w lasach co dzień bardziej czerwieniały klony. Noce stały się chłodniejsze, niosąc powiew przyszłych mrozów.

Wędrówka zdawała się ciągnąć bez końca, postoje dłużyły się, Kaede była zmęczona. Wreszcie pewnego ranka Shizuka oznajmiła:

- To ostatnia przełęcz. Jutro będziemy w Shirakawie.

Posuwały się w dół stromą ścieżką, grubo uślaną sosnowymi igłami. Konie stąpały bezszelestnie. Shizuka szła, prowadząc Raku, Kaede jechała wierzchem. Pod sosnami i cedrami panował półmrok, lecz nieco dalej promienie słońca, ukośnie prześwietlające bambusowy gaj, rzucały na drogę cętki zielonkawego światła.

- Jeździłaś już tędy? - zapytała Kaede.

- Często. Po raz pierwszy wiele lat temu. Wysłano mnie do Kumamoto, do pracy w rodzinie Arai, kiedy byłam młodsza niż ty teraz. Stary pan jeszcze żył i trzymał synów żelazną ręką, ale najstarszy, imieniem Daiichi, i tak sprowadzał sobie do łóżka pokojówki. Długo mu się opierałam, co, jak wiesz, nie przychodzi łatwo dziewczynom w zamku. Uparłam się, że nie pozwolę, by zapomniał o mnie tak szybko jak o pozostałych. No i oczywiście spełniałam oczekiwania mojej rodziny Muto.

- A więc przez cały czas go szpiegowałaś - mruknęła Kaede.

- Niektórzy ludzie bardzo się interesowali powiązaniami rodu Arai. Zwłaszcza Daiichiego, zanim jeszcze poszedł na służbę rodu Noguchi.

- Niektórzy ludzie, to znaczy Iida?

- Oczywiście. To należało do układu, który zawarł z Sei-shuu po Yaegaharze. Arai nie chciał służyć Noguchim. Nie lubił Iidy, a Noguchiego uważał za zdrajcę, ale musiał być posłuszny.

- Więc pracowałaś dla Iidy?

- Wiesz, dla kogo pracuję - odparła cicho Shizuka. - Zawsze i przede wszystkim dla rodziny Muto, dla Plemienia, Iida zatrudniał wówczas wielu z nas.

- Nigdy tego nie pojmę - powiedziała Kaede.

Dotąd uważała, iż sojusze w obrębie jej własnej klasy są skomplikowane - nowe zawierane przez małżeństwo, stare podtrzymywane dzięki wymianie zakładników i często zrywane wskutek nagłej obrazy, waśni lub czystego oportunistu - ale w porównaniu z intrygami Plemienia robiły wrażenie prostych. Znowu naszała ją nieprzyjemna myśl, że Shizuka towarzyszy jej wyłącznie na rozkaz Muto.

- Mnie też szpiegujesz?

Shizuka dała jej dłonią znak, by zamilkła.

- No więc? - nalegała Kaede. Strażnicy jechali daleko za nimi i przed nimi, poza zasięgiem głosu.

Shizuka oparła dłoń na końskim kłębie. Kaede spojrzała na jej kark, bielejący pod ciemnymi włosami. Twarz dziewczyny była odwrócona, niewidoczna; koń ostrożnie stąpał po zboczu.

- Powiedz mi - Kaede pochyliła się do przodu, usiłując mówić jak najciszej.

Wtem wierzchowiec spłoszył się i szarpnął, sprawiając, że łagodny ruch Kaede zamienił się w nagły upadek.

Lecę! - pomyślała zdumiona, patrząc, jak ścieżka błyskawicznie zmierza na jej spotkanie, po czym stoczyła się na Shizukę. Koń uskoczył, a Kaede uświadomiła sobie, że wokół panuje zamęt, spowodowany innym, znacznie większym niebezpieczeństwem.

- Shizuka! - zawołała.

- Leż! - warknęła towarzyszka, przyciskając ją do ziemi, choć Kaede broniła się, próbując unieść głowę.

Przed nimi na ścieżce stali dwaj mężczyźni z obnażonymi mieczami, sądząc z wyglądu, bandyci. Kaede odruchowo sięgnęła po nóż; zdążyła jeszcze pożałować, że nie ma miecza albo przynajmniej kija, gdy usłyszała głęboki dźwięk zwalnianej cięciwy. Koń znów odskoczył i wierzgnął, spłoszony strzałą, która o włos minęła jego ucho.

Rozległ się krótki okrzyk i jeden z napastników padł u stóp Kaede, brocząc krwią z przebitej szyi. Drugi zawahał się. Koń rzucił się w bok, zbijając go z nóg. Bandyta zamachnął się desperacko, usiłując dosięgnąć ostrzem Shizuki, gdy nagle drogę zastąpił mu Długa Ręka i po fantastycznie szybkim zwodzie jakby bezwiednie wbił mu w krtań czubek miecza.

Ludzie z przodu zawrócili pędem, ci z tyłu przepychali się jeden przez drugiego. Shizuka, chwyciwszy konia za wodze, usiłowała go uspokoić.

Długa Ręka pomógł Kaede podnieść się z ziemi.

- Proszę się nie bać, pani Otori - rzekł swoim chrapliwym głosem, rozsiewając mocną woń olejku pieprzowego. - To tylko rozbójnicy.

Tylko rozbójnicy? - pomyślała Kaede. Zginęli tak nagle i tak krwawo. Może i rozbójnicy, lecz na czym żołądź?

Strażnicy zebrali broń obcych i pociągnęli o nią losy, a ciała wrzucili w krzaki. Niepodobna było orzec, czy któryś z nich spodziewał się ataku, czy był rozczarowany jego niepowodzeniem. Z pewnością teraz okazywali Długiej Ręce więcej szacunku - jego waleczność i czujność wyraźnie zrobiła na nich wrażenie - lecz poza tym zachowywali się tak, jakby całe wydarzenie było czymś normalnym, typowym ryzykiem związanym z podróżą. Pokpiwali z Shizuki, że bandyci zapewne chcieli pojmać ją za żonę, ona zaś odpowiadała w tym samym duchu, mówiąc, że lasy są pełne zdesperowanych

mężczyzn, ale nawet oni mają u niej większe szanse niż ktokolwiek z eskorty.

- Nigdy bym się nie domyśliła, kim jest twój obrońca - wyznała jej później Kaede.
- Prawdę mówiąc, myślałam, że właśnie on ma cię zabić tymi wielkimi rękami.

Shizuka wybuchnęła śmiechem.

- To całkiem inteligentny człowiek i bezwzględny wojownik. Ale łatwo go niedocenić. Nie tobie jednej sprawił niespodziankę. Bałaś się?

Kaede spróbowała sobie przypomnieć.

- Nie, głównie dlatego, że zabrakło mi czasu. Żałowałam, że nie noszę miecza.

- Masz dar odwagi.

- To nieprawda. Często się boję.

- Nikt by się nie domyślił - mruknęła Shizuka. Siedziały w małym zajeździe na granicy dóbr Shirakawa.

Kaede zażyła kąpieli w gorącym źródle i teraz, przebrana w nocny strój, czekała, aż przyniosą jej wieczorny posiłek. W zajeździe powitano ją zdawkowo, miasteczko ją przygnębiło; wyraźnie brakowało tu żywności, a ludność robiła wrażenie ponurej i zniechęconej.

Po upadku miała posiniaczony bok, obawiała się też o dziecko. Denerwowała się bliskim spotkaniem z ojcem - czy uwierzy w jej ślub z panem Otori? Nie potrafiła sobie wyobrazić jego furii, gdyby odkrył prawdę.

- W tej chwili nie czuję się zbyt odważna - wyznała.

- Pozwól, wymasuję ci głowę. Wyglądasz na wyczerpaną - zaproponowała Shizuka.

Lecz nawet wygodnie ułożona, rozkoszując się dotykiem palców towarzyszki, Kaede nie wyzbyła się wątpliwości. Wciąż pamiętała, o czym rozmawiały w chwili ataku.

- Jutro będziesz w domu - odezwała się Shizuka, wyczuwając jej napięcie. - Podróż dobiega już końca.

- Shizuko, powiedz szczerze. Dlaczego naprawdę ze mną zostałaś? Żeby mnie szpiegować? Na czyich usługach jest teraz rodzina Muto?

- Na razie nikt nas nie zatrudnia. Upadek lidy wtrącił w zamęt wszystkie Trzy Krainy, Arai zaś twierdzi, że zetrze Plemię z powierzchni ziemi. Nie wiemy, czy mówi poważnie, czy też w końcu oprzytomnieje i zacznie z nami współpracować. Tymczasem mój wuj Kenji, który darzy panią Shirakawa ogromnym podziwem, chce być informowany o stanie jej zdrowia i o jej zamiarach.

I o moim dziecku, pomyślała Kaede, lecz nic nie powiedziała. Zamiast tego zapytała zdziwiona:

- O moich zamiarach?

- Jesteś dziedziczką rodu Maruyama, jednego z najbogatszych i najpotężniejszych na Zachodzie, jak również spadkobierczynią własnych dóbr Shirakawa. Ten, kogo poślubisz, stanie się postacią niezwykle ważną dla przyszłości Trzech Krain. W obecnej

chwili panuje przekonanie, że podtrzymasz sojusz z Araim i tym samym umocnisz jego pozycję na Zachodzie, co pozwoli mu rozprawić się z panami Otori; a zatem twoje losy są ściśle związane z losami rodu Otori i ze Środkową Krainą.

- Być może nie poślubię nikogo - odrzekła Kaede, na poły do siebie. A w takim razie, pomyślała, dlaczego nie miałabym sama zostać niezwykle ważną postacią?



Rozdział trzeci

Odgłosy świątyni w Terayamie, dzwon o północy, śpiewy mnichów, powoli cichły w oddali, gdy w ślad za mistrzami Kikuta Kotaro i Muto Kenjim podążałem samotną, stromą i zarośniętą ścieżką wzdłuż strumienia. Szliśmy szybko; szum płynącej wody tłumiał nasze kroki. Mówiliśmy niewiele i nie spotkaliśmy nikogo.

Kiedy dotarliśmy do Yamagaty, wstawał świt i piał pierwsze koguty. Ulice miasta były puste, choć zniesiono godzinę policyjną i zniknęły tohańskie patrole. Skierowaliśmy się do domu kupca w śródmieściu, niedaleko owego zajazdu, gdzie mieszkałem w czasie Świąta Umarłych. Znałem już tę ulicę z czasów, gdy nocami wędrowałem po mieście, ale miałem wrażenie, że było to w innym życiu.

Choć zjawiliśmy się tak cicho, że nawet pies nie zaszczeakał, córka Kenjiego, Yuki, otworzyła nam bramę. Wyglądała tak, jakby czekała na nas całą noc; nic nie mówiła, lecz pochwyciłem skupione spojrzenie, jakim mnie obrzuciła. Jej twarz, piękne oczy, zgrabna, umięśniona sylwetka aż nadto dobitnie przypomniały mi straszliwe wypadki, które zaszły w Inuyamie w noc śmierci Shigeru. Miałem nieśmiałą nadzieję, że zastanę ją w Terayamie - to ona jechała dzień i noc, aby zawieźć głowę Shigeru do świątyni i zawiadomić klasztor o jego śmierci - i teraz chciałem zapytać ją o wiele rzeczy: o podróż, powstanie w Yamagacie, obalenie klanu Tohan.

Jej ojciec i mistrz Kikuta weszli do domu, ja przystanąłem na werandzie. Nad drzwiami paliło się małe światełko.

- Nie spodziewałam się, że ujrzę cię żywego - powiedziała Yuki.

- Nie spodziewałem się, że przeżyję - odparłem, po czym, pamiętając jej sprawność i bezwzględność dla wroga, dodałem: - Mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności. Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć.

- Spłacałam własne długi - uśmiechnęła się. - Nie jesteś mi nic winien. Ale mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Słowo „przyjaźń” wydało mi się dalece niewystarczające, aby opisać uczucie, które nas łączyło. To Yuki pomogła mi wykraść i pomścić Shigeru, to ona przyniosła mi Jato, jego miecz. Dzięki niej dokonałem najważniejszych, najbardziej rozpaczliwych czynów w życiu. Przepełniała mnie wdzięczność wobec niej - wdzięczność przemieszana z podziwem.

Dziewczyna zniknęła, ale zaraz wróciła z miską wody. Obmyłem stopy, słuchając rozmowy mistrzów za ścianą.

Chcieli odpocząć kilka godzin, a potem wysłać mnie w dalszą drogę pod opieką Kotaro. Pokręciłem głową ze znużeniem. Miałem dość słuchania.

- Chodź - powiedziała Yuki.

Zaprowadziła mnie do samego środka domu, gdzie, podobnie jak w Inuyamie, znajdował się ukryty pokój, ciasny niczym nora węgorza.

- Znowu jestem więźniem? - zapytałem, patrząc na pozbawione okien ściany.

- Nie, to tylko dla twojego bezpieczeństwa, żebyś mógł przez kilka godzin odpocząć. Potem pójdziesz dalej.

- Wiem, słyszałem.

- Oczywiście. Zapomniałam, że wszystko słyszysz.

- Za dużo - odparłem, siadając na rozłożonym na podłodze materacu.

- Trudno żyć z takim talentem. Ale lepiej go mieć niż nie mieć. Przyniosę coś do jedzenia, już przygotowałam herbatę.

Za kilka chwil wróciła z posiłkiem. Wypiłem herbatę, ale nie mogłem patrzeć na jedzenie.

- Nie ma gorącej wody na kąpiel - oznajmiła Yuki. - Przepraszam.

- Przeżyję.

Już dwukrotnie mnie kąpała: raz tutaj, w Yamagacie, kiedy wyszorowała mi plecy i wymasowała skronie, ja zaś nie wiedziałem, z kim mam do czynienia, i drugi raz w Inuyamie, kiedy ze zmęczenia prawie nie mogłem chodzić. Zalała mnie fala wspomnień. Nasze oczy spotkały się; odgadłem, że ona myśli o tym samym, lecz zaraz odwróciła wzrok i rzekła cicho:

- Zostawiam cię. Spij.

Położyłem nóż obok posłania, po czym wśliznąłem się pod kołdrę, nawet nie zadając sobie trudu, by się rozebrać. Słowa Yuki o talencie zastanowiły mnie. Nie sądziłem, bym jeszcze kiedykolwiek był taki szczęśliwy jak w Mino, wiosce, gdzie się urodziłem - ale w Mino mieszkalem jako dziecko, potem wioskę strawił pożar, a moja rodzina zginęła. Tamte sprawy należały do przeszłości; zgodziłem się o nich zapomnieć, gdy przystałem do Plemienia. Mistrzowie bardzo tego pragnęli, właśnie ze względu na mój dar, ja zaś wiedziałem, że tylko jako członek Plemienia zdołam w pełni zawładnąć zdolnościami, które zostały mi dane.

Wspomniałem Kaede, którą zostawiłem śpiącą w Teraya-mie. Ogarnęło mnie poczucie beznadziei, a w ślad za nim rezygnacja. Nigdy już jej nie ujrzę, pomyślałem, będę musiał o niej zapomnieć. Miasto wokół mnie z wolna budziło się do życia; wreszcie, gdy za drzwiami całkiem się rozjaśniło, zasnąłem.

Obudziły mnie pośpieszne kroki ludzi i koni za ścianą. Światło w pokoju zmieniło barwę, jakby słońce już przeszło nad dachem, nie miałem jednak pojęcia, jak długo spałem. Jakiś mężczyzna głośno krzychał, odpowiadała mu rozżalona, coraz bardziej rozżłoszczona kobieta. Po kilku słowach pojąłem, że ludzie Araiego chodzą po domach i mnie szukają.

Odrzuciłem kołdrę i wymacałem nóż. Wtem drzwi odsunęły się bezszelestnie i do pokoju wszedł Kenji, szczelnie domykając za sobą fałszywą ścianę. Obrzucił mnie

krótkim spojrzeniem, pokręcił głową, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami w ciasnym kącie między posłaniem i ścianą.

Rozpoznałem głosy - należały do ludzi Araiego, których poznałem w Terayamie. Usłyszałem, jak Yuki uspokaja rozgniewaną kobietę i proponuje żołnierzom coś do picia.

- Teraz wszyscy jesteśmy po tej samej stronie - tłumaczyła ze śmiechem. - Sądźcie, że zdołalibyśmy ukryć Otori Takeo, gdyby naprawdę tu był?

Mężczyźni szybko wypili i poszli dalej. Gdy ich kroki ucichły, Kenji zerknął na mnie drwiąco.

- No, no. Teraz nikt w Yamagacie nie może udawać, że o tobie nie słyszał - parsknął. - Śmierć Shigeru uczyniła zeń boga, ty dzięki śmierci lidy stałeś się bohaterem. Ludzie oszaleli na punkcie całej tej historii. Tylko niech ci się nie przewróci w głowie - dodał, pociągając nosem. - Nieznośna sytuacja. Arai urządził na ciebie istną obławę, wszędzie cię szuka. Potraktował twoje zniknięcie jak osobistą obelgę. Na szczęście nie znają cię tu z widzenia, ale i tak będziemy musieli przygotować ci jakieś przebranie. - Przyjrzał mi się uważnie: - No i ta pańska mina Otori... lepiej się jej pozbać!

Przerwało mu skrzypienie odsuwanej ściany. Do pokoju wszedł Kikuta Kotaro oraz Akio, młody mężczyzna, jeden z tych, którzy pojмали mnie w Inuyamie. Za nimi podążała Yuki, niosąc tacę z herbatą.

Ukloniłem się nisko.

- Akio był w mieście, żeby się czegoś dowiedzieć - rzekł mistrz Kikuta, odpowiadając mi skinieniem głowy.

Akio padł na kolana przed Kenjim, natomiast ze mną przywitał się zdawkowo. Oddałem ukłon. Kiedy wraz z kilkoma członkami Plemienia porwał mnie w Inuyamie, robił, co mógł, by mnie poskromić, nie wyrządzając mi krzywdy, ja natomiast walczyłem zażarcie. Chciałem go zabić, ciąłem go nożem - na jego lewej dłoni wciąż widniała czerwona, jęcząca się rana. Niewiele wówczas rozmawialiśmy, skarcił mnie tylko za brak manier i oskarżył o złamanie reguł Plemienia. Od początku nie było między nami życzliwości, teraz zaś, gdy spojrzałem mu w oczy, zobaczyłem w nich głęboką wrogość.

- Pan Arai jest wyraźnie wściekły, że ten osobnik odszedł bez zezwolenia i odtrącił propozycję nader korzystnego małżeństwa. Pan Arai wydał rozkaz jego aresztowania, ponadto zamierza przeprowadzić śledztwo w sprawie organizacji znanej jako Plemię, którą uważa za nielegalną i niepożądaną. - Tu Akio znów uklonił się Kotaro i rzekł sztywno: - Proszę wybaczyć, nie wiem, jakie imię ma nosić ten osobnik.

Mistrz pogładził brodę, ale nie odpowiedział. Już przedtem, rozmawiając ze mną, kazał mi zachować imię Takeo, choć wspomniał, że nie jest ono używane w Plemieniu. Czy powinienem przybrać nazwisko rodowe Kikuta? Jakie imię zamierzali mi nadać? Nie chciałem wyrzekać się imienia Takeo, którym obdarzył mnie Shigeru, skoro jednak nie należałem już do klanu Otori, może nie miałem do niego prawa?

- Arai wyznaczył nagrodę za wieści o Takeo - rzekła Yuki, stawiając przed

każdym z nas czarkę herbaty.

- Nikt w Yamagacie nie ośmieli się zdradzić! - oznajmił buńczucznie Akio. - Inaczej będzie miał z nami do czynienia!

- Tego właśnie się obawiałem - zwrócił się Kotaro do Kenjiego. - Arai w gruncie rzeczy nas nie zna, prawie się z nami nie stykał, ale już boi się naszej siły.

- Może powinniśmy go usunąć? - zapytał Akio skwapliwie. - My...

Kotaro wykonał gest dłonią. Młody człowiek skłonił się i zamilkł.

- Po odejściu lidy i tak wszystko się chwieje. Gdyby zginął także Arai, zapanowałaby całkowita anarchia.

- Nie upatruję w Araiim wielkiego zagrożenia - dodał Kenji. - Pogrożki i przechwałki, owszem, ale w istocie nic więcej. Sprawy przybrały taki obrót, że w nim leży nasza największa nadzieja na pokój. - Zerknął na mnie. - Tego pragniemy przede wszystkim. Żebyśmy mogli prosperować, musi zapanować jaki taki ład.

- Arai chce wrócić do Inuyamy i ogłosić ją swoją stolicą - rzekła Yuki. - Jest lepiej położona niż Kumamoto, łatwiej jej bronić. Prawem zwycięzcy wszystkie ziemie lidy i tak należą się Araiemu.

- Hmm - odchrząknął Kotaro i zwrócił się do mnie. - Zamierzałem wziąć cię do Inuyamy; w ciągu najbliższych trzech tygodni muszę tam załatwić kilka spraw i chciałem, żebyś w tym czasie rozpoczął ćwiczenia. Ale chyba będzie lepiej, jeśli przeczekaś tutaj parę dni. Potem zabierzemy cię na północ, za granicę Środkowej Krainy, do innego domu Kikuta, gdzie nikt nie słyszał o Otori Takeo. Tam zaczniesz nowe życie. Umiesz zonglować?

Pokręciłem głową przecząco.

- Masz tydzień, żeby się nauczyć. Akio ci pokaże, jak to się robi. Pozostaniesz pod opieką Yuki oraz aktorów. Spotkamy się w Matsue.

Skłoniłem się bez słowa, zerkając na Akio spod przymkniętych powiek. Wbił wzrok w ziemię, ściągnawszy brwi, na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Był ode mnie starszy o zaledwie trzy lub cztery lata, lecz w owej chwili wyraźnie dało się przewidzieć, jak będzie wyglądał na starość. A więc był zonglerem! Żałowałem, że zraniłem go w zręczną dłoń kuglarza, choć nadal uważałem swój postępek za całkowicie uzasadniony. Owa walka, jak i inne uczucia, nadal nas dzieliła, nierozstrzygnięta, jęcząca.

- Kenji - podjął Kotaro - przez swój bliski związek z panem Shigeru zanadto rzucasz się w oczy. Zbyt wiele osób wie, że masz tutaj siedzibę. Jeżeli zostaniesz, Arai z pewnością każe cię aresztować.

- Chciałbym na jakiś czas odejść w góry - odrzekł Kenji. - Odwiedzić rodziców, spędzić trochę czasu z dzieciarnią.

Uśmiechnął się łagodnie; znów wyglądał jak mój stary nauczyciel.

- Przepraszam, ale jak ma się nazywać ten osobnik? - wtrącił natarczywie Akio.

- Na razie może przyjąć pseudonim aktorski - odparł Kotaro. - Co się tyczy imienia w Plemieniu, to zależy...

W jego słowach kryło się znaczenie, którego nie pojmowałem, lecz Akio najwyraźniej wiedział, o co chodzi.

- Jego ojciec wyparł się Plemienia! - wykrzyknął. - Odwrócił się do nas plecami!

- Ale syn wrócił, obdarzony wszystkimi talentami Kikuta - oświadczył mistrz. - Jednak wciąż jeszcze ty jesteś starszy. Słyszysz, Takeo? - zwrócił się do mnie. - Masz słuchać Akio i uczyć się od niego.

Na ustach Kotaro zaigrał uśmieszek - doskonale wiedział, jak trudne zadanie mi stawia. Kenji zrobił niewyraźną minę, jakby już przewidywał kłopoty.

- Akio posiada wiele umiejętności - ciągnął Kotaro. - Musisz je opanować.

Kiedy skłoniłem się potakująco, odprawił Akio i Yuki, która jeszcze raz napełniła czarki. Po jej odejściu obaj mężczyźni wypili hałaśliwie napój. Poczułem zapach gotujących się potraw; miałem wrażenie, że nie jadłem od wielu dni. Pożałowałem, że poprzedniego wieczora nie przyjąłem od Yuki poczęstunku - z głodu robiło mi się słabo.

- Mówiłem, że jestem bratem stryjecznym twego ojca - podjął Kotaro. - Nie powiedziałem ci jednak, że był starszy ode mnie. Po śmierci naszego dziadka zostałem mistrzem. Akio jest moim bratankiem i dotychczas uważałem go za spadkobiercę, lecz twój powrót każe nam ponownie rozważyć kwestię dziedziczenia i starszeństwa. Nasza decyzja będzie zależała od twego zachowania przez kilka najbliższych miesięcy.

Nie od razu pojąłem, o czym mówi.

- Akio wychował się w Plemieniu - powiedziałem powoli. - On wie wszystko, ja nie mam o niczym pojęcia. Zapewne jest wielu takich jak on. Nie chcę zajmować jego miejsca. Ani jego, ani niczyjego innego.

- Owszem, jest wielu innych - przytaknął Kotaro - i wszyscy są posłusniejsi, lepiej wyszkoleni, bardziej zasługujący na wyróżnienie niż ty. Ale żaden nie ma tak wyczulonego słuchu i żaden nie poszedłby w pojedynkę na zamek w Yamagacie.

Tamte wydarzenia wydały mi się epizodem z przeszłego życia; prawie zapomniałem, jaki odruch kazał mi wspiąć się na zamek, aby zadać wyzwolenczą śmierć Ukrytym, wiszącym w koszach na murach fortecy. Po raz pierwszy zabiłem wtedy człowieka i przyszło mi gorzko tego pożałować - gdybym nie zwrócił na siebie uwagi Plemienia, nie pochwyciliby mnie, zanim... zanim...

Otrząsnąłem się. Próby rozwikłania wątków, z których utkana została śmierć Shigeru, nie miały najmniejszego sensu.

- Powiedziałem ci o tym - kontynuował Kotaro - ale powinieneś wiedzieć, że nie będę cię traktował inaczej niż twoich rówieśników. Nie mogę mieć faworytów. Nieważne, jakie masz talenty - bez posłuszeństwa są one dla nas bezużyteczne. I nie muszę ci chyba przypominać przysięgi, którą mi złożyłeś. Zostaniesz tu przez tydzień i będziesz ćwiczył, aby móc uchodzić za zonglera. Spotkamy się w Matsue, zanim spadnie śnieg. Zobaczymy, czy w trakcie nauki zdołasz wykazać należyłą pokorę.

- Kto wie, kiedy nasze drogi znów się przetną? - rzekł Kenji, spoglądając na mnie ze zwykłą mieszaniną czułości i zniecierpliwienia. - Moja praca z tobą jest skończona.

Odnalazłem cię, uczyłem, jakoś zdołałem uchronić cię od śmierci i wróciłem Plemieniu. Akio będzie dla ciebie znacznie surowszy. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując wyszczerbione zęby. - Ale Yuki z pewnością o ciebie zadba. - W jego głosie zabrzmiało coś takiego, że poczułem, iż się czerwienię. Nie zrobiliśmy z Yuki nic złego, nie dotknąłem jej nawet, ale łączyła nas silna więź i Kenji doskonale o tym wiedział.

Obaj mistrzowie wstali i szeroko uśmiechnięci objęli mnie na pożegnanie.

- Rób, co ci każą - mruknął Kenji, szturchając mnie w bark. - I naucz się żonglować.

Żałowałem, że nie mogę porozmawiać z nim na osobności; tyle spraw między nami domagało się wyjaśnienia. Ale może lepiej się stało, że żegnał się ze mną serdecznie, niczym nauczyciel, z którego nauk wyrosłem. Poza tym, jak miałem się wkrótce dowiedzieć, Plemię nie traci czasu na roztrząsanie przeszłości i nie lubi stawiać jej czoła.

Po wyjściu Kenjiego i Kotaro pokój wydał mi się jeszcze bardziej ponury niż przedtem, duszny, pozbawiony powietrza. Przez ściany słyszałem, jak mistrzowie zbierają się do drogi. Nie dla nich skomplikowane przygotowania i długie pożegnania, typowe dla większości podróżnych - oni po prostu otwierali drzwi i wychodzili, niosąc w rękach wszystko, co potrzebne: lekkie węzélki, zapasowe sandały, kilka ciastek ryżowych doprawionych solonymi śliwkami. Pomyślałem o szlakach, które przemierzali, krążąc tam i z powrotem po Trzech Krainach, a może i dalej, podążając wzdłuż nitek ogromnej sieci, rozsnutej przez Plemię od wioski do wioski, od miasta do miasta. Gdziekolwiek się znaleźli, mieli krewnych i nigdzie nie odmawiano im schronienia ani ochrony.

Usłyszałem propozycję Yuki, że odprowadzi ich do mostu, a potem głos starej kobiety, która przedtem tak urągała żołnierzom:

- Uważajcie na siebie!

Kroki oddaliły się i ucichły. Poczułem jeszcze większe przygnębienie i samotność. Nie miałem pojęcia, jak zdołam wytrzymać tydzień przykuty do tego miejsca; niemal bezwiednie zacząłem czynić plany, żeby się wydostać. Nie chodziło mi o to, żeby uciec - pogodziłem się już z myślą, że zostanę w Plemieniu - pragnąłem po prostu wyjść z pokoju, częściowo po to, by znowu obejrzeć Yamagatę nocą, częściowo by sprawdzić, czy potrafię.

Niedługo później usłyszałem czyjeś kroki. Drzwi odsunęły się i do środka weszła kobieta, niosąc na tacy posiłek: ryż, kiszzone jarzyny, kawałek suszonej ryby, miszkę zupy.

- Proszę, pewnie chce ci się jeść - powiedziała, klękając, by postawić tacę na podłodze.

Umierałem z głodu, od zapachu zakręciło mi się w głowie. Rzuciłem się na jadło jak wilk.

Kobieta siedziała, przyglądając mi się bacznie.

- A więc to ty sprawiłeś tyle kłopotu mojemu biednemu mężowi - rzekła, gdy wyskrobywałem z miski ostatnie ziarnka ryżu.

Żona Kenjiego! Zerknąłem na nią i napotkałem jej wzrok. Miała gładką twarz, prawie tak bladą jak mąż; w ogóle byli do siebie dość podobni, co się czasem zdarza starym małżeństwom. Krępa, mocnej budowy, miała kwadratowe, sprawne dłonie o krótkich palcach, jak na prawdziwą mieszczkę przystało, oraz gęste, czarne włosy z siwymi pasemkami na skroniach. Z opowiadań Kenjiego na jej temat pamiętałem jedynie, że świetnie gotuje; faktycznie, jedzenie było pyszne.

Powiedziałem jej o tym, a gdy usta kobiety wygięły się w uśmiechu, przez chwilę ujrzałem w niej Yuki - ten sam kształt oczu, ten sam wyraz nagle złagodniałej twarzy.

- Kto by pomyślał, że się pojawisz po tylu latach! - podjęła tonem matczynej pogawędki. - Znałam dobrze Isamu, twego ojca. Do czasu tej awantury z Shintaro nikt nie miał o tobie pojęcia. To niesłychane, że udało ci się usłyszeć i przechytrzyć najgroźniejszego skrytobójcę Trzech Krain! Rodzina Kotaro była wręcz zachwycona, że Isamu zostawił syna. Wszyscyśmy się ucieszyli! I to syna o takich zdolnościach!

Nie odpowiedziałem. Wyglądała na nieszkodliwą staruszkę - ale Kenji też na początku sprawiał wrażenie nieszkodliwego. Poczułem cień nieufności, tej samej, która ogarnęła mnie, gdy po raz pierwszy ujrzałem go na ulicy w Hagi. Znow zerknąłem spod oka i stwierdziłem, że żona Kenjiego otwarcie, wręcz wyzywająco mi się przygląda. Nie miałem zamiaru reagować - musiałem dowiedzieć się więcej o jej zdolnościach i o niej samej.

- Kto zabił mojego ojca? - zapytałem.

- Nie wiadomo. Dopiero po wielu latach nabraliśmy pewności, że naprawdę nie żyje. Znalazł sobie doskonałą kryjówkę.

- Czy to był ktoś z Plemienia?

Pytanie najwyraźniej ją rozbawiło, co z kolei wzbudziło mój gniew.

- Kenji mówił mi, że nikomu nie ufasz - powiedziała. - To dobrze, mnie jednak możesz zaufać.

- Jasne, tak samo jak jemu - mruknąłem z przekąsem.

- Gdybyś postąpił zgodnie z życzeniem Shigeru, byłbyś zginął - rzekła łagodnie. - A rodzinie Kikuta i całemu Plemieniu bardzo zależy, żebyś pozostał wśród żywych. W dzisiejszych czasach podobne bogactwo talentów nieczęsto się zdarza.

Chrząknąłem, usiłując dopatrzeć się w jej pochlebstwie ukrytego znaczenia. Nalała mi herbaty, którą wypilem jednym haustem. W dusznym pokoju rozbolała mnie głowa.

- Jesteś napięty - zauważyła, wyjmując mi z dłoni czarkę i stawiając ją na tacy.

Odsunęła tacę na bok i klękawszy za moimi plecami, zaczęła masować mi kark i ramiona. Jej palce były giętkie, silne i wrażliwe zarazem. Przez chwilę rozcierała mi plecy, po czym skupiła się na czaszce. Doznanie było cudowne - niemal jęknąłem z rozkoszy. Jej dłonie zdawały się żyć własnym

życiem; poddałem się ich działaniu, mając wrażenie, że moja głowa odrywa się od szyi.

Wtem dobiegło mnie skrzypienie drzwi. Otworzyłem oczy. Wciąż czułem dotyk palców na skórze, ale pokój był pusty. Ciarki przeszły mi po plecach - może żona Kenjiego wyglądała nieszkodliwie, lecz jej moc była równie wielka jak męża i córki.

No i zabrała mi nóż.

Dano mi na imię Minoru, lecz mało kto tak się do mnie zwracał. Yuki, kiedy byliśmy sami, czasem nazywała mnie Takeo, wymawiając ów dźwięk, jakby otrzymywała dar. Akio ograniczał się do „ty”, i to w formie zastrzeżonej dla niższych rangą. Miał do tego prawo - był starszy, górował nade mną wyszkoleniem i wiedzą, mnie zaś kazano się podporządkować. Drażniło mnie to jednak - nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przywykłem do pełnego szacunku traktowania, należnego wojownikowi Otori, dziedzicowi Shigeru.

Tego samego popołudnia zaczęła się nauka. Nie wiedziałem, że mięśnie rąk mogą tak boleć; prawy nadgarstek, nadwerężony w pierwszej walce z Akio, nieustannie mi dokuczał, a pod koniec dnia zaczął dotkliwie rwać.

Rozpoczęliśmy od ćwiczeń zwiększających giętkość i zwinność palców. Nawet z niewygojoną dłonią Akio przewyższał mnie zręcznością. Siedząc naprzeciwko mnie, raz po raz klepał mnie po wyciągniętych rękach, zanim w ogóle zdołałem drgnąć. Był niezwykle szybki - nie mogłem uwierzyć, że nawet nie widzę jego ruchów. Z początku klepnięcia były lekkie, lecz pod wieczór, gdy moja niezdarność znużyła nas obu, stały się naprawdę mocne.

Yuki, która przyłączyła się do nas, powiedziała cicho: - Jeśli posiniaczysz mu rękę, będzie to dłużej trwało.

- Może powinienem posiniaczyć mu głowę - mruknął Akio.

Przy następnej próbie, nim zdążyłem odsunąć dłonie, chwycił je prawą ręką, a lewą wymierzył mi siarczasty policzek, tak silny, że łzy stanęły mi w oczach.

- No co? Bez noża nie jesteś już taki śmiały - zadrwił, puszczając mnie.

Yuki się nie odezwała. Poczułem, że krew się we mnie gotuje: niesłychane, pozwolił sobie uderzyć pana Otori! Zamknięcie, celowe zaczepki, obojętność Yuki - wszystko to razem sprawiło, że przestałem nad sobą panować. Gdy Akio zamienił ręce i prawą dłonią zadał mi jeszcze silniejszy cios, od którego odskoczyła mi głowa, oczy zasnuła mi czerni, a potem czerwień. Rzuciłem się na niego.

Wiele lat minęło od owej chwili, gdy jako siedemnastolatek padłem ofiarą furii, która pochwyciła mnie i pozbawiła samokontroli. Choć nie przypominam sobie, co działo się później, nadal pamiętam uczucie wyzwolenia, pamiętam ulgę, z jaką moje zwierzęce „ja” wyrwało się na wolność, ślepą, błogosławioną obojętność na to, czy umrę, czy będę żył, niezgodę na przymus, zastraszanie, kłamstwo.

Po chwili zaskoczenia, w której udało mi się zacisnąć ręce na szyi Akio, obezwładnili mnie bez trudu. Yuki znanym sobie sposobem ucisnęła mi kark, a kiedy zacząłem tracić przytomność, zadała mi niewyobrażalnie mocny cios w brzuch. Zgiąłem

się wpół, zebrało mi się na wymioty. Akio wysliznął się spode mnie i wykręcił mi rękę do tyłu.

Ciężko dysząc, padliśmy na matę, przytuleni niczym kochankowie. Cały incydent trwał niespełna minutę. Nie mogłem uwierzyć, że Yuki tak mocno mnie uderzyła - sądziłem, że jest po mojej stronie, i teraz patrzyłem na nią z urazą w sercu.

- Oto co powinienes okiełznać - rzekła spokojnie. Akio puścił mnie i ukląkł, znów gotów do pracy.

- Zaczynamy od nowa.

- Nie bij mnie po twarzy.

- Yuki ma rację, lepiej, żebym nie posiniaczył ci ręk - odparł. - Więc musisz być szybszy.

W duchu przysiągłem sobie, że nie pozwolę, by znowu mnie uderzył. Następnym razem, choć nie zdołałem go dotknąć, zdążyłem zrobić unik. Patrząc nań uważnie, zacząłem dostrzegać drobne zwiastuny poruszeń, aż wreszcie po wielu próbach musnąłem dłonią jego knykcie. Nic nie powiedział, lecz zadowolony kiwnął głową, po czym przeszliśmy do nauki żonglerki.

Mijały godziny - przerzucałem piłeczkę z ręki do ręki, z ręki na matę i znowu do ręki. Pod koniec drugiego dnia potrafiłem już żonglować w starym stylu trzema piłeczkami, pod koniec trzeciego dnia - czterema. Akio czasem jeszcze dopadał mnie znienacka i klepał po twarzy, lecz na ogół w skomplikowanym tańcu piłek i dłoni udawało mi się tego unikać.

Pod koniec czwartego dnia widziałem piłeczki, nawet zamknawszy oczy, ponadto czułem nieopisany niepokój i nudę. Istnieją ludzie - jak sądzę, Akio był jednym z nich - którzy uporczywie doskonalią podobne umiejętności, gdyż obsesyjnie pragną osiągnąć doskonałość. Szybko zorientowałem się, że ja do nich nie należę. Nie widziałem w żonglerce najmniejszego sensu, w ogóle mnie nie interesowała. Uczyłem się jej w sposób najtrudniejszy z możliwych, a także z najmniej właściwego powodu - dlatego że w przeciwnym razie dostałbym baty. Poddawałem się surowym naukom Akio, bo musiałem, ale nienawidziłem i nauk, i nauczyciela. Jeszcze dwukrotnie jego szyderstwa wywołały u mnie wybuch wściekłości, lecz tak jak ja zacząłem przewidywać jego poruszenia, podobnie Yuki i on umieli już rozpoznać niepokojące oznaki i unieruchamiali mnie, zanim komukolwiek stała się krzywda.

Czwartej nocy, gdy dom już ucichł i wszyscy zasnęli, postanowiłem pójść na wycieczkę. Nudziło mi się, nie mogłem spać, marzyłem, by zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz nade wszystko chciałem sprawdzić, czy potrafię to uczynić. Aby nadać jakiś sens posłuszeństwu wobec Plemienia, musiałem najpierw się dowiedzieć, czy umiem być nieposłuszny; wymuszona subordynacja wydawała mi się tak samo absurdalna jak żonglerka. Równie dobrze mogliby trzymać mnie na uwięzi dniem i nocą niczym psa, żebym warczał i gryzł na rozkaz.

Znałem rozkład budynku - często przez wiele godzin nie miałem nic do roboty

poza nasłuchiwaniami - wiedziałem także, gdzie kto śpi. Yuki i jej matka zajmowały pokój na tyłach domu razem z dwiema kobietami, których nigdy nie widywałem, choć nieustannie je słyszałem. Jedna - Yuki mówiła do niej „ciociu” - pracowała w sklepie, gdzie głośno żartowała z klientami w miejscowym narzeczu; druga, chyba służąca, sprzątała i przygotowywała większość posiłków. Wstawiała pierwsza, kładła się spać ostatnia, mówiła mało i cicho z północnym akcentem. Na imię miała Sadako; wszyscy domownicy beztrząsco nią poniewierali i wykorzystywali ją przy każdej okazji, zawsze jednak odpowiadała im spokojnie i pokornie. Choć nie widziałem tych kobiet na oczy, wydawało mi się, że dobrze je znam.

Akio spał na poddaszu nad sklepem z trzema innymi mężczyznami; co noc jeden z nich dołączał do strażników pełniących wartę za domem. Zeszłej nocy dyżur miał Akio, na czym mocno ucierpiałem, gdyż niewyspany był dla mnie przykrejszy niż zwykle. Przed zgaszeniem lamp któryś z mężczyzn pomagał pokojówce pozamykać na noc drzwi i drewniane okiennice, które zasuwwały się z głuchym stukotem, aż zaczynały szczekać psy.

Psy były trzy i każdy miał inny, charakterystyczny głos. Co wieczór karmił je ten sam człowiek, gwizdząc na nie przez zęby w szczególny sposób, który ćwiczyłem, kiedy byłem sam, wdzięczny losowi, że nikt poza mną nie posiada daru słuchu Kikuta.

Drzwi wejściowe zabezpieczano sztabami, a przy tylnej bramie wystawiano strażę, ale jedne drzwi pozostawały otwarte. Wychodziły na wąskie przejście między domem a murem zewnętrznym, na końcu którego znajdował się ustęp, dokąd eskortowano mnie trzy, cztery razy dziennie. Ponadto kilkakrotnie po zmroku zaprowadzano mnie przez podwórko do niewielkiej łaźni, położonej za domem przy bramie. Najwyraźniej mnie ukrywano - Yuki twierdziła, że dla mego bezpieczeństwa - lecz nikt poważnie się nie spodziewał, że ucieknę, więc specjalnie mnie nie pilnowano.

Długo leżałem, nasłuchując odgłosów domostwa. Słyszałem oddechy kobiet w sypialni na dole oraz chrapanie mężczyzn na poddaszu. Za murami stopniowo cichły hałasy miasta. Pograżałem się w znajomym stanie, którego nie umiałem opisać, lecz który był mi bliski niczym własna skóra. Nie odczuwałem lęku ani podniecenia; mój umysł się wyłączył, cały zamieniłem się w instynkt, instynkt i słuch. Czas się przeobraził, zwolnił. Nieważne, jak długo miałbym otwierać drzwi ukrytego pokoju; wiedziałem, że w końcu to zrobię i że zrobię to bezszelestnie, tak samo, jak bezszelestnie zamierzałem dotrzeć do drzwi zewnętrznych.

Stałem właśnie przy owych drzwiach, świadom najłżejszego szmeru, gdy usłyszałem kroki. Żona Kenjiego przeszła przez sypialnię, podążając w stronę ukrytego pokoju. Odsunęła drzwi, lecz po kilku sekundach wyszła i szybko, choć bez paniki, ruszyła w moją stronę z lampą w ręku. Przez chwilę chciałem stać się niewidzialny, ale natychmiast uświadomiłem sobie, że to nie ma sensu - prawie na pewno by mnie zauważyła, gdyby zaś stwierdziła, że mnie nie ma, postawiłaby na nogi cały dom.

Popatrzyłem na nią i bez słowa skinąłem na drzwi prowadzące do ustępu.

Wróciłem do ukrytego pokoju, czując na sobie jej wzrok; ona również milczała, odniosłem jednak wrażenie, że domyśla się, co zamierzam.

W mojej celi panował coraz większy zaduch, wiedziałem, że już nie zasnę. Czułem, jak wysoką falą wzbiera we mnie wzmożone, instynktowne życie. Długo nasłuchiwałem oddechu mojej strażniczki, a gdy doszedłem do wniosku, że zasnęła, znów wstałem, ostrożnie uchyliłem drzwi i wymknąłem się na zewnątrz. Lampa wciąż się paliła. Obok niej, z zamkniętymi oczami, siedziała żona Kenjiego.

- Znowu idziesz sikać? - zapytała cicho, unosząc powieki. Zamarłem.

- Nie mogę spać.

- Siadaj, zrobię ci herbaty.

Płynnym ruchem podniosła się z podłogi - pomimo wieku i tuszy była zręczna jak młoda dziewczyna - i kładąc mi dłoń na ramieniu, łagodnie pchnęła mnie na matę.

- Tylko nie ucieknij! - ostrzegła drwiąco.

Usiadłem odruchowo, choć nie zamierzałem rezygnować z wolności. Usłyszałem syk czajnika na rozdmuchanym żarze, a następnie szczęk żelaza i fajansu. Po chwili żona Kenjiego wróciła z herbatą, uklękła i napełniła czarkę. Pochyliłem się ku niej; między nami miękko jaśniała lampa.

Spojrzałem jej głęboko w oczy, w których dostrzegłem drwinę oraz rozbawienie; wówczas pojąłem, że w gruncie rzeczy nie wierzy w moje zdolności. Wtem zamrugła, a jej powieki opadły. Zachwiała się. Rzuciłem naczynie, pochwyciłem kobietę, zanim zdążyła upaść, i ułożyłem na podłodze, pogrążoną w głębokim śnie. W migotliwym świetle parowała rozlana herbata.

Powinienem być przerażony, lecz czułem tylko zimną satysfakcję, jaką dają skutecznie użyte talenty Plemienia. Żałowałem, że wcześniej nie wpadłem na ten pomysł, ale nie przyszło mi do głowy, że mogę mieć władzę nad żoną mistrza Muto. Przede wszystkim jednak z ulgą pojąłem, że już nic nie przeszkodzi mi wydostać się na zewnątrz.

Kiedy wymykałem się przez boczne wyjście na podwórko, usłyszałem, że psy się ożywiły. Zagwizdałem na nie bezgłośnie, wysokim tonem, który słyszałem tylko ja i one. Jeden, ciekaw, co się dzieje, podszedł do mnie, merdając ogonem. Tak jak wszystkie psy wyraźnie darzył mnie sympatią; położył łeb na mojej wyciągniętej dłoni, jego oczy zaśniły żółto w nikłym świetle zachodzącego księżyca. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, potem pies ziewnął, ukazując duże białe zęby, i ułożył się do snu u moich stóp.

W mojej czaszce dokuczliwie brzęczała myśl: Pies to pies, a żona mistrza Muto to całkiem co innego - ale nie miałem ochoty się w to wgłębiać. Przykucnąłem, gładząc psa, i spojrzałem na mur zewnętrzny.

Oczywiście nie miałem narzędzi ani broni, a szeroki okap dachu nad murem opadał pod takim kątem, że nie było mowy, aby go pokonać bez haków. W końcu postanowiłem wejść na dach łaźni, skąd jakoś przeskoczyłem na szczyt muru, i natychmiast przybrałem niewidzialną postać. Odczołgałem się jak najdalej od wartowni

przy tylnej bramie i tuż za rogiem zeskoczyłem na ulicę. Przystanąłem. Wartownicy rozmawiali cicho, ale psy spały - wydawało się wręcz, że śpi całe miasto.

Zygziem, tak jak owej nocy, gdy wszedłem na zamek Yamagata, dotarłem wreszcie nad rzekę. Te same wierzby, spowite w poświatę zachodzącego księżyca, kołysały się na brzegu w podmuchach ciepłego jesiennego wiatru, roniąc na wodę pojedyncze pożółkłe liście.

Przykucnąłem w ich cieniu. Nie miałem pojęcia, kto teraz rządzi miastem: pan, którego niegdyś odwiedziłem, poplecznik lidy, został obalony, gdy na wieść o śmierci Shigeru w mieście wybuchły zamieszki, lecz Arai zapewne mianował jakiegoś tymczasowego zarządcę. Nie słyszałem żadnych patroli. Wpatrywałem się w zamek, usiłując dostrzec, czy głowy Ukrytych, którym pomogłem znaleźć w śmierci ucieczkę od tortur, nadal wiszą na jego murach. Z trudem dowierzałem własnym wspomnieniom - miałem wrażenie, że wszystko mi się przyśniło lub że historia ta opowiada o kimś innym.

Rozmyślałem o tamtej nocy, o tym, jak przepłynąłem rzekę pod wodą, gdy nagle usłyszałem, że brzegiem ktoś się zbliża. Kroki, stłumione przez rozmiękły grunt, były tuż-tuż. Wiedziałem, że powinienem odejść - zaciekało mnie jednak, kto przychodzi nad rzekę o tej porze nocy. I tak mnie nie zobaczy, pomyślałem.

W ciemności dostrzegłem jedynie, że nieznajomy jest drobnym mężczyzną niskiego wzrostu. Rozejrzał się ukradkiem, po czym klęknął na brzegu, jakby się modlił. Wiatr wiejący od rzeki razem z zapachem wody i błota przyniósł mi jego woń.

Skądś ją znałem; kilka razy pociągnąłem nosem niczym pies, próbując ją umiejscowić. Po chwili przypomniałem sobie - to był zapach garbarni. Ten człowiek zajmował się obróbką skór, a zatem musiał być niedotykany. Zrozumiałem, kogo mam przed sobą: to on rozmawiał ze mną po wyjściu z zamku, to jego brat był jednym z udręczonych Ukrytych, którym zdołałem przynieść wyzwolenie. Na brzegu rzeki ukazałem mu wówczas swoje drugie „ja”, on zaś doszedł do wniosku, że ma przed sobą anioła, i rozgłosił tę wieść po całej Yamagacie. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego przyszedł tutaj się pomodlić. Pewnie należał do Ukrytych i miał nadzieję, że anioł znowu się pojawi. Pamiętałem, że gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, uznałem, iż powinienem go zabić, lecz nie potrafiłem się na to zdobyć. Obecnie patrzyłem nań z życzliwą troską, jaką żywimy dla kogoś, komu darowaliśmy życie.

Poczułem coś jeszcze - ukłucie smutku i żalu za pewnikami dzieciństwa, za słowami i obrzędami, które przynosiły mi pocieszenie, które wydawały się wieczne i niezmiennie niczym pory roku albo obroty księżyca i gwiazd na niebie. Shigeru, ratując mnie w Mino, wyrwał mnie z życia wśród Ukrytych. Od tamtej pory tałem swoje pochodzenie, nigdy nikomu o nim nie mówiąc, nigdy nie modląc się publicznie. Czasem jednak, tak jak nakazywała mi wiara dzieciństwa, modliłem się nocami do Tajemnego Boga, którego czciła moja matka. A teraz zapragnąłem podejść do tego mężczyzny i porozmawiać z nim.

Jako Otori, a także jako członek Plemienia powinienem był zignorować garbarza - ludzie ci zabijają zwierzęta i uważani są za nieczystych - choć Ukryci wierzą, że

Tajemny Bóg stworzył wszystkich równymi, przynajmniej tak uczyła mnie matka. Resztki ostrożności kazały mi pozostać w kryjówce pod wierzbami, ale na dźwięk szeptanej modlitwy mój język jął mimowolnie powtarzać jej słowa.

Byłbym zostawił go i odszedł - nie jestem kompletnym głupcem, choć owej nocy tak się zachowywałem - gdyby nie zbliżające się męskie głosy. Nadchodziły straże, zapewne ludzie Araiego, lecz nie miałem jak się o tym przekonać.

- Patrz, znowu ten lunatyk - powiedział jeden z nich, zatrzymując się na moście. - Rzygać mi się chce, kiedy go co noc oglądam.

Mówił z miejscowym akcentem; drugi mężczyzna chyba pochodził z Zachodu.

- Spuśćmy mu lanie, to przestanie przychodzić. - Już próbowaliśmy, ale to na nic.

- Ach tak? Chce znowu oberwać?

- Chodź, zamkniemy go na parę dni.

- Po prostu wrzucmy go do rzeki.

Wybuchnęli śmiechem. Ich kroki stały się szybsze i głośniejsze, po czym nieco przycichły za rzędem nadbrzeżnych domów. Nadal znajdowali się dość daleko; mężczyzna nad rzeką nic nie słyszał, nie zamierzałem jednak stać i czekać, aż strażnicy wrzucą do rzeki mego człowieka. Mego człowieka - on już do mnie należał.

Wymknąłem się spod gałęzi wierzy i klepnałem go w ramię. Odwrócił się, zdziwiony.

- Szybko, kryj się! - syknąłem.

Rozpoznał mnie natychmiast i jęknąwszy ze zdumienia, rzucił mi się do nóg, bełkocąc modlitwę. W oddali słyszałem patrol zbliżający się nadbrzeżną ulicą. Potrząsnąłem nieznajomym, przyłożyłem palec do ust i usiłując nie patrzeć mu w oczy, odciągnąłem go pod osłonę drzew.

Powinienem go zostawić, pomyślałem, wówczas mógłbym stać się niewidzialny i umknąć strażom. Lecz żołnierze już skręcili za róg; zdałem sobie sprawę, że jest za późno.

Podmuch wiatru zmarszczył wodę, wierzbowe listki zadrżały. Gdzieś daleko zapiał kogut i ozwał się świątynny dzwon.

- Zniknął! - zabrzmiał okrzyk niespełna dziesięć kroków od nas.

Drugi strażnik zaklął:

- Parszywe wyrzutki.

- Jak myślisz, kto jest gorszy, Ukryci czy wyrzutki?

- Niektórzy są jednym i drugim! Ci są najgorsi! Dobiegł mnie świst dobywanego miecza; żołnierz z rozmachem ciął kępę trzin, a potem samą wierzbę. Człowiek obok mnie zeszywniał i zadygotał, ale nie wydał głosu. Odór garbowanej skóry jeszcze się wzmógł; byłem pewien, że strażnicy muszą go poczuć, lecz chyba stłumiła go płynąca od wody woń zgnilizny.

Zastanawiałem się, czy nie odciągnąć ich uwagi od wyrzutka, rozdławiając się i jakoś ich zwodzając, gdy nagle obudziła się para śpiących w trzinach kaczek. Ptaki

wzbiły się w powietrze, nocną ciszę rozdarło głośne kwakanie i plusk wody. Zaskoczeni żołnierze krzyknęli, po czym zaczęli szydzić z siebie nawzajem; kpili i narzekali, kilka razy nawet rzucili kamieniami w kaczki, lecz potem oddalili się w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przyszli. Przez jakiś czas ich kroki dudniły na pustych ulicach, aż stopniowo ucichły i nawet ja nic już nie słyszałem.

- Co tu robisz o tej nocnej porze? - karcąco zwróciłem się do mężczyzny. - Gdyby cię znaleźli, wylądowałbyś w rzece!

Znowu przywarł czołem do mych stóp.

- Wprostuj się - rozkazałem. - Mów.

Usiadł na piętach, niepewnie zerknął na moją twarz i natychmiast spuścił wzrok.

- Przychodzę tu co noc, kiedy tylko mogę - wymamrotał. - Modliłem się do boga, żeby mi pozwolił jeszcze raz cię zobaczyć. Nigdy nie zapomnę, co zrobiłeś dla mojego brata i dla nich wszystkich... - urwał, po czym wyszeptał: - Myślałem, że jesteś aniołem, ale ludzie mówią, że jesteś synem pana Otori i że zabiłeś pana Iidę, by pomścić śmierć ojca. Teraz mamy nowego pana, Araiego Daiichi z Kumamoto. Jego ludzie wszędzie cię szukają, pomyślałem więc sobie, że wciąż jesteś w mieście, i przyszedłem tu dzisiaj z nadzieją, że cię spotkam. Nieważne, jaką postać przybierzesz; musisz być aniołem, skoro zrobiłeś to, co zrobiłeś.

Wstrząsnęła mną moja własna historia w ustach tego człowieka. Uświadomiłem sobie, w jakim znalazłem się niebezpieczeństwie.

- Wracaj do domu. Nie mów nikomu, że mnie widziałeś - powiedziałem, zbierając się do odejścia.

Lecz on najwyraźniej mnie nie słyszał. Ogarnęło go coś w rodzaju uniesienia: oczy mu błyszczały, na wargach lśniły bryzgi śliny.

- Zostań, panie - szepnął błagalnie. - Co noc przynoszę w ofierze jedzenie, jedzenie i wino. Podzielimy się, a potem mnie pobłogosławisz i umrę szczęśliwy.

Wyjął zza pazuchy zawiniątko i rozłożywszy poczęstunek na ziemi, wyszeptał słowa pierwszej modlitwy Ukrytych. Na dźwięk znajomych słów poczułem mrowienie na karku; kiedy skończył, cicho zmówiłem drugą modlitwę. Razem nakreśliliśmy znak i zaczęliśmy jeść.

Posiłek był żałośnie ubogi - podplomyk z prosa ze strzępkiem skóry wędzonej ryby - lecz kryły się w nim wszystkie rytuały mojego dzieciństwa. Niedotykany wyjął niewielką flaszkę i nalał do drewnianej czarki alkohol własnego wyrobu, znacznie mocniejszy niż wino. Wypiliśmy tylko łyk, jednak zapach trunku przypomniał mi dom. Niemal poczułem obecność matki. W oczach stanęły mi łzy.

- Jesteś kapłanem? - szepnąłem, ciekaw, jak zdołał uniknąć prześladowań Tohańczyków.

- Kapłanem był mój brat. Ten, którego miłosiernie wyzwoliłeś. Od kiedy umarł, robię dla naszego ludu, co tylko mogę - dla tej garstki, która została.

- Wielu zginęło pod rządami Iidy?

- Na Wschodzie setki. Moi rodzice dawno temu uciekli tutaj, do Yamagaty. Za rządów Otori żyliśmy w spokoju, ale przez te ostatnie dziesięć lat, które minęły od Yaegahary, nikt nie czuł się bezpieczny. Teraz mamy nowego władcę, pana Araiego, i nie wiadomo, co on zamierza. Powiadają, że ma inne ryby na haczyku; powiadają, że zajmie się Plemieniem, a nas zostawi w spokoju. - Ściszył głos, jakby samo wymówienie nazwy Plemienia mogło ściągnąć nań karę. - I słusznie, w końcu to mordercy i zabójcy, a nasi ludzie są nieszkodliwi, nam nie wolno zabijać. - Spojrzał na mnie przepraszająco. - Rzecz jasna, ty, panie, to co innego.

Gdyby tylko wiedział, jak bardzo „czym innym” się stałem, jak daleko odszedłem od matczynych nauk! W mieście zaszczekały psy, koguty obwieściły nadejście dnia. Musiałem iść, ale czyniłem to niechętnie.

- Nie boisz się?

- Często wręcz umieram ze strachu. Nie mam daru odwagi. Ale moje życie jest w ręku boga. Ma wobec mnie jakiś plan. W końcu zesłał nam ciebie.

- Nie jestem aniołem.

- A skąd jakiś Otori znałby naszą modlitwę? - odrzekł. - Kto oprócz anioła spożyłby posiłek z kimś takim jak ja?

Wiedziałem, że wiele ryzykuję, ale mimo to powiedziałem:

- Pan Shigeru uratował mnie z rąk lidy w Mino.

Nie musiałem mówić nic więcej. Milczał przez chwilę, jakby zdjęty grozą.

- W Mino? - wyszeptał w końcu. - Myśleliśmy, że nikt tam nie ocalał. Zaiste, dziwne są wyroki boskie! Oszczędzono cię w jakimś wielkim celu! Jeżeli nawet nie jesteś aniołem, to zostałeś wybrany przez Tajemnego!

Pokręciłem głową.

- Jestem najędźnierczym z ludzi. Moje życie nie należy już do mnie. Los, który rozdzielił mnie z moim ludem, teraz oddała mnie od Otori. - Nie przyznałem się jednak, że zostałem członkiem Plemienia.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał. - Zawsze ci jej udzielimy, wystarczy, że przyjdiesz do nas na most wyrzutków.

- Gdzie to jest?

- Tam gdzie garbujemy skóry, między Yamagatą i Tsuwano. Pytaj o Jo-Ana.

Zmówił trzecią modlitwę dziękczynną za jadalno.

- Muszę iść - oznajmiłem.

- Ale pobłogosławisz mnie, panie?

Położyłem prawą dłoń na jego głowie i zacząłem szeptać modlitwę, którą tylekroć słyszałem od matki. Czułem się nieswojo, świadom, że nie mam prawa wymawiać słów, które z taką łatwością spływały mi z języka. Jo-An chwycił mnie za rękę, po czym przyłożył moje palce do swego czoła i ust. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi ufa. Puścił mnie wreszcie i skłonił się do ziemi; gdy podniósł głowę, byłem już po drugiej stronie ulicy. Niebo pobladło, przed świtem zrobiło się chłodniej.

Przemykałem się od bramy do bramy. Zabrzmiął dzwon w świątyni, miasto z wolna budziło się ze snu, zdejmowano pierwsze okiennice, ulice zapachniały dymem z kuchennych palenisk. Zbyt długo zabawiłem z Jo-Anem. Mimo że nie użyłem swego drugiego „ja”, czułem się rozdarty na pół, jakbym prawdziwego siebie zostawił pod wierzbą, owo zaś „ja”, które wracało do Plemienia, było zaledwie pustą skorupą.

Gdy dotarłem do domu Muto, uporczywa obawa, przez całą noc spychana na bok, ujawniła się z całą jaskrawością: w jaki sposób miałem pokonać okap muru od strony ulicy? Biały tynk i szare dachówki błyszczały w świetle świtu, jakby drwiąc sobie ze mnie. Przykucnąłem pod osłoną domu naprzeciwko i głęboko pożałowałem swego głupiego, pochopnego postępu. Wewnętrzne skupienie i koncentracja gdzieś przepadły - słuch pozostał ostry jak zwykle, ale nie czułem już poprzedniej, instynktownej pewności siebie.

Nie mogłem tu zostać; z oddali dobiegł mnie tupot butów oraz tętent kopyt. Zbliżał się oddział zbrojnych, wydało mi się, że odróżniam akcent z Zachodu, typowy dla ludzi Araiego. Wiedziałem, że kiedy mnie znajdą, skończy się moje życie w Plemieniu - że moje życie w ogóle się skończy, jeżeli Arai jest choć w połowie tak obrażony, jak powiadano. Nie pozostawało mi nic innego, jak błagać, by otwarto mi bramę, lecz gdy ruszyłem przez ulicę, za murem rozległy się głosy. Akio zawołał cicho do strażników, po chwili stuknął rygiel i ciężkie skrzydło uchyliło się ze skrzypieniem.

Zza rogu wyłonił się patrol. Stałem się niewidzialny, podbiegłem do bramy i wśliznąłem się do środka.

Strażnicy mnie nie dostrzegli, ale Akio - owszem, tak samo jak w Inuyamie, gdy Plemię pierwszy raz mnie pojmowało, on zaś uprzedzał każdy mój ruch. Teraz również zastąpił mi drogę i pochwycił za ramiona.

Byłem przygotowany na razy, które, jak sądziłem, musiały nastąpić, lecz Akio, nie tracąc czasu, pociągnął mnie ku domowi.

Patrol przyśpieszył, konie zbliżały się kłusem. Potknąłem się o psa, który zaskomlał przez sen.

- Dzień dobry! - pozdrowili jeźdźcy strażników przy bramie.

- Co tam macie? - zapytał jeden z tych ostatnich.

- Nie twój interes!

Akio pośpiesznie wciągnął mnie do budynku, zdążyłem jednak się obejrzeć; w wąskim przejściu między łaźnią a murem ujrzałem otwartą bramę oraz fragment ulicy.

Za konnymi biegli dwaj piesi żołnierze, którzy wlekli za sobą jeńca. Nie widziałem go dobrze, lecz usłyszałem jego głos - jego modlitwę. Był to mój niedotykalny, Jo-An.

Zapewne bezwiednie rzuciłem się z powrotem do wyjścia, gdyż Akio pociągnął mnie z taką siłą, że niemal zwichnął mi bark, po czym błyskawicznie uderzył mnie w kark. Cios był skuteczny - otoczenie zawirowało mi przed oczyma. Akio, nadal bez słowa, pchnął mnie do głównej sali. Pokojówka zamiatająca matę nie zwróciła na nas

najmniejszej uwagi.

Odsunąwszy drzwi ukrytego pomieszczenia, Akio rzucił mnie do środka i zawołał z kuchni żonę Kenjiego, a gdy się zjawiała, zamknął drzwi.

Miała bladą twarz i podpuchnięte oczy, jakby wciąż walczyła ze snem. Poczułem jej furię, jeszcze zanim zdążyła się odezwać.

- Ty bękarcie! - syknęła, dwukrotnie mnie policzkując. - Ty półkrwi idioto! Jak śmiałeś mi to zrobić!

Akio pchnął mnie na podłogę, wykręcając mi ręce do tyłu. Pochyliłem pokornie głowę. Tłumaczenia nie miały sensu.

- Kenji ostrzegał mnie, że będziesz próbował wyjść. Dlaczego to zrobiłeś? - ciągnęła, a gdy nadal milczałem, uklękła i szarpnęła mnie za włosy, by zobaczyć moją twarz. - Odpowiadaj! Czyś oszalał?

- Chciałem się przekonać, czy potrafię. Parsknęła zniecierpliwiona, zupełnie jak jej mąż.

- Nie lubię przebywać w zamknięciu - dodałem.

- To szaleństwo - rzekł gniewnie Akio. - On stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Powinniśmy...

- Decyzję może podjąć tylko mistrz Kikuta - przerwała mu obcesowo. - Do tego czasu musimy strzec jego życia i pilnować, żeby nie wpadł w ręce Araiego. - Znów palnęła mnie w ucho, choć już nie tak mocno jak przedtem. - Widział cię ktoś?

- Nikt. Tylko niedotykalny. - Jaki niedotykalny?

- Garbarz. Jo-An.

- Jo-An? Ten wariat? Ten, który widział anioła? - Odetchnęła głęboko. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że cię rozpoznał?!

- Rozmawialiśmy trochę - przyznałem.

- Ludzie Araiego już go mają - wtrącił Akio.

- Mam nadzieję, że pojmujesz, jakim jesteś głupcem! - krzyknęła żona Kenjiego.

Znów skłoniłem głowę. Myślałem o Jo-Anie, ze wszystkich sił żałując, że nie odprowadziłem go do domu - jeśli w ogóle miał w Yamagacie jakiś dom. Zastanawiałem się, czy zdołałbym go uratować, pytając w duchu boga, jaki cel wyznaczył mu w tej chwili. Często się boję, mówił, jestem przerażony. Serce ścisnęło mi się z żalości i wstydu.

- Akio, idź i wybadaj, co ten wyrzutek im powiedział - poleciła żona Kenjiego.

- Nie zdradzi mnie - mruknąłem.

- Na torturach wszyscy zdradzają - rzekł Akio cierpko.

- Trzeba przyspieszyć twój wyjazd - ciągnęła kobieta. - Być może już dzisiaj opuścisz miasto.

Wyczułem, że Akio, który wciąż wykręcał mi ręce do tyłu, kiwa potakująco głową.

- Mam go ukarać?

- Nie, musi być gotów do podróży. Poza tym, jak powinienś już wiedzieć, kary fizyczne nie robią na nim wrażenia. Ale za to dopilnuj, by dokładnie się dowiedział, co musiał wycierpieć wyrzutek. Ma twardą głowę, ale miękkie serce.

- Mistrzowie twierdzą, że to jego największa słabość.

- Owszem, gdyby nie ona, mielibyśmy następcę Shintaro.

- Miękkie serca można utwardzić - zauważył Akio.

- Cóż, wy, Kikuta, najlepiej wiecie, jak to się robi.

Kłęczałem na podłodze, oni zaś rozmawiali o mnie, jakbym był czymś w rodzaju towaru, na przykład beczką wina, które mogło okazać się znakomite albo wręcz przeciwnie, skwaśniałe i bezwartościowe.

- Co teraz? - zapytał Akio. - Związać go do wyjazdu? Kobieta zwróciła się do mnie:

- Kenji mówił, że przyłączyłeś się do nas z własnego wyboru. Skoro tak, to dlaczego próbowałeś uciec?

- Przecież wróciłem.

- Spróbujesz znowu? - Nie.

- I pójdziesz do Matsue z kuglarzami, w żaden sposób nie narażając ani ich, ani siebie?

- Tak.

Zastanowiła się, po czym mimo wszystko kazała Akio mnie związać. Następnie oboje odeszli, aby zająć się przygotowaniami do wyjazdu. Niebawem pokojówka przyniosła jedzenie oraz herbatę i bez słowa pomogła mi spożyć posiłek. Kiedy zabrała miseczki, nikt już do mnie nie zaglądał. Słuchałem odgłosów domu i wydawało mi się, że rozróżniam szorstki, okrutny ton, którym podszyta była jego codzienna pieśń. Ogarnęło mnie ogromne znużenie; wczółgałem się na materac, ułożyłem jak najwygodniej, beznadziejnie pomyślałem o Jo-Anie i o własnej głupocie, aż wreszcie zasnąłem.

Obudziłem się nagle. Serce waliło mi mocno, w ustach żułem suchość. Miałem koszmar - straszny sen o wyrzutku. We śnie tym daleki głos, cichy i uporczywy niczym brzęczenie komara, szeptał okropieństwa zrozumiałe tylko dla mnie.

Akio musiał przytknąć usta do zewnętrznej ściany pokoju, gdyż wyraźnie słyszałem każdy szczegół tortur, jakich Jo-An doznał z rąk ludzi Araiego. Monotonna, powolna relacja zdawała się trwać bez końca; wstrząsały mną dreszcze, miałem skurcze żołądka. Od czasu do czasu Akio milkł na dłuższy czas i z ulgą myślałem, że to już koniec, lecz później znów zaczynał mówić.

Nie mogłem nawet zatkać uszu palcami. Nie było ucieczki. Żona Kenjiego miała rację - to była najgorsza kara, jaką mogła mi wymierzyć. Ze wszystkich sił wyrzucałem sobie, że ujrawszy wyrzutka na brzegu rzeki, od razu go nie zabiłem. Moją rękę powstrzymała litość - ze strasliwym skutkiem. Ja zadałbym Jo-Anowi szybką i miłosierną śmierć; teraz z mojego powodu cierpiał niewysłowione męki.

Głos Akio wreszcie ucichł i zza drzwi dobiegł mnie dźwięk kroków Yuki. Weszła do pokoju, niosąc miskę, nożyczki i brzytwę; tuż za nią podążała pokojówka Sadako z naręczem ubrań, które położyła na podłodze, po czym wycofała się w milczeniu. Usłyszałem, jak mówi do Akio, że południowy posiłek jest gotowy, jak ten wstaje i podąża za nią do kuchni. Po domu rozniosła się woń jedzenia, ja jednak utraciłem apetyt.

- Trzeba cię ostrzyc - rzekła Yuki.

Nadal czesałem się jak wojownik, zgodnie z zaleceniami Ichiro, mego nauczyciela w domu Shigeru, w stylu powściągliwym, lecz niepodobnym do żadnego innego, z odsłoniętym czołem i włosami związanymi w ciasny węzeł na czubku głowy. Nie strzygłem się od kilku tygodni, nie goliłem też twarzy, choć mój zarost był bardzo skąpy.

Yuki rozwiązała mi ręce i nogi, po czym kazała usiąść tyłem do siebie.

- Ależ z ciebie dureń - zagaiła, szczękając nożyczkami.

Nie odzywałem się. Wiedziałem, że ma rację, lecz równocześnie byłem świadom, że gdybym mógł, znów postąpiłbym tak samo.

- Matka okropnie się gniewa. Nie wiem, co bardziej ją zaskoczyło: to, że ją uśpiłeś, czy że ośmieliłeś się to zrobić - ciągnęła, zasypując mnie kosmykami włosów. - Ale jednocześnie jest bardzo pobudzona. Mówi, że przypominasz jej Shintaro, kiedy był w twoim wieku.

- Znała go?

- Wyznam ci sekret: płonęła z miłości do niego. Byłaby za niego wyszła, lecz Plemię miało wobec niego inne plany, więc w zastępstwie poślubiła mojego ojca. Pewnie i tak by nie zniosła, żeby ktoś miał nad nią taką władzę. Shintaro był mistrzem snu Kikuta i nikt nie potrafił mu się oprzeć,

Yuki ożywiła się, była bardziej rozmowna niż zazwyczaj. Gdy zimna stał nożyc dotykała mojej głowy, czułem, że jej dłonie lekko drżą. Wspomniałem liczne dziewczyny, z którymi sypiał Kenji, i lekceważenie, z jakim wypowiadał się o żonie. Jego małżeństwo, jak większość innych, także zostało zaaranżowane przez rodzinę.

- Gdyby wyszła za Shintaro, byłabym kim innym - zadumała się Yuki. - Sądzę, że w głębi serca nigdy nie przestała go kochać.

- Chociaż był zabójcą?

- Nie był zabójcą! Nie bardziej niż ty!

Coś w jej głosie ostrzegło mnie, że rozmowa zbacza na niebezpieczny tor. Yuki naprawdę mi się podobała, wiedziałem, że jej także na mnie zależy, ale nie czułem do niej tego, co do Kaede. Nie chciałem rozmawiać z nią o miłości.

- Sądziłem, że tylko Kikuta potrafią usypiać - rzekłem, usiłując zmienić temat. - A Shintaro pochodził z rodziny Kuroda, prawda?

- Ze strony ojca. Jego matka była Kikuta. Shintaro i twój ojciec byli ciotecznymi braćmi.

Zmroziła mnie myśl, że człowiek, którego pomogłem zabić, którego podobno przypominałem, był moim krewnym.

- Co właściwie stało się owej nocy, gdy zginął Shintaro? - zapytała Yuki ciekawie.

- Usłyszałem, że ktoś wchodzi po ścianie domu; z powodu upału okno na piętrze było otwarte. Pan Shigeru chciał wziąć intruza żywcem, lecz gdy go pochwycił, wszyscy trzej spadliśmy do ogrodu. Napastnik uderzył głową o kamień, ale wydaje mi się, że przedtem zdążył zażyć truciznę, w każdym razie zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Twój ojciec potwierdził, że to Kuroda Shintaro - później dowiedzieliśmy się, że wynajęli go stryjowie pana Shigeru.

- To nadzwyczajne - rzekła Yuki - że mieszkałeś u Shigeru i nikt nie podejrzewał, kim jesteś.

Być może poruszony wspomnieniem, odpowiedziałem otwarcie i nierozważnie:

- Nic w tym nadzwyczajnego. Shigeru uratował mnie w Mino, bo właśnie mnie szukał; słyszał już o moim istnieniu i wiedział, że mój ojciec był skrytobójcą. Shigeru wyznał mi to podczas naszej rozmowy w Tsuwano; zapytany, czy dlatego chciał mnie odnaleźć, odparł, że był to główny powód, ale nie jedyny. Nie wyjawiał mi innych powodów i już nigdy nie miałem ich poznać.

Dłonie Yuki znieruchomiały.

- I mój ojciec nie miał o tym pojęcia?

- Nie. Shigeru dał mu do zrozumienia, że działał pod wpływem odruchu, że zupełnie przypadkowo ocalił mi życie i zabrał mnie do Hagi.

- Chyba nie mówisz poważnie?

Zbyt późno zauważyłem napięcie w jej głosie. - Jakie to ma teraz znaczenie? - rzekłem wymijająco.

- Skąd pan Otori mógł wiedzieć o czymś, czego nie podejrzewało nawet Plemię? Co jeszcze od niego usłyszałeś?

- Wiele rzeczy - mruknąłem zniecierpliwiony. - Razem z Ichiro nauczyli mnie niemal wszystkiego.

- O Plemieniu?

Pokręciłem głową, jakby nie rozumiejąc.

- Nie. O Plemieniu wiem tylko to, co przekazał mi twój ojciec i co sam zauważyłem.

Popatrzyła na mnie. Unikałem jej wzroku.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć - westchnęła w końcu. - W drodze pokażę ci kilka sztuczek. - Przeciągnęła dłonią mojej krótkiej czuprynie, po czym wstała jednym ruchem, zwinna jak jej matka. - Przebierz się, a ja przyniosę coś do jedzenia.

- Nie jestem głodny - odparłem, podnosząc ubranie. Strój, ongiś barwny i jaskrawy, wyblakł do zgaszonego oranżu i brązu. Ciekaw byłem, kto go nosił przede mną i co spotkało go w drodze.

- Przed nami wiele godzin podróży - rzekła dobitnie Yuki. - Być może dzisiaj nie

zdamy już nic zjeść. Będziesz robił to, co ci każemy, choćbyś miał zaparzyć brud zza paznokci i wypić napar! Więc kiedy mówię, że masz jeść, to będziesz jadł i tylko jadł, rozumiesz? My nauczyliśmy się posłuszeństwa w dzieciństwie, ty musisz poznać je teraz.

Chciałem zapytać, czy wtedy, w Inuyamie, także była posłuszna, gdy przyniosła mi Jato, miecz Shigeru, lecz uznałem, że mądrzej będzie się nie odzywać. Przebrałem się w strój kuglarza, a gdy Yuki wróciła, zjadłem posiłek bez dalszych pytań.

Przyglądała mi się bez słowa, dopóki jadłem, po czym powiedziała:

- Wyrzutek nie żyje.

Chcieli, bym utwardził swe serce. Nie patrzyłem na nią; nadal milczałem.

- Nic o tobie nie powiedział - ciągnęła. - Skąd u niedotykalnego tyle odwagi? Nie miał trucizny, żeby się wyzwolić. A jednak nie zdradził.

W duchu podziękowałem Jo-Anowi, podziękowałem Ukrytym, którzy zabierali swoje tajemnice... dokąd? Do Raju? Do innego życia? W ciszę ognia, do cichego grobu? Pragnąłem pomodlić się za niego, tak jak to czynił mój lud, lub zapalić świece i kadzidło, jak Ichiro i Chiyo uczyli mnie w domu Shigeru w Hagi. Wyobraziłem sobie Jo-Ana idącego samotnie w ciemnościach. Co poczną bez niego jego bliscy?

- Modlicie się do kogoś? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła Yuki zdumiona.

- Do kogo?

- Do Oświeconego we wszystkich jego postaciach; do starych bogów gór, lasów i rzek. Rano złożyłam ryż i kwiaty w kaplicy na moście, aby prosić o szczęśliwą podróż. Cieszę się, że w końcu wyjeżdżamy - dziś jest dobry dzień, wszystkie znaki są korzystne. - Spojrzała na mnie z zastanowieniem i pokręciła głową. - Nie powinienes pytać o takie rzeczy. To dość... dziwne. Nikt inny by o to nie pytał.

- Nikt inny nie przeżył tego co ja.

- Teraz należysz do Plemienia. Spróbuj zachowywać się odpowiednio.

Wyjęła z rękawa niewielką torbę i podała mi.

- Masz, Akio prosił, żeby ci to dać.

Pomacałem sakiewkę, po czym otworzyłem ją i wysypałem zawartość. Po macie potoczyło się pięć gładkich, twardych piłeczek - i choć nie znosiłem żonglerki, nie mogłem się powstrzymać, by ich nie podnieść. Wstałem, trzymając w jednej ręce dwie, a w drugiej trzy. Ich dotyk oraz kuglarski strój w jednej chwili przeobraziły mnie w kogoś innego.

- Nazywasz się Minoru - powiedziała Yuki. - Przedmioty dostałeś od ojca; Akio jest twoim bratem, a ja siostrą.

- Nie jesteśmy zbyt podobni do siebie - rzekłem, podrzucając piłeczki.

- Ale się upodobnimy - odparła. - Mój ojciec mówił, że potrafisz zmieniać rysy twarzy.

- A co się stało z naszym ojcem?

Pileczki krążyły w dół i w górę, tam i z powrotem. Koło, fontanna...

- Nie żyje.

- Wygodnie.

Zignorowała zaczepkę.

- Idziemy do Matsue na jesienne święto, co zajmie nam pięć do sześciu dni, zależnie od pogody. Arai nadal chce cię odnaleźć, choć oficjalnie poszukiwania są odwołane, przynajmniej tutaj. Już wyjechał do Inuyamy, my zaś udajemy się w przeciwnym kierunku. Mamy domy, w których możemy bezpiecznie nocować, ale droga jest bezpieczna, więc jeśli napotkamy patrol, będziesz musiał udowodnić, kim jesteś.

Upuściłem pileczkę i schyliłem się, by ją podnieść.

- Nie wolno ci się pomylić - ostrzegała Yuki. - Nikomu w twoim wieku by się to nie zdarzyło. Ojciec mówił, że świetnie naśladujesz różne osoby. Nie ściągaj na nas nieszczęścia.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, żegnani przez żonę Kenjiego.

- Mam co prawda nadzieję, że się kiedyś spotkamy - rzekła, poprawiając mi włosy oraz ubranie - lecz zważywszy na twoją lekkomyślność, niezbyt to prawdopodobne.

Skloniłem się bez słowa. Na podwórku czekał już Akio z wózkiem podobnym do tego, w jakim uwięziono mnie w Inuyamie. Na rozkaz wszedłem do środka, moszcząc sobie legowisko wśród kostiumów i rekwizytów. Yuki oddała mi nóż; z radością ukryłem go pod ubraniem. Akio podniósł dyszle wózka i ruszyliśmy z miejsca.

Jechałem, kołyszając się w półmroku, nasłuchując dźwięków miasta i rozmów aktorów. Rozpoznałem głos drugiej dziewczyny z Inuyamy, imieniem Keiko, był z nami również inny mężczyzna, którego słyszałem w domu, ale dotychczas go nie widziałem.

Gdy ostatnie domy zostały daleko za nami, Akio zatrzymał się, otworzył burtę wózka i kazał mi wysiąść. Minęła już połowa godziny Kozy, lecz mimo nastania jesieni wciąż panowała ciepła pogoda. Ciało Akio lśniło od potu; pchając wózek, rozebrał się prawie do naga i zobaczyłem, jaki jest silny - wyższy ode mnie i znacznie lepiej umięśniony. Podeszedł do przydrożnego strumienia, napił się, po czym ochlapał sobie twarz i głowę. Yuki, Keiko oraz starszy mężczyzna przykucnęli na poboczu. Nigdy bym ich nie poznał; przeobrazili się w trupe aktorów, z trudem zarabiających na życie jeżdżeniem od miasta do miasta, egzystujących dzięki sprytowi i talentowi, w nieustannym zawieszeniu między głodem i przestępstwem.

Nieznany mężczyzna uśmiechnął się do mnie szeroko, błyskając szczerbatym uśmiechem w szczupłej, wyrazistej, nieco drapieżnej twarzy. Keiko nie zwracała na mnie uwagi; na także, podobnie jak Akio, na ręce miała na wpół zabliźnioną ranę od mojego noża.

Odetchnąłem głęboko. Mimo upału czułem się tutaj nieskończenie lepiej niż w zamkniętym pokoju lub w duchocie wózka. Za naszymi plecami rozpościerało się

miasto Yamagata; sylweta zamku bielą na tle gór, wciąż jeszcze pokrytych bujną zielenią, choć tu i ówdzie widniały już barwne plamy żółknących liści. Pola ryżowe również z wolna okrywały się złotem, zbliżała się pora żniw. Na południowym zachodzie dostrzegłem strome szczyty wokół Terayamy, lecz dachy świątyni kryły się za koronami cedrów. W oddali, jedno za drugim, błękitniały niezliczone pasma gór, mieniające się w popołudniowej mgiełce. W milczeniu żegnałem się z Shigeru, z przykrością myśląc, że oto odejdę i zerwę ostatnią więź, która łączyła mnie z nim i z moim życiem jako Otori.

Akio zdzielił mnie w ramię.

- Nie gap się jak jakiś kretyn - warknął głosem zmienionym od prostackiego narzecza, jakiego użył. - Twoja kolej pchać.

Z nadejściem wieczoru serdecznie znienawidziłem wózek. Był ciężki i niesterowny; wszyscy mieliśmy obolałe plecy i bąble na rękach. Już wciąganie go pod górę sprawiało nam me lada trudność, bo koła wędziły w dziurach i koleinach, z których musieliśmy go wypychać we czworo, lecz hamowanie przy zjeździe w dół stanowiło istną udrękę. Z radością byłbym go puścił, pozwalając, by runął do lasu; tęsknie wspominałem swego konia, Raku.

Starszy mężczyzna, Kazuo, szedł przy mnie, korygując moją wymowę i podpowiadając wyrazy niezbędne w zawodowym żargonie kuglarzy. Kilka określeń znałem już od Kenjiego, który ongiś uczył mnie mrocznego, ulicznego języka Plemienia, inne były dla mnie nowe. Naśladowałem Kazuo tak samo, jak kiedyś, podczas zupełnie innych lekcji, naśladowałem Ichiro, i próbowałem mentalnie przeobrazić się w Minoru.

Dzień dobiegał końca i już się ściemniało, gdy zeszliśmy zboczem do wioski. Droga była tu równiejsza i gładsza, a jakiś człowiek wracający do domu powitał nas wieczornym pozdrowieniem. Poczulem drzewny dym i woń gotowanej wieczery. Wokół mnie rozbrzmiewały odgłosy wsi u schyłku dnia: plusk wody, w której myli się mężczyźni po pracy w polu, dziecięce okrzyki i kłótnie, pogawędki kobiet przy gotowaniu, trzask ognia, brzęk siekiery, świątynne dzwonki, muzyka dźwięków, wśród których się wychowałem.

Lecz dosłyszałem także coś innego - podzwanianie upręży i stłumiony stukot kopyt.

- Przed nami jest patrol - szepnąłem do Kazuo. Uniósł dłoń, dając znak do zatrzymania, i zawołał półgłosem do Akio:

- Minoru mówi, że idzie patrol.

Akio spojrzał na mnie, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu.

- Słyszysz ich?

- Słyszę konie. Któż inny mógłby to być?

Kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: Teraz czy potem, co za różnica?

- Bierz wózek.

Zająłem miejsce Akio, Kazuo zaintonował rubaszną oiosenkę. Miał ładny,

donośny głos, który rozlał się szeroko w nieruchomym powietrzu wieczoru. Yuki wyjęła z wózka ręczny bębenek i rzuciła go Akio, który zaczął wybijać rytm, sama zaś podjęła melodię na dziwnym jednostrunowym instrumencie. Keiko zakreśliła wielobarwnymi bąkami, tymi samymi, które przyciągnęły moją uwagę w Inuyamie.

Grając i śpiewając, minęliśmy zakręt, po czym ujrzelśmy patrol. Dziewięciu lub dziesięciu żołnierzy jadło posiłek przy bambusowej przegrodzie, ustawionej przed wejściem do wioski. Na ich kurtkach widniało godło Araiego, a na zboczu za nimi powiewały proporce Seishuu z wizerunkiem zachodzącego słońca. Obok pasły się cztery konie.

Wokół zbrojnych roило się od dzieci, które na widok wózka podbiegły do nas z krzykiem i śmiechem. Kazuo przestał śpiewać i zadał im kilka zagadek, po czym zuchwale zawołał do żołnierzy:

- Jak leci, chłopaki?

Dowódca ciężko się podniósł. Wszyscy natychmiast przypadliśmy do ziemi.

- Hej, wy, wstawać - rzucił. - Skąd idziecie?

Miał kwadratową twarz o krzaczastych brwiach oraz wąskie, zaciśnięte usta, z których wierzchem dłoni otarł zabłakane ziarnko ryżu.

- Z Yamagaty - odparł Akio, oddając bębenek Yuki. Wręczył żołnierzowi drewnianą tabliczkę, na której wypisane były nasze imiona, nazwa naszego cechu oraz wydana w mieście licencja. Dowódca wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, sylabizując imiona i spoglądając na nas po kolei. Tymczasem Keiko, która nadal kręciła bąkami, wzbudzała zainteresowanie znacznie wykraczające poza zdawkową ciekawość. Z punktu widzenia żołnierzy aktorki niczym nie różniły się od prostytutek; jeden z nich rzucił jej zuchwałą propozycję, ona zaś odpowiedziała mu ze śmiechem. Oparłem się o drzewo i otarłem pot z twarzy.

- A ten Minoru co robi? - zapytał dowódca, oddając Akio tabliczkę.

- Mój młodszy brat? Żongluje. To powołanie rodzinne.

- No to popatrzmy - żołnierz rozciągnął w uśmiešku cienkie wargi.

Akio nie wahał się ani przez chwilę.

- Hej, mały, pokaż panu, co potrafisz.

Zdjąłem z głowy chustę, wytarłem w nią dłonie i ponownie opasałem czoło. Gładki ciężar wyjętych z torby piłeczek sprawił, że w jednej chwili stałem się Minoru. To było moje życie, innego nie znałem - droga, wioska, nieufne, wrogie spojrzenia. Zapomniałem o zmęczeniu, o bólu głowy, o pokaleczonych rękach; byłem Minoru i robiłem swoje od chwili, gdy nauczyłem się chodzić.

Piłeczki Wzleciały ku górze, najpierw cztery, potem pięć. Kończyłem drugą sekwencję fontanny, gdy Akio dał mi znak głową. Rzuciłem mu piłeczki; schwytał je bez wysiłku i podrzucił w powietrze razem z drewnianą tabliczką, po czym zniecierlił skierował cały komplet w moją stronę. Ostra krawędź tabliczki rozerwała mi pęcherz na dłoni. Ogarnęła

mnie złość - co Akio chciał w ten sposób osiągnąć? Zdemaskować mnie? Zdradzić? Zgubiłem rytm; tabliczka i piłki legły w kurzu u mych stóp.

Z twarzy dowódcy zniknął uśmiech. Zrobił krok do przodu ja zaś nagle poczułem szaleńczy impuls, by zwrócić się do niego, zdać się na łaskę i niełaskę Araiego, uciec od Plemienia, póki nie jest za późno. Akio rzucił się ku mnie.

- Bałwan! - wrzasnął i zdzielił mnie w ucho. - Nasz ojciec przewraca się w grobie!

W chwili, gdy podniósł na mnie rękę, pojąłem, że nikt już nie przejrzy mojej maskarady; żaden aktor nie odważyłby się uderzyć wojownika Otori. Cios ów lepiej niż cokolwiek innego znów przeobraził mnie w Minoru.

- Wybacz, starszy bracie - odparłem pokornie, podnosząc piłeczki i tabliczkę, po czym wznowiłem zonglowanie, aż dowódca roześmiał się i pozwolił nam przejść.

- Przyjdźcie nas dzisiaj obejrzeć! - zawołała Keiko na odchodnym.

- Tak, wieczorem! - odkrzyknęli żołnierze.

Kazuo podjął śpiew, Yuki uderzyła w bębenek, ja odrzuciłem Akio tabliczkę i schowałem piłeczki, pociemniałe od krwi. Złapałem uchwyty wózka. Podniesiono szlaban; weszliśmy do wioski.



Rozdział czwarty

Ostatni dzień podróży Kaede do domu rozpoczął się cudownym jesiennym porankiem, gdy niebo było błękitne, a powietrze chłodne i przejrzyste niczym górski strumień. W dolinach i nad rzeką unosiły się mgły, barwiące srebrem pajęczne sieci i pędy dzikiego powoju. Jednak tuż przed południem pogoda zaczęła się zmieniać - wiatr się odwrócił, od północnego zachodu przypętlży chmury. Szybko zapadła ciemność, a pod wieczór rozpadał się deszcz.

Burze wyrządziły wielkie szkody na polach ryżowych, w ogrodach warzywnych i sadach; wioski sprawiały wrażenie wymarłych, a nieliczni mieszkańcy wpatrywali się w Kaede ponuro, kłaniając się dopiero pod naciskiem straży, a i wtedy niechętnie. Nie miała pojęcia, czy ją poznają - nie chciała tracić czasu na rozmowy, lecz zastanowiło ją, dlaczego nikt nie naprawia zniszczeń, dlaczego ludzie nie pracują w polu, aby uratować z plonów, co się da.

Jej serce nie bardzo wiedziało, co począć: to zwalniało, pełne złych przeczuć, aż miała wrażenie, że zaraz zemdleje, to przyspieszało gorączkowo, miotane obawą i podnieceniem. Ostatnie mile ciągnęły się bez końca, a przecież równo idące konie pokonywały je aż nazbyt szybko.

Przed wszystkim lękała się tego, co zastanie w domu. Mijała widoki, jak sądziła, znajome, i serce podchodziło jej do gardła, lecz gdy wreszcie dotarli do muru otaczającego ogród i stanęli przed bramą jej rodzinnego domu, w ogóle nie mogła go poznać. Czyżby tu mieszkała? Był taki mały, nie miał umocnień ani straży, brama stała otworem. Wjeżdżając w nią na Raku, nie potrafiła powstrzymać okrzyku.

Shizuka natychmiast zeskoczyła z siodła i z niepokojem uniosła ku niej twarz.

- Panienko?

- Ogród! - zawołała Kaede. - Co tu się stało? Wszędzie znać było ślady żywiołu. W poprzek strumienia leżała wyrwana z korzeniami sosna, która padając, zmiażdżyła kamienną latarnię. Kaede w błysku pamięci ujrzała obraz: świeżo postawiona latarnia, palące się w niej światło, wieczór, być może Święto Umarłych, płynący z prądem lampion i dłoń matki gładząca jej włosy.

Patrzyła, nie rozumiejąc, na zrujnowany ogród. To było coś więcej niż zniszczenia po burzy; od wielu miesięcy nikt nie strzygł krzewów ani trawy, nie czyścił stawów, nie przycinał drzew. Czy to naprawdę jej dom, siedziba jednego z najważniejszych rodów Zachodu? Co się stało z wielkim ongiś majątkiem Shirakawa?

Zmęczony koń spuścił łeb i potarł nim o przednią nogę, po czym zarżał niecierpliwie, oczekując, że postój oznacza, iż rozsiodlają go i nakarmią.

- Gdzie są strażę? - powtarzała wstrząśnięta Kaede. - Gdzie wszyscy?

Człowiek, którego nazywała Blizną, dowódca eskorty, podjechał konno pod werandę, zajrzał do środka domu i zawołał:

- Hej! Jest tam kto?

- Nie wchodź! - powstrzymała go. - Poczekaj na mnie! Pójdę pierwsza.

Długa Ręka podszedł do Raku i ujął wodze. Kaede osunęła się w ramiona Shizuki. Deszcz zamienił się w drobną mżawkę, która osiadała na włosach i ubraniach, ogród pachniał gorzko wilgocią i zgnilizną, skwaśniałą ziemią i opadłymi liśćmi. Promienny, niezmienny wizerunek domu dzieciństwa, grzejący serce Kaede przez osiem długich lat, boleśnie rozjarzył się w jej duszy po raz ostatni, po czym zagaśł na zawsze.

Długa Ręka rzucił wodze jednemu z pieszych i dobywszy miecza, ruszył przodem. Za nim podążyły Kaede i Shizuka.

Zsuwając sandały na progu werandy, Kaede odniosła wrażenie, że jej stopy poznają dotyk drewnianych desek. Jednak zapach domu był zupełnie obcy - mieszkali tu ludzie, których nie znała.

Nagle w ciemnościach coś się poruszyło. Długa Ręka skoczył do środka. Rozległ się przerażony dziewczęcy krzyk i po chwili strażnik wyciągnął na werandę drobną postać.

- Puść ją! - rozkazała Kaede z wściekłością. - Jak śmiesz jej dotykać!

- On tylko cię broni - mruknęła Shizuka, lecz Kaede jej nie słuchała.

Zbliżyła się do dziewczyny, ujęła jej dłonie i spojrzała na nią uważnie. Nieznajoma, prawie tego samego wzrostu co Kaede, miała łagodną twarz i jasnobrązowe oczy, takie same jak ich ojciec.

- Ai? Jestem Kaede, twoja siostra. Nie pamiętasz mnie? - Szeroko rozwarte oczy dziewczyny napełniły się łzami.

- Siostrzyczko? To naprawdę ty? Przez chwilę, pod światło... myślałam, że to mama.

Kaede objęła siostrę, czując, że sama zaczyna płakać.

- Umarła, prawda?

- Ponad dwa miesiące temu. Przed śmiercią mówiła tylko o tobie. Bardzo tęskniła, ale wieść o twoim małżeństwie przyniosła jej spokój. - Głos Ai zadrżał i dziewczyna wycofała się z uścisku. - Dlaczego przyjechałaś? Gdzie twój mąż?

- Nie słyszałaś, co się stało w Inuyamie?

- Przez cały rok nasze ziemie pustoszyły tajfuny. Dużo ludzi zginęło, zbiory przepadły. Docierało do nas bardzo niewiele wiadomości - tylko pogłoski o wojnie. Po ostatniej burzy przeszło tędy wojsko, ale nie bardzo rozumieliśmy, z kim walczą i o co.

- Wojsko Araiego?

- To byli Seishuu z Maruyamy i krain położonych dalej na południe. Szli wesprzeć pana Araiego w walce z klanem Tohan. Ojciec był oburzony, gdyż uważał się

za sojusznika

pana Iidy. Nie chciał, żeby tędy przechodzili, i próbował ich zatrzymać przy Świętych Pieczarach. Usiłowali przekonać go po dobroci, ale ich zaatakował.

- Ojciec z nimi walczył? Nie żyje?

- Żyje. Oczywiście, poniósł klęskę, większość jego ludzi zginęła, ale żyje. Uważa Araiego za zdrajcę i samozwańca. Kiedy cię oddawał jako zakładniczkę, złożył Noguchim przysięgę na wierność.

- Noguchi zostali obaleni. Nie jestem już zakładniczką i zawarłam sojusz z Araim
- powiedziała Kaede.

Oczy siostry rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie rozumiem. Nic już nie rozumiem. - Zda się, dopiero teraz uświadomiła sobie obecność Shizuki i zbrojnych, czekających na zewnątrz. - Wybaczcie, pewnie jesteście wyczerpani - zwróciła się do nich z bezradnym gestem. - Przybyliście z daleka i musicie być głodni. - Zmarszczyła czoło, nagle przybierając wygląd dziecka. - Co ja mam robić? - szepnęła. - Możemy wam zaproponować tak niewiele.

- Nie ma służby?

- Gdy usłyszeliśmy konie, wysłałam ich do lasu. Wrócą przed zapadnięciem nocy.

- Shizuko - rzekła Kaede. - Idź do kuchni i zobacz, co da się tam znaleźć. Przygotuj dla ludzi jedzenie i picie. Dzisiaj mogą tu przenocować. Chciałabym, aby co najmniej dziesięciu zostało ze mną. - Wskazała na Długą Rękę: - Niech on dokona wyboru, reszta niech wraca do Inuyamy. Zapłacą życiem, jeżeli moi poddani lub mój majątek doznają uszczerbku z ich ręki.

- Pani - skłoniła się Shizuka.

- Zaprowadzę cię - powiedziała Ai i poprowadziła Shizukę w głąb domu.

- Jak się nazywasz? - zapytała Kaede Długą Rękę.

- Kondo, pani - odparł, padając przed nią na kolana. - Jesteś człowiekiem Araiego?

- Moja matka wywodzi się z Seishuu. Ojciec - ufam, że mogę ci powierzyć swój sekret - był członkiem Plemienia. Wspierałem Araiego w bitwie pod Kushimoto, poproszono mnie więc, bym wstąpił do niego na służbę.

Popatrzyła nań z góry. Nie był już młody, miał szpakowate włosy i pobrużdżony kark. Zadawała sobie pytanie, co właściwie przeżył, czego dokonał dla Plemienia i do jakiego stopnia można mu zaufać. Jednak potrzebowała kogoś, kto broniłby domu oraz miał nadzór nad żołnierzami i końmi, a Kondo ocalił Shizukę, ludzie Araiego bali się go i szanowali, ponadto doskonale opanował rzemiosło wojenne.

- Przez kilka tygodni przydałaby mi się twoja pomoc - rzekła. - Mogę na tobie polegać?

Wówczas podniósł wzrok; w zapadającym zmierzchu dostrzegła błysk obnażonych w uśmiechu białych zębów. Kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiała

szczerłość, a nawet oddanie:

- Pani Otori może na mnie polegać tak długo, jak będzie trzeba.

- Przysięgnij zatem - zażądała, czując, że się czerwieni; oto uzurpowała sobie władzę, której posiadania wcale nie była pewna.

Zmarszczki wokół oczu żołnierza na chwilę się pogłębiły. Dotknął maty czołem i złożył przysięgę na wierność jej rodzinie, lecz odniosła wrażenie, że w jego odpowiedzi słyszy ton ironii. Płemię zawsze udaje, pomyślała, przeszyta dreszczem. Oni odpowiadają tylko przed sobą nawzajem.

- Idź i dobierz dziesięciu zaufanych ludzi - poleciła głośno. - Sprawdź, czy wystarczy karmy dla koni i czy stajnie i obory są całe.

- Pani Otori - odrzekł, znów ironicznie, jak się jej wydało. Nie była pewna, ile Kondo o niej wie i co właściwie powiedziała mu Shizuka.

Wróciła Ai i ujmując ją za rękę, zapytała cicho:

- Mam powiedzieć ojcu, że przyjechałaś?

- Gdzie on jest? W jakim stanie? Ranili go?

- Był lekko ranny. Ale nie chodzi o ból... Śmierć mamy, strata tylu ludzi... jego umysł błądzi, czasem nawet nie bardzo wie, gdzie się znajduje. Wciąż rozmawia z duchami i upiorami.

- Dlaczego nie odebrał sobie życia?

- Kiedy go przyniesiono, chciał to uczynić. - Głos Ai załamał się, zaczęła szlochać.

- Powstrzymałam go. Byłam taka słaba; tuliłyśmy się do niego z Haną, błagając, by nas nie opuszczał. Zabrałam mu broń. - Zwróciła ku Kaede twarz zalaną łzami. - To wszystko moja wina. Powinnam była mieć więcej odwagi, powinnam pomóc mu umrzeć, a potem zabić siebie i Hanę, jak przystało na córkę wojownika. Ale nie potrafiłam tego zrobić; nie potrafiłam ani odebrać jej życia, ani zostawić jej samej. Więc żyjemy w hańbie i to doprowadza ojca do szaleństwa.

Ja także powinnam była się zabić, pomyślała Kaede, od razu, kiedy usłyszałam, że pan Shigeru został zdradzony. Ale nie zrobiłam tego - za to zabiłam Iidę. Dotknęła policzka Ai i poczuła wilgoć łez.

- Wybacz mi - szepnęła dziewczyna. - Jestem taka słaba.

- Nie - odparła Kaede. - Dlaczego miałybyś umierać? - Jej siostra liczyła sobie zaledwie trzynaście lat i nie popełniła żadnego przestępstwa. - Dlaczego którakolwiek z nas miałaby wybrać śmierć? Będziemy żyć! Gdzie jest Hana?

- Wysłałam ją do lasu z kobietami.

Kaede dotychczas rzadko ogarniało współczucie, teraz jednak obudziło się w niej, bolesne niczym żal. Przypomniła sobie, jak przyszła do niej Biała Bogini, jak Wszech-miłosierna pocieszyła ją obietnicą, że odzyska Takeo; nieodłącznym warunkiem spełnienia owej obietnicy był wymóg okazywania współczucia, opieka nad siostrami, ludem i nienarodzonym dzieckiem. Na zewnątrz rozległ się głos wydającego rozkazy Kondo oraz donośne okrzyki żołnierzy. Zarżał koń, inny mu odpowiedział. Deszcz

padał coraz gęstszy, wybijając rytm, który wydał się jej znajomy.

- Muszę zobaczyć się z ojcem - powiedziała. - Potem trzeba nakarmić ludzi. Czy ktoś z wioski nam pomoże?

- Tuż przed śmiercią mamy rolnicy przysłali deputację. Narzekali na podatek ryżowy, na stan rowów odwadniających, na utratę zbiorów. Ojciec bardzo się rozgniewał. Nie chciał nawet z nimi rozmawiać. W końcu Ayame przekonała ich, żeby dali nam spokój ze względu na chorobę mamy. Od tamtej pory panuje zamęt. Wieśniacy boją się ojca; sądzą, że ciąży na nim klątwa.

- A sąsiedzi?

- Jest pan Fujiwara. Odwiedzał ojca od czasu do czasu.

- Nie pamiętam go. Co to za człowiek?

- Dziwny. Elegancki i chłodny. Powiadają, że jest bardzo wysoko urodzony i że kiedyś mieszkał w stolicy.

- W Inuyamie?

- Nie, w prawdziwej stolicy, tam gdzie mieszka cesarz.

- Więc to szlachcic?

- Chyba tak. Mówi inaczej niż tutejsi ludzie. Prawie go nie rozumiem. Robi wrażenie wielce uczonego. Ojciec lubił z nim rozmawiać o historii i klasykach.

- Cóż, jeśli jeszcze kiedyś złoży ojcu wizytę, może poproszę go o radę.

Kaede zamilkła na chwilę. Walczyła ze znużeniem; bolały ją kończyny, brzuch wydawał się ciężki. Marzyła, aby położyć się i zasnąć. Co więcej w zakamarkach serca czuła się winna, że jej smutek nie jest większy. Owszem, cierpiała z powodu śmierci matki i upokorzenia ojca - rzecz w tym, że w jej duszy zabrakło już miejsca na żalobę oraz siły, by ją przeżywać.

Rozejrzała się po pokoju. Nawet o zmierzchu dostrzegła, że maty są zniszczone, ściany pełne zacieków, parawany podarte. Podążając za jej wzrokiem, Ai szepnęła:

- Wstyd mi. Jest tyle rzeczy do roboty i tyle rzeczy, których nie umiem robić.

- Niemal pamiętam, jak tu było przedtem - uśmiechnęła się Kaede. - Wszystko miało w sobie jakiś blask. - To dzięki mamie - stłumiła szloch Ai.

- Sprawimy, że znowu tak będzie.

Nagle od strony kuchni doleciał jej śpiew, Kaede poznała głos Shizuki oraz piosenkę, którą słyszała, gdy po raz pierwszy się spotkały, miłosną balladę o wiosce i sośnie. Skąd ona bierze odwagę, żeby teraz śpiewać? - zadziwiła się, lecz Shizuka już wchodziła do pokoju, niosąc zapalone lampy.

- Znalazłam je w kuchni - wyjaśniła. - Na szczęście ogień jeszcze się palił. Ryż i jęczmień już się gotują. Kondo posłał do wioski po jakieś zakupy. I domowe kobiety wróciły.

- Pewnie jest z nimi nasza siostrzyczka - odetchnęła z ulgą Ai.

- Tak, przyszła z rękami pełnymi ziół i grzybów, które koniecznie życzy sobie przyrządzić.

Ai spłoszyła.

- Jest na wpół dzika... - zaczęła wyjaśniać.

- Chciałabym ją zobaczyć - przerwała jej Kaede. - A potem zaprowadzisz mnie do ojca.

Ai wyszła. Z kuchni dobiegło kilka stanowczych słów, po czym siostra Kaede wróciła, prowadząc dziewczynkę mniej więcej dziewięcioletnią.

- To jest Kaede, nasza starsza siostra. Opuściła dom, kiedy byłaś malutka. No, przywitaj się, jak należy - fuknęła.

- Witaj w domu - szepnęła Hana, po czym uklękła i skłoniła głowę. Kaede również uklękła i ujęła ją za rękę.

- Gdy odchodziłam z domu, byłam młodsza niż ty teraz - powiedziała, spoglądając na piękne oczy i delikatne kości, rysujące się pod dziecięcą krągłością policzków.

- Jest podobna do ciebie, pani - rzekła Shizuka.

- Mam nadzieję, że będzie szczęśliwsza - odrzekła Kaede i przyciągnawszy Hanę, przytuliła ją mocno. Kiedy drobne ciało zaczęło dygotać, pojęła, że dziewczynka płacze.

- Mama! Chcę do mamy!

Oczy Kaede również wypełniły się łzami.

- Cicho, Hana. Nie płacz, mała siostrzyczko - próbowała ją uciszyć Ai. - Przepraszam - zwróciła się do Kaede. - Wciąż oplakuje matkę. Nie nauczono jej, jak ma się zachowywać.

Cóż, wkrótce się dowie, tak jak ja, pomyślała Kaede. Nauczy się nie okazywać uczuć, pojmie, że życie składa się z bólu i utraty, a jeśli będzie płakać, to tylko na osobności.

- Chodź - rzekła Shizuka, biorąc Hanę za rękę. - Musisz mi pokazać, jak się przyrządza te grzyby. Nie znam miejscowych odmian.

Ponad głową dziewczynki spoglądała Kaede w oczy. Jej uśmiech był ciepły i pogodny.

- Cudowną masz służącą - powiedziała Ai, kiedy wyszły. - Od jak dawna jest z tobą?

- Zjawiła się kilka miesięcy temu, tuż przed moim wyjazdem z zamku Noguchi - odparła Kaede.

Siostry klęczały na podłodze, nie bardzo wiedząc, o czym rozmawiać. Deszcz rozpadał się na dobre, strumienie wody ściekały z okapu niczym rząd stalowych strzał. Zapadała ciemność. Przecież nie mogę powiedzieć Ai, myślała Kaede, że Shizuka pochodzi z Plemienia i że przysłał mi ją sam pan Arai szykując spisek, by obalić Iidę. Tylu rzeczy nie mogę jej powiedzieć. Jest taka młoda, nigdy nie opuszczała Shirakawy, nic nie wie o świecie.

- Chyba powinnyśmy iść do ojca - rzekła w końcu. W owej chwili usłyszała z

głębi domu kroki i wołanie:

- Ai! Ayame! - Kroki zbliżały się. - Ach, odeszły i zostawiły mnie! - gderał łagodnie ojciec. - Ach, te kobiety, wszystkie nic niewarte!

Wszedł do pokoju, lecz na widok Kaede stanął jak wryty.

- Kto to? Mamy gości? Kto przychodzi o tej porze nocy, w taki deszcz?

- To Kaede, ojciec - Ai wstała i podeszła do niego. - Twoja najstarsza córka. Wróciła. Jest bezpieczna.

- Kaede?

Zrobił krok naprzód. Kaede została na miejscu i skłoniła się głęboko, dotykając czołem podłogi. Ai pomogła ojcu uklęknąć.

- No, pokaż się, pokaż - mruknął niecierpliwie. - Zobaczmy to, co jest w nas najgorszego.

- Ojciec? - Kaede uniosła pytająco głowę.

- Jestem zhańbiony - szepnął poufale. - Powinienem być umrzeć. Ale nie umarłem. Teraz jestem pusty, jakby na wpół żywy. Córko, spójrz na mnie!

Istotnie, zaszły w nim straszliwe zmiany. Zawsze opanowany i pełen godności, teraz wyglądał jak strzęp człowieka. Od jego lewej skroni do ucha ciągnęła się częściowo zagojona blizna, wokół której widniał wygolony placek. Był bosy, miał poplamioną szatę, a jego podbródek pociemniał od kilkudniowego zarostu.

- Co się z tobą stało? - zapytała, usiłując powściągnąć gniew.

Przybyła tu w poszukiwaniu schronienia, utraconego domu dzieciństwa, który opłakiwała przez osiem lat, a znalazła rozpad i ruinę.

- Jakie to ma znaczenie? - ojciec ze znużeniem machnął ręką. - Wszystko przepadło. Twój powrót to ostatnia kropla. A twoje małżeństwo z panem Otori? Tylko mi nie mów, że on również nie żyje!

- Nie z mojej winy - odparła gorzko. - Zabił go Iida. Poblądł i zacisnął usta.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Iida też nie żyje - ciągnęła. - Arai wziął Inuyamę. Klan Tohan upadł.

Wzmianka o Arai wyraźnie wytrąciła ojca z równowagi.

- Ten zdrajca - wymamrotał, wpatrując się w ciemność, jakby zgromadziły się tam upiory. - Pokonał Iidę? - Po chwili milczenia dodał: - Okazuje się, że znowu jestem po niewłaściwej stronie. Chyba jakaś klątwa ciąży nad moją rodziną. Po raz pierwszy cieszę się, że nie mam syna, dziedzica. Ród Shirakawa po prostu zniknie z powierzchni ziemi i nikt nie będzie go opłakiwał.

- Masz trzy córki! - zawołała Kaede, ukłuta do żywego.

- A najstarsza z nich jest w dwójnasób przeklęta, gdyż sprowadza śmierć na każdego mężczyznę, z którym się zwiąże!

- Pan Otori zginął przez Iidę! To był spisek od początku do końca! Małżeństwo ze mną wymyślono tylko po to, by wciągnąć go do Inuyamy, w ręce Tohańczyków!

Deszcz bębnił w dachówki, z rynien lały się strugi wody Do pokoju bezszelestnie

weszła Shizuka, niosąc kolejne lampy, postawiła je na podłodze, po czym uklękła przy drzwiach. Muszę nad sobą zapanować, myślała Kaede. Nie mogę wyjawiać mu wszystkiego.

Ojciec patrzył na nią z powątpiewaniem.

- To w końcu jesteś mężatką czy nie?

Serce jej waliło. Nigdy ojcu nie skłamała, teraz również odkryła, że nie zdoła wykrztusić słowa. Odwróciła głowę, jakby przytłoczona żalostí.

- Panie Shirakawa, mogę coś powiedzieć? - zapytała szeptem Shizuka.

- Kto to jest? - zwrócił się ojciec do Kaede.

- Moja pokojówka. Przyszła do mnie jeszcze w zamku Noguchi.

Skinął Shizuce głowę.

- Co masz do powiedzenia?

- Pani Shirakawa i pan Otori wzięli potajemnie ślub w Terayamie - rzekła cicho Shizuka. - Świadkiem była wasza krewniaczka, lecz ona i jej córka także zginęły w Inuyamie.

- Maruyama Naomi nie żyje? Coraz gorzej! Teraz jej ziemie przepadną, weźmie je pasierbica! Równie dobrze możemy od razu oddać im Shirakawę!

- Ja po niej dziedzicę - oświadczyła Kaede. - Powierzyła mi wszystko.

Zaśmiał się krótko i bezzadostí.

- Spór o te dobra toczy się od lat! Mąż pasierbicy pani Maruyama jest kuzynem lidy, popiera go wiele osób z klanów Tohan i Seishuu. Oszalałaś, jeśli sądzisz, że pozwolą ci objąć spadek!

Kaede bardziej wyczuła, niż usłyszała drgnięcie Shizuki za swymi plecami. Jej ojciec okazał się pierwszym z wielu mężczyzn - całej armii, klanu, być może nawet wszystkich Trzech Krain - którzy zamierzali ją odstraszyć bądź zniechęcić.

- Mimo to spróbuję.

- Ty będziesz walczyć? - zapytał wzgardliwie. - Tak.

Przez kilka chwil siedzieli, milcząc, wpatrzeni w zalany deszczem ogród.

- Zostało nam niewielu ludzi - rzekł ojciec z gorznością.

- Czy Otori zamierzają coś z tobą zrobić? Pewnie każą ci ponownie wyjść za mąż. Proponowali kogoś?

- Za wcześnie, by o tym myśleć. Jeszcze noszę żałobę. - Zaczepnęła tchu tak głęboko, że z pewnością to usłyszał.

- Chyba jestem w ciąży.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią bacznie, mrużąc oczy w ciemności.

- Shigeru dał ci dziecko?

Skłoniła się potakująco; nie śmiała się odezwać.

- No, no - zaśmiał się z niespodziewaną, niestosowną jowialnością. - Trzeba to uczcić! Człowiek umarł, ale jego nasienie wciąż żyje! Niebywały wyczyn! - Dotychczas rozmawiali półgłosem, teraz jednak nagle zawołał: - Ayame!

Kaede mimowolnie drgnęła. Zrozumiała, że umysł ojca legł rozchwianiu i nieustannie przechodzi od stanu jasności do zamglenia. To ją przerażało, lecz odsunęła na bok lęk; na razie ojciec jej uwierzył, później przyjdzie pora, by stawić czoło innym sprawom.

Zjawiała się służąca Ayame.

- Witaj w domu, pani - szepnęła, klękając. - Wybacz nam tak smutne powitanie.

Kaede wstała i dźwignęła ją za ręce. Padły sobie w objęcia. Krzepka, niezłomna osoba, którą pamiętała, zamieniła się w kobietę u progu starości, jednak pachniała znajomo, wonią dzieciństwa.

- Idź, przynieś wina - zarządził ojciec Kaede. - Chcę wypić za wnuka.

Kaede przeszył dreszcz, jakby dając dziecku fałszywą tożsamość, uczyniła fałszywym jego życie.

- Jeszcze za wcześnie - zaprotestowała cicho. - Za wcześnie, by świętować.

- Kaede! - wykrzyknęła Ayame, mówiąc do niej po imieniu jak do dziecka. - Nie mów takich rzeczy, nie kuś losu!

- Dajcie wina - rozkazał ojciec. - I zamknijcie okiennice. Cemu siedzimy tu w chłodzie?

Ayame ruszyła w stronę werandy, gdy wtem rozległ się głos Kondo:

- Pani Otori!

Shizuka szybko podeszła do wyjścia.

- Każ mu się zbliżyć - poleciła Kaede.

Kondo wstąpił na drewnianą podłogę i natychmiast klęknął. Kaede dostrzegła bystre spojrzenie, jakim obrzucił pomieszczenie, momentalnie oceniając układ domu oraz jego mieszkańców.

- Udało mi się zdobyć w wiosce trochę jedzenia - przemówił, zwracając się do niej, nie do ojca - wybrałem też żołnierzy, o których prosiłaś, pani. Zgłosił się do nas młody człowiek imieniem Amano Tenzo, który zajął się końmi. Dopilnuję, by nakarmiono ludzi, i wystawię na noc straż.

- Dziękuję. Pomówimy rano.

Kondo znów się skłonił i zniknął bezszelestnie.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał ojciec napastliwie. - Dlaczego nie zwrócił się do mnie, żeby zapytać o zdanie albo pozwolenie?

- Pracuje dla mnie - odparła Kaede.

- Jeśli to człowiek Araiego, nie chcę go widzieć w swoim domu.

- Powiedziałam już, że pracuje dla mnie. - Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. - Zawarliśmy sojusz z panem Araim, który obecnie panuje nad większą częścią Trzech Krain. To nasz władca, ojciec; musisz przyjąć do wiadomości, że Iida umarł, wszystko się zmieniło.

- Czy to oznacza, że córki mogą teraz mówić w ten sposób do ojców?

- Ayame - rzekła Kaede - zaprowadź ojca do jego pokoju. Dziś wieczorem zje u

siebie.

Gdy jął czynić jej wyrzuty, po raz pierwszy w życiu podniosła na niego głos:

- Ojcie, jestem zmęczona! Porozmawiamy jutro. Ayame spiorunowała ją wzrokiem, lecz Kaede udała, że tego nie widzi.

- Rób, co ci każę - powiedziała zimno i po chwili wahania starsza kobieta posłusznie wyprowadziła ojca z pokoju.

- Powinnaś coś zjeść, panienko - rzekła Shizuka. - Usiądź, zajmę się tym.

- Upewnij się, czy wszyscy zjedli - odparła Kaede. - I zamknij już okiennice.

Wieczorem długo leżała, wsłuchana w deszcz. Domownicy i żołnierze mieli dach nad głową, byli nakarmieni, a także - jeśli wierzyć Kondo - bezpieczni. Odtworzyła w myślach wydarzenia minionego dnia, wyliczała sprawy, którymi musiała się zająć: ojciec, Hana, zapuszczony majątek Shirakawa, sporne dobra Maruyama. Jak miała się o nie upomnieć i utrzymać to, co do niej należało?

Gdybym była mężczyzną, złościła się, jakież to byłoby łatwe. Gdybym urodziła się chłopcem, czy istniałoby coś, czego ojciec by dla mnie nie zrobił?

Wiedziała, że jest bezwzględna niczym mężczyzna. Jako zakładniczka w zamku Noguchi zakłuła nożem strażnika; uczyniła to bez zastanowienia, lecz Iidę zabiła z premedytacją - i wolała znów zabić niż pozwolić, by jakikolwiek mężczyzna ją zniszczył. Jej myśli powędrowały ku pani Maruyama. Szkoda, że cię lepiej nie poznałam, zadumała się. Żałuję, że więcej się od ciebie nie nauczyłam. Przykro mi, że zadałam ci tyle bólu. Gdybyśmy wtedy mogły swobodnie porozmawiać...

Miała uczucie, że znów widzi nad sobą piękną twarz i słyszy cichy głos: „Powierzam ci moje ziemie oraz mój lud. Dbaj o nie”.

Dobrze - szepnęła teraz Kaede - dowiem się, jak to się robi. Ubóstwo własnej edukacji napawało ją przygnębieniem, ale to dało się naprawić. Postanowiła, że nauczy się zarządzać majątkiem, rozmawiać z rolnikami, szkolić wojsko i walczyć, że zdobędzie umiejętności, których syn uczyłby się od urodzenia. Zmuszę ojca, żeby mi wszystko pokazał, pomyślała. Dobrze mu robi, jeśli zajmie się czymś innym, nie tylko sobą.

Poczuła ukłucie strachu bądź wstydu - albo jednego i drugiego. W co się zamieniała? Czy stała się odmieńcem, istotą nienaturalną? A może była opętana lub przeklęta? Niemal na pewno żadna kobieta, z wyjątkiem pani Maruyama, nie myślała dotąd w ten sposób. Kurczowo, niczym liny ratunkowej, chwyciła się danej krewniacze obietnicy, aż wreszcie zapadła w sen.

Nazajutrz rano pożegnała ludzi Araiego, ponaglając ich do wyjazdu. Odjeżdżali chętnie, uradowani, że przed nastaniem zimy wezmą jeszcze udział w kampanii wojennej na Wschodzie. Kaede pozbyła się ich jak najrychlej, zadowolona, że nie musi ich karmić przez kolejny dzień, a następnie rozdzieliła kobietom zajęcia: sprzątanie domu i usuwanie szkód w ogrodzie. Spłoniona ze wstydu Ayame wyznała, że nie ma czym zapłacić robotnikom; większość skarbów rodu Shirakawa przepadła, wszystkie pieniądze zginęły.

- A więc same musimy zrobić, co się da - odparła Kaede, a gdy robota ruszyła, udała się do stajni z Kondo.

Tam, uniżenie, lecz z nieskrywanym zachwytem, powitał ją młody Amano Tenzo - ten sam, którego znała od dziecka i który później towarzyszył jej ojcu do zamku Noguchi.

Obecnie miał około dwudziestu lat.

- Piękny koń - rzekł z zachwytem, siodłając Raku.

- To dar od syna pana Otori - odpowiedziała, gładząc szyję zwierzęcia.

Amano rozpromienił się.

- Konie Otori słyną z wytrzymałości i rozumu. Powiada się, że są wypasane na nadrzecznych łąkach, a ich ojcem jest duch rzeki. Za twoim pozwoleniem, pokryjemy nim nasze klacze i w przyszłym roku będziemy mieli od niego źrebięta.

Spodobała się jej bezpośredniość, z jaką poruszał z nią takie tematy. Stajnie były sprzątnięte i lepiej utrzymane niż reszta gospodarstwa, lecz nie licząc Raku, kasztana Amano oraz czterech wierzchowców należących do Kondo i jego ludzi, stały tu tylko trzy stare konie bojowe, w tym jeden okulały. W pustych oczodołach końskich czaszek zawieszonych u krokwi gwizdał wiatr; wiedziała, że umieszczono je tutaj, aby chronić i uspokajać zwierzęta, jednak obecnie przeważały liczebnie nad żywymi.

- Tak, potrzeba nam więcej koni - powiedziała. - Ile mamy klaczy?

- Na razie tylko dwie albo trzy.

- Możemy zdobyć więcej przed nastaniem zimy?

Sposepniał.

- Wojna, głód... ten rok był katastrofalny dla Shirakawy.

- Chcę zobaczyć najgorsze. Pojedziesz ze mną?

Raku uniósł łeb i postawił uszy, najwyraźniej rozglądał się i nasłuchiwał. Kiedy się zbliżyła, zarżał cicho, ale nadal wpatrywał się w przestrzeń.

- Tęskni za kimś... pewnie za swoim panem - rzekł Amano. - Proszę się nie martwić. Zadomowi się u nas, to mu przejdzie.

Pogładziła siwą szyję konia. Ja też tęsknię za jego panem, szepnęła w duchu. Ani jemu, ani mnie nie przejdzie, westchnęła, czując, że więź między nią i małym konikiem staje się jeszcze silniejsza.

Codziennie rano objeżdżała konno swe dobra w asyście Amano i Kondo. Po kilku dniach w drzwiach pojawił się starszy mężczyzna, powitany przez pokojówki łzami radości. Był to Shoji Kiyoshi, najstarszy pracownik jej ojca; został ranny w potyczce, obawiano się nawet o jego życie. Świetnie orientował się w sprawach majątku, wiosek i rolników, toteż Kaede szybko zdała sobie sprawę, że może się odeń wiele nauczyć. Początkowo traktował ją z pełnym rozbawieniem pobłażaniem - podobne zainteresowania u dziewczyny wydawały mu się dziwne i trochę komiczne - lecz zaskoczyła go jej pojętność i pamięć. Wkrótce zaczął z nią omawiać sprawy bieżące i choć do końca nie mogła się pozbyć wrażenia, że nie darzy jej aprobatą, wiedziała, że

może mu ufać.

Ojciec niezbyt interesował się majątkiem; Kaede podejrzewała, że już przedtem dopuszczał się zaniedbań, a nawet niesprawiedliwości, aczkolwiek sama taka myśl zakrawała

nielojalność. Całe dni spędzał w swoich pokojach na pisaniu i czytaniu. Zaglądała doń każdego popołudnia; siedziała i patrzyła cierpliwie, jak godzinami bez słowa wpatruje się w ogród i niestrudzenie pracującą Ayame, po czym mamrocze do siebie, narzekając na swój los. Prosiła, by ją uczył.

- Wyobraź sobie, że jestem twoim synem - błagała, lecz nie chciał potraktować jej poważnie.

- Żona powinna być posłuszna i w miarę możliwości piękna - powtarzał. - Mężczyźni nie pragną kobiet myślących tak jak oni.

- Wówczas mieliby z kim rozmawiać - przekonywała.

- Mężczyźni nie rozmawiają z żonami, tylko między sobą - odparował. - A poza tym nie masz męża. Lepiej zajęłabyś się ponownym zamążpójściem!

- Nie zamierzam nikogo poślubić. Dlatego muszę się uczyć. Muszę sama robić to, co robiłby dla mnie mąż.

- Oczywiście, że wyjdiesz za mąż - rzekł krótko. - Pomyślmy o tym.

Ale ku jej uldze nie czynił w tym kierunku żadnych starań.

Nadal siadywała z nim codziennie, klęcząc obok niego, gdy rozcierał tusz w kamieniu i przygotowywał pędzle, śledząc każdy jego ruch. Umiała pisać i czytać płynne pismo kobiet, lecz ojciec pisał językiem mężczyzn, którego znaki były zwarte i nieprzeniknione niczym więzienne kraty. Przyglądała się cierpliwie, aż któregoś dnia wręczył jej pędzel i kazał napisać znaki „mężczyzna”, „kobieta” i „dziecko”.

Ponieważ z natury była mańkutem, ujęła pędzel lewą dłonią, jednak widząc zmarszczone brwi ojca, przełożyła go do prawej. Oznaczało to, że musi włożyć w zajęcie więcej wysiłku, niemniej śmiało wzięła się do pracy, naśladując ruchy jego ramienia.

Długo przyglądał się wynikom.

- Pisziesz jak mężczyzna - powiedział wreszcie.

- Więc udawaj, że nim jestem.

Poczuła na sobie jego wzrok i podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Patrzył na nią, jakby jej nie poznawał, jakby przerażała go i fascynowała niby jakieś egzotyczne stworzenie.

- Ciekawe - mruknął - czy dziewczynę da się czegoś nauczyć. Skoro jednak nie mam syna i pewnie nie będę już go miał...

Jego głos zacichł, niewidzące oczy wpatrzyły się w dal. Był to jedyny raz, kiedy choćby pośrednio wspomniał śmierć matki Kaede.

Od tej pory ojciec zaczął uczyć Kaede wszystkiego, co umiała by już dawno, gdyby urodziła się chłopcem. Ayame bardzo potępiała te praktyki, podobnie zresztą jak Shoji, żołnierze oraz większość domowników, ale Kaede nie zwracała na nich uwagi.

Uczyła się szybko, choć nowo zdobyte wiadomości na ogół napawały ją rozpaczą.

- Ojciec tłumaczy mi, dlaczego mężczyźni rządzą światem - skarżyła się Shizuce.
- Każdy tekst, każda reguła służy wyłącznie objaśnieniu i uzasadnieniu ich przewagi.
- Taki jest porządek rzeczy - odparła Shizuka.

Była noc. Rozmawiały szeptem, leżąc obok siebie, Ai Hana wraz z resztą kobiet spały w przyległym pokoju, powietrze było nieruchome i zimne.

- Nie wszyscy tak uważają. Podobno istnieją kraje, gdzie ludzie myślą inaczej. Nawet tutaj są osoby, które ośmielają się mieć inne zdanie. Na przykład pani Maruyama... - Kaede jeszcze bardziej ściszyła głos. - I Ukryci...

- A co ty wiesz o Ukrytych? - zaśmiała się miękko Shizuka.

- Opowiadałaś mi o nich dawno temu, gdy zgłosiłaś się do mnie w zamku Noguchi. Mówiłaś, że wierzą, iż bóg stworzył wszystkich równymi. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że to szaleństwo, że zwariowałaś i ty, i oni. Ale teraz, gdy słyszę, że nawet Oświecony mówi źle o kobietach - a przynajmniej źle mówią jego kapłani i mnisi - zadaję sobie pytanie, dlaczego tak ma być.

- A czego się spodziewasz? To mężczyźni piszą historię i święte księgi. Nawet poezję. Zanim zmienisz świat, musisz nauczyć się w nim działać.

- Istnieją kobiety pisarki - odparła Kaede. - Pamiętam ich opowieści z zamku Noguchi. Ale ojciec zabrania mi je czytać, mówi, że znieprawia mój umysł.

Czasem myślała, że ojciec specjalnie dobiera jej lektury, w których kobiety osądzano jak najsurowiej, kiedy indziej, że być może nie ma innych tekstów. Szczególnie nie znosiła Kung-fu Tsy, którego ojciec ogromnie podziwiał. Pewnego popołudnia zapisywała myśli mędrca pod ojcowskie dyktando, gdy zaanonsowano gościa.

W nocy zmieniła się pogoda; w wilgotnym powietrzu wyczuwało się ziąb, w dolinach snuły się dymy i opary, ciężkie głowy chryzantem w ogrodzie ociekały wodą. Kobiety od kilku tygodni szykowały zimowe ubrania i Kaede była wdzięczna za pikowaną bieliznę, którą przywdziała pod szatę. Od siedzenia nieruchomo zmarzły jej dłonie i stopy. Wkrótce trzeba będzie wstawić piecyki... - z obawą pomyślała o zimie, do której wciąż byli nieprzygotowani.

Wtem w drzwiach stanęła zasapana Ayame i oznajmiła w popłochu:

- Panie, przybył pan Fujiwara!
- Opuszczam was - rzekła Kaede, odkładając pędzel.
- Nie, zostań. Spotkanie z tobą go zabawi. Niewątpliwie przyjechał dowiedzieć się, jakie wieści przywiozłaś ze Wschodu.

Ojciec podeszedł do drzwi, po czym odwrócił się, przywołał Kaede ruchem ręki i padł na kolana.

Na dziedzińcu roilo się od konnych i posługaczy. Przy wielkim płaskim kamieniu, specjalnie przyniesionym do ogrodu - Kaede pamiętała ów dzień z dzieciństwa - wysiadał z lektyki wytwornie ubrany szlachcic. W pierwszej chwili

ogarnęło ją zdumienie, że ktoś z własnej woli wybiera taki środek transportu, zaraz jednak, zakłopotana, zatroskała się, czy przybysze przywieźli własny zapas jedzenia. Gdy Fujiwara z pomocą sługi zsunął sandały i wstąpił na werandę, przywarła czołem do desek, przedtem jednak zdążyła rzucić na niego okiem.

Był to wysoki i szczupły mężczyzna o białej twarzy, rzeźbionej niczym maska, i nienaturalnie wysokim czole. Miał na sobie kosztowną szatę w zgaszonych barwach, uszytą z przepięknej tkaniny; płynął odeń uwodzicielski zapach, śmiały i oryginalny. Z wdziękiem oddał ukłon jej ojcu, pozdrawiając go językiem dwornym i kwiecistym.

Kaede trwała nieruchomo; woń jego perfum, gdy szedł do pokoju, wypełniła jej nozdrza.

- Moja najstarsza córka, Otori Kaede - rzekł ojciec od niechcenia, podążając za gościem.

- Pani Otori - usłyszała słowa przybysza, a następnie: - Chciałbym się jej przyjrzeć.

- Chodź, córko - powiedział ojciec niecierpliwie, więc na klęczkach przesunęła się do przodu.

- Panie Fujiwara - szepnęła.

- Jest bardzo piękna - zauważył przybysz. - Niech pokaże twarz.

Uniosła wzrok.

- Cudowna.

Jego zmrużone, taksujące oczy wyrażały podziw, lecz nie pożądanie; tak ją to zaskoczyło, że choć było to nierozważne, uśmiechnęła się lekko. On jednak najwyraźniej również się zdziwił i jego surowo zaciśnięte usta złagodniały.

- Przeszkodziłem wam? - zagadnął, obejmując wzrokiem zwoje i przybory do pisania. Ciekawość zwyciężyła, jedna brew uniosła się pytająco. - Lekcja?

- Taki drobiazg - odrzekł ojciec, nieco zażenowany. - Dziewczyńskie głupstwa. Zapewne uznasz mnie za nader pobłażliwego ojca.

- Wręcz przeciwnie, jestem oczarowany. - Podjął papier, na którym pisała.

- Można?

- Proszę, proszę - zachęcił ojciec.

- Piękne pismo.

Zaczerwieniła się, pomna zuchwałości, z jaką ośmielała się poznawać sprawy mężczyzn.

- Podoba ci się Kung-fu Tsy? - pan Fujiwara zwrócił się wprost do niej, co jeszcze bardziej ją zmieszało.

- Obawiam się, że budzi we mnie mieszane uczucia - odparła. - Ja najwyraźniej niewiele go obchodzę.

- Córko! - skarcił ją ojciec, lecz wargi pana Fujiwary ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

- Zapewne nie przewidział tak bliskiej znajomości - zażartował. - Podobno

przyjechałaś niedawno z Inuyamy. Przyznaję, że celem mojej wizyty jest po części zapoznanie się z nowinami.

- Już od miesiąca przebywam w domu i nie przyjechałam bezpośrednio z Inuyamy, lecz z Terayamy, gdzie pochowany jest pan Otori.

- Twój mąż? Nie wiedziałem o tym. Moje kondolencje. - Obrzucił wzrokiem jej sylwetkę. Nic mu nie umknie, pomyślała. Ma oczy jak kormoran.

- Za jego śmierć odpowiada pan Iida - rzekła cicho - który sam został później zabity przez Otori.

Ponownie złożył jej wyrazy współczucia, ona zaś opowiedziała mu pokrótce o Araim i o sytuacji w Inuyamie, odniosła jednak wrażenie, że pod dworną, elegancką mową gościa kryje się pragnienie, by dowiedzieć się więcej. Czuła, że można powiedzieć mu wszystko i że nic go nie zgorszy, pochlebiało jej także jego wyraźne zainteresowanie.

- Chodzi o Araiego, tego, który kiedyś przysiągł wierność Noguchim - wtrącił ojciec, gniewnie nawiązując do zwykłych pretensji. - Zdradził, a ja musiałem na własnej ziemi walczyć z ludźmi Seishuu, z których kilku jest moimi krewnymi. Nie dość, że wróg miał przewagę liczebną, to jeszcze zostałem oszukany.

- Ojcze! - z wyrzutem mruknęła Kaede. Sprawy te nie dotyczyły pana Fujiwary; im mniej mówiono o hańbie, tym lepiej.

Szlachcic wysłuchał narzekań ojca i skłonił się lekko.

- Podobno pan Shirakawa był ranny?

- Niezbyt poważnie - odparł zapytany. - Byłoby lepiej, gdybym zginął. Powinienem odebrać sobie życie, lecz córki wysysają ze mnie siły.

Kaede nie miała ochoty słuchać tych wynurzeń; na szczęście przerwała je Ayame, wnosząc herbatę i pokrojoną na kawałki słodką pastę z fasoli. Kaede obsłużyła mężczyznę, po czym wymówiła się od dalszej rozmowy. Gdy wychodziła, Fujiwara odprowadził ją wzrokiem, ona zaś odkryła, że miałaby ochotę z nim porozmawiać pod nieobecność ojca.

Nie mogąc wprost zaproponować spotkania, zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób je przyspieszyć, jednakże okazało się to zbędne. Kilka dni później ojciec oznajmił, że szlachcic przysłał list, w którym zaprasza Kaede, by obejrzała jego zbiór obrazów i innych cennych przedmiotów.

- Z jakiegoś powodu wzbudziłaś jego zainteresowanie - nie mógł wyjść ze zdumienia.

Ucieszona, choć trochę speszona Kaede poleciła Shizuce iść do stajni i uprzedzić Amano, aby przygotował Raku; chciała, by młodzieniec towarzyszył jej do rezydencji Fujiwary, odległej o nieco ponad godzinę drogi.

- Powinnaś udać się tam w lektyce - stanowczo zaprotestowała Shizuka.

- Dlaczego?

- Pan Fujiwara był na dworze. To człowiek wysoko urodzony. Nie możesz jechać

do niego konno jak jakiś wojownik. - Shizuka zrobiła surową minę, lecz natychmiast zachichotała, psując cały efekt: - Co innego, gdybyś była chłopcem i przybyła doń na Raku! Pewnie nigdy by cię nie wypuścił! Ale musisz zrobić na nim wrażenie jako kobieta; trzeba cię doskonale zaprezentować.

- Już powiedział, że jestem piękna - rzekła Kaede, nieco dotknięta.

- Musi zobaczyć, że jesteś bez skazy. Niczym kawałek nefrytu albo obraz Sesshu. Wtedy nabierze chęci, by włączyć cię do swojej kolekcji.

- Nie chcę być częścią jego kolekcji! - wykrzyknęła Kaede.

- A czego chcesz? - Shizuki spoważniała. Kaede odpowiedziała w podobnym tonie:

- Chcę odbudować swoje dobra i odebrać to, co mi się należy. Chcę mieć władzę, jaką mają mężczyźni.

- Zatem potrzebujesz sojusznika. Jeśli chcesz, by został nim pan Fujiwara, winnaś ukazać mu się jako skończona doskonałość. Wyślij wiadomość, że miałaś zły sen i dlatego dzień wydaje się niefortunny. Napisz, że odwiedzisz go pojutrze. Zyskamy trochę czasu.

Wiadomość wysłano, a tymczasem Kaede poddała się zabiegom Shizuki. Jej włosy zostały umyte, brwi wyskubane, ciało wyszorowane otrębami, natarte balsamem i znów wyszorowane. Po przejrzeniu strojów w domu Shizuka wybrała dla Kaede kilka szat jej matki, nienowych, lecz uszytych z doskonałej tkaniny, których barwy - szarość gołębiego skrzydła i fiolet kwiatu lespedezy - podkreślały kremową cerę Kaede i granatową czerń jej włosów.

- Z pewnością jesteś dość piękna, by wzbudzić jego zainteresowanie - oświadczyła Shizuka. - Ale musisz go również zaintrygować. Sądzę, że ten człowiek uwielbia tajemnice, więc jeśli chcesz mu zdradzić jakiś sekret, upewnij się, że zapłaci dobrą cenę.

Nocami zdarzały się już przymrozki, lecz dni były słoneczne i czyste. Górskie klony i sumaki płonęły czerwienią na tle ciemnej zieleni cedrów i błękitu nieba. Zmysły Kaede wyostrzyły się wskutek ciąży, gdy wysiadała z lektyki w ogrodzie przed rezydencją Fujiwary, piękno przyrody poruszyło ją do głębi. Była to najcudowniejsza chwila jesieni, która wkrótce miała minąć na zawsze, przegnana zimowymi zawiejami i wichrami, z wyciem schodzącymi z gór.

Dom był większy niż jej własny i znacznie lepiej utrzymany. Wszędzie rozbrzmiewał śpiew wody, szemrzącej na omszałych kamieniach, pluszczącej w stawach, gdzie leniwie pływały czerwone i złote karpie; góry, zda się, wyrastały wprost z ogrodu, daleki wodospad echem odbijał głos strumienia. Po bezchmurnym niebie szybowały dwa olbrzymie orły.

Przy schodach powitał ją młody mężczyzna, który powiódł ją przez szeroką werandę do pokoju, gdzie czekał już pan Fujiwara. Tuż za progiem Kaede padła na kolana i dotknęła czołem podłogi, czując w nozdrzach świeży, cierpki zapach nowych

mat jasnozielonej barwy.

Shizuka została na zewnątrz, na deskach werandy. W pokoju panowała cisza. Kaede, świadoma, że gospodarz się jej przygląda, czekała na jego słowa, próbując w miarę możliwości rozejrzeć się po pomieszczeniu. Z ulgą usłyszała wreszcie powitanie i prośbę, by usiadła prosto.

- Ogromnie się cieszę, że zdołałaś przybyć - powiedział. Wymienili oficjalne uprzejmości - ona cicho i nieśmiało, on w słowach tak kwiecistych, że niekiedy zaledwie domyślała się, co oznaczają. Miała nadzieję, że jej małomówność wyda mu się tajemnicza, a nie tylko nudna.

Młodzieniec wrócił, niosąc przybory do herbaty, a Fujiwara własnoręcznie przygotował napar, ubijając zielony proszek na pienisty napój. Czarki były szorstkie, brązowo różowej barwy, przyjemne dla dłoni i oka. Kaede z podziwem kilkakrotnie obróciła swoją.

- Pochodzą z Hagi - wyjaśnił gospodarz. - To rodzinne miasto pana Otori. Bardzo lubię te naczynia. - Po chwili zapytał: - Zamierzasz tam pojechać?

Chyba rzeczywiście powinnam, pomyślała Kaede. Gdyby Shigeru naprawdę był moim mężem, a ja nosiłabym jego dziecko, udałabym się do jego domu i rodziny.

- Nie mogę - odrzekła po prostu, podnosząc oczy. Jak zwykle, wspomnienie śmierci przyszłego męża oraz roli, jaką odegrała w tym wydarzeniu oraz w późniejszym akcie zemsty, doprowadziło ją niemal do płaczu. Spochmurniała, w oczach zabłyśły łzy.

- Zawsze są jakieś powody - oświadczył enigmatycznie. - Weźmy moje położenie. Mój syn przebywa w stolicy, tam również znajduje się grób mojej żony. Może o tym nie wiesz, ale poproszono mnie, bym wyjechał; to, co pisałem, wzbudziło niezadowolenie regenta. Kiedy wyjechałem, miasto dwukrotnie nawiedziło trzęsienie ziemi oraz szereg pożarów, co powszechnie uznano za karę niebios za niesprawiedliwe potraktowanie nieszkodliwego uczonego. Odprawiono zatem modły i zaczęto mnie błagać, bym powrócił, ja jednak na razie bardzo sobie chwalę tutejsze życie, więc wymyślam kolejne powody, by nie wracać, choć oczywiście w końcu będę musiał posłuchać rozkazu.

- Pan Shigeru stał się bogiem. Przy jego grobie w Terayamie codziennie modlą się setki ludzi.

- Na nasze nieszczęście pan Shigeru umarł, ja jednak jestem jak najbardziej żywy. Za wcześniej, bym zamienił się w boga.

Ponieważ trochę jej o sobie powiedział, musiała odwzajemnić się tym samym.

- Stryjowie pragnęli jego śmierci - szepnęła. - Dlatego nie chcę tam jechać.

- Niewiele wiem o klanie Otori, oprócz tego, że w Hagi produkuje się piękne naczynia. Krąży opinia, że panowie Otori zaszyli się na zamku i że miasto jest całkiem niedostępne. Podobno mają jakieś dawne związki z rodziną cesarską. - Dotąd mówił beztrzęsliwie, niemal figlarnie, lecz nagle jego głos się zmienił, nabierając intensywności, którą zauważyła już wcześniej. - Wybacz mi natarczywość, ale jak właściwie zginął pan Shigeru?

Tak mało rozmawiała dotychczas o straszliwych wypadkach w Inuyamie, że kusilo ją, by zrzucić ciężar z serca, lecz gdy Fujiwara pochylił się ku niej, znów poczuła jego osobliwe łaknienie - nie pragnął jej osoby, lecz wiedzy o tym, co wycierpiała.

- Nie potrafię o tym mówić - rzekła cicho. Zamierzała go zmusić, by drogo zapłacił za tajemnicę. - To zbyt bolesne.

- Ach - Fujiwara wpatrzył się w trzymaną w ręce czarkę. Skorzystała z okazji, by mu się przyjrzeć - rzeźbionym kościom jego twarzy, zmysłowym ustom, długim, delikatnym palcom. Odstawił naczynie na matę i zerknął na nią. Świadomie wytrzymała jego wzrok, pozwoliła, by łzy napłynęły jej do oczu, po czym odwróciła głowę.

- Może któregoś dnia... - powiedziała w zadumie. Przez jakiś czas siedzieli bez słowa i bez ruchu.

- Zaintrygowałaś mnie - oznajmił wreszcie. - Niewielu kobietom się to udało. Pozwól, że pokażę ci moje nędzne domostwo, moje niegodne zbiory.

Postawiła czarkę i lekko wstała. Obserwował każdy jej ruch, lecz nie było w nim drapieżnej żądzy innych mężczyzn. Kaede pojęła, co Shizuka miała na myśli - jeśli wzbudzi podziw tego szlachcica, będzie chciał włączyć ją do swojej kolekcji. Ciekawe jednak, jaką cenę zamierzał za nią zapłacić i czego mogła zażądać w zamian.

Przeszli obok zgiętej wpół Shizuki. Z cienia wyłonił się młody człowiek, delikatny i cienkokościsty jak dziewczyna.

- Mamoru - rzekł pan Fujiwara. - Pani Otori uprzejmie zgodziła się obejrzeć moje żalosne przedmioty. Chodź z nami. - I patrząc, jak młodzieniec się kłania, dodał: - Powinieneś się od niej uczyć, bacznie się jej przyglądać. Będzie dla ciebie doskonałym wzorem.

Kaede podążyła za nimi do środka domu, gdzie na wewnętrznym dziedzińcu znajdowała się scena.

- Mamoru jest aktorem - wyjaśnił Fujiwara. - Gra role kobiece. Lubię wystawiać sztuki na tym skromnym placu.

Istotnie, scena nie była duża, ale za to pełna uroku. Proste drewniane filary podtrzymywały misternie rzeźbiony dach, tło stanowił wizerunek powykęcanej sosny.

- Musisz kiedyś przyjść na spektakl - zachęcił Fujiwara. - Zaczynamy próby do *Atsumori*, ale przedtem pokażemy *Kijankę*. Mamoru może się od ciebie wiele nauczyć, chciałbym też usłyszeć twoją opinię o jego występie.

Nie słysząc odpowiedzi, zapytał:

- Znasz się na teatrze?

- Widziałam kilka przedstawień u pana Noguchi - odparła. - Ale wiem bardzo niewiele.

- Twój ojciec mówił mi, że byłeś u Noguchi zakładniczką.

- Od siódmego roku życia.

- Jakież dziwne życie wiodą kobiety! - zadumał się Fujiwara. Kaede ogarnął

chłód.

Z teatru przeszli do kolejnej sali przyjęć, wychodzącej na mniejszy ogród, o tej porze zalany słonecznym światłem. Kaede z wdzięcznością powitała ciepło. Ale słońce stało już nisko; wkrótce, pomyślała, przepadnie za szczytami, których zębate cienie okryją mrokiem dolinę. Wzdrygnęła się mimowolnie.

- Przynieś kociołek z węglem - polecił Fujiwara. - Pani Otori jest zimno.

Mamoru zniknął na chwilę, po czym wrócił w asyście znacznie starszego mężczyzny, który niósł niewielki piecyk, pełen rozżarzonych węgli drzewnych.

- Przybliź się i usiądź przy ogniu - zaprosił ją gospodarz. - Łatwo się przeziębic o tej porze roku.

Mamoru wyszedł z sali - nie odezwał się ani razu, a jego bezszelestne ruchy były pełne wdzięku i uniżoności - i po chwili powrócił ze szkatułką z drewna paulowni, którą ostrożnie postawił na podłodze. Jeszcze trzykrotnie wychodził i wracał, za każdym razem przynosząc szkatułkę lub skrzynkę z coraz to innego drewna, tak wypolerowanego, że barwy i układ słojów mówiły wszystko o wieku drzewa - brzostownicy, cyprysu, wiśni - o zboczu, na którym wyrosło, o porach zimnych i ciepłych, wietrznych i deszczowych, które musiało przetrwać.

Fujiwara otwierał je po kolei; zachwyconym oczom Kaede ukazywały się zawiniątka, przedmioty spowite w kilka warstw tkaniny. Już same materie, cieniutkie jedwabie o subtelnych barwach, były przepiękne, choć bardzo stare, lecz to, czego strzegły, przekraczało urodą wszystko, co dotychczas widziała. Gospodarz odwijał każde cacko i kładł je przed nią na podłodze, zachęcając, by je pogładziła, przytknęła do warg i czoła, często bowiem dotyk i zapach przedmiotu były równie ważne jak jego wygląd, po czym znów je chował i dopiero wówczas odsłaniał następne.

- Rzadko je oglądam - powiedział z miłością w głosie. - Każde niegodne spojrzenie coś im ujmuje. Odwijanie ich jest dla mnie aktem erotycznym; dzielenie się nimi z kimś, czyj wzrok nie umniejsza, lecz przeciwnie, upiększa, stanowi dla mnie największą, choć niezmiernie rzadką przyjemność.

Kaede milczała, mając niewielkie pojęcie o wartości i historii pokazywanych jej przedmiotów: czarki z tej samej co poprzednio porcelany, różowobrazowej, mocnej i kruchej zarazem, nefrytowego posążka Oświeconego w kwiecie lotosu, złotego, lakierowanego puzderka, na pozór prostego, a jednak kunsztownego. Patrzyła więc tylko, a piękne rzeczy, zda się, odwzajemniały jej spojrzenie.

Mamom nie oglądał z nimi skarbów, lecz po dłuższym czasie - a przynajmniej tak się wydawało Kaede, dla której czas się zatrzymał - wrócił z dużym, płaskim pudłem. Fujiwara wyjął z niego obraz: zimowy pejzaż z dwiema wronami na pierwszym planie, czarnymi na tle bieli.

- Ach, Sesshu - szepnęła, odzywając się po raz pierwszy.

- Właściwie nie Sesshu, ale jeden z jego mistrzów - poprawił. - Powiada się, że dziecko nie może uczyć rodzica, lecz gdy chodzi o Sesshu, musimy przyznać, że uczeń

prześcignął nauczyciela.

- Czyż nie powiada się, że błękit barwnika jest głębszy niż błękit kwiatu? - odparła.

- Jak mniemam, zgadzasz się z tą opinią?

- Gdyby dziecko i uczeń nie byli mądrzejsi, nic by się nigdy nie zmieniało.

- Ku wielkiemu zadowoleniu większości ludzi!

- Tylko tych, którzy mają władzę - rzekła Kaede. - Ci pragną zatrzymać władzę i pozycję, a tymczasem inni widzą tę władzę i pragną jej. Ambicja leży w naturze mężczyzn, prowokują więc zmiany. Młodzi wysadzają z siodła starych.

- A czy ambicja nie leży w naturze kobiet?

- Nikt nie zadał sobie trudu, by je o to zapytać. - Zwróciła wzrok ku obrazowi. - Dwie wrony, kaczor i kaczką, jeleni i łania. Zawsze malują je razem, zawsze parami.

- Taki jest zamysł przyrody - odparł Fujiwara. - To w końcu jeden z pięciu związków Kung-fu Tsy.

- I jedyny dostępny kobietom. Mistrz widzi w nas tylko żony.

- Bo nimi jesteście.

- Ale przecież kobieta może być władczynią albo przyjaciółką? - odparła, patrząc mu w oczy.

- Jak na dziewczynę jesteś bardzo śmiała - zauważył ze śmiechem; jeszcze nie widziała go tak rozbawionego. Spasowała i wpatrzyła się w obraz.

- Terayama słynie z prac Sesshu - zagadnął Fujiwara. - Widziałaś je?

- Tak, pan Otori życzył sobie, by pan Takeo obejrzał je i skopiował.

- Młodszy brat?

- Adoptowany syn.

Ostatnią rzeczą, jakiej Kaede pragnęła, była rozmowa z Fujiwarą o Takeo. Próbowала zmienić temat, ale w głowie miała pustkę; uleciały z niej wszystkie myśli, z wyjątkiem wspomnienia o obrazku, który dostała od Takeo, przedstawiającym małego leśnego ptaszka.

- Przypuszczalnie to on dokonał zemsty? Musi być bardzo odważny. Wątpię, czy mój syn zrobiłby dla mnie aż tyle.

- Rzadko się odzywał - rzekła, pragnąc mówić o Takeo i zarazem obawiając się tego. - Nie uchodził za szczególnie odważnego. Lubił rysować i malować. A potem okazało się, że nie zna lęku.

Usłyszała swój głos i urwała raptownie, pewna, że Fujiwarą przejrzał ją na wylot.

- Ach - mruknął i długo przyglądał się obrazowi.

- Nie powinienem wnikać w twoje sprawy - podjął w końcu, kierując wzrok ku jej twarzy. - Ale zapewne poślubisz syna pana Shigeru?

- Na razie trapią mnie inne kłopoty - odpowiedziała, usiłując podtrzymać lekki ton. - Posiadam ziemię tutaj oraz w Maruyamie i muszę wysunąć do nich roszczenia. Gdybym zaszyła się w Hagi z klanem Otori, mogłabym wszystko utracić.

- Odnoszę wrażenie, że jak na tak młodą osobę masz wiele tajemnic - zauważył. -
Spodziewam się, że pewnego dnia dane mi będzie je poznać.

Słońce opadło za góry i cienie ogromnych cedrów sięgnęły pod dom.

- Robi się późno - oznajmił. - Z przykrością cię tracę, ale czuję, że powinienem cię odesłać. Przyjedziesz niebawem?

Zawinął obraz i włożył go do pudła. Dobiegła ją słaba woń drewna oraz liści ruty, umieszczonych wewnątrz, by odstraszyć szkodniki.

- Dziękuję z całego serca - powiedziała, wstając. Mamoru, który bezszelestnie wrócił do pokoju, skłonił się nisko, kiedy go mijała.

- Spójrz na nią, Mamoru - rzekł Fujiwara. - Spójrz, jak chodzi, jak oddaje ci ukłon. Jeśli zdołasz to uchwycić, możesz się uważać za aktora.

Wymienili słowa pożegnania, po czym pan Fujiwara osobiście wyszedł na werandę, aby odprowadzić Kaede do lektyki, i polecił służącym, by towarzyszyli jej w drodze powrotnej.

- Dobrze się spisałaś - orzekła Shizuka, gdy wróciły do domu. - Zaciekawiałaś go.

- Gardzi mną - odparła Kaede. Spotkanie ją wyczerpało.

- Gardzi kobietami, ale w tobie dostrzega coś innego.

- Coś nienaturalnego.

- Być może - zaśmiała się Shizuka. - Albo coś niezwykłego i rzadkiego, czego nie posiada nikt inny.



Rozdział piąty

Następnego dnia Fujiwara przysłał dla niej dary oraz zaproszenie do teatru, na sztukę, którą zamierzał wystawić podczas pełni księżyca. Kaede rozpakowała dwie szaty, jedną starszą i skromniejszą, z jedwabiu barwy kości słoniowej, wspaniale haftowaną w złotozielone bażanty i jesienne trawy, drugą wyraźnie nowszą i jaskrawszą, w granatowe i fioletowe piwonie na blad różowym tle.

Hana i Ai przyszły je podziwiać. Pan Fujiwara przysłał też jedzenie, przepiórki, świeże ryby, persymony i fasolowe ciasteczka, co wręcz oszołomiło Hanę, która, jak wszyscy, była nieustannie głodna.

- Nie dotykaj - skarciła ją Kaede. - Masz brudne ręce.

Hana istotnie się pobrudziła, zbierając kasztany, ale nie cierpiała, by ktokolwiek zwracał jej uwagę. Teraz schowała dłonie za plecami i spojrzała gniewnie na siostrę.

- Hana - rzekła Kaede, usiłując okazać jej wyrozumiałość. - Niech Ayame umyje ci ręce, a potem możesz obejrzeć prezenty.

Stosunki Kaede z najmłodszą siostrą nadal były burzliwe. W cichości ducha sądziła, że Ai i Ayame zanadto rozpieściły małą; miała nadzieję, że nakłoni ojca, by udzielał jej nauk, wyczuwając, że dziewczynka potrzebuje pracy oraz dyscypliny. Mimo chęci sama nie mogła się tym zająć - brakowało jej czasu, a nade wszystko cierpliwości. Była to kolejna rzecz, nad którą musiała się zastanowić podczas długich zimowych miesięcy.

Skarcona Hana uciekła z płaczem do kuchni.

- Pójdę do niej - zaoferowała Ai.

- Co za upór! - poskarżyła się Kaede Shizuce. - Jaki los ją czeka? Jest taka piękna i taka samowolna.

Shizuka spojrzała na nią kąpiąco, lecz nie odpowiedziała.

- Co? - zapytała Kaede. - O co ci chodzi? - Jest taka jak ty, panienko.

- Już mi to mówiłaś. Ale ma o wiele więcej szczęścia.

Kaede umilkła, myśląc o różnicy między nimi - ona w wieku Hany już od dwóch lat przebywała sama w zamku Noguchi. Być może zazdrościła siostrze i dlatego okazywała jej zniecierpliwienie, niemniej Hana naprawdę biegała samopas, niekontrolowana przez nikogo.

Z westchnieniem spojrzała na piękne stroje, pragnąc poczuć na skórze miękkiego dotyku jedwabiu. Poprosiła Shizukę, by przyniosła lustro, po czym uniosła starszą szatę do twarzy, by zobaczyć na jej tle swoje włosy. Choć nie przyznała się do tego, podarunki zrobiły na niej ogromne wrażenie; pochlebiało jej zainteresowanie pana

Fujiwary. Powiedział, że go zaintrygowała, lecz on zaintrygował ją nie mniej.

Na przedstawienie u pana Fujiwary, dokąd wybierała się z ojcem, Shizuką i Ai, przywdziała szatę starszą, jej zdaniem stosowniejszą na późną jesień. Zaproszono ich także na nocleg, gdyż widowisko pod pełnym księżycem mogło przeciągnąć się do późna. Hana, która rozpaczliwie pragnęła jechać z nimi, obraziła się i, nadąsana, nawet nie przyszła się pożegnać. Kaede żałowała, że również ojciec nie został w domu; martwiła ją jego nieprzewidywalność, ponadto obawiała się, że w towarzystwie ściągnie na siebie jeszcze większy wstyd. On jednak, ogromnie polechtany zaproszeniem, nie dał sobie wyperswadować wizyty.

Aktorzy, wśród nich Mamoru, pokazali *Kijankę*. Przedstawienie głęboko poruszyło Kaede; kiedy była tu ostatnio, Mamoru przyjrzał się jej dokładnie, niż przypuszczała, i teraz miała przed sobą własny wizerunek: widziała swoje ruchy, słyszała swój głos, wzdychający: „Jesienny wiatr opowiada o wyzięblej miłości”, patrzyła, jak żona z wolna traci zmysły, czekając powrotu męża. Słowa chóru przeszły ją niczym igła:

„Blask księżyca, szum wiatru, szron lśniący w bladym świetle mrozą serce; kijanka klekocze i nocny wiatr zawodzi”.

Łzy napłynęły jej do oczu; zalała ją fala samotności i tęsknoty, płynąca od kobiety na scenie, dla której przecież była wzorem. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu pomagała Ayame

trzebać kijanką jedwabne szaty, aby oczyścić je i zmiękczyć. Nawet ojciec zwrócił uwagę na ów monotonny klekot, mówiąc, że jest to jeden z najsilniej działających na wyobraźnię odgłosów jesieni. Sztuka sprawiła, że Kaede poczuła się bezbronna i boleśnie, rozpaczliwie zatęskniła za Takeo. Jeśli nie mogła z nim być, wołała umrzeć. Lecz choć pękało jej serce, pojęła, że musi żyć, żyć dla dziecka, i poczuła w sobie jego pierwsze, wodniste poruszenie.

Ogromny księżyc dziesiątego miesiąca rozsiewał nad sceną zimny blask. Dym z rozpalonych kociołków wędrował z wolna ku niebu. Ucichły miękkie uderzenia bębnow. Grupa widzów siedziała urzeczona, owładnięta urodą księżyca i siłą ukazanych emocji.

Gdy przedstawienie się skończyło, Shizuka i Ai udały się do swego pokoju, Kaede natomiast, ku jej zdumieniu, pan Fujiwara zaprosił, by towarzyszyła mężczyznom, którzy zostali, aby pić wino i jeść egzotyczne przysmaki: grzyby, kraby lądowe, marynowane kasztany i maleńkie kalmary, przywożone w słomie i łodzi z dalekiego wybrzeża. Wkrótce, zdjawszy maski, dołączyli do nich aktorzy. Pan Fujiwara wyraził im uznanie i wręczył podarunki, później zaś, kiedy wino rozluźniło języki i hałas zrobił się większy, cicho zwrócił się do Kaede:

- Cieszę się, że przybył z tobą ojciec. Wydaje mi się, że nie jest najzdrowszy?

- Jesteś dla niego bardzo dobry - odparła - a twoja troska i wyrozumiałość wiele dla nas znaczą.

Sądziła, że nie wypada omawiać z nim stanu umysłu ojca, lecz Fujiwara nalegał:

- Często wpada w posępny nastrój?

- Miewa zachwiania równowagi. Śmierć matki, wojna... - Kaede spojrzała na ojca, który z podnieceniem rozprawiał z jednym ze starszych aktorów. Miał błyszczące oczy i rzeczywiście sprawiał wrażenie odrobinę szalonego.

- Mam nadzieję, że zwrócisz się do mnie, jeśli kiedykolwiek będzie ci potrzebna pomoc.

Skłoniła się, świadoma, jak wielki zaszczyt ją spotyka, a jednocześnie zmieszana jego atencją. Nigdy dotąd nie siedziała sama w pomieszczeniu pełnym mężczyzn; czuła, że nie powinna tu być, lecz nie bardzo wiedziała, jak się wycofać. Fujiwara zrecznie zmienił temat.

- Co sądzisz o Mamoru? Chyba wiele się od ciebie nauczył.

Przez chwilę nie odpowiadała, przenosząc wzrok na młodzieńca, który co prawda zrzucił już kobiece szaty, lecz mimo to, zda się, zachował resztki kobiecości - jej kobiecości.

- Cóż mam rzec? - odparła w końcu. - Wydał mi się olśniewający.

- Ale...? - dopytywał się.

- Wszystko nam kradniecie.

Chciała mówić lekko, lecz w jej głosie zabrzmiała mimowolna gorycz.

-My?

- Mężczyźni. Kradniecie kobietom wszystko. Nawet ból - ból, który nam zadajecie - zabieracie i przedstawiacie jako własny.

Wlepił w nią matowe źrenice.

- Nigdy nie widziałem nic bardziej wzruszającego i przekonującego niż rola Mamoru.

- Dlaczego ról kobiecych nie grają kobiety?

- Cóż za dziwny pomysł - zdumiał się. - Sądzisz, że grałybyście bardziej autentycznie, gdyż wydaje ci się, że owe emocje są wam znane. Ale właśnie kunszt, z jakim aktor przedstawia uczucia, które nie są mu bliskie, jest najlepszą miarą jego geniuszu.

- Nic nam nie zostawiacie.

- Dajemy wam nasze dzieci. Czy to nie uczciwa zamiana?

Znów poczuła, że widzi ją na wylot. Nie lubię go - pomyślała - choć mnie intryguje. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia, bez względu na to, co mówi Shizuka.

- Uraziłem cię - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Jestem zbyt nieważną osobą, by przejmował się mną pan Fujiwara - odrzekła. - Moje uczucia nie mają znaczenia.

- Twoje uczucia bardzo mnie interesują; są niezmiennie oryginalne i zaskakujące.

- Widząc, że Kaede milczy, podjął po chwili: - Musisz przyjść i obejrzeć następne

przedstawienie. Wystawiamy *Atsumori*, czekamy tylko na flecistę. To stary przyjaciel Mamoru, będzie tu lada dzień. Znasz treść tej sztuki?

- Tak - przywołała w myślach tragedię.

Układając się do snu w gościnnym pokoju, wciąż jeszcze wspominała historię o pięknym, muzycznie utalentowanym młodzieńcu i brutalnym wojowniku, który ściął mu głowę, po czym wiedziony wyrzutami sumienia został mnichem, by szukać spokoju w służbie Oświeconego; o widmie Atsumoriego, wołającym w ciemnościach: „Módl się za mnie, niech mój duch się wyzwoli”.

Podniecenie, do którego nienawykła, uczucia, jakie wzbudziła w niej sztuka, późna godzina sprawiły, że nie mogła zasnąć. Pograżona w rozmyślaniach o fleciście Atsumorim unosiła się między snem a jawą, aż w pewnej chwili wydało się jej, że z ogrodu dobiegają tony fletu. Skądś je знаła; ukojona muzyką zapadała już w sen, gdy wspomnienie wróciło.

Natychmiast otrzeźwiała. Słyszała tę muzykę w Terayamie! Młody mnich, który pokazywał jej obrazy, grał przecież tę samą melodię, pełną cierpienia i tęsknoty!

Odrzuciła kołdrę, bezszelestnie wstała i odsunawszy papierowy parawan, jęła nasłuchiwać. Dobiegło ją ciche stukanie, skrzypienie odsuwanych drzwi, głosy Mamoru i flecisty. Lampa w ręku służącego na końcu korytarza na moment oświetliła ich twarze. Nie śniła - to był on!

Za jej plecami Shizuka zapytała szeptem:

- Wszystko w porządku?

Kaede zamknęła parawan i uklękła przy niej.

- To mnich z Terayamy.

- Tutaj?

- Ten flecista, na którego czekali.

- Makoto.

- Nigdy nie poznałam jego imienia. Myślisz, że mnie pamięta?

- Jakże mógłby zapomnieć! - zachnęła się Shizuka. - Musimy jak najwcześniej wyjechać. Wymów się chorobą. Nie może cię zniechcący zobaczyć. Teraz trochę się prześpij. Obudzę cię o świcie.

Kaede położyła się, lecz sen długo nie nadchodził. W końcu zapadła w drzemkę; gdy się ocknęła, niebo za okiennicami jaśniało, a przy niej klęczała Shizuka.

Wątpiła, czy zdołają ukradkiem się wymknąć. Dom się budził, słyszała trzask otwieranych okiennic. Ojciec zawsze wstawał wcześniej; musiała go chociaż powiadomić, że wyjeżdża.

- Idź do ojca i powiedz mu, że źle się czuję i wracam do domu. Niech przeprosi pana Fujiwarę w moim imieniu.

Po kilku minutach Shizuka wróciła.

- Pan Shirakawa z wielką niechęcią zgadza się na twój wyjazd. Chce wiedzieć, czy jesteś dość zdrowa, by go odwiedzić.

- Gdzie go znajdę?

- W pokoju z widokiem na ogród. Poprosiłam, by przyniesiono herbatę. Jesteś bardzo błada.

- Pomóż mi się ubrać.

Kaede czuła się słabo i niezdrowo, lecz herbata trochę ją orzeźwiła. Rozbudzona Ai leżała pod kołdrą; z różowymi policzkami i zapuchniętymi od snu oczyma wyglądała jak lalka.

- Kaede, co się dzieje? Coś się stało? - Jestem chora. Muszę wracać do domu.

- Pojadę z tobą - dziewczynka odrzuciła kołdrę.

- Byłoby lepiej, gdybyś została z ojcem - rzekła Kaede. - I przeproś ode mnie pana Fujiwarę. - Wiedzioną nagłym odruchem uklękła i pogładziła siostrę po głowie. - Zastąp mnie - poprosiła.

- Pan Fujiwara chyba nawet nie wie, że istnieję. To ty go oczarowałaś.

Ptaki w zawieszonych w ogrodzie klatkach nawoływały się hałaśliwie. Odkryje moje oszustwo, myślała Kaede, i nie zechce mnie już widzieć. Lecz nie reakcji szlachcica się obawiała, ale własnego ojca.

- Służący mówią, że pan Fujiwara śpi do późna - szepnęła Shizuka. - Idź, porozmawiaj z ojcem. Kazałam sprowadzić lektykę.

Kaede skinęła głową bez słowa i wyszła na wypolerowane drewno werandy. Jak pięknie położono tu deski! Kiedy szła do pokoju ojca, jej oczom ukazywały się kolejne ogrodowe sceny: kamienna latarnia w obramowaniu ostatnich, czerwonych liści klonu, słońce lśniące w nieruchomej wodzie stawu, błysk długich żółto-czarnych ogonów ptaków na drążkach.

Ojciec siedział wpatrzony w ogród. Nie mogła powstrzymać przyływu litości - przychylności pana Fujiwary tyle dla niego znaczyła!

W stawie stała czapla, nieruchoma niczym posąg.

Kaede uklękła i zaczęła, aż ojciec się odezwie.

- Co to za bzdury, Kaede? Twoja niegrzeczność jest wprost nie do wiary!

- Wybacz mi, źle się czuję - wyszeptała, a gdy nie odpowiadał, odrobinę podniosła głos: - Ojciec, jestem niezdrowa. Jadę teraz do domu.

Wciąż milczał, jakby ignorując ją, mógł sprawić, że zniknie. Czapla poderwała się nagle z łopotem skrzydeł. Do ogrodu weszli dwaj młodzi ludzie, aby obejrzyć ptaki.

Kaede rozejrzała się po pokoju, szukając parawanu lub czegoś, za czym mogłaby się skryć. Nic nie znalazła.

- Dzień dobry! - zawołał ojciec wesoło.

Mężczyźni odwrócili się, by odwzajemnić pozdrowienie. Mamoru ją zobaczył; przez chwilę miała nadzieję, że opuści ogród, nie podchodząc bliżej, lecz sposób, w jaki poprzedniego wieczora potraktował ją pan Fujiwara, zapraszając na męskie przyjęcie, najwyraźniej go ośmielił. Wiodąc za sobą towarzysza, zbliżył się i oficjalnie przedstawił go ojcu jako Kubo Makoto ze świątyni w Terayamie. Kaede skłoniła się nisko z nadzieją,

że jej twarz pozostanie w cieniu. Makoto zgiął się w ukłonie.

- Pan Shirakawa - rzekł Mamoru - oraz jego córka, pani Otori.

Młody mnich zbladł, a jego oczy powędrowały ku jej twarzy. Poznał ją i odruchowo zapytał:

- Pani Otori? A więc poślubiłaś pana Takeo? Jest tutaj?

Na chwilę zapadła cisza, po czym jej ojciec rzekł:

- Małżonkiem mojej córki był pan Otori Shigeru.

Makoto otworzył usta, jakby chciał zaprzeczyć, ale powstrzymał się i skłonił bez słowa.

- Przybywasz z Terayamy? - pochylił się ku niemu ojciec Kaede. - I nie wiesz, że ślub się odbył?

Makoto nie odpowiedział.

- Zostaw nas samych - zwrócił się ojciec do Kaede, nie odwracając głowy.

Była dumna, że głos jej nie zadrżał, gdy odpowiedziała:

- Jadę do domu. Poproś pana Fujiwarę o wybaczenie.

Nie zareagował. Zabije mnie - pomyślała. Skłoniła się obu młodzieńcom, widząc ich zakłopotanie i niepokój. Gdy odchodziła wyprostowana, starając się iść bez pośpiechu, w jej brzuchu wezbrała fala emocji. Pojęła, że zawsze będzie przedmiotem takich zakłopotanych spojrzeń, takiej wzgardy. Gwałtowność owego uczucia odjęła jej dech. Ogarnęła ją dojmująca rozpacz. Lepiej umrzeć, pomyślała. Ale co będzie z dzieckiem, dzieckiem Takeo? Czy musi umrzeć wraz ze mną?

Shizuka czekała na nią na skraju werandy.

- Pani, możemy jechać. Kondo nas odprowadzi. Kaede pozwoliła mu podsadzić się do lekyki. Z ulgą znalazła się w półmroku, gdzie nikt nie mógł zobaczyć jej twarzy. Ojciec nigdy już nie spojrzy mi w oczy, myślała. Odwróci wzrok nawet wtedy, gdy będzie mnie zabijał.

Po przyjeździe do domu zdjęła szatę, którą dał jej Fujiwara, i złożyła ją starannie. Następnie narzuciła starą szatę matki, a pod nią pikowaną bieliznę. Chłód przenikał ją do kości; nie chciała drzeć.

- Jesteś! - Hana wbiegła do pokoju. - A gdzie Ai?

- Została u pana Fujiwary trochę dłużej.

- A ty dlaczego wróciłaś? - zapytała ciekawie dziewczynka.

- Źle się poczułam, ale już mi lepiej - rzekła Kaede i wiedziona impulsem dodała:

- Zamierzam podarować ci tę jesienną szatę, która tak ci się podobała. Ale musisz ją schować i dbać o nią, aż będziesz dostatecznie duża, by ją nosić.

- A ty jej nie chcesz?

- Chcę, żebyś ty ją miała i żebyś myślała o mnie, kiedy ją włożysz. I żebyś się za mnie modliła.

Hana wpatrzyła się w nią bystro.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała, a gdy nie uzyskała odpowiedzi, jęknęła: - Nie

odchodzi znowu, starsza siostró!

- Przecież nie będziesz żałować - odparła Kaede, próbując się z nią przekomarzać.

- Nie będziesz za mną tęsknić.

Ku jej przerażeniu Hana wybuchnęła głośnym szlochem i wykrzyknęła:

- Będę! Będę tęsknić! Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj! Ayame wpadła do pokoju.

- Hana, co się dzieje? Nie możesz być niegrzeczna dla siostry!

W drzwiach stanęła Shizuka.

- Twój ojciec jest przy rzecznej przeprawie - oznajmiła. - Jedzie sam, konno.

- Ayame - poleciła Kaede. - Zabierz stąd Hanę na jakiś czas. Najlepiej idź z nią do lasu. I zabierz całą służbę. Chcę, żeby dom był pusty.

- Ależ panienko Kaede, jest wcześniej i nadal bardzo zimno!

- Proszę, zrób, co mówię - nakazała Kaede. Odprowadzana przez Ayame Hana rozplakała się na dobre.

- To z żalu jest taka dzika - powiedziała Shizuka.

- Obawiam się, że jeszcze się do tego przyczynię - westchnęła Kaede. - Ale nie może tu zostać.

Podeszła do komódki, w której przechowywała swoje rzeczy, i wyjęła nóż, czując w zakazanej lewej ręce jego pokrzepiający ciężar. Wkrótce, pomyślała, nie będzie miało znaczenia, której ręki użyję.

- Jak jest lepiej, w krtani czy w serce?

- Nie musisz tego robić - rzekła cicho Shizuka. - Możemy uciec. Plemię cię ukryje. Pomyśl o dziecku.

- Nie mogę uciekać! - Siła własnego głosu zdumiała Kaede.

- To pozwól mi podać ci truciznę. Działa szybko i bezboleśnie. Po prostu zaśniesz i nigdy...

- Jestem córką wojownika! - przerwała jej Kaede. - Nie lękam się śmierci. Lepiej niż ktokolwiek wiesz, ile razy pragnęłam odebrać sobie życie. Najpierw poproszę ojca o wybaczenie, a potem użyję tego noża. Pytam tylko, jak jest lepiej.

Shizuka zbliżyła się do niej.

- Wbij czubek w szyję tutaj, z boku, a potem ciągnij w górę, aby przeciąć tętnicę.

Rzeczowy głos towarzyszki załamał się i Kaede ujrzała w jej oczach łzy.

- Nie rób tego - szepnęła Shizuka. - Nie trać nadziei.

Kaede przełożyła nóż do prawej dłoni. Usłyszała wołania strażników i tętent kopyt, gdy ojciec wjeżdżał przez bramę po czym rozległo się powitanie Kondo.

Patrząc na ogród, w nagłym rozbłysku pamięci ujrzała siebie, gdy jako małe dziecko biegała po werandzie od matki do ojca i z powrotem. Dotychczas tego nie pamiętałam pomyślała i zawołała bezgłośnie: Mamo! Mamo!

Ojciec wstąpił na werandę i stanął w drzwiach. Obie z Shizuką przywarły do podłogi.

- Córkó... - powiedział niepewnym, słabym głosem. Spojrzała w górę i zobaczyła jego twarz, zalaną łzami, jego dygoczące wargi. Obawiała się ojcowskiego gniewu, lecz teraz, ujrawszy jego szaleństwo, przeleżała się jeszcze bardziej.

- Przebac mi - szepnęła.

- Teraz muszę się zabić.

Siadł ciężko naprzeciwko niej, wyciągnął zza pasa sztylet i długo wpatrywał się w klingę.

- Poślij po Shojiego - rzekł w końcu. - Musi mi pomóc. Każ swemu człowiekowi, by po niego pojechał.

Widząc, że nie reaguje, krzyknął z wściekłością:

- No już!

- Ja pójdę - szepnęła Shizuka i popęzła na czworakach na brzeg werandy. Kaede usłyszała, że rozmawia z Kondo, który jednakże nie odszedł, lecz przeciwnie, zbliżył się. Domyśliła się, że czeka tuż za drzwiami.

Ojciec gwałtownie machnął ręką. Odruchowo się cofnęła, sądząc, że zamierza ją uderzyć.

- Nie było ślubu! - jęknął.

- Przebac mi - powtórzyła. - Zhańbiłam cię. Jestem gotowa umrzeć.

- Ale dziecko jest?

Wpatrzył się w nią, jakby była żmiją, gotową w każdej chwili uderzyć.

- Tak, jest dziecko.

- Kim jest jego ojciec? A może nie wiesz? Może był jednym z wielu?

- To bez znaczenia - odparła. - Dziecko umrze wraz ze mną.

Pomyślała: tnij z boku i do góry. Ale potem poczuła małe rączki dziecka, chwytające, powstrzymujące jej dłoń.

- Tak, musisz odebrać sobie życie - ojciec mówił coraz głośniejszym, krzykliwym, przenikliwym głosem. - Twoje siostry także mają się zabić. To moje ostatnie polecenie. W ten sposób ród Shirakawa zniknie na zawsze, ani o chwilę za wcześnie. Nie będę czekał na Shojiego, sam to zrobię. To będzie mój ostatni honorowy czyn.

Rozluźnił pas oraz wierzchnią szatę, po czym podciągnął bieliznę, ukazując gołe ciało.

- Nie odwracaj głowy! - rozkazał. - Patrz! Ty mnie do tego doprowadziłaś!

Czubkiem ostrza dotknął luźnej, pomarszczonej skóry na brzuchu i głęboko zaczerpnął tchu.

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Ujrzała, jak zaciska dłoń na rękojeści sztyletu, jak w grymasie wykrzywia twarz. Nagle krzyknął chrapliwie i wypuścił broń z ręki, choć nie dostrzegła rany ani krwi. Krzyknął jeszcze kilkakrotnie, po czym targnął nim gwałtowny szloch.

- Nie mogę! - wyjęczał. - Moja odwaga zniknęła! To ty mi ją odebrałaś, przez

swoją dziwaczną naturę! Odebrałaś mi męskość i honor! Nie jesteś moją córką, jesteś demonem! Na wszystkich mężczyzn sprawdzasz śmierć, przeklęta! -Wyciągnął rękę i szarpnął ją za ubranie. - Obnaż się! - wrzasnął. - Pokaż mi to, czego inni pożądają! I tak jak innym, przynieś mi śmierć!

- Nie! - krzyknęła, bijąc go po rękach, próbując go odepchnąć. - Ojcie, nie!

- Nazywasz mnie ojcem? Nie jestem twoim ojcem! Moje prawdziwe dzieci to synowie, których nigdy nie miałem, synowie, których miejsce zajęłaś ty i twoje siostry! Zabiłaś ich w łonie matki swoimi sztuczkami!

Szałość dodała mu sił. Poczula, że zrywa z niej ubranie i dotyka jej nagiej skóry. Nie mogła użyć noża, nie mogła uciec. Szata, rozluźniona podczas szamotaniny, zsunęła się, obnażając ją do pasa. Potargane włosy wysliznęły się z zapięcia i okryły jej nagie ramiona.

- Przyznaję, jesteś piękna! - wołał ojciec. - Pragnę cię! Pożądałem cię przez cały czas, kiedy cię uczyłem! To kara za postępowanie wbrew naturze! Zaraziłaś mnie swoim zepsuciem! Teraz daj mi śmierć!

- Puść mnie, ojcie - usiłowała zachować spokój, jakoś go przekonać. - Nie jesteś sobą. Skoro musimy umrzeć, uczynmy to z godnością!

Jednak w obliczu jego urojeń słowa te zabrzmiały słabo i bezsensownie.

Oczy ojca zwilgotniały, usta zadrżały. Wyrwał jej nóż i odrzucił na drugą stronę pokoju, jedną dłonią chwycił ją za rękę, a drugą przyciągnął ku sobie. Następnie odgarnął włosy z jej karku, pochylił się i złożył na nim pocałunek.

Ogarnęły ją przerażenie i odraza, a zaraz potem wściekłość. Zgodnie z surowym kodeksem swojej klasy była gotowa umrzeć, aby ratować honor rodziny. Tymczasem jej ojciec, który tak nieubłaganie uczył ją owego kodeksu, który pieczołowicie wpajał jej przekonanie o wyższości swojej płci, uległ szałości, obnażając to, co naprawdę skrywały okrutne zasady wojowników: męską żądzę i samolubstwo. Wściekłość rozbudziła w niej moc, której świadomość nosiła w sobie; wspomniła, jak spała na łodzi, i zawołała do Białej Bogini:

- Pomóż mi!

Jeszcze nie przebrzmiało jej wołanie, kiedy poczuła, że uścisk ojca słabnie. Wraca mu rozum, pomyślała, odpychając go ze wszystkich sił, po czym zerwała się i chwiejnym krokiem odbiegła w najdalszy kraniec pokoju. Dławiły ją łzy szoku i wściekłości.

Kiedy się obejrzała, Kondo klęczał przed jej ojcem, który, zda się, pólleżał w objęciach Shizuki, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma. Odniosła wrażenie, że Kondo zanurza dłoń w jego brzuchu i tnie poziomo, czemu towarzyszył obrzydliwy, jakby lepki odgłos, a potem syk i bulgotanie krwi.

Shizuka zwolniła uścisk i mężczyzna osunął się do przodu. Kondo włożył mu nóż do ręki.

W gardle Kaede wezbrały wymioty; miotana skurczami zgłębiała się w pół. Shizuka

zbliżyła się do niej z twarzą pozbawioną wyrazu.

-Już po wszystkim.

- Pan Shirakawa stracił rozum - oznajmił Kondo - i odebrał sobie życie. W napadach szaleństwa wielokrotnie mówił, że to zrobi. Zmarł z honorem, okazując wielką odwagę. - Powstał i spojrzał jej w oczy. Mogła wezwać strażników, wskazać oboje sprawców i sprawić, by zostali straceni - lecz nie uczyniła tego. Chwila minęła. Wiedziała, że nigdy nie wyjawি nikomu prawdy o morderstwie. Kondo uśmiechnął się nieznacznie i podjął: - Pani Otori, musisz zażądać od swych ludzi przysięgi na wierność. Musisz okazać siłę. W przeciwnym razie każdy z nich będzie mógł zawłaszczyć twoje dobra i ciebie samą.

- Zamierzałam się zabić - odparła powoli. - Ale wygląda na to, że nie ma potrzeby.

- Nie ma - przytaknął. - Pod warunkiem, że będziesz silna.

- Powinnaś żyć dla dobra dziecka - poparła go Shizuka. - Jeśli będziesz miała władzę, nikt nie ośmieli się zapytać, kto jest ojcem. Ale musisz działać już, natychmiast. Kondo, jak najszybciej zbierz ludzi.

Kaede pozwoliła, by Shizuka zaprowadziła ją do pokoi kobiet, umyła ją i przebrała. Wewnętrznie wciąż dygotała, lecz świadomość własnej siły pomogła jej zebrać myśli.

Ojciec umarł, ona żyła. Pragnął umrzeć; udawanie, że naprawdę sam odebrał sobie życie i zmarł jak człowiek honoru, nie sprawi jej trudności, często bowiem wyrażał taki zamiar. W rzeczy samej, myślała z goryczą, w ten sposób uszanuje jego życzenie i ocalę jego dobre imię. Nie zamierzała jednak spełnić jego ostatniego rozkazu - nie zamierzała się zabijać ani dopuścić, by zabiły się jej siostry.

Kondo wezwał strażników, wysłano też posłańców do okolicznych wsi, by zwołali tamtejszych rolników. W niespełną godzinę służący i chłopcy byli na miejscu. Kobiety wyciągnęły z kufrów żałobne szaty, tak niedawno odłożone po śmierci matki Kaede, ściągnięto również kapłana. Słońce wznosiło się coraz wyżej, topiąc poranny szron, powietrze pachniało dymem i sosnowymi igłami. Teraz, gdy minął pierwszy szok, Kaede owładnęło uczucie, którego nie pojmowała do końca: zaciekle potrzebowała obrony swojej własności, zapewnienia bezpieczeństwa siostrom i domownikom, pilnowania, by nic nie zostało zagubione lub skradzione. Każdy mężczyzna mógł jej odebrać majątek - i zrobiłby to bez wahania, gdyby okazała najmniejszą słabość. Dostrzegła straszliwą bezwzględność, kryjącą się pod rzekomą bez troską Shizuki i ironicznym zachowaniem Kondo. Owa bezwzględność uratowała jej życie - a więc ona, Kaede, musiała być równie bezwzględna.

Wspomniała stanowczość Araiego, dzięki której zdołał poderwać ludzi do boju i podporządkować sobie przeważającą część Trzech Krain. Teraz ona powinna przejawiać podobną determinację. Arai zapewne uszanuje zawarty z nią sojusz, ale co będzie, jeśli jej miejsce zajmie ktoś inny? Czy wówczas uda się uniknąć wojny? Nie mogła pozwolić

by zdziesiątkowano jej lud, a siostry pojmano jako zakładniczki.

Śmierć nadal ją kusiła, lecz świeżo zrodzony, wojowniczy duch nie dawał posłuchu owemu wezwaniu. Chyba rzeczywiście jestem opętana, pomyślała, wychodząc na werandę, by przemówić do ludzi zgromadzonych w ogrodzie. Zdziwiła się, że jest ich tak niewielu, i wspomniała ciżbę, którą dowodził jej ojciec, kiedy była dzieckiem. Oprócz dziesięciu żołnierzy wybranych przez Kondo zjawilo się około dwudziestu mężczyzn, nadal pozostających na służbie rodu Shirakawa. Znała ich wszystkich z nazwiska; od powrotu starała się dowiedzieć jak najwięcej o ich zajęciach oraz, w miarę możliwości, charakterach.

Shoji, który przybył jeden z pierwszych, najpierw padł zdruzgotany na twarz przed ciałem jej ojca. Teraz stał po prawicy Kaede; na jego policzkach wciąż lśniły ślady łez. Widziała, że stojący z lewej strony Kondo okazuje starszemu mężczyźnie należyty szacunek, pojmowała jednak, że to tylko pozór, jak większość tego, co robił. Zabił ojca z mojego powodu, powtarzała sobie. Związał się ze mną na zawsze. Tylko ile każe mi za to zapłacić?

Mężczyźni klęknęli przed nią, zginając karki. Gdy przemówiła, podnieśli głowy i usiedli na piętach.

- Pan Shirakawa odebrał sobie życie - oznajmiła. - Taka była jego wola; odczuwam ogromny żal, przede wszystkim jednak muszę oddać cześć jego czynowi. Zaczął mnie uczyć jak chłopca, życzył sobie bowiem, abym została jego spadkobierczynią. Zamierzam spełnić jego wolę. - Zawahała się, wciąż słysząc w duchu ostatnie słowa - jakże odmienne! - które do niej skierował: „Zaraziłaś mnie swoim zepsuciem! Teraz daj mi śmierć!” Ale nie zadrżała, a patrzący na nią ludzie odnieśli wrażenie, że emanuje z niej głęboka siła, która rozświecila jej oczy i czyni głos nieodparcie przekonującym: - Wzywam poddanych mego ojca, aby tak jak niegdyś jemu, teraz przysięgli wierność mnie. Pan Arai zawarł ze mną sojusz; oczekuję, że ci z was, którzy nadal mu służą, pozostaną u mnie. W zamian postaram się zapewnić wam ochronę i możliwość awansu. Zamierzam umocnić Shirakawę; w przyszłym roku upomnę się o zostawione mi w spadku ziemie Maruyama. Pogrzeb mego ojca odbędzie się jutro.

Shoji uklęknął, w jego ślady poszedł Kondo, co jednak znów wytrąciło Kaede z równowagi. Gra, pomyślała. Wierność nic dla niego nie znaczy, jest członkiem Plemienia. Co uknuli z Shizuką bez mojej wiedzy? Czy mogę im wierzyć? I co zrobię, jeśli okaże się, że nie mogę ufać Shizuce?

Serce zamarło jej w piersi, choć żaden ze stojących przed nią mężczyzn nigdy by się tego nie domyślił.

Przyjmowała od nich przysięgę, bacznie przyglądając się każdemu, odnotowując cechy szczególne, ubiór, zbroję i broń. Na ogół prezentowali się marnie - porwane lub wystrzępione rzemienie przy zbrojach, pogięte i popękane hełmy - ale wszyscy przynieśli łuki albo miecze, wiedziała też, że większość ma konie.

Przyklękli wszyscy, z wyjątkiem dwóch. Jeden, istny olbrzym imieniem Hirogawa, zawołał donośnie:

- Z całym szacunkiem, pani, ale nigdy nie służyłem pod rozkazami kobiety i jestem za stary, by teraz zaczynać – po czym uklonił się zdawkowo i ruszył w kierunku bramy zawadiackim krokiem, doprowadzając Kaede do szału.

Drugi mężczyzna, Nakao, nawet się nie uklonił, tylko bez słowa podążył za towarzyszem. Kondo spojrzał na nią.

- Pani Otori?

- Zabij ich - rzekła, świadoma, że musi być bezwzględna i musi działać natychmiast.

Kondo w mgnieniu oka znalazł się przy Nakao i odciął mu głowę, nim ten uświadomił sobie, co się dzieje. Hirogawa przy bramie odwrócił się i dobył miecza.

- Złamałeś przysięgę wierności i musisz umrzeć! - krzyknął Kondo.

- Nawet nie jesteś z Shirakawy. Kto cię tu posłucha? - zaśmiał się olbrzym.

Chwycił miecz oburącz, gotując się do walki. Kondo postąpił krok do przodu, przyjął cios na ostrze i posługując się bronią jak toporem, z niespodziewaną siłą zepchnął przeciwnika na bok. Następnie cofnął się i wbił w nieosłonięty brzuch Hirogawy czubek miecza, który na podobieństwo brzytwy bez trudu rozciął miękką tkankę. Duży mężczyzna zachwiał się do przodu; Kondo wyminął go z prawej strony i wzięwszy z obrotu zamach, od ramienia do biodra rozplątał mu grzbiet.

Nawet nie spojrzawszy na umierających, zwrócił się do pozostałych:

- Służę pani Otori Kaede, dziedziczce Shirakawy i Maruyamy. Czy jest tu ktoś jeszcze, kto nie chce jej wiernie służyć?

Nikt się nie poruszył. Kaede wydało się, że dostrzega gniew w oczach Shojiego, który jednak tylko zacisnął wargi.

W uznaniu usług, jakie zabici świadczyli jej ojcu, pozwoliła rodzinom zabrać i należycie pochować zwłoki, poleciła jednak Kondo wygnać ich z domów i przejąć ziemie.

- Nic innego nie mogłaś zrobić - oświadczyła Shizuka. - Gdybyś pozwoliła tym ludziom żyć, staliby się źródłem nieustających niepokojów lub dołączyliby do twoich wrogów.

- A kim są moi wrogowie?

Był późny wieczór. Siedziały w ulubionym pokoju Kaede, szczelnie owinięte pikowanymi szatami; mimo zamkniętych okiennic i kociołków z węglem panował tu przenikliwy chłód nocy. Z głównego pomieszczenia dobiegały zawodzenia kapłanów, czuwających nad zmarłym.

- Pasierbica pani Maruyama jest żoną kuzyna pana Iidy, Nariakiego. To twoi główni konkurenci do spadku.

- Ale większość Seishuu nienawidzi Tohańczyków - zaprotestowała Kaede. - Miałam wrażenie, że przyjmą mnie życzliwie. W końcu jestem najbliższą krewną pani

Maruyama i jej prawowitą spadkobierczynią.

- Nikt nie kwestionuje zasadności twych roszczeń, ale spadku nie zdobędziesz bez walki. Nie wystarczy ci własne dobra tutaj, w Shirakawie?

- Nie utrzymam Shirakawy bez armii, choćby małej, a nie mam na to środków - rzekła z namysłem Kaede. - Moi nieliczni żołnierze są w dodatku marnie uzbrojeni. Potrzebne mi są bogactwa Maruyamy. Kiedy minie okres żałoby, pošlij kogoś do Sugity Haruki, dowódcy wojsk pani Naomi. Znasz go, spotkałyśmy go na drodze do Tsuwano. Miejmy nadzieję, że nadal zarządza jej dobrami.

- Ja mam kogoś posłać?

- Ty albo Kondo. Niech jedzie tam jeden z waszych szpiegów.

- Chcesz zatrudnić Plemię? - zdumiała się Shizuka. - Już was zatrudniam - odparła Kaede. - Teraz chcę wykorzystać wasze zdolności.

Pragnęła wypytać Shizukę o wiele rzeczy, ale była zupełnie wyczerpana, w brzuchu i łonie odczuwała kamienny ciężar. Porozmawiam z nią za dzień lub dwa, obiecała sobie, ale teraz muszę się położyć.

Bolały ją plecy i kiedy wreszcie znalazła się w łóżku, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Sen nie nadchodził. Przetrwała jakoś ten okropny dzień i wciąż żyła, ale teraz, gdy dom ucichł, gdy zamilkły lamenty i szlochy, ogarnął ją głęboki lęk. W uszach rozbrzmiewały jej słowa ojca, przed oczami widziała jego twarz i twarze zabitych mężczyzn; bała się, że ich duchy zechcą wyrwać dziecko Takeo z jej łona. Wreszcie zasnęła, otoczywszy brzuch ramionami.

Śniła, że ojciec ją atakuje; wyciągnął zza pasa sztylet, lecz zamiast wbić go we własny brzuch, zbliżył się do niej, chwycił ją za kark i wbił jej ostrze głęboko w plecy. Przeszył ją straszliwy ból, który sprawił, że obudziła się z krzykiem. Targnął nią kolejny skurcz, i jeszcze kolejny. Jej nogi ociekały krwią. Nie wzięła udziału w pogrzebie ojca. Dziecko wysłiznęło się z jej łona niczym węgorz, za nim popłynęła krew życia.

Potem przyszła gorączka, zasnuwając oczy Kaede czerwoną mgłą, płacząc jej język, dręcząc ją ohydnymi wizjami.

Shizuka i Ayame zaparzyły wszystkie znane sobie zioła, zapaliły kadzidła i zaczęły bić w gong, by odegnąć złe duchy. W końcu wezwano kapłanów oraz dziewczynę odczyniającą uroki.

Po trzech dniach wydawało się, że nic jej nie uratuje. Ai nie odchodziła od jej boku, Hana wylała już wszystkie łzy. W godzinie Kozy, kiedy Shizuka wyszła na zewnątrz, by przynieść świeżej wody, jeden ze strażników zawołał:

- Goście jadą! Konni i dwie lektyki! To chyba pan Fujiwara!

- Nie wpuszczajcie ich! - krzyknęła. - Dom jest skażony nie tylko śmiercią, ale i krwią!

Tragarze postawili lektyki przed bramą i Fujiwara wyrzwał przez okno.

- Panie Fujiwara, błagam o wybaczenie, odwiedziny są niemożliwe - padła na kolana Shizuka.

- Powiedziano mi, że pani Otori jest poważnie chora - oznajmił gość. - Pozwól, że porozmawiamy w ogrodzie.

Na kłęczkach zaczęła, aż ją minie, po czym podążyła za nim do pawilonu nad strumieniem. Fujiwara skinieniem oddalił służących, po czym zwrócił się do Shizuki:

- To naprawdę poważne?

- Nie sądzę, aby przeżyła noc - odpowiedziała cicho Shizuka. - Próbowaliśmy wszystkiego.

- Przywiozłem swojego medyka - rzekł Fujiwara. - Pokaż mu, dokąd ma się udać, a potem przyjdź tu do mnie.

Skloniła się i wróciła do bramy, gdzie medyk, niewysoki pan w średnim wieku o miłym, inteligentnym wyglądzie, wysiadł właśnie z drugiej lektyki. Zaprowadziła go do pokoju Kaede, z ciężkim sercem patrząc na jej kredowobiałe policzki i nieprzytomne spojrzenie. Dziewczyna oddychała szybko i płytko, co jakiś czas wydając ostre okrzyki, nie wiadomo, z bólu czy ze strachu.

Gdy wróciła, pan Fujiwara stał zapatrzony w spadający po kamieniach strumyk na końcu ogrodu. Robiło się coraz chłodniej; plusk wodospadu wzmacniał nastrój smutku i osamotnienia. Shizuka uklękła i zaczęła, aż szlachcic się odezwie.

- Ishida wiele potrafi - powiedział. - Nie traćmy nadziei.

- Dobroć pana Fujiwary nie ma sobie równych - rzekła cicho. Widziała tylko bladą twarz Kaede i jej dziki wzrok; nade wszystko pragnęła być przy niej, lecz nie mogła odejść bez pozwolenia.

- Nie jestem dobrym człowiekiem - odparł. - Powodują mną zachcianki, samolubstwo. W mojej naturze leży raczej okrucieństwo. - Zerknął na nią przelotnie. - Długo służysz pani Shirakawa? Chyba nie pochodzisz z tej części kraju?

_ Wysłano mnie do niej, kiedy przebywała w zamku Hoguchi.

_ Kto cię wysłał?

- Pan Arai.

- Ach, tak? I wszystko mu opowiadasz?

- O czym pan Fujiwara mówi?

- Jest w tobie coś, czego nie widuje się u zwykłych służących. Zastanawiam się, czy nie jesteś szpiegiem.

- Pan Fujiwara ma zbyt wysokie mniemanie o moich umiejętnościach.

- Mam tylko nadzieję, że nigdy nie dasz mi powodu, by okazać okrucieństwo.

Groźba, zawarta w tych słowach, kazała jej milczeć.

- Jej osoba, jej życiorys poruszają mnie jak nic dotąd - ciągnął Fujiwara jakby do siebie. - Sądziłem, że nie jestem już w stanie doznawać uczuć. Nie pozwolę, by ktokolwiek lub cokolwiek - nawet śmierć - mi ją odebrało.

- Każdy, kto ją pozna, ulega jej urokowi - szepnęła Shizuka - los jednak był dla niej niezwykle surowy.

- Szkoda, że nie znam prawdziwej historii jej życia. Wiem, że kryje wiele

tajemnic; tragiczna śmierć ojca jest zapewne jedną z nich. Mam nadzieję, że któregoś dnia mi o tym opowiesz, jeśli ona sama nie zdoła tego zrobić. - I dodał łamiącym się głosem: - Sama myśl, że takie piękno miałoby zginąć, przeszywa mi duszę do głębi. - W uszach Shizuki słowa te zabrzmiały sztucznie, jednak oczy szlachcica były pełne łez. - Jeśli przeżyje, poślubię ją. W ten sposób posiadę ją na zawsze. Możesz odejść. Bądź tak dobra i powtórz jej co powiedziałem.

- Panie Fujiwara - Shizuka dotknęła czołem ziemi i wycofała się tyłem.

Jeśli przeżyje...



Rozdział szósty

Położone na północy Matsue było miastem zimnym i surowym. Jesień nastała tu już na dobre, nad morzem ciemnym niczym żelazo hulał z wyciem wiatr od lądu. Po nadejściu śniegów Matsue, podobnie jak Hagi, przez trzy miesiące bywało odcięte od reszty kraju. Jeżeli miałem się czegoś nauczyć, równie dobrze mogłem zacząć tutaj.

Przez tydzień wędrowaliśmy drogą wzdłuż wybrzeża. Nie padało, ale niebo często pokrywały chmury, a każdy dzień był krótszy i zimniejszy niż poprzedni. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się w wioskach, gdzie bawiliśmy dzieci żonglerką, obracaniem bąków i sztuczkami ze sznurkiem, w których celowały Yuki i Keiko. Noce spędzaliśmy u kupców, członków Plemienia. Często leżałem bezsennie, słuchając prowadzonych szeptem rozmów, podczas gdy moje nozdrza wypełniała woń browaru lub soi. Marzyłem o Kaede i tęskniłem za nią; czasem na osobności wyjmowałem list Shigeru i czytałem jego ostatnie słowa, w których nakazywał mi pomścić jego śmierć i zaopiekować się panią Shirakawa. Decyzję, by przystać do Plemienia, podjąłem z własnej woli lecz nawet wówczas, w tym wczesnym okresie, przed snem nachodziły mnie niechciane obrazy stryjów Shigeru, żyjących bezkarnie w Hagi, oraz miecza Jato, śpiącego beczynnym w Terayamie.

Yuki i ja zostaliśmy kochankami jeszcze przed Matsue. To było nieuchronne, chociaż nie stało się z mojej woli. W drodze zawsze wyczuwałem jej obecność, moje zmysły dostroili się do jej głosu i zapachu, zbyt jednak miałem się na baczności, moja przyszłość i pozycja w grupie były zbyt niepewne, bym próbował się do niej zbliżyć. Akio najwyraźniej również czuł do niej pociąg; rozmawiał z nią swobodniej niż z innymi, szukał jej towarzystwa, siedł u jej boku, siadał przy niej na posiłkach. Nie chciałem jeszcze bardziej go do siebie zrażać.

Pozycja Yuki nie była jasna. Zawsze ustępowała Akio i traktowała go z szacunkiem, a jednak sprawiała wrażenie równej mu rangą oraz - jak miałem okazję się przekonać - umiała znacznie więcej. Keiko, która zapewne wywodziła się z najnowszej rodziny, zajmowała w niej wyraźnie niższe miejsce; nadal mnie ignorowała, natomiast Akio darzyła ślepą lojalnością. Najstarszy, Kazuo, który opanował wiele praktycznych umiejętności - w tym fach złodziejski - był traktowany jak coś pośredniego między służącym i wujkiem.

Akio, Kikuta po mieczu oraz kądzieli, miał dłonie takiego samego kształtu jak moje. Odznaczał się zdumiewającą sprawnością fizyczną, najlepszym refleksem ze wszystkich znanych mi ludzi i potrafił skakać tak wysoko, że zdawał się latać. Dostrzegał, kiedy ktoś stawał się niewidzialny, rozpoznawał cudze drugie „ja”, niemniej

z wyjątkiem umiejętności zonglerki nie odziedziczył żadnego z niezwykłych talentów Kikuta.

Yuki powiedziała mi o tym pewnego dnia podczas wędrówki:

- Mistrzowie martwią się, że talenty zanikają. Każde kolejne pokolenie ma ich coraz mniej. - Zerknęła na mnie z ukosa i dodała: - Dlatego tak bardzo staramy się ciebie zatrzymać.

Jej matka mówiła to samo; rad byłbym usłyszeć coś więcej, ale właśnie wtedy Akio wrzasnął, że teraz ja mam pchać wózek. W jego oczach płonęła zawiść. Rozumiałem to aż nazbyt dobrze: przyzwyczajony do plemiennego życia, wychowany zgodnie z naukami Plemienia, darzył je fanatycznym oddaniem i nietrudno było odgadnąć, że moje nagłe pojawienie się położyło kres wielu jego ambicjom i nadziejom. Jednak zrozumienie przyczyn jego niechęci nie czyniło jej łatwiejszą do zniesienia, nie potrafiłem też ani trochę go polubić.

Bez słowa przejąłem od niego dyszle wózka, on zaś podbiegł do Yuki i zaczął szeptać jej do ucha, jak zwykle zapominać, że dociera do mnie każde słowo. Już przedtem nabrał zwyczaju określania mnie mianem Pies i przezwisko to okazało się tak trafne, że przyłgnęło do mnie na dobre. Jak już mówiłem, czuję powinowactwo z psami, słyszę równie dobrze jak one i wiem, co to znaczy, gdy nie posiada się daru mowy.

- O czym rozmawiałś z Psem? - zapytał teraz Akio.

- Nauka, ciągle ta nauka - westchnęła zdawkowo Yuki. - Musi się jeszcze tyle dowiedzieć...

Lecz okazało się, że najlepiej wychodzi jej nauka sztuki miłości.

Jeśli zachodziła taka potrzeba, zarówno Yuki jak i Keiko grały w drodze rolę prostytutek. Robiło tak wielu ludzi z Plemienia, kobiet oraz mężczyzn, czego nikt nie miał im za złe. Uważano owo zajęcie za kolejną maskę, którą należało włożyć, a następnie odrzucić. Oczywiście, wymagania klanów rycerskich w tej kwestii były całkiem odmienne - od dziewcząt oczekiwano dziewictwa, od żon wierności, a mężczyźni mogli robić, co chcieli. Nauki, które wpojono mi w dzieciństwie, wskazywały drogę pośrednią: w kwestiach cielesnego pożądania Ukrytym zalecano powściągliwość, jednakże w praktyce grzeszki bliźnich, jak zresztą wszystkie inne ułomności, traktowano dość pobłaźliwie.

Czwartą noc spędziliśmy u bogatej kupieckiej rodziny w dużej wsi. Pomimo dotkliwych braków, spowodowanych niedawnymi burzami, ludzie ci mieli mnóstwo żywności, toteż podjęli nas gościnnie, po czym gospodarz zaproponował nam kobiety, pokojówki, które zatrudniał. Akio oraz Kazuo przyjęli propozycję, ja wymówiłem się pod jakimś pozorem, ściągając na siebie falę dobrotliwych kpín. Wieczorem, gdy dziewczęta przyszły, żeby położyć się z mężczyznami, przeniósłem posłanie na werandę i drżąc z zimna, wpatrzyłem się w lodowate iskierki gwiazd. Pragnąłem Kaede ze wszystkich sił udręczonej duszy, ale szczerze mówiąc, w owej chwili i radością powitałbym każdą kobietę.

Wtem drzwi odsunęły się i na werandę weszła dziewczyna, jak sądziłem, jedna z domowniczek. Zamknęła za sobą parawan, mnie zaś owionął znajomy zapach. Poznałem Yuki.

Kiedy przy mnie uklękła, wyciągnąłem ramiona i przytuliłem ją mocno. Jej pasek był już rozwiązany, szata rozchylona; pamiętam, że poczułem nieopisaną wdzięczność. Rozluźniła mi strój, aż zanedbato ułatwiając mi zadanie. Pośpieszyłem się, więc skarciła mnie za niecierpliwość i oznajmiła, że udzieli mi lekcji - co też uczyniła.

Następnego ranka Akio przyjrzał mi się badawczo.

- Wczoraj zmieniłeś zdanie?

Ciekaw byłem, skąd wie - czy usłyszał coś przez cienkie ściany, czy tylko zgadywał?

- Odwiedziła mnie jedna z dziewcząt. Odmowa byłaby niegrzecznością.

Mruknął coś niezrozumiale i nie nalegał dłużej, ale zaczął śledzić Yuki i mnie, zupełnie jakby wiedział, że coś między nami zaszło, choć staraliśmy się do siebie nie odzywać.

Myślałem o niej bezustannie, popadając na przemian w euforię i rozpacz - euforię, gdyż uprawianie z nią miłości było czymś niewymownie wspaniałym, rozpacz, albowiem nie była to Kaede, ja zaś czułem się jeszcze silniej związany z Plemieniem. Nieproszone wracało wspomnienie słów, które Kenji wypowiedział przed odjazdem: „Yuki z pewnością o ciebie zadba”. Wiedział, że dojdzie do czegoś takiego? Może nawet to zaplanował, wydał jej polecenie? A może Akio był wszystkiego świadom, może mu o tym powiedziano? Przepełniały mnie wątpliwości, nie ufałem Yuki, ale wracałem do niej przy każdej sposobności, ona zaś, znacznie sprytniejsza w tych sprawach, umiała się postarać, by sposobności nadarzały się często. Zazdrość Akio wzbierała z każdym dniem.

I tak dotarliśmy do Matsue, pozornie w zgodzie i harmonii, w rzeczywistości rozdzierani silnymi uczuciami, które jednak, jako członkowie Plemienia, umieliśmy ukryć przed światem i przed sobą nawzajem.

Stanęliśmy u kolejnego kupca z rodziny Kikuta, w domu przesiąkniętym zapachem soi: sfermentowanych nasion, pasty i sosu. Właściciel imieniem Gosaburo był najmłodszym bratem Kotaro, a więc bratem stryjczym mego ojca. Tutaj, daleko poza granicami Trzech Krain, nie sięgała władza Araiego, a miejscowy klan, Yoshida, żył dobrze z Plemieniem, którego członkowie świadczyli dlań usługi jako lichwiarze, a także szpiegzy i skrytobójcy. Tu również dogoniły nas wieści o poczynaniach Araiego, który zdążył już opanować Wschodnią i Środkową Krainę, obecnie zaś skwapliwie zabiegał o nowe sojusze, toczył potyczki na granicach i ustanawiał zarząd nad podbitymi terenami. Krążyły pogłoski, że wszczął kampanię przeciwko Plemieniu, zamierzając wyrugować je ze swoich włości - pogłoski, które w Matsue nieodmiennie stawały się źródłem szyderskiej wesołości.

Pominę szczegóły ćwiczeń, jakim mnie poddano - ich celem było utwardzenie

meo serca i wykształcenie we mnie bezwzględności. Dość powiedzieć, że nawet teraz, po wielu latach, wzdrygam się na wspomnienie owych okrucieństw i nie wiem, gdzie podziąć oczy. Nastąpiły straszliwe czasy: może rozgniewały się Niebiosy, może ludzi opętały demony, może osobnicy brutalni, nieomylnie wyczuwając rozkład, zawsze przejmują władzę, kiedy słabną siły dobra. Plemię, najokrutniejsze z okrutnych, osiągnęło pełnię rozkwitu.

Nie uczyłem się sam; oprócz mnie ćwiczyło kilku innych, znacznie młodszych chłopców, wychowanych w rodzinie Kikuta. Najbardziej zbliżony do mnie wiekiem był krępy młodzieniec o pogodnej twarzy, z którym często zestawiano mnie w parze. Na imię miał Hajime i choć nie umiał powstrzymać wymierzonych we mnie ataków furii Akio - otwarty sprzeciw był nie do pomyślenia - to jednak często udawało mu się odwrócić jego uwagę. Dawał się lubić, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, bym mu ufał. Opanował sztuki walki znacznie lepiej niż ja, brał udział w zapasach i jako jeden z niewielu miał dość siły, aby naciągnąć ogromny łuk mistrzów łucznictwa, lecz pod względem talentów wrodzonych, nie nabytych, ani on, ani nikt inny nie był w stanie mi dorównać. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak wyjątkowe są moje umiejętności: potrafiłem stać się niewidzialny w pustym, pomalowanym na biało pomieszczeniu i trwać w tym stanie przez długie minuty, tak że nawet Akio mnie nie dostrzegał. Potrafiłem rozdwoić się w walce i obserwować z drugiego końca sali, jak przeciwnik ugania się za moim drugim „ja”, potrafiłem przemieszczać się bezgłośnie, a mój słuch stawał się coraz bardziej wyczulony. Nawet najmłodsi chłopcy pojęli niebawem, że nie należy mi patrzeć prosto w oczy, gdyż zdołałem już uśpić wszystkich po kolei; z wolna uczyłem się panować nad tą umiejętnością, dostrzegać w ludzkich źrenicach słabości i lęki, czyniące ich tak podatnymi na moje spojrzenie, oraz rozpoznawać ich wewnętrzne obawy, strach przede mną i niesamowitymi zdolnościami, które zostały mi dane.

Każdego ranka pracowałem z Akio nad zwiększeniem siły i szybkości. Byłem odeń słabszy i powolniejszy pod niemal każdym względem, on zaś nie odznaczał się cierpliwością. Jednakże winienem oddać mu sprawiedliwość - uparł się, by przekazać mi odrobinę swego talentu do skakania, i trzeba przyznać, że mu się udało. Trochę już umiałem - nie darmo ojczym nazywał mnie latającą małpą - lecz brutalne, przemyślane nauki Akio wydobyły ze mnie ową zdolność i zmusiły, bym nad nią zapanował. Już po kilku tygodniach poczułem, że zaszła we mnie zmiana, że ciałem i duchem stałem się twardszy i odporniejszy.

Zazwyczaj kończyliśmy zajęcia walką na pięści - co prawda Plemię rzadko korzystało z owej sztuki, przedkładając skrytobójstwo nad bezpośredni kontakt, ale wszyscy musieli ją doskonalić. Potem, narzuciwszy szaty na ramiona, zasiadaliśmy do cichej medytacji, próbując siłą woli utrzymać temperaturę ciała. Zazwyczaj dzwoniło mi w uszach po jakimś ciosie czy upadku, toteż nie umiałem oczyścić umysłu, jak należy - zamiast tego z lubością wyobrażałem sobie Akio na torturach, poddając go w myślach uderkom Jo-Ana, które niegdyś tak obrazowo mi opisał.

Szkolenie miało wzbudzić we mnie okrucieństwo, na co ochoczo przystałem; cieszyły mnie nowe umiejętności, z zachwytem doskonaliłem kunszty, zdobyte podczas ćwiczeń z synami wojowników Otori jeszcze za życia Shigeru. Odezwała się we mnie krew mego ojca, a współczucie wpojone przez matkę odpłynęło wraz ze wszystkimi naukami dzieciństwa. Nie modliłem się już ani do sekretnego boga, ani do Oświeconego, stare duchy nic dla mnie nie znaczyły. Przestałem w nie wierzyć, albowiem nic nie wskazywało na to, by ich wyznawcom sprzyjało szczęście. Czasem, znienacka obudzony w nocy, dostrzegałem siebie bez upiększeń i wzdrygałem się, widząc, czym się staję. Wówczas wstawałem bezgłośnie, szukałem Yuki i usiłowałem się w niej zatracić.

Nigdy nie spędziliśmy ze sobą całej nocy, nasze spotkania były krótkie i na ogół przebiegały w milczeniu. Jednak pewnego popołudnia zostaliśmy w domu sami. Służący krzatali się w sklepie, Akio i Hajime zabrali młodszych chłopców do świątyni na ceremonię poświęcenia, mnie zaś kazano skopiować jakieś dokumenty dla Gosaburo. Ucieszyłem się z tego zadania, gdyż ostatnio rzadko trzymałem w ręce pędzel; zważywszy, jak późno nauczyłem się kreślić znaki, bałem się, że wiedza o nich mnie opuści. W domu kupca znalazłem kilka książek i przy każdej okazji starałem się czytać, tak jak uczył mnie Shigeru, ale pędzle i tusz w kamieniu utraciłem w Inuyamie i od tamtej pory nie pisałem.

Skrupulatnie skopiowałem dokumenty, rachunki ze sklepu, kwity za ryż i soję kupione od okolicznych rolników, jednak aż swędziały mnie palce, by zacząć rysować. Przypomniałem sobie pierwszą bytność w Terayamie, blask owego letniego dnia, urodę malowideł Sesshu i obrazek małego górskiego ptaszka, który podarowałem Kaede.

Gdy zajrząwszy w głąb serca, rozmyślałem o przeszłości, jak zwykle przyszła do mnie Kaede i całkowicie wzięła mnie w posiadanie. Wyczuwałem jej obecność, zapach jej włosów, słyszałem jej głos. Wrażenie jej obecności było tak silne, że niemal napawało mnie przestachem, jakby duch wśliznął się do pokoju - duch rozgniewany, pełen urazy i złości za to, że ją porzuciłem. W uszach zabrzmiały mi jej słowa: „Boję się sama siebie. Tylko z tobą jestem bezpieczna”.

W pokoju panował ziąb, ściemniało się, przejęła mnie groza nadchodzącej zimy. Zadrzałem, pełen żalu i wyrzutów sumienia. Ręce zdrętwiały mi z zimna.

Z głębi budynku dobiegły mnie kroki. Wróciłem do pracy. Yuki przeszła przez dziedziniec, po czym stanęła na progu kantorka i zrzuciła sandały. Poczułem woń węgla drzewnego: przyniosła rozpalony kociołek, który postawiła przy mnie.

- Wyglądasz na zmarzniętego - powiedziała. - Zrobić herbatę?

- Może później.

Odłożyłem pędzel i wyciągnąłem dłonie do ciepła. Yuki ujęła je i zaczęła rozcierać.

- Zamknę okiennice - zaproponowała.

- To przyniesie lampę. Będzie za ciemno, żeby pisać.

Zaśmiała się cicho. Drewniane okiennice jedna za drugą wsunęły się na miejsce, pokój pomroczył, oświetlony jedynie słabą poświatą żaru z kociołka. Gdy Yuki wróciła z lampą, jej szata była rozwiązana.

Wkrótce obojgu nam zrobiło się ciepło, lecz po miłosnym spełnieniu, jak zawsze cudownym, mój niepokój powrócił. Duch Kaede przebywał ze mną w pomieszczeniu; czyżbym sprawiał jej ból, wzbudzał jej zazdrość i niechęć?

Yuki, zwinięta w kłębek, promieniująca ciepłem u mego boku, mruknęła od niechcenia:

- Przyszła wiadomość od twojej kuzynki.
- Od której? - Miałem ich teraz dziesiątki.
- Muto Shizuki.

Delikatnie odsunąłem się od Yuki, by nie wyczuła, że serce zabiło mi szybciej.

- Co pisze?

- Pani Shirakawa umiera. Shizuka boi się, że koniec jest blisko. - I rozleniwionym, sytym głosem dodała: - Biedactwo.

Jaśniała życiem i doznaną rozkoszą, lecz ja widziałem tylko Kaede, jej kruchość, żarliwość, nadprzyrodzoną piękność. W duchu zawołałem do niej: „Nie możesz umrzeć. Muszę znów cię ujrzeć. Przyjdę do ciebie. Nie umieraj, zanim cię zobaczę!”

Jej duch spoglądał na mnie z wyrzutem i żalem. Yuki, zdziwiona, że milczę, odwróciła się ku mnie.

- Shizuka uznała, że powinieneś o tym wiedzieć. Czy coś zaszło między wami? Ojciec mi o tym napomykał, ale twierdził, że to tylko cieleca miłość. Podobno durzył się w niej każdy, kto ją poznał.

Nie odpowiedziałem. Yuki usiadła, ciasno owijając się szatą.

- Ale to było coś więcej, prawda? Kochałeś ją. - Chwyciła mnie za ręce i obróciła twarzą ku sobie. - Kochałeś - powtórzyła, a w jej głosie wezbrała zazdrość. - Przeszło ci już?

- Nigdy mi nie przejdzie - odparłem. - I nawet jeśli umrze, nie przestanę jej kochać. - Teraz, gdy było już za późno, by powiedzieć o tym Kaede, uświadomiłem sobie, że to szczerza prawda.

- Ta część twego życia minęła bezpowrotnie - oznajmiła Yuki cicho, ale dobitnie. - Zapomnij o niej! Nigdy już jej nie zobaczysz! - W jej słowach zadźwięczały gniew i rozczarowanie.

- Nic bym ci nie powiedział, gdybyś sama o niej nie wspomniała.

Uwolniłem dłonie i ubrałem się. Ciepło uleciało ze mnie równie szybko, jak przyszło. Kociołek stygł.

- Przynieś jeszcze węgli - poprosiłem. - I więcej lamp. Muszę skończyć pracę.
- Takeo... - zaczęła i urwała raptownie. - Przyślę pokojówkę - rzekła, wstając.

Na odchodnym pogłaskała mnie po karku, ale nie zareagowałem. Łączył nas silny związek cielesny, jej dłonie gładziły mnie i zadawały mi ból, ramię przy ramieniu

kochaliśmy się i zabijali, ale nie zdołała głębiej poruszyć mojego serca; w owej chwili pojęliśmy to oboje.

Nie okazywałem żalu, lecz w duchu opłakiwałem Kaede i życie, które mogliśmy spędzić razem. Shizuka więcej nie pisała, choć wciąż nasłuchiwałem posłańców, także Yuki nigdy już nie wspomniała o tej sprawie. Nie wierzyłem, że Kaede nie żyje, i we dnie to przekonanie dodawało mi sił, ale noce wyglądały inaczej.

Ostatnie barwy zbladły, z wierzb i klonów opadła resztką liści. Posępne niebo przemierzały klucze lecących na południe dzikich gęsi. Miasto zamykało się na zimę i posłańcy docierali do nas coraz rzadziej, przynosząc nieliczne wieści o poczynaniach Plemienia i o walkach w Trzech Krainach, a także, jak zawsze, dostarczając kolejnych zamówień na nasze usługi.

Tak bowiem opisywaliśmy swoje rzemiosło; zabijanie i szpiegowanie - to były usługi, których miarę stanowiło ludzkie życie. Przepisywałem i takie rachunki; do późna w nocy siadywałem z kupcem Gosaburo, podliczając plony soi, a także te inne plony, bardziej złowieszcze. Oba przedsięwzięcia przynosiły spore zyski i choć jesienne burze wpłynęły niekorzystnie na zbiór soi, w niczym nie zaszkodziły morderstwom. Tylko jeden kandydat do zabicia utonął, zanim Plemię się nim zajęło, co stało się przyczyną długotrwałego sporu o zapłatę.

Kikuta, bardziej bezwzględni, uważani byli za skuteczniejszych zabójców niż Muto, tradycyjnie parający się szpiegostwem. Te dwie rodziny stanowiły arystokrację Plemienia; członkowie pozostałych trzech rodów, Kuroda, Kudo oraz Imai, podejmowali prostsze, bardziej przyziemne zajęcia jako służący, drobni złodzieje i donosiciele. Stare, dziedziczne talenty były w cenie, toteż członkowie rodzin Kikuta i Muto zawierali ze sobą wiele związków małżeńskich, znacznie więcej niż z członkami innych rodzin, aczkolwiek owe wyjątki wydawały niekiedy wspaniałe owoce, na przykład genialnego skrytobójcę Shintaro.

Po zrobieniu rachunków Kikuta Gosaburo udzielał mi wykładów z genealogii, wyjaśniając zawiłe koneksje członków Plemienia, które niczym gęsta sieć jesienno-pajaka oplatały Trzy Krainy, całą Północ oraz inne bardziej odległe ziemie. Gosaburo był grubym jegomościem o podwójnym, niemal kobiecym podbródku i gładkiej, pulchnej, złudnie łagodnej twarzy, którego ubranie i skóra na zawsze przesiąkły wonią fermentacji. Kiedy był w dobrym humorze, wołał o wino i z genealogii przechodził na historię moich plemiennych przodków. Przez stulecia historia ta niewiele się zmieniała: przywódcy wojskowi pojawiali się i upadali, klany rozkwitały i znikwały, a Plemię wciąż świadczyło usługi we wszystkich życiowo istotnych dziedzinach. I teraz Arai chciał wpłynąć na ten stan rzeczy - podczas gdy inni potężni władcy współpracowali z Plemieniem, on jeden pragnął je zniszczyć.

Na tę myśl podbródki Gosaburo aż trzęsły się ze śmiechu.

Z początku wykorzystywano mnie w roli szpiega, kładąc mi podsłuchiwać rozmowy w zajazdach i herbaciarniach albo wspinać się nocami na dachy i mury, aby

śłuchać mężczyzn zwierających się synom bądź żonom. Znałem tajemnice i obawy mieszkańców miasta, wiosenne plany klanu Yoshida, wiedziałem, jakie zaniepokojenie wzbudzają na zamku poczynania Araiego na dalekiej granicy oraz bunt chłopów bliżej domu. Chodziłem zatem do górskich wiosek, słuchałem, co mówią owi chłopcy, po czym wskazywałem przywódców.

Pewnego wieczora zatroskany Gosaburo długo cmokał nad zaległym rachunkiem - nie dość, że nie otrzymał zapłaty, ale jeszcze zamówiono u niego kolejną partię towaru. Winowajca, niejaki Furoda, był wojownikiem niższej rangi, który wziął się do uprawy ziemi, by utrzymać rodzinę i zaspokoić swe upodobanie do życiowych przyjemności. Znaki, umieszczone poniżej jego imienia, świadczyły o tym, że stosowano wobec niego coraz silniejsze środki zastraszania: podpalono mu stodołę, uprowadzono córkę, poturbowano syna, zabito kilka psów i koni. A jednak jego dług wobec Kikuta wzrastał z każdym dniem.

- To coś dla Psa - zwrócił się kupiec do Akio, który przyłączył się do nas na szklaneczkę wina.

Tak jak wszyscy, z wyjątkiem Yuki, Gosaburo używał danego mi przez Akio przezwiska.

Akio podniósł zwój do oczu i przebiegł wzrokiem smutne dzieje Furody.

- Na wiele mu pozwoliłeś - mruknął.

- Cóż, to sympatyczny człowiek. Znam go od dzieciństwa. Ale nie mogę dłużej puszczać mu tego płazem.

- Jeśli go nie ukarzesz, wszyscy zaczną oczekiwać podobnej pobłażliwości, prawda, stryju?

- W tym sęk. W tej chwili nikt nie płaci w terminie. Każdemu się wydaje, że mu się upiecze, tak jak Furodzie. - Gosaburo westchnął głęboko, a jego małe oczka niemal zniknęły w fałdach tłuszczu. - Mam za miękkie serce, oto cały kłopot. Bracia wciąż mi to powtarzają.

- Pies też ma miękkie serce - rzekł Akio. - Ale uczymy go, by się zmienił. Zajmie się Furodą w twoim imieniu, dobrze mu to zrobi.

- Jeśli go zabijesz, nigdy nie spłaci długu - wtrąciłem.

- Ale inni zapłacą - oświadczył Akio, jakby wyjaśniał prostakowi coś oczywistego.

- Czasem łatwiej wydobyć coś od umarłego niż od żywego - dodał Gosaburo.

Nie znałem tego dobrodusznego, lekkomyślnego utracjusza i nie chciałem go zabijać. Ale uczyniłem to. Kilka dni później poszedłem do jego domu na przedmieściu, uciszyłem psy, stałem się niewidzialny i zmyliłem strażę. Dom był solidnie zaryglowany, więc czekałem na właściciela przy ustępie, wiedziałem bowiem z obserwacji, że zawsze wstaje przed świtem, by się załatwić. Ów duży, zwalisty mężczyzna już dawno porzucił ćwiczenia fizyczne i przekazał synom ciężką pracę na roli. Stał się słaby; zginał, nie wydając dźwięku.

Gdy zdejmowałem garotę, rozpadał się deszcz. Mokry kamienny mur był śliski, panowała najczarniejsza noc, zacinający deszcz powoli zamieniał się w śnieg. Do domu Kikuta wróciłem milczący, przygnębiony ciemnością i zimnem, które wpłynęły do mojej duszy i rzuciły na nią cień.

Synowie Furody spłacili dług. Gosaburo był ze mnie zadowolony. Nikomu nie okazałem, jak bardzo wstrząsnęło mną to morderstwo, ale następne okazało się jeszcze gorsze. Dokonałem go na zamówienie klanu Yoshida, który chcąc ukrócić niepokoje wśród wieśniaków, zlecił usunięcie chłopskiego przywódcy. Znałem tego człowieka i wiedziałem o jego tajnych poletkach, choć dotąd nikomu nie ujawniłem ich położenia. Teraz powiedziałem Gosaburo i Akio, gdzie można go znaleźć wieczorami, oni zaś wysłali mnie, bym się z nim rozprawił.

Uprawiał ziemię w pobliżu niewielkiej jaskini na zboczu góry, zamaskowanej kamieniami i chrustem, w której ukrył trochę ryżu i słodkich ziemniaków. Gdy się podkrađłem, pracował właśnie na skraju pola. Źle go oceniłem - był silniejszy, niż przypuszczałem, i zawzięcie bronił się motyką, aż w pewnej chwili w szamotaninie zerwał mi kaptur i ujrzał moją twarz. W jego oczach zabłysło zrozumienie i skrajne przerażenie zarazem; wykorzystałem tę chwilę, by się rozdwoić, zaszedłem go od tyłu i podciąłem mu gardło, zdążył jednak zawołać: „Pan Shigeru!”

Byłem zbryzgany jego krwią, a także własną, gdyż motyka rozcięła mi czoło i rana krwawiła obficie. Od ciosu kręciło mi się w głowie. Słowa wieśniaka wstrząsnęły mną: czyżby wołał na pomoc ducha Shigeru, czy też nasze podobieństwo sprawiło, że wziął mnie za niego? Chciałem go o to zapytać ale na zawsze utracił dar mowy. Tylko jego niewidzące oczy patrzyły nieruchomo w ciemniejące niebo.

Doszedłem jako niewidzialny niemal pod sam dom Kikuta. Jeszcze nigdy tak długo tego nie robiłem i gdybym mógł, na zawsze pozostałbym w tym stanie. Wciąż brzmiały mi w uszach ostatnie słowa zabitego, przypomniałem sobie również, co powiedział Shigeru dawno temu w Hagi: „Nigdy nie zabiłem nikogo bezbronnego, nie zabijałem też dla przyjemności”.

Władcy klanu byli bardzo zadowoleni. Śmierć przywódcy odebrała ducha wieśniakom, którzy stali się potulni i posłuszni. Wiedziałem, że do końca zimy wielu z nich umrze z głodu. Świetna robota, chwalił Gosaburo.

Ja jednak co noc śniłem o Shigeru. Wchodził do mego pokoju i stawał przede mną bez słowa; wyglądał, jakby właśnie wyszedł z rzeki, ociekał wodą i krwią, i patrzył na mnie uważnie, wyraźnie na coś czekając, podobnie jak kiedyś z cierpliwością czapli czekał, aż zacznie mówić.

Z wolna zacząłem sobie uświadamiać, że nie zniosę takiego życia, nie miałem jednak pojęcia, jak się wyzwolić. Zawarłem z rodziną Kikuta umowę, której w żaden sposób nie byłem w stanie dotrzymać. Zrobiłem to w ferworze walki, w podnieceniu, nie spodziewając się, że przeżyję noc, nie znając do końca samego siebie. Sądziłem, że mistrz Kikuta, który zdawał się mnie rozumieć, pomoże mi rozwiązać dręczące

sprzeczności mojej natury, on jednak wysłał mnie z Akio do Matsue, gdzie życie wśród Plemienia nauczyło mnie ukrywać owe sprzeczności, wcale nie sprzyjając ich usunięciu - po prostu coraz bardziej je tłumilem.

Mój ponury nastrój pogłębił się jeszcze, gdy odeszła Yuki. Nic mi nie powiedziała, lecz któregoś dnia zniknęła. Rano podczas ćwiczeń jeszcze słyszałem jej głos i kroki, po czym podeszła do drzwi i zwyczajnie wyszła, z nikim się nie żegnając. Cały dzień nasłuchiwałem jej powrotu, ale daremnie. Próbowiałem niby mimochodem dowiedzieć się, gdzie przebywa, lecz otrzymywałem wymijające odpowiedzi, a nie chciałem wypytywać wprost Gosaburo ani Akio. Bardzo za nią tęskniłem, jednak czułem również ulgę, że nie muszę już mierzyć się z pytaniem, czy wolno mi nadal z nią sypiać. Od chwili gdy powiedziała mi o Kaede, co dzień postanawiałem z tym skończyć, a co noc i tak do niej chodziłem.

Dwa dni później, kiedy rozmyślałem o niej podczas medytacji kończących poranne ćwiczenia, do drzwi podeszła służąca i cicho wywołała Akio. Ten otworzył oczy i ruszył ku wyjściu ze skupioną miną, którą zawsze przyjmował podczas tych posiedzeń (byłem pewien, że udaje).

- Mistrz przyszedł - oznajmiła dziewczyna. - Czekaj na was.

- Hej, Pies, chodź! - zawołał mnie Akio.

Reszta ćwiczących siedziała bez ruchu ze spuszczonej oczami. Wstałem i podążyłem za Akio do głównego pomieszczenia, gdzie Kikuta Kotaro pił z Gosaburo herbatę.

Przypadliśmy do podłogi.

- Usiądźcie - rzekł mistrz i przez chwilę mi się przyglądał. - Jakież trudności? - zwrócił się do Akio.

- Właściwie nie - odparł Akio, dając tym samym do zrozumienia, że było ich mnóstwo.

- A jego zachowanie? Nie masz zastrzeżeń? Akio z wolna pokręcił głową.

- A jednak przed wyjazdem z Yamagaty...

Miałem uczucie, że w ten sposób Kotaro chce podkreślić, iż wie o mnie wszystko.

- Załatwiliśmy to - odparł krótko Akio.

- Był dla mnie bardzo użyteczny - wtrącił Gosaburo.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Kotaro sucho. Gospodarz dźwignął się na nogi i przeprosił nas - musiał doglądać interesu, posiedzieć w sklepie. Po jego wyjściu mistrz oznajmił:

- Wczoraj rozmawiałem z Yuki.

- Gdzie ona jest?

- Nieważne. Ale powiedziała mi coś, co trochę mnie zaniepokoiło. Nie wiedzieliśmy, że Shigeru specjalnie udał się do Mino, żeby cię odnaleźć. Muto Kenji cały czas miał wrażenie, że spotkaliście się przypadkiem.

Urwał. Milczałem. Pamiętałem dzień postrzyżyn, kiedy napomknąłem o tym

Yuki. Widocznie uznała tę informację za ważną, dostatecznie ważną, by przekazać ją mistrzowi. Niewątpliwie opowiadała mu o mnie także inne rzeczy.

- Zaczynam podejrzewać, że Shigeru wiedział o Plemieniu znacznie więcej, niż sądziliśmy - ciągnął Kotaro. - Czy tak było?

- Rzeczywiście, wiedział, kim jestem. Poza tym od lat przyjaźnił się z mistrzem Muto. To wszystko, co wiem o jego związkach z Plemieniem.

- Nie mówił ci nic ponad to?

- Nie - skłamałem.

W istocie owej nocy, gdy rozmawialiśmy w Tsuwano, Shigeru powiedział mi znacznie więcej - że dążył do tego, by jak najlepiej poznać Plemię, i że zapewne znał je lepiej niż ktokolwiek z zewnątrz. Nigdy nie podzieliłem się tą informacją z Kenjim, nie widziałem też powodu, by przekazywać ją Kotaro. Shigeru nie żył, ja zaś, choć związałem się z Plemieniem, nie zamierzałem zdradzać jego tajemnic.

- Yuki już mnie o to pytała. Jakie to ma teraz znaczenie? - westchnąłem, usiłując zachować niewinną minę i ton.

- Sądziliśmy, że znamy Shigeru, że wiemy wszystko o jego życiu, tymczasem on nawet po śmierci nas zaskakuje! O wielu rzeczach nie mówił nawet Kenjimu - na przykład o romansie z Maruyama Naomi. Co jeszcze ukrywał?

Nieznacznie wzruszyłem ramionami. Wspomniałem Shigeru, zwanego Rolnikiem, jego szczerzy uśmiech, jego pozorną otwartość i prostotę. Wszyscy, a zwłaszcza Plemię, oceniali go niewłaściwie. Okazał się znacznie większy i bardziej nieobliczalny, niż ktokolwiek przypuszczał.

- Czy to możliwe, że zapisywał to, czego dowiedział się o Plemieniu?

- Prowadził różne zapiski - odparłem, udając zdziwionego. - O porach roku, doświadczeniach rolniczych, stanie ziemi i zbiorów, o służących i pracownikach najemnych.

Czasem pomagał mu w tym Ichiro, jego stary nauczyciel ale głównie pisał sam.

Ujrzałem go oczyma duszy w migotliwym świetle lampy siedzącego długo w noc nad notatkami w przenikliwie zimnym pokoju, z bystrym i czujnym wyrazem twarzy, całkiem różnym od jego zwykłej, obojętnie uprzejmej miny.

- A te jego podróże... Wędrowałeś z nim?

- Nigdy, z wyjątkiem naszej ucieczki z Mino.

- Często wyjeżdżał?

- Nie wiem, ale w czasie, gdy mieszkalem w Hagi, nie opuszczał miasta.

Kotaro odchrząknął. W pokoju zapanowała cisza; ledwie słyszałem oddechy towarzyszy. Z oddali dobiegały południowe odgłosy domu i sklepu, stukanie liczydeł, rozmowy klientów, pokrzykiwania handlarzy na ulicy. Wiatr się zrywał, gwizdał pod okapem, łomotał okiennicami. Jego tchnienie niosło zapowiedź śniegu.

W końcu mistrz przemówił:

- Zapewne jednak robił zapiski, co oznacza, że trzeba je zdobyć. Gdyby wpadły

Araiemu w ręce, byłaby to katastrofa. Będziesz musiał pojechać do Hagi. Dowiesz się, czy zapiski istnieją, a jeśli tak, przywieziesz je tutaj.

Nie wierzyłem własnym uszom. Myślałem, że nigdy już tam nie wrócę - a teraz wysyłano mnie do domu, który tak bardzo kochałem!

- Chodzi o słowiczą podłogę - ciągnął Kotaro. - Podobno Shigeru otoczył nią swój dom, a ty posiadasz jej sekret.

Nagle wszystko wróciło - otoczyła mnie duszna noc szóstego miesiąca, ujrzałem samego siebie, przebiegającego po werandzie bezszelestnie niczym zjawą, usłyszałem głos Shigeru, pytający: „Możesz to zrobić jeszcze raz?”

Mimo że usiłowałem zapanować nad twarzą, poczułem drganie mięśni, rządzących uśmiechem.

- Wyruszysz natychmiast - mówił Kotaro. - Musisz zdążyć tam i z powrotem, zanim spadną śniegi. Rok niemal dobiegł końca; w połowie pierwszego miesiąca zarówno Hagi, jak i Matsue zostaną odcięte od świata.

Dotychczas nie robił wrażenia rozgniewanego, teraz jednak zdałem sobie sprawę, że targa nim wściekłość. Niewykluczone, że dostrzegł, iż się uśmiecham.

- Dlaczego nic nikomu nie mówiłeś? - zapytał gwałtownie. - I ukrywałeś to przed Kenjim?

Poczułem, że we mnie także wzbiera głęboki gniew.

- Pan Shigeru o tym nie wspominał, ja po prostu poszedłem w jego ślady. Starłem się dochować mu wierności; nigdy nie ujawniłbym niczego, co chciał zachować w tajemnicy. W końcu byłem wtedy jednym z Otori.

- I ciągle ci się zdaje, że nim jesteś - wtrącił Akio. - To kwestia lojalności. Z tobą zawsze tak będzie. - Po czym mruknął pod nosem: - Pies zna tylko jednego pana.

Zwróciłem ku niemu wzrok, pragnąc, by spojrzał na mnie, abym mógł go uciszyć, uspić, lecz tylko zerknął ku mnie pogardliwie i wlepił oczy w podłogę.

- Cóż, teraz okaże się, jak jest naprawdę - odparł Kotaro. - Sądzę, że to zadanie będzie dla ciebie doskonałym sprawdzianem. Pamiętaj, że jeśli ten Ichiro wie o istnieniu zapisków lub co gorsza zna ich zawartość, oczywiście trzeba go będzie usunąć.

Skłoniłem się bez słowa, zadając sobie pytanie, czy moje serce stwardniało do tego stopnia, że potrafiłbym zabić Ichiro, starca, który uczył Shigeru, a potem mnie. Pamiętałem, że często pragnąłem to zrobić, kiedy mnie karmił i zmuszał do nauki, ale przecież należał do Otori i domowników Shigeru. Nie tylko darzyłem go niechętnym szacunkiem - łączyła nas także więź obowiązku i lojalności oraz, jak sobie teraz uświadomiłem, duża serdeczność.

Równocześnie jednak obserwowałem gniew mistrza, niemal czułem smak tego uczucia, podobnego do stanu niemal ciągłej furii, z jaką traktował mnie Akio. Obaj jakby się mnie bali lub bardzo nienawidzili. „Rodzina Kotaro była wręcz zachwycona, że Isamu zostawił syna!” - powiedziała żona Kenjiego. Skoro byli tacy zachwyceni, dlaczego wciąż się na mnie złościł? A potem dodała: „Wszystcyśmy się ucieszyli!”

Tymczasem niedługo potem Yuki wyznała mi, że jej matka kochała Shintaro. Czy zatem jego śmierć naprawdę mogła wzbudzić w niej radość?

Wydawało mi się, że mam do czynienia z gadatliwą starą kobietą, toteż przyjąłem jej komplementy za dobrą monetę, ona jednak wkrótce pokazała, co potrafi. Połechtala moją próżność w taki sam sposób, w jaki chwilę później widmowymi dłońmi pogładziła mi skronie. Najwyraźniej reakcja członków rodziny Kikuta na moje nagłe pojawienie się była bardziej skomplikowana i mroczniejsza, niż chcieli przyznać; zapewne nawet podziwiali moje talenty, ale coś we mnie napawało ich obawą, a ja nadal nie wiedziałem, co to takiego.

Gniew, z jakim Kotaro usiłował zmusić mnie do posłuszeństwa, uczynił mnie bardziej upartym, wręcz dodał owemu uporowi mocy i energii. Czułem, że przyczał się we mnie zwinięty niczym sprężyna. Nade wszystko jednak nie mogłem wyjść ze zdumienia, że cudownym zrządzeniem losu znów miałem się znaleźć w Hagi.

- Zaczyna się dla nas niebezpieczny czas - rzekł mistrz, patrząc na mnie, jakby czytał mi w myślach. - Przeszukano i ograbiono dom Muto w Yamagacie. Ktoś nabral podejrzeń, że się tam ukryłeś. Na razie jednak Arai wyjechał do Inuyamy, skąd jest daleko do Hagi. Ryzykujesz, wracając do Trzech Krain, lecz ryzyko, że zapiski wpadną w obce ręce, jest znacznie większe.

- A jeśli nie ma ich w domu pana Shigeru? Mogą być ukryte dosłownie wszędzie.

- Przypuszczalnie Ichiro będzie wiedział, gdzie są. Wypytaj go i przywieź je, gdziekolwiek się znajdują.

- Mam wyjechać natychmiast?

- Im prędzej, tym lepiej. - Jako aktor?

- Aktorzy nie wędrują o tej porze roku - rzekł wzgardliwie Akio. - Poza tym będziemy tylko we dwóch.

Modliłem się w duchu, żeby go ze mną nie wysłano, ale mistrz potwierdził:

- Akio będzie ci towarzyszył. Umarł jego dziadek - twój dziadek - i wracacie do Hagi na nabożeństwo żałobne.

- Wolałbym nie podróżować z Akio.

Akio gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Nieważne, co byś wolał - warknął Kotaro. - Masz być posłuszny.

Poczułem, jak upór rozpala się we mnie. Spojrzałem na Kotaro; tak jak niegdyś, patrzył mi prosto w oczy, wtedy jednak od razu mnie uśpił, a teraz wytrzymałem jego wzrok. Dostrzegłem w jego spojrzeniu dziwną niepewność; po chwili drgnął i cofnął się nieco. W mojej głowie, nieproszone, zagościło podejrzenie.

Ten człowiek zabił mojego ojca.

Przez chwilę przeraziło mnie to, co robię, ale nie odwróciłem oczu. Uspokoilem się; moje zęby obnażyły się w grymasie, który nie miał nic wspólnego z uśmiechem. Dostrzegłem zaskoczenie mistrza, po czym jego źrenice zmętniały. Akio poderwał się na nogi i uderzył mnie w twarz ciosem, który niemal mnie przewrócił.

- Jak śmiesz tak traktować mistrza? Ty nędzniku! Nie masz za grosz szacunku!

- Siadaj, Akio - powiedział Kotaro.

Obróciłem ku niemu głowę, lecz nie patrzył na mnie.

- Przepraszam, mistrzu - rzekłem cicho. - Wybacz mi.

Obaj wiedzieliśmy, że moje przeprosiny to puste słowa.

Wstał.

- Odkąd cię znaleźliśmy, usiłujemy cię chronić przed tobą samym - rzekł gniewnie, by zatuszować kłopotliwy moment. Nie podniósł głosu, ale było widać, że jest wściekły. - Rzecz jasna, nie tylko ze względu na ciebie. Znasz swoje zdolności, wiesz, że mogą być dla nas użyteczne. Ale twoje wychowanie, mieszana krew, charakter - wszystko to działa przeciwko tobie. Sądziłem, że nauka tutaj coś pomoże, ale nie mamy już czasu. Akio pójdzie z tobą do Hagi, będziesz mu we wszystkim posłuszny. Ma znacznie więcej doświadczenia niż ty, zna bezpieczne domy, wie, z kim się kontaktować i komu ufać.

Urwał, ja zaś pokornie skłoniłem głowę.

- W Inuyamie dobiliśmy targu - podjął po chwili - lecz uznałeś za stosowne złamać mój rozkaz i wróciłeś na zamek. Śmierć Iidy nie była dla nas korzystna; pod rządami Araiego powodzi nam się znacznie gorzej. Niezależnie więc od zasad posłuszeństwa, które zna u nas każde siedmioletnie dziecko, twoje życie należy do mnie, albowiem dałeś mi słowo.

Nie odpowiedziałem. Czułem, że ma mnie dość, że jego zrozumienie mojej natury, które dawało mi spokój i wytchnienie, jest bliskie wyczerpania, podobnie jak moje doń zaufanie. Straszliwe podejrzenie drażyło mi umysł; raz powzięte, nie dawało się już wyrugować - mój ojciec zginął z rąk Plemienia, być może nawet samego Kotaro. Znacznie później uświadomiłem sobie, że właśnie dlatego Kikuta postępował ze mną tak, a nie inaczej, dlatego nalegali, abym był im posłuszny; pojąłem przyczynę ich dwuznacznego stosunku do moich talentów oraz wzgardy, z jaką traktowali moją lojalność wobec Shigeru. W owej chwili jednak ogarnęło mnie tylko ogromne przygnębienie. Akio mnie nienawidził, obraziłem i znieważyłem mistrza Kikuta, Yuki mnie porzuciła, Kaede pewnie już nie żyła... Nie miałem ochoty ciągnąć tej wyliczanki. Niewidzącym wzrokiem wpatrzyłem się w podłogę, a Kotaro i Akio zajęli się omawianiem planu podróży.

Wyruszyliśmy następnego ranka. Na drodze było wielu podróżnych, którzy chcieli wykorzystać ostatnie tygodnie przed spadnięciem śniegów, by powrócić do domu na Święto Nowego Roku. Wmieszaliśmy się między nich - dwaj bracia, wracający na pogrzeb do rodzinnego miasta. Udawanie żałości i smutku przyszło mi bez trudu, ostatnio bez przerwy je odczuwałem. Jedynie nadzieja, że ujrzę dom w Hagi i raz jeszcze usłyszę jego zimową pieśń, odrobinę rozjaśniała spowijające mnie ciemności.

Pierwszego dnia towarzyszył nam mój partner z ćwiczeń, Hajime, który na zimę pragnął dołączyć do grupy zapaśników przygotowujących się do wiosennych

turniejów. Zapaśnicy zatrzymali nas na noc i ugościli wieczornym posiłkiem. Zdumiony patrzyłem, jak pochłaniają olbrzymie ilości kurczaka duszonego w jarzynach - mięso to podobno przynosi szczęście, gdyż „ręce” kurczaków nigdy nie dotykają ziemi - z dodatkiem klusek ryżowych i gryczanych. Jedna taka porcja wystarczyłaby na tydzień przeciętnej rodzinie! Zwalisty Hajime o pogodnej twarzy już zaczynał się do nich upodabniać; z grupą tą, prowadzoną przez rodzinę Kikuta, był związany od dziecka i spokojnie znosił dobroduszne kpiny sportowców.

Przed posiłkiem udaliśmy się do ogromnej, zaparowanej łaźni, zbudowanej nad gorącym źródłem siarkowym. Masażyści i trenerzy przemykali się wśród wielkich mężczyzn, szorując ich masywne kończyny i torsy. Miałem wrażenie, że znalazłem się wśród olbrzymów. Oczywiście, wszyscy znali Akio i odnosili się doń z ironiczną uniżonością - wszak pochodził z rodziny szefa - z domieszką przyjaznej wzgardy, na którą zasługiwał każdy, kto nie był zapaśnikiem. Na mnie nie zwracano najmniejszej uwagi; miałem z tymi ludźmi niewiele wspólnego, dlatego też nie wzbudziłem zainteresowania.

A więc nic nie mówiłem, za to wiele słuchałem. Poznałem plany wiosennych rozgrywek, nadzieje i pragnienia zapaśników, szeptane dowcipy masażystów, przyjmowane i odrzucane propozycje, aż w końcu Akio kazał mi iść spać. Leżałem już na macie we wspólnej sali, gdy z pokoju na dole dobiegł mnie jego głos - najwyraźniej postanowił napić się z Hajime przed rozstaniem następnego dnia.

Wytlumiłem w głowie chrapanie zapaśników, skupiając się na dobiegających spod podłogi głosach. Słyszałem je wyraźnie; zawsze zdumiewało mnie, że Akio zapomina, jaki ostry mam słuch. Początkowo sądziłem, że nie docenia mnie, gdyż nie chce uznać moich talentów, i uważałem to za jego słabość, później jednak przyszło mi na myśl, że pragnął, bym dowiedział się o pewnych rzeczach.

Długo rozmawiali na banalne tematy - nauka Hajime, spotkani przyjaciele - aż wreszcie wino rozwiązało im języki.

- Pójdziecie do Yamagaty? - zapytał Hajime.
- Raczej nie. Mistrz Muto nadal przebywa w górach a jego dom jest pusty.
- Wydawało mi się, że Yuki wróciła do rodziny.
- Nie, jest w wiosce Kikuta na północ od Matsue. Zostanie tam, aż urodzi się dziecko.

- Dziecko? - Hajime osłupiał, podobnie zresztą jak ja. Zapadło długie milczenie. Usłyszałem, że Akio pije i przełyka; gdy znów się odezwał, mówił znacznie ciszej:

- Nosi dziecko Psą.

Hajime aż syknął przez zęby.

- Przepraszam, kuzynie, jeśli sprawiam ci przykrość, ale czy to należało do planu?

- A dlaczegoż by nie?
- Zawsze myślałem, że ty i ona... że kiedyś się pobierzecie.

- Już w dzieciństwie zostaliśmy sobie przeznaczeni - odparł Akio. - Wciąż jeszcze możemy wziąć ślub. Mistrzowie chcieli, żeby z nim spała. Chcieli go uciszyć, odwrócić jego uwagę, w miarę możliwości postarać się o potomka. - Jeśli cierpiał, to nie okazywał tego. - Ja miałem grać podejrzliwego i zazdrosnego - ciągnął bezbarwnym głosem. - Gdyby Pies się domyślił, że nim manipulujemy, nigdy by z nią nie poszedł. Cóż, nie musiałem grać - nie przypuszczałem, że tak się jej to spodoba. Nie do wiary, jak na niego leciała, szukała go w dzień i w nocy niczym suka w rui... - Głos mu się załamał.

Usłyszałem, jak jednym haustem przełyka wino z czarki, po czym dobiegł mnie brzęk i bulgot, gdy ponownie napełniał naczynie.

- Liczy się skutek - pocieszył go Hajime, odzyskując pogodę ducha. - Dziecko odziedziczy rzadką kombinację zdolności.

- Tak uważa mistrz Kikuta. I będzie u nas od urodzenia, zostanie właściwie wychowane, nie będzie miało wad Psa.

- To zdumiewająca wiadomość. Nic dziwnego, że byłeś taki roztargniony.

- Przez większość czasu zastanawiam się, jak go zabić - przyznał Akio, znów wychylając czarę.

- Dostałeś rozkaz? - zapytał wstrząśnięty Hajime.

- Wszystko zależy od tego, co zdarzy się w Hagi. Prawdę mówiąc, to jego ostatnia szansa.

- Wie o tym? Że to sprawdzian?

- Jeżeli nie, wkrótce się dowie - odrzekł Akio, a po kolejnej przerwie dodał: - Gdyby ludzie Kikuta wcześniej wiedzieli o jego istnieniu, zabraliby go do siebie i porządnie się nim zajęli. Ale został zepsuty przez wychowanie, a potem przez swój związek z Otori.

- Ojciec Psa zginął przed jego narodzinami. Wiesz, kto go zabił?

- Ciągnięto losy - mruknął Akio. - Nie wiadomo, kto konkretnie to zrobił, ale decyzję podjęła cała rodzina. Mistrz powiedział mi o tym w Inuyamie.

- Szkoda - westchnął Hajime. - Tyle zdolności się marnuje...

- Oto skutki mieszania krwi. Istotnie, czasem rodzą się rzadkie talenty, lecz zazwyczaj towarzyszy im głupota. A jedynym lekarstwem na głupotę jest śmierć.

Wkrótce potem przyszli się położyć. Do świtu leżałem bez ruchu, udając, że śpię, bezsilnie rozmyślając o tym, co usłyszałem. Byłem pewien, że bez względu na to, co zrobię w Hagi, Akio wykorzysta pierwszy lepszy pretekst, by mnie zabić.

Żegnając się ze mną rano, Hajime unikał mego wzroku. W jego głosie brzmiała sztuczna wesołość i długo patrzył za nami z zafrasowaną miną; zapewne sądził, że więcej mnie nie ujrzy.

Wędrowaliśmy trzy dni, niemal nie odzywając się do siebie, aż dotarliśmy do przegradzającej drogę bariery, znaczącej początek ziem Otori. Minęliśmy ją bez trudności; Akio został wyposażony w niezbędne tabliczki uwierzytelniające. To on podejmował wszystkie decyzje: gdzie będziemy jeść, gdzie zostaniemy na noc, którą

drogą pójdziemy, ja zaś biernie za nim podążałem. Wiedziałem, że nie może mnie zabić, zanim dotrzemy do Hagi - byłem mu potrzebny, aby pokonać słowicza podłogę i dostać się do domu Shigeru. Odczuwałem nawet coś w rodzaju żalu, że nie jesteśmy podróżującymi razem przyjaciółmi - cała wyprawa, skądinąd wspaniała, wydawała się przez to zmarnowana. Tęskniłem za towarzyszem takim jak Makoto albo Fumio, stary znajomy z Hagi, z którym mógłbym porozmawiać w drodze, dzieląc się panującym w moich myślach zamętem.

Znalazszy się na ziemiach Otori, spodziewałem się ujrzeć dobrobyt taki jak wówczas, gdy wędrowałem tędy z Shigeru, lecz wszędzie rzucały się w oczy zniszczenia, dokonane przez burze oraz głód, który przyszedł później.

Wiele wiosek wyglądało na opuszczone, nikt nie naprawiał uszkodzonych domów, na skraju drogi zebrali głodujący. Dobiegały mnie urywki rozmów - że zamiast dotychczasowych czterech dziesiątych zbiorów ryżu panowie Otori żądają teraz sześciu dziesiątych, aby opłacić wojsko, które mobilizują przeciwko Araiemu, i że właściwie ludzie mogliby od razu zabić siebie i swoje dzieci, zamiast zdychać z głodu z nadejściem zimy.

O wcześniejszej porze roku podróż morzem trwałaby krócej, lecz wybrzeże smagały już zimowe wichry, pędzące na czarny brzeg spienione, szare fale. W każdej choćby trochę osłoniętej zatoczce stały zakotwiczone łodzie rybackie; w niektórych, wyciągniętych wysoko na piargi, koczowali ludzie, chcący jakoś przetrwać do wiosny. Rodziny rybaków przez całą zimę wydobywały sól z wody morskiej, kilka razy przystanęliśmy przy ich ogniskach, by się ogrzać. Za parę drobnych monet Akio kupował wówczas dla nas skąpy posiłek: soloną rybę, zupę z wodorostów, małże i małe skorupiaki.

Pewnego razu spotkaliśmy człowieka, który zaczął nas błagać, byśmy kupili od niego córkę i zabrali ją do Hagi na własny użytek bądź sprzedali w domu publicznym. Miała nie więcej niż trzynaście lat i zaledwie przed chwilą stała się kobietą, nie była też ładna, lecz po dziś dzień pamiętam jej twarz, przerażony i zarazem proszący wzrok, jej łzy i ulgę, gdy Akio uprzejmie odmówił, a także rozpacz jej ojca, odchodzącego bez słowa.

Owej nocy Akio, narzekając na ziąb, pożałował swej decyzji.

- Byłaby mnie ogrzała - powtarzał bez końca.

Pomyślałem, że ta dziewczyna, zapewne śpiąca teraz obok matki, stanęła wobec wyboru między śmiercią głodową a czymś, co oznaczało oddanie się w niewolę. Pomyślałem o rodzinie Furoda, wyrzuconej ze swego zaniedbanego, lecz wygodnego domostwa, o człowieku, którego zabiłem na sekretnym poletku, o wiosce, która miała przeze mnie umrzeć.

Nikt nie przejmował się takimi rzeczami - tak po prostu kręcił się świat - ale mnie spędzały one sen z powiek. I oczywiście, jak co noc, myśli, które przez cały dzień kryłem głęboko w sobie, wypływały na wierzch, domagając się mojej uwagi.

Yuki była ze mną w ciąży. Plemię zamierzało zająć się wychowaniem dziecka. Prawdopodobnie nigdy nie miałem go już zobaczyć. Kikuta zabili mego ojca, gdyż złamał zasady Plemienia, i gotowi byli bez wahania zabić mnie.

Nie podejmowałem żadnych decyzji i nie wyciągałem żadnych wniosków. Po prostu leżałem bezsennie, trzymając myśli w dłoni, niczym garść czarnych kamyków, i niespiesznie się im przyglądałem.

Wokół Hagi góry opadały stromo do morza, toteż przed podejściem na ostatnią przełęcz musieliśmy oddalić się od brzegu, wreszcie jednak zaczęliśmy schodzić do miasta.

Moje serce przepełniało wzruszenie, choć nie odzywałem się i z niczym się nie zdradzałem. Przede mną leżało Hagi w znajomej kołysce zatoki, w uścisku dwóch rzek. Był dzień przesilenia zimowego, przez szare chmury przebierały blade promienie popołudniowego słońca, ziemię pod nagimi drzewami okrywała gruba warstwa liści. Ponad rzekami, niemal muskając mosty, snuły się niebieskie dymy z ognisk - to palono resztki słomy ryżowej.

Trwały przygotowania do Święta Nowego Roku. Wszędzie wisiały poświęcane słomiane warkocze, w bramach domów stały ciemnozielone sosny, w świątyniach panował tłok. Rzeka, wezbrana od wód przyprływu, jak zawsze śpiewała swoją dziką pieśń; wydało mi się, że w szumie spienionych odmętów słyszę głos kamieniarza, zamurowanego na zawsze w swym dziele, pogrążonego w niekończącej się rozmowie z żywiołem. Na nasz widok z płycizny poderwała się czapla.

Przechodząc przez most, znów ujrzałem napis, który kiedyś odczytał mi Shigeru: „Klan Otori wita sprawiedliwych i lojalnych, lecz niegodni i zdradzieccy niech się strzegą”.

Niegodni i zdradzieccy. Byłem i jednym, i drugim - zdradziłem Shigeru, który powierzył mi swe ziemie, i okazałem się niegodny, tak jak niegodne i bezlitosne było całe Plemię.

Szedłem ulicami ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, zmieniwszy rysy twarzy, jak uczył mnie Kenji. Nie sądziłem, by ktokolwiek mnie rozpoznał - w ciągu ostatnich miesięcy urosłem, schudłem i zmężniałem, miałem krótko obcięte włosy i strój rzemieślnika. Moje gesty, mowa ciała, krok - wszystko to uległo zmianie od czasu, gdy chadzałem tymi ulicami jako młody pan z klanu Otori.

Wreszcie dotarliśmy do browaru na skraju miasta. Mijałem go dziesiątki razy, nic nie wiedząc o jego prawdziwym przeznaczeniu. Shigeru by wiedział, pomyślałem. Świadomość, że śledził na bieżąco poczynania Plemienia, że wiedział o rzeczach, o których nikt nie miał pojęcia, sprawiła mi przyjemność.

W domostwie aż huczało od przygotowań do zimowej pracy. Gromadzono olbrzymie ilości drewna do podgrzewania kadzi, powietrze było gęste od woni fermentującego ryżu. Na nasze spotkanie wyszedł nieduży, zaaferowany jegomość, bardzo podobny do Kenjiego. Istotnie, pochodził z rodziny Muto i nosił imię Yuzuru.

Nie spodziewał się gości o tak późnej porze roku, a moja obecność wytrąciła go z równowagi; zdenerwował się, usłyszawszy o naszym zadaniu, więc pośpiesznie zaprowadził nas do ukrytego pokoju.

- Czasy są straszne - powiedział. - Otori wyraźnie szykują się do wojny z Arai. Tylko zima jeszcze nas chroni.

- Słyszałeś, że Arai chce zniszczyć Plemię?

- Wszyscy o tym mówią - odparł Yuzuru. - Dlatego Otori nakłaniają nas, byśmy poparli ich przeciwko Araiemu. - Zerknął na mnie spod oka i dodał: - Pod rządami lidy mieliśmy się znacznie lepiej. To chyba duży błąd, że go tu sprowadziłeś. Gdyby ktoś go rozpoznał...

- Jutro nas tu nie będzie - uspokoił go Akio. - Musi tylko coś zabrać ze swego poprzedniego domu.

- Z domu pana Shigeru? To szaleństwo! Złapią go!

- Nie sądzę. Jest dosyć uzdolniony.

Wydało mi się, że w komplementcie zabrzmiał cień drwiny, co uznałem za kolejny znak, że Akio zamierza mnie zabić.

- Nawet małpa kiedyś spadnie z drzewa - Yuzuru wypchnął dolną wargę. - To coś ważnego?

- Wydaje nam się, że pan Otori prowadził obszerne zapiski o działalności Plemienia.

- Shigeru? Rolnik? Niemożliwe!

Oczy Akio nabrały twardego wyrazu.

- Dlaczego tak uważasz?

- No... wszyscy wiedzą... Shigeru był dobrym człowiekiem. Ludzie go kochali, a jego śmierć to straszna tragedia. Umarł, bo... - Yuzuru zamrugał wściekle i spojrzał na mnie przepraszająco - ...był zbyt ufny, wręcz naiwny. W żadnym wypadku nie miał natury spiskowca. Nic nie wiedział o Plemieniu.

- Mamy powody, by sądzić inaczej. Jutro o świcie dowiemy się, kto ma rację.

- Idziecie tam jeszcze dziś?

- Musimy wrócić do Matsue, zanim spadnie śnieg.

- Cóż, śniegi przyjdą wcześniej, może jeszcze przed końcem roku. - Yuzuru z wyraźną ulgą zaczął mówić o rzeczach przyziemnych, takich jak pogoda. - Wszystko wskazuje na to, że zima będzie długa i ciężka. Ale jeśli wiosną rozpęta się wojna, to pragnąłbym, aby wiosna nigdy nie nadeszła.

W małym, ciemnym pokoju - trzecim tego rodzaju, w jakim zdarzyło mi się ukrywać - panował lodowaty ziąb. Yuzuru osobiście przyniósł nam jedzenie, herbatę, która ostygła, zanim zdążyliśmy jej spróbować, oraz wino. Akio pił, ja nie - czułem, że tej nocy moje zmysły muszą być wyostrzone jak nigdy dotąd. Siedzieliśmy w milczeniu, czekając na nadejście zmroku.

Browar wokół nas stopniowo cichł, choć jego woń nie słabła. Nasłuchiwałem

odgłosów miasta, z których każdy był tak znajomy, że potrafiłbym dokładnie wskazać ulicę i dom jego pochodzenia. Owo poczucie swojskości sprawiło, że się rozluźniłem, przygnębienie zaczęło ustępować. W najbliższej świątyni Daishoin rozległ się dzwon, wzywający na wieczorną modlitwę. Wyobraziłem sobie zniszczony budynek, ciemną zielen gaju, kamienne latarnie na grobach panów Otori oraz ich sług; zapadłem w sen na jawie, w którym przechadzałem się między nimi.

I wówczas, zda się z białej mgły, wyszedł do mnie Shigeru, ociekający wodą i krwią, z czarnymi oczyma, w których płonęło stanowcze żądanie. Ocknąłem się, dygocząc z zimna.

- Napij się wina, uspokoi ci nerwy - rzekł Akio.

Pokręciłem głową i wykonałem kilka ćwiczeń rozciągających, stosowanych przez Plemię na rozgrzewkę. Następnie zasiadłem do medytacji, usiłując zachować ciepło, skupiając umysł na nocnym zadaniu, gromadząc wszystkie siły, świadom, że na życzenie potrafię zrobić to, co niegdyś wykonywałem instynktownie.

Z Daishoin dobiegł mnie dźwięk dzwonu. Północ.

Usłyszałem zbliżające się kroki i po chwili Yuzuru odsunął drzwi. Na jego znak ruszyliśmy przez dom ku zewnętrznej bramie, gdzie zagadał strażników, umożliwiając nam skok przez mur. Raz krótko zaszczekał pies, lecz szturchaniec zaraz go uciszył.

Noc była ciemna jak smoła, powietrze lodowate, od morza wiał porywisty wiatr. Ulice opustoszały. Cicho wyszliśmy na brzeg i podążyliśmy na południowy zachód, do miejsca zbiegu rzek. Przed nami, odsłonięty przez odpływ, widniał rybny próg, po którym często przechodziłem na drugą stronę. Tuż za nim stał dom Shigeru.

Rzekę przepłynęliśmy łodzią, których kilka przycumowano przy brzegu, i znaleźliśmy się na ziemiach Otori; tu, wśród pól ryżowych i chłopskich zagrod, Rolnik Shigeru próbował mi ongiś opowiadać o uprawach i kanałach, o plonach i snopach. Z drzew wyciętych w górskich lasach za polami pochodziło drewno na pawilon herbaciany i na słowicza podłogę; świeżą, słodko pachnącą tarcicę przywożono łodziami, głęboko zanurzonymi pod jej ciężarem. Tej nocy jednak panowały takie ciemności, że nie widziałem nawet gór, gdzie rosły owe drzewa.

Przykucnięci na skraju wąskiej drogi przyjrzelśmy się domowi. Nigdzie nie paliło się światło, jedynie na wartowni przy bramie żarzyły się czerwono węgle w kociołku. Dobiegały stamtąd głębokie oddechy śpiących ludzi i psów. Przez głowę przemknęła mi myśl, że gdyby Shigeru żył, nie śmieliby tak mocno spać, i poczułem gniew, przede wszystkim na siebie.

- Wiesz, co masz robić? - szepnął Akio. Skinąłem głową.

- Idź więc.

Nic ze mną nie uzgodnił, zwyczajnie wysłał mnie naprzód niczym sokoła albo myśliwskiego psa, jednak doskonale wiedziałem, co zamierza - chciał mnie zabić i zabrać notatki, a potem oświadczyć, że niestety zginąłem z rąk strażników, którzy wrzucili moje ciało do rzeki.

Podbiegłem do muru i, niewidzialny, przedostałem się do ogrodu. Natychmiast ogarnęła mnie stłumiona pieśń domu - westchnienia wiatru w gałęziach drzew, pomruk strumienia, plusk wodospadu, poszum wzburzonej przypływem rzeki. Zalała mnie fala smutku: co ja robiłem, wracając tu nocą niczym złodziej? Niemal odruchowo rozluźniłem mięśnie twarzy, pozwalając sobie znów przybrać wygląd Otori.

Słowicza podłoga, ze wszystkich stron otaczająca dom, nie stanowiła dla mnie przeszkody: nawet po ciemku przeszedłem po niej, nie budząc słowików, po czym wspiałem się do okna na piętrze - tego samego, przez które przeszło rok temu wtargnął skrytobójca Shintaro. Na górze zatrzymałem się na chwilę i jałem nasłuchiwać. Pokój wydawał się pusty.

Okiennice, zamknięte przed mroźnym, nocnym powietrzem, nie zostały zaryglowane na noc i bez trudu prześliznąłem się między nimi. Wewnątrz było niewiele cieplej, za to jeszcze ciemniej. Pokój pachniał stęchlizną i kwasem, jakby długo go nie otwierano i nie bywał w nim nikt oprócz duchów.

Rozpoznałem oddechy śpiących domowników, ale nie doszukałem się wśród nich tego, którego szukałem - Ichiro. Kiedy zbiegłem w dół po wąskich schodach, których skrzypiące stopnie znałem jak własną rękę, uświadomiłem sobie, że w domu nie jest tak ciemno, jak wydawało się z ulicy - w najdalszym, ulubionym pokoju Ichiro paliła się lampa. Cicho podszedłem do drzwi. Na papierowym parawanie rysował się cień starego człowieka.

Odsunąłem ekran. Ichiro podniósł głowę i spojrzał na mnie bez najmniejszego zdziwienia.

- Jak mogę ci pomóc? - uśmiechnął się smutno, lekko rozkładając ręce. - Wiesz, że zrobiłbym wszystko, by przywrócić ci spokój, ale jestem już stary i częściej używam pędzla niż miecza.

- Nauczycielu - wyszeptałem. - To ja, Takeo. Zamknąłem za sobą drzwi i padłem na kolana. Wzdrygnął się konwulsyjnie, jakby ocknął się ze snu lub na wezwanie żywych wrócił ze świata umarłych.

- Takeo? To naprawdę ty? - wychrypiał, chwytając mnie za ramiona i przyciągając do siebie, ku światłu.

Na jego twarzy zalśniły łzy. Przeciągnął dłońmi po mojej głowie i kończynach, jakby w obawie, że jestem tylko zjawą, po czym wziął mnie w objęcia niczym dawno utraconego syna. Poczułem, że jego chuda pierś faluje.

Wreszcie odsunął się nieco i spojrzał mi w twarz.

- Wziąłem cię za Shigeru. Nocą często mnie nawiedza. Staje w drzwiach. Wiem, czego chce, ale co mogę zrobić? - Otarł łzy rękawem. - Stałeś się bardzo do niego podobny, to wręcz niesamowite. Gdzie byłeś przez cały ten czas? Baliśmy się, że ciebie także zamordowano, ale ostatnio co kilka tygodni ktoś przychodzi i o ciebie pyta, więc uznaliśmy że jednak żyjesz.

- Plemię mnie ukrywa - powiedziałem, zastanawiając się co Ichiro wie o moim

pochodzeniu. - Najpierw w Yamagacie, a od dwóch miesięcy w Matsue. Zawarłem z nimi umowę. W Inuyamie mnie porwali, zgodzili się jednak na krótko uwolnić, żebym mógł wejść do zamku i wydostać stamtąd pana Shigeru. Obiecałem, że w zamian do nich przystanę. Może o tym nie wiesz, ale łączą mnie z nimi więzy krwi.

- Hmm, podejrzewałem coś takiego. Inaczej po co zjawiałby się tutaj Muto Kenji?

- Ujął moją dłoń i uściśnął ją serdecznie. - Historia o tym, jak uratowałeś Shigeru i z zemsty zabiłeś Iidę, jest ogólnie znana. Przyznaję, kiedyś sądziłem, iż adoptując cię, popełnił błąd, ale tamta noc położyła kres moim wątpliwościom. Spłaciłeś wobec niego wszystkie długi.

- Nie całkiem. Panowie Otori, którzy wydali go Iidzie, dotąd nie zostali ukarani.

- Po to przyszedłeś? Jego duch nareszcie zaznałby spokoju.

- Nie, Plemię mnie przysłało. Uważają, że pan Shigeru prowadził zapiski na ich temat, i chcą je odzyskać.

- Zapisywał wiele rzeczy - uśmiechnął się cierpko Ichiro. - Co noc czytam jego notatki. Panowie Otori twierdzą, że twoja adopcja była nielegalna i że pewnie już nie żyjesz. Uważają, że skoro Shigeru nie ma spadkobiercy, jego dobra powinny przejść pod zarząd zamku. Cały czas szukam dodatkowych dowodów, byś mógł odzyskać to, co ci się należy. - Jego głos zyskał na sile. - Musisz wrócić, Takeo. Dzięki temu, co zrobiłeś w Inuyamie, poprze cię połowa klanu. Wielu ludzi podejrzewa, że stryjowie Shigeru przyczynili się do jego śmierci. Są oburzeni! Wróć i dopełnij dzieła zemsty!

Wszędzie wyczuwałem obecność Shigeru - miałem wrażenie, że lada chwila wejdzie do pokoju energicznym krokiem, z otwartym uśmiechem na ustach i szczerym spojrzeniem ciemnych oczu, które przecież skrywały tak wiele.

- Wiem, że powinienem tak uczynić - rzekłem powoli. - Inaczej nie zaznam spokoju. Ale jeśli teraz opuszczę Plemię, z pewnością będą próbowali mnie zabić; nie spoczną, póki im się nie uda.

Ichiro odetchnął głęboko.

- Nie sądzę, bym źle cię ocenił - powiedział. - Jeśli jest inaczej, zapewne i tak zaraz mnie zabijesz. Jestem stary, mogę już odejść, ale przedtem chciałbym ujrzeć dzieło Shigeru skończone. Rzeczywiście, prowadził zapiski o Plemieniu. Był przekonany, że dopóki są silni, nikomu nie uda się doprowadzić do pokoju w Trzech Krainach, postanowił zatem dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Wszystko spisywał, lecz bardzo się starał, aby nikt, nawet ja, nie znał treści jego notatek. Był ogromnie skryty, znacznie bardziej, niż ktokolwiek sądził. Musiał być taki: jego stryjowie oraz Iida przez dziesięć lat usiłowali się go pozbyć.

- Możesz mi dać te notatki?

- Nie oddam ich Plemieniu. - Lampa zamigotała, nadając Jego twarzy wyraz chytrości, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziałem. - Muszę dolać oliwy, bo zaraz będziemy siedzieć po ciemku. Poczekaj, obudzę Chio.

- Lepiej nie - ostrzegłem, choć z radością zobaczyłbym starszą panią, która

prowadziła dom i traktowała mnie jak syna. - Nie mogę tu zostać.

- Przyszedłeś sam?

Pokręciłem głową.

- Na zewnątrz czeka na mnie Kikuta Akio.

- Jest niebezpieczny?

- Prawie na pewno mnie zabije. Zwłaszcza jeśli wrócę z pustymi rękami.

Zastanawiałem się, która jest godzina i co teraz robi Akio. Zewsząd dobiegała mnie zimowa pieśń domu. Nie chciałem odchodzić, ale miałem coraz mniej możliwości: wiedziałem, że Ichiro nigdy nie odda zapisków Plemieniu, ja zaś nigdy go nie zabiję, żeby je odebrać. Wyjąłem zza pasa nóż, z ulgą czując w dłoni znajomy ciężar.

- Powinienem teraz się zabić.

- Cóż, to jest jakieś rozwiązanie - powiedział Ichiro i pociągnął nosem. - Ale niezbyt zadowalające. Wtedy co noc odwiedzałyby mnie dwa niespokojne duchy, a mordercy Shigeru uszliby kary.

Lampa zabulgotała. Ichiro wstał.

- Przyniosę olej.

Słuchałem, jak drepcze po domu, i rozmyślałem o Shigeru. Ile wieczorów przesiedział do późna w tym właśnie pokoju? Otaczały mnie skrzynki pełne zwojów. Nagle z absolutną jasnością stanęła mi przed oczami drewniana szkatułka, którą niosłem pod górę w darze dla opata Terayamy owego dnia, gdy poszliśmy do klasztoru obejrzeć obrazy Sesshu. Odniosłem wrażenie, że Shigeru się do mnie uśmiecha. Ichiro wrócił i rozpałił lampę, po czym oświadczył:

- A tych zapisków i tak tu nie ma.

- Wiem - odparłem. - Są w Terayamie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli chcesz usłyszeć moją radę - choć nigdy przedtem nie zwracałeś uwagi na to, co mówię - idź tam. Idź zaraz, dzisiaj. Dam ci pieniądze na drogę. Ukryjesz się przez zimę i będziesz mógł obmyślić zemstę na panach Otori. Tego pragnąłby Shigeru.

- Ja też bym tego pragnął. Ale zawarłem układ z mistrzem Kikuta. Jestem związany słowem.

- Wydawało mi się, że przedtem przysięgałeś wierność Otori - rzekł z wyrzutem Ichiro. - Czyż Shigeru nie uratował ci życia, zanim w ogóle usłyszałeś o Plemieniu? - Przytaknąłem. - I mówisz, że ten Akio ma cię zabić? Więc już złamali dane ci słowo. Umiałbyś mu uciec? Gdzie on jest?

- Zostawiłem go na drodze przed domem. Teraz może być wszędzie.

- No, ale chyba jesteś w stanie pierwszy go usłyszeć? A te sztuczki, które mi płałałeś? Myślałem, że się uczysz, a ty zawsze byłeś gdzie indziej.

- Nauczycielu... - zacząłem. Chciałem go przeprosić, ale uciszył mnie gestem.

- Wszystko ci wybaczam; to nie moje nauki pomogły ci wydostać Shigeru z Inuyamy.

Ponownie wyszedł z pokoju i wrócił po chwili, niosąc sznurek monet i kilka placków ryżowych, owiniętych w liść. Nie wiedziałem, co z nimi zrobić, nie miałem ani płachty podróżnej, ani skrzynki, poza tym musiałem mieć wolne ręce. W końcu zawiązałem pieniądze w opasce biodrowej pod ubraniem, a placki wsunąłem za pas.

- Znajdziesz wyjście? - zapytał Ichiro zrzędlawie, tak jak kiedyś, gdy szliśmy do świątyni lub do miasta.

- Tak sądzę.

- Napiszę list, żeby cię przepuścili przez barierę. Pamiętaj, jesteś sługą tego domu - zresztą stosownie wyglądasz - udaję się do Terayamy, aby poczynić przygotowania do mojej wizyty w klasztorze, który chcę odwiedzić w przyszłym roku. Czeka tam na mnie, spotkamy się, gdy śniegi stopnieją. Shigeru zawarł sojusz z Araim; nie wiem, jak sprawy stoją między wami, ale moim zdaniem powinienś poprosić go o opiekę. Z wdzięcznością przyjmie wszelkie wieści, które pomogą mu rozprawić się z Plemieniem.

Wziął pędzel i jął szybko kreślić znaki na papierze.

- Umiesz jeszcze pisać? - zapytał, nie podnosząc głowy.

- Niezbyt wprawnie.

- Będziesz miał całą zimę, żeby poćwiczyć. - Zapieczętował przesyłkę i wstał. - A tak przy okazji, co się stało z Jato?

- Trafił do moich rąk. Przechowują go dla mnie w Terayamie.

- Pora po niego wrócić - znów się uśmiechnął i mruknął: - Chio zabije mnie za to, że jej nie obudziłem.

Wsunąłem list za pazuchę i objąłem staruszką.

- Dziwne przeznaczenie łączy cię z naszym domem - rzekł. - Tej więzi, moim zdaniem, nie uda ci się zerwać... - Głos mu się załamał; ujrzałem, że znów jest bliski łez.

- Wiem - szepnąłem. - Zrobię wszystko, co zalecasz.

Pojąłem, że nie mogę zrzec się tego domu ani mego dziedzictwa. Należały do mnie i zamierzałem je odzyskać. Wszystko, co mówił Ichiro, układało się w sensowną całość. Musiałem uciec od Plemienia; zapiski Shigeru mogły mnie przed nim uchronić i dostarczyć argumentu przetargowego w rozmowach z Araim. Teraz należało tylko dotrzeć do Terayamy...



Rozdział siódmy

Opuściłem dom tą samą drogą, którą przyszedłem: przez okno, w dół po ścianie, a następnie po słowiczej podłodze. Spała pod moimi stopami, lecz poprzysiągłem sobie, że następnym razem sprawię, iż zaśpiewa. Jednak, inaczej niż poprzednio, nie przeskoczyłem na drogę - tym razem cicho przebiegłem przez ogród, przybrałem niewidzialną postać i przywarłszy do kamieni niczym pajak, przeczołgałem się przez otwór, który odprowadzał strumień do rzeki. Tam skoczyłem do najbliższej łodzi, odcumowałem, chwyciłem leżące na rufie wiosło i z całych sił odepchnąłem się od brzegu.

Łódź stęknęła cicho pod moim ciężarem, prąd szarpnął kadłubem. Ku mojej konsternacji niebo się przetańczyło; zrobiło się znacznie zimniej, ale dzięki księżycowi w trzeciej kwadrze - także znacznie jaśniej. Wtem usłyszałem na brzegu tupot nóg, odesłałem więc swoje drugie „ja” z powrotem pod mur, sam zaś przypadłem do dna.

Akio nie dał się zwieść; odbił się od muru i skoczył w moją stronę, niemal wzlatując w powietrze. Nie bardzo wierzyłem, że uda mi się wymknąć, mimo to znów stałem się niewidzialny i muskając powierzchnię wody, rzuciłem się ku innej łodzi przy nabrzeżu. Pośpiesznie odwiązałem cumę, lecz gdy odpychałem się wiosłem, ujrzałem, że Akio ląduje w rozkołysanej łódce, którą przed chwilą opuściłem, chwytając równowagę, po czym daje ku mnie susa. Czym prędzej znów się rozdzieliłem i zostawiając za sobą drugie „ja”, skoczyłem z powrotem; poczułem drżenie powietrza, gdy mijaliśmy się w locie. Padłem na dno pierwszej łodzi, zerwałem się na nogi i złapawszy wiosło, zacząłem nim machać szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Tymczasem moje drugie „ja” rozplynęło się w uścisku Akio, który znów szykował się do skoku; ratunku mogłem szukać jedynie w nurtach rzeki. Dobyłem noża, by pchnąć prześladowcę, kiedy wyląduje, ale jak zwykle był szybszy i z łatwością uniknął ataku. Na szczęście przewidziałem jego ruch - uderzyłem go wiosłem w skroń tak mocno, że padł na wznak, ogłuszony. Łódź zakołysała się gwałtownie. Straciłem równowagę i kurczowo chwyciłem się burty. Nie miałem ochoty znaleźć się w lodowatej wodzie - chyba że wraz ze mną utonąłby Akio.

Ledwie zdążyłem odskoczyć na dziób, kiedy się ocknął i natychmiast przygniótł mnie całym ciałem. Poczułem na gardle morderczy uścisk jego dłoni. Wciąż byłem niewidzialny, ale i tak nie mogłem nic zrobić, przygwożdżony i bezradny niczym karp na desce kucharza.

Pociemniało mi w oczach, lecz Akio nagle rozluźnił uścisk.

- Ty zdrajco - wydyszał. - Kenji nas ostrzegał, że w końcu wrócisz do Otori.

Właściwie cieszę się, że tak uczyniłeś; pragnąłem twojej śmierci od chwili, gdy cię ujrzałem, a teraz mi zapłacisz. Za obraźliwe zachowanie wobec rodziny. Za moją rękę. I za Yuki.

- Więc mnie zabij, tak jak twoja rodzina zabiła mego ojca, ale pamiętaj, że nasze duchy dopadną cię choćby na końcu świata! Do dnia śmierci będziesz przeklęty! Zamordujesz własnego krewnego!

Łódź niesiona odpływem zadygotała pod nami. Gdyby w owej chwili Akio użył rąk albo noża, nie opowiadałbym teraz tej historii, nie oparł się jednak pokusie ostatniej obelgi.

- Twoje dziecko będzie moje! Wychowam je, jak należy, na prawdziwego Kikutę!
- wrzasnął, potrząsając mną brutalnie. - Pokaż twarz! Chcę zobaczyć twoją minę, kiedy będę ci mówił, że zrobię wszystko, by znienawidziło nawet wspomnienie o tobie! Chcę widzieć, jak umierasz!

Przybliżył się, wypatrując mojej twarzy. Łódź wypłynęła na ścieżkę księżyca. W jego jasnym świetle wróciłem do stanu widzialności i spojrzałem Akio prosto w oczy. Biło z nich uczucie, jakie spodziewałem się zobaczyć: nienawistna zazdrość, która zmąciła i osłabiła jego zdolność oceny.

W ostatniej chwili pojął, co się dzieje, i usiłował odwrócić wzrok, lecz cios w głowę spowolnił jego zazwyczaj szybkie odruchy. Było już za późno - sen Kikuta wziął go w posiadanie. Bezradnie zamrugał powiekami, po czym zwałił się na bok. Łódź zakołysała się gwałtownie i Akio pod własnym ciężarem runął do wody głową naprzód.

Dryfowałem coraz szybciej, niesiony silnym nurtem odpływu. Na wodzie, zalanej księżycową poświatą, ukazała się czarna sylwetka Akio i z wolna ruszyła z prądem. Nie zamierzałem wracać, żeby go dobić; pozostawiłem go własnemu losowi z nadzieją, że utonie bądź zamarźnie. Chwyciłem wiosło i skierowałem łódź na drugą stronę rzeki.

Zanim tam dotarłem, dygotałem z zimna. Piały pierwsze koguty, księżyc stał nisko nad polami. Trawa na brzegu zeszywniała od mrozu, kamienie i gałązki połyskiwały bielą. Spłoszona czapla, być może ta sama, która przylatywała łowić ryby w stawie Shigeru, poderwała się ze snu, wzbiła na najwyższe gałęzie wierzby i odleciała ze znajomym łopotem skrzydeł.

Wyczerpany, lecz zbyt pobudzony, by myśleć o zaśnięciu, ruszyłem pod górę wąską ścieżką, prowadzącą na południowy wschód. Szedłem szybko, księżyc świecił jasno, znałem drogę, toteż z nastaniem świtu miałem już za sobą pierwszą przełęcz. W wiosce, do której zszedłem, prawie wszyscy jeszcze spali, tylko stara kobieta rozdmuchiwała ogień w palenisku. Za drobną monetę odgrzała mi miskę ciepłej zupy, ja zaś nie omieszkałem się jej poskarżyć na stetryczalego nauczyciela, który wysłał mnie do tej zapadłej górskiej dziury, żebym szukał jakiejś świątyni. Zima z pewnością go wykończy, narzekałem, a ja na zawsze utknę na tym odludziu.

- To będziesz musiał zostać mnichem! - zarechotała stara.

- W żadnym wypadku! Za bardzo lubię kobiety!

Moja odpowiedź spodobała się jej do tego stopnia, że wyszukała kilka kiszonych śliwek, aby okraszyć mi śniadanie a gdy ujrzała nanizane na sznur monety, zapagnęła nie tylko mnie nakarmić, ale zaprosić na nocleg. Po ciepłym posiłku demon snu był coraz bliżej; marzyłem tylko o tym, żeby się położyć, bałem się jednak, że zostanę rozpoznany, wręcz żałowałem, iż powiedziałem za wiele. Obawiałem się pościgu - wprawdzie zostawiłem Akio w rzece, wiedziałem jednak, że woda chętnie oddaje swe ofiary, zarówno żywe, jak i martwe. To, że uciekłem z Plemienia, któremu wszak przysiągłem posłuszeństwo, bynajmniej nie napawało mnie otuchą; w zimnym świetle poranka zacząłem pojmować, jak odtąd będzie wyglądało moje życie. Wracalem do Otori z własnego wyboru, lecz miałem świadomość, że już zawsze będzie mnie prześladować lęk przed skrytobójczym zamachem, że cała tajna organizacja z pewnością zmobilizuje się, żeby ukarać mnie za nielojalność. By wymknąć się z sieci, musiałem przemieszczać się szybciej niż posłańcy Plemienia - musiałem dotrzeć do Terayamy, zanim spadnie śnieg.

Kiedy po południu drugiego dnia wędrówki dotarłem do Tsuwano, niebo przybrało barwę ołowiu. Nieustannie wracałem myślami do Kaede, którą spotkałem tu po raz pierwszy, i do naszej ćwiczebnej walki na miecze, kiedy się w niej zakochałem. Dręczyły mnie pytania: czy jej imię figurowało już w księdze tych, co odeszli? Czy do końca swoich dni miałem co roku palić dla niej świeczkę podczas Świąta Umarłych? Czy połączymy się kiedyś, czy też wyrokiem losu nigdy już się nie spotkamy, ani za życia, ani po śmierci? Targały mną żal i wstyd. „Tylko z tobą czuję się bezpieczna” - powiedziała, a ja ją porzuciłem! Przysiągłem sobie, że jeśli los będzie dla mnie łaskawy i pozwoli mi ją odzyskać, już nigdy nie pozwolę jej odejść.

Gorzko żałowałem, że zdecydowałem się przystać do Plemienia, i wielokrotnie zastanawiałem się nad pobudkami, którymi się wówczas kierowałem. Jedną z nich było przekonanie, że moje życie należy do rodziny Kikuta, dobiłem bowiem z nimi targu. Ale jednocześnie zrozumiałem, że owładnęła mną próżność, chęć poznania i rozwinięcia tej części mej natury, która pochodziła od ojca, od Kikuta, od Plemienia - mrocznego dziedzictwa, a zarazem źródła napawających mnie dumą talentów. Chętnie, niemal skwapliwie poddałem się uwodzicielskim sztuczkom Plemienia, owej mieszance pochlebstwa i brutalności, dzięki której tak skutecznie mną manipulowali. Wciąż rozmyślałem nad tym, jakie mam szanse, by im się wymknąć.

Myśli wirowały mi w głowie, szedłem jak w malignie. W ciągu dnia przespałem się trochę w kotlinie nieopodal drogi, ale obudziło mnie zimno; jedynym sposobem, by nie zamarznąć, był ciągły marsz. Okrążywszy miasto, zszedłem z przełęczy, odnajdując nad rzeką właściwą drogę. Woda opadła od czasu powodzi, która ongiś zatrzymała nas w Tsuwano, naprawiono też brzegi, ale tutejszy drewniany most nadal był uszkodzony, wynająłem więc przewoźnika, żeby zawiózł mnie na drugi brzeg. O tej porze roku nikt już się nie przeprawiał, byłem jego ostatnim klientem. Przyjrzał mi się ciekawie, nie

odezwał się jednak i choć nie wyglądał na członka Plemienia, poczułem się trochę nieswojo. Wysiadłem z łodzi i czym prędzej się oddaliłem. Gdy obejrzałem się na zakręcie, wciąż jeszcze za mną patrzył; skinąłem mu głową, ale nie oddał pozdrowienia.

Lodowata wilgoć przeszywała mnie na wskroś. Zaczynałem żałować, że nie znalazłem na noc jakiejś kryjówki, gdyby teraz złapała mnie śnieżycy, miałbym niewielkie szanse na przeżycie. Od Yamagaty wciąż dzieliło mnie kilka dni drogi. Co prawda na granicy lenna znajdowała się stacja, ale mimo przebrania i polecającego listu Ichiro nie bardzo chciałem tam nocować - zbyt wielu kręciło się wokół niej ciekawskich i strażników. Nie wiedziałem, co robić, szedłem więc dalej.

Zapadła noc. Nawet moje wyszkolone przez Plemię oczy z trudem dostrzegały drogę. Dwukrotnie zboczyłem ze szlaku i musiałem wracać po własnych śladach, raz wpadłem w jakąś dziurę czy rów z wodą i przemoczyłem nogi po kolana. Wył wiatr, z lasu dobiegały dziwne odgłosy, przywodzące na myśl legendy o potworach i o widmach, aż ogarnął mnie lęk, że moim tropem podążają umarli.

Gdy niebo na wschodzie wreszcie się rozjaśniło, byłem przemarznięty do kości i dygotałem na całym ciele. Z radością powitałem świt, który jednak nie przyniósł ulgi, uświadomił mi tylko, że zostałem całkiem sam. Po raz pierwszy do mej głowy podstępnie zakradł się pomysł, żeby oddać się w ręce ludzi Araiego, którzy z pewnością obsadzili granicę lenna. Owszem, pojmaliby mnie i doprowadzili przed jego oblicze, ale przedtem na pewno daliby mi coś gorącego do picia, posadzili przy ogniu i zrobili herbaty. Myśl o herbacie stała się moją obsesją; wręcz czułem ciepłą parę na twarzy i rozgrzaną czarkę w dłoniach. Owo marzenie tak mnie pochłonęło, że nie zauważyłem, iż ktoś za mną idzie.

Świadomość czyjejś obecności za plecami sprawiła, że stanąłem jak wryty. Nie słyszałem kroków ani oddechu; ta nagła utrata słuchu zdumiała mnie i przeraziła, miałem wrażenie, że przybysz spadł z nieba bądź unosi się nad ziemią niczym duch. Po czym nabrałem pewności, że w rzeczy samej widzę upiора, że wyczerpanie zmąciło mi umysł: człowiekiem, który za mną szedł, był wyrzutek Jo-An, niedotykany, którego, jak sądziłem, ludzie Araiego zadreczyli na śmierć w Yamagacie!

Wstrząs był tak ogromny, że niemal zemdlałem. Krew odpłynęła mi z głowy, zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby Jo-An mnie nie podtrzymał; jego ręce wydały mi się jak najbardziej realne, silne i masywne, pachnące garbarnią. Ziemia i niebo zawirowały wokół mnie, przed oczami pojawiły się ciemne plamy, w uszach rozległ się ogłuszający ryk. Jo-An szybko wepchnął mi głowę między kolana i ścisnął skronie. Trwałem w tej pozycji, póki ryk nie ustąpił, po chwili odzyskałem także wzrok. Przed sobą ujrzałem ziemię, trawę pokrytą szronem, kamienie obsypane małymi kawałkami czarnego lodu. Wiatr wył w gałęziach cedrów; poza tym słyszałem tylko szczękanie własnych zębów.

Jo-An przemówił. Nie miałem wątpliwości - poznałem jego głos.

- Wybacz mi, panie. Zaskoczyłem cię. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Powiedzieli mi, że umarłeś. Nie wiedziałem, czy żyjesz czy też jesteś duchem.

- Cóż, być może umarłem na jakiś czas. W każdym razie ludzie Araiego tak uznali, więc wyrzucili moje ciało na bagna. Ale Tajemny Bóg miał wobec mnie inne plany, toteż odesłał mnie z powrotem na ten świat. Najwyraźniej moja praca tutaj nie została jeszcze zakończona.

Ostrożnie uniosłem głowę i zerknąłem na niego. Od jego nosa do ucha ciągnęła się świeża blizna, brakowało mu też kilku zębów. Ująłem go za rękę i przyjrzałem się dłoni: jego palce, pozbawione paznokci, były powykęcane i koślawe.

- To ja powinienem błagać cię o wybaczenie - wykrztusiłem, tłumiąc mdłości.

- Nic nie dzieje się wbrew woli bożej - odparł. Zastanowiło mnie, dlaczego wola boża ma polegać na torturach, lecz oszczędziłem tego pytania Jo-Anowi. - Jak mnie znalazłeś? - zapytałem.

- Przewoźnik przyszedł do mnie i powiedział, że ktoś o twoim wyglądzie przeprawił się przez rzekę. Czekałem na wiadomość od ciebie; wiedziałem, że wrócisz. - Podniósł zawiniątko leżące na skraju drogi i zaczął je rozwiązywać. - A więc wreszcie wyrocznia się spełni.

- Jaka wyrocznia? - Przypomniałem sobie, że żona Kenjiego nazwała go obłąkańcem.

Nie odpowiedział. Wyjął z węzełka dwa podpłomyki z prosa, zmówił modlitwę i wręczył mi jeden z nich.

- Wciąż mnie karmisz - powiedziałem. - Nie sędzę, żebym mógł coś zjeść.

- To wypij - odparł Jo-An, podając mi prymitywne naczynie z bambusa.

O piciu też myślałem z niechęcią, uznałem jednak, że trunek trochę mnie rozgrzeje, ale gdy pociągnąłem łyk, znów z rykiem ogarnęła mnie ciemność i zwymiotowałem kilka razy tak gwałtownie, że dostałem drgawek.

Jo-An cmoknął jakby na konia lub wołu z cierpliwością człowieka, który przywykł do zajmowania się zwierzętami, choć oczywiście miał z nimi do czynienia tylko w chwili śmierci oraz później, gdy obdzierał je ze skóry.

- Muszę iść dalej - wystękałem, szczękając zębami, kiedy znów odzyskałem mowę.

- Dokąd?

- Do Terayamy. Chcę tam przezimować.

- Ha - rzekł i popadł w znane mi już milczenie. Modlił się, wsłuchany w jakiś głos wewnętrzny, który podpowiadał mu, co ma robić. - Dobrze - powiedział w końcu. - Pójdziemy przez góry. Jeśli zostaniemy na drodze, zatrzymają cię przy barierze, a poza tym to zbyt długo potrwa; zanim dotrzesz do Yamagaty, spadnie śnieg.

- Przez góry?

Spojrzałem na łańcuch poszarpanych szczytów, ciągnący się ku północnemu wschodowi. Droga z Tsuwano do Yamagaty biegła u jego podnóża, Terayama zaś leżała po drugiej stronie gór. Zwisły nad nimi niskie i ciężkie chmury o matowym,

wilgotnym połysku, zwiastującym śnieżycę.

- Podejście jest strome - uprzedził Jo-An. - Musisz trochę odpocząć, zanim się do niego przymierzysz.

Zacząłem się zastanawiać, jak podnieść się na nogi.

- Nie mam czasu. Muszę dotrzeć do świątyni przed zimą.

Jo-An spojrzał na niebo i wciągnął nosem powietrze.

- Dzisiaj jest za zimno, ale jutro pewnie zacznie padać. Poprosimy Tajemnego, by powstrzymał śnieg.

Wyprostował się i pomógł mi wstać.

- Możesz już iść? Mieszkam niedaleko. Odpoczniesz, a potem zabiorę cię do ludzi, którzy pokażą ci drogę przez góry.

Czułem się słaby, niemal bezcielesny, jakbym się rozdwoił i w jakiś sposób odszedł wraz ze swym drugim „ja”. Z wdzięcznością myślałem o ćwiczeniach Plemienia, dzięki którym nauczyłem się szukać w sobie rezerw siły, nieznanych większości ludzi. Skupiłem się na oddechu i wkrótce poczułem, że z wolna wraca mi odporność i energia. Jo-An niewątpliwie przypisał moje ozdrowienie mocy swojej modlitwy; spojrzał na mnie uważnie, po czym odwrócił się z uśmiechem i ruszył z powrotem tam, skąd przyszliśmy.

Wahałem się przez chwilę, po trosze dlatego, że myślałem o powrocie po własnych śladach drogą, której pokonanie tak wiele mnie kosztowało, była mi nienawistna, ale także dlatego, że wzdragałem się przed towarzystwem wyrzutka. Rozmowa z tym człowiekiem nocą, sam na sam, to jedno, lecz przebywanie z nim publicznie to całkiem co innego. Daremnie się napominałem, że choć już nie należę do Plemienia, to jeszcze nie jestem panem Otori, że Jo-An oferuje mi pomoc i schronienie - kiedy za nim szedłem, cierpła mi skóra.

Po niecałej godzinie marszu skręciliśmy z drogi na ścieżkę, prowadzącą brzegiem wąskiego potoku przez kilka nędznych wiosek. Dzieci podbiegały do nas, żebrząc o jedzenie, lecz na widok wyrzutka uciekały, raz starsi chłopcy ośmielili się ciskać w nas kamieniami. Jeden z nich niemal trafił mnie w plecy - na szczęście zdążyłem się uchylić - chciałem więc wrócić i ukarać winowajcę, ale Jo-An mnie powstrzymał.

Poczułem zapach garbarni znacznie wcześniej, niż ją ujrzałem. Potok robił się coraz szerszy, aż wreszcie ukazało się jego ujście do rzeki oraz szeregi drewnianych ram z rozpiętymi na nich skórami. Choć ramy w owym osłoniętym, wilgotnym miejscu były częściowo chronione przed mrozem, z nadejściem zimy rozbierano je i przechowywano do wiosny. Mimo wczesnej pory już krzatali się przy nich ludzie, wszyscy, rzecz jasna, niedotykalni, wszyscy, nie bacząc na zimno, rozebrani do pasa, wszyscy równie chudzi jak Jo-An, o takim samym zmaltretowanym wyglądzie zbitego psa. Nad rzeką unosiły się mgły, zmieszane z dymem tłących się węgla drzewnych; jej brzegi łączył pływający pomost, sklecony z trzciny i kawałków bambusa powiązanych sznurkiem. Przypominałem sobie radę Jo-Ana, żebym przyszedł do mostu niedotykalnych, gdybym

kiedykolwiek potrzebował pomocy. Teraz przywiodło mnie tu przeznaczenie, choć on z pewnością uznałby, że była to wola Tajemnego.

Za ramami wznosiły się niskie, drewniane chaty, które pierwszy silniejszy podmuch wiatru zapewne zmiotłby z powierzchni ziemi. Na nasz widok robotnicy nie przerwali pracy, jednak podążając za Jo-Anem do najbliższego domu czułem na sobie ich spojrzenia, przepełnione żarliwym błaganiem, zupełnie jakbym coś dla nich znaczył i był w stanie im pomóc.

Skrywając niechęć, wszedłem do izby. Nie musiałem zdejmować butów - pod nogami miałem klepisko. Na środku palił się mały ogień, od gęstego dymu łzy pociekły mi z oczu. W kącie leżał ktoś skulony, zwinięty pod kłębem skór. Sądziłem, że to żona Jo-Ana, lecz gdy ten ktoś wstał i na klęczkach przyczołgał się ku mnie, bijąc czołem o ziemię, poznałem mężczyznę, który przewiózł mnie przez rzekę.

- Szedł prawie całą noc, by mi powiedzieć, że cię spotkał - rzekł Jo-An przepraszając. - Musi trochę odpocząć, zanim ruszy z powrotem.

Wiedziałem doskonale, jak bardzo poświęcił się ten człowiek - nie tylko samotnie wędrował przez pełną upiórów ciemność, lecz także narażał się na napasć bandytów lub patroli, nie mówiąc już o utracie całodziennego zarobku.

- Dlaczego to dla mnie zrobił?

Przewoźnik wyprostował się wówczas i spojrzał wprost na mnie. Milczał, lecz w jego spojrzeniu gorzało to samo uczucie co w oczach pracowników garbarni, ten sam pełen pasji głód. Widziałem go już wcześniej, kilka miesięcy temu, podczas wyjazdu z Terayamy do Yamagaty; takie miny mieli ludzie odprowadzający Shigeru, jakby o coś go prosili.

Osoba Shigeru stanowiła dla nich obietnicę sprawiedliwości i współczucia, a teraz garbarze szukali czegoś podobnego we mnie. Jo-An powiedział im o mnie coś, dzięki czemu stałem się ich nadzieją.

Podobnie jak wtedy, gdy patrzyłem na wieśniaków i ich poletka, także i teraz owo wyczekujące spojrzenie poruszyło we mnie jakąś ukrytą strunę. Ci ludzie byli traktowani jak psy, bici i głodzeni, a przecież mieli ludzkie umysły i serca, nie gorsze niż u wojowników czy kupców. Wychowywałem się wśród takich jak oni, w przekonaniu, że Tajemny Bóg patrzy na wszystkich jednakowo. Nieważne, kim byłem teraz, nieważne, czego nauczyło mnie Plemię i klan Otori - mimo niechęci do wyrzutków nie potrafiłem zapomnieć tych lekcji najwcześniejszego dzieciństwa.

- Teraz on należy do ciebie - powiedział Jo-An. - Tak jak ja, jak my wszyscy. Wystarczy, że nas wezwiesz - uśmiechnął się, a jego wyszczerbione zęby błysnęły w mętным świetle ogniska.

Zaparzył herbatę i podał mi małą czarkę z drewna. Poczułem w nozdrzach znajomy zapach - napar zrobiono z gałązek, takich samych, jakich używaliśmy w Mino.

- Po co miałbym was wzywać? Wojsko, oto czego mi trzeba!

- Tak, wojsko - przytaknął Jo-An. - Czeka cię wiele bitew. Tak mówi wyrocznia.

- A jak wy możecie mi pomóc? Wam nie wolno zabijać.

- Zabijać będą wojownicy - odparł. - Ale wojownicy nie robią wielu innych niezbędnych rzeczy, do których nie chcą się zniżyć, takich jak budowanie, ubój zwierząt, grzebani zwłok. Zrozumiesz to, kiedy staniemy się ci potrzebni.

Pod wpływem herbaty mój żołądek uspokoił się nieco Jo-An wyjął dwa kolejne placki z prosa, ale nie miałem apetytu i nakłoniłem przewoźnika, żeby zjadł moją porcję. Jo-An też nie był w stanie nic przełknąć; kiedy chował swój placek do węzełka, zauważyłem, że drugi mężczyzna podąża za nim wzrokiem. Zanim odszedł, dałem mu zatem kilka monet których nie chciał przyjąć - musiałem niemal siłą wcisnąć mu je do ręki.

Jo-An wymamrotał mu nad głową błogosławieństwo podróży, po czym zwrócił się do mnie, wskazując mi legowisko. Wciąż rozgrzany ciepłą herbatą wsunąłem się pod skóry - cuchnęły, lecz chroniły od zimna i tłumiły dźwięki. Przeszło mi przez myśl, że któryś z tych głodujących ludzi zapewne gotów jest zdradzić mnie za miskę zupy, ale nie miałem wyboru: musiałem zaufać Jo-Anowi. Podałem się ciemności, która zagarnęła mnie i uniosła głęboko w sen.

Obudziłem się po kilku godzinach. Minęło południe. Jo-An przyniósł mi herbatę - a właściwie gorącą wodę - i przeprosił, że nie może mi zaoferować nic do jedzenia.

- Powinniśmy już iść - oznajmił - jeśli mamy dotrzeć do węglarzy przed zmrokiem.

- Do węglarzy? - zazwyczaj budziłem się szybko, lecz tym razem byłem całkiem ośpiąły.

- Są jeszcze na górze. Znają ścieżki przez las, którymi przeprowadzą cię przez granicę. Ale muszą odejść z pierwszym śniegiem. - Zawahał się, po czym dodał: - Po drodze powinniśmy z kimś porozmawiać.

- Z kim?

- To nie potrwa długo - rzucił mi jeden ze swych przelotnych uśmiechów.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie zatrzymałem się nad rzeką i ochlapałem wodą twarz. Była lodowata: zgodnie z zapowiedzią Jo-Ana temperatura spadła, a w powietrzu nie wyczuwało się wilgoci. Było za zimno i za sucho na śnieg.

Otrząsałem wodę z rąk, Jo-An zaś tymczasem porozmawiał z pozostałymi. Zobaczyłem błysk ich spojrzeń; gdy odchodziliśmy, przerwali pracę i przyklękli z pochylonymi głowami.

- Wiedzą, kim jestem? - zapytałem Jo-Ana po cichu. Znów poczułem obawę przed zdradą - ci ludzie mieli wszakże tak niewiele.

- Wiedzą, że jesteś Otori Takeo - odparł. - Anioł z Yamagaty, niosący sprawiedliwość i pokój. Tak mówi wyrocznia.

- Jaka wyrocznia? - zapytałem ponownie.

- Sam usłyszysz.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Co ja zrobiłem, powierzając życie temu szaleńcowi?

Czułem, że każda chwila zwłoki oddala mnie od Terayamy, że nie zdążę tam dotrzeć przed pierwszym śniegiem, że z pewnością dogoni mnie Plemię. Rozumiałem jednak, że jedyną nadzieją pozostaje droga przez góry. Musiałem iść za Jo-Anem.

Mniejszy strumień przekroczyliśmy przy stawie rybnym. Spotkaliśmy niewielu ludzi - dwóch rybaków i grupkę dziewcząt, które niosły jedzenie wieśniakom, palącym słom ryżową i rozrzucającym gnój na pustych polach. Dziewczęta wołały wejść na wysoki brzeg niż przeciąć nam drogę. Jeden z rybaków splunął w naszą stronę, drugi zaczął wymyślać Jo-Anowi za to, że niedotykali skalali wodę. Odwróciłem twarz i pochyliłem głowę, ale nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Prawdę mówiąc, ludzie w ogóle unikali patrzenia na nas, jakby nawet kontakt wzrokowy mógł ściągnąć na nich zarazę i nieszczęście.

Jo-An, zda się, nie dostrzegł wrogości, tylko zapadł się w siebie niczym w ciemną opończę. Jednak gdy mineliśmy tych ludzi, zauważył z goryczą:

- Nie pozwolili nam przenosić skór przez drewniany most, więc musieliśmy wybudować własny. Teraz drewniany most jest zniszczony, a oni nadal nie chcą używać naszego. - Pokręcił głową i westchnął: - Szkoda, że nie znają Tajemnego!

Około mili szliśmy wzdłuż strumienia, po czym skręciliśmy na północny zachód i ruszyliśmy pod górę. Ogołocone z liści klony i buki z wolna ustępowały sosnom i cedrom. Las zgęstniał, ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, aż zamieniła się w kamienne osypisko, po którym częściej posuwaliśmy się na czworakach niż w pozycji wyprostowanej. Sen mnie odświeżył, czułem, że wracają mi siły, również Jo-An wspinał się niezmordowanie, właściwie bez zadyszki. Trudno było odgadnąć jego wiek - wyniszczony przez nędzę i cierpienie wyglądał niemal na starca, lecz równie dobrze mógł sobie liczyć około trzydziestu lat. Miał w sobie coś niesamowitego, jakby istotnie powstał z martwych.

Wreszcie dotarliśmy na grań, gdzie na małej trawiastej platformie leżał oderwany z urwiska ogromny złom skalny, pod nami lśniła nitka rzeki, widoczna aż do Tsuwano; dolinę zasnuwały mgły i dymy, przeciwległy łańcuch gór krył się za niskimi chmurami. Po wspinaczce byliśmy rozgrzani, wręcz spoceni, w ostrym powietrzu unosiły się białe obłoczki naszych oddechów. Na bezlistnych krzakach wciąż jarzyły się czerwienią nieliczne późne jagody, poza tym jednak nigdzie nie dostrzegłem żadnych barw, nawet wiecznie zielone drzewa zmatowiały niemal do czerni. W oddali pluskała woda, na urwisku nawoływały się dwa kruki. Kiedy zamilkły, usłyszałem, że niedaleko ktoś oddycha.

Dźwięk ten, miarowy i powolny, zdawał się wydobywać z wnętrza skały. Uciszyłem oddech i dotknąłem ramienia Jo-Ana, wskazując w stronę, z której rozlegał się dźwięk.

Uśmiechnął się.

- Nie ma się czego bać. To osoba, do której przyszliśmy.

Kruki zakrakały ponownie, chrapliwie i złowieszczo.

Zadrzałem. Chłód podpełzał coraz bliżej, osaczał mnie ze wszystkich stron. Lęki minionej nocy znów pokazały oblicza. Chciałem iść dalej; nie chciałem widzieć tego kogoś, kto ukrywał się za skałą i oddychał tak wolno, że chyba nie mógł być człowiekiem.

- Chodź - szepnął Jo-An.

W ślad za nim okrążyłem skałę, usiłując nie patrzeć w przepaść, i moim oczom ukazała się grota w zboczu góry.

Z jej sklepienia kapala woda, która przez wieki osadziła na dnie wapienne iglice i kolumny oraz wyźłobiła rynnę prowadzącą do małego, głębokiego stawu, lśniącego bielą, okrągłego go niczym studnia. Woda w stawie była czarna jak smoła.

Sklepienie jaskini opadało ukosem. Na jego tle na przeciwnym, wyższym brzegu stawu widniała siedząca postać która, zda się, przez wieki zmieniała się w kamień; gdyby nie oddech, z łatwością wziąłbym ją za posąg szarobiałej, skalnej barwy. Nie wiedziałem, czy mam przed sobą mężczyznę, czy kobietę, lecz rozpoznałem w niej jedną z owych sędziwych osób - żyjących w odosobnieniu mnichów bądź mniszek - które przekroczywszy ograniczenia płci, tak bardzo zbliżają się do następnego świata, że stają się niemal czystym duchem. Włosy okrywały ją niczym biały szal, twarz i dłonie przypominały szary papier.

Siedziała w postawie medytacyjnej bez śladu wysiłku lub niewygody. Przed nią stał prowizoryczny ołtarzyk z kamieni, na którym ktoś złożył ostatnie jesienne lilie oraz inne dary: dwie gorzkie pomarańcze o pomarszczonej skórze, skrawek tkaniny i kilka drobnych monet. Kapliczka wyglądała jak wiele innych, wznoszonych ku czci boga gór, gdyby nie wyryty w kamieniu znak Ukrytych, taki sam, jaki dawno temu w Chigawie pani Maruyama nakreśliła na mojej dłoni.

Jo-An rozwiązał węzełek i wyjął zeń ostatni placek z prosa, który ostrożnie umieścił na ołtarzu, po czym skłonił się do ziemi. Postać otworzyła oczy - niewidzące, zmaczone ślepotą - a stara twarz przybrała wyraz, na widok którego padłem na kolana i uderzyłem czołem o ziemię: był to wyraz najgłębszej czułości i współczucia, nierozdzielnie związany z absolutną mądrością. Nie miałem wątpliwości, że stoję w obliczu świętej.

- Tomasu - powiedziała głosem, zda się, bardziej kobiecym niż męskim. Od dawna nikt nie nazywał mnie wodnym imieniem, które nadała mi matka; włosy zjeżyły mi się na karku, zadygotałem nie tylko z zimna.

- Usiądź prosto - rzekła. - Mam ci do przekazania słowa, których musisz wysłuchać. Jesteś Tomasu z Mino, który stał się Otori i Kikuta. Krew trzech ludów miesza się w twych żyłach. Choć urodziłeś się wśród Ukrytych, wyszedłeś na światło dzienne i twoje życie nie należy już do ciebie. Ziemia spełni pragnienie Niebios.

Zamilkła. Mijały minuty. Chłód przenikał mnie do kości. Zastanawiałem się, czy powie coś jeszcze. Z początku zdumiałem się, że tyle o mnie wie, potem pomyślałem, że Jo-An coś jej opowiadał. Jeśli była to przepowiednia, to brzmiała tak mętnie, że nic dla

mnie nie znaczyła. Jeszcze trochę, myślałem, a zamarznię tu na śmierć. Tylko moc oczu niewidomej powstrzymywała mnie od powstania z klęczek.

Słyszałem oddechy naszej trójki oraz odgłosy gór: chrapliwe krakanie kruków, niespokojny poszum cedrów targanych północno-wschodnim wiatrem, plusk i kapanie wody, a także jęk skały, kurczącej się na mrozie.

- Będiesz władał ziemią od morza do morza - powiedziała wreszcie święta. - Lecz ceną pokoju jest rozlew krwi. Pięć bitew kupi ci pokój, cztery wygrane i jedna przegrana.

Wielu umrze, ty jednak ujdiesz śmierci, chyba że padniesz z ręki syna.

Znów zapadło długie milczenie. Z każdą chwilą robiło się ciemniej, nadchodził wieczór, a z nim mróz. Zacząłem błądzić wzrokiem po jaskini. U boku świętej, na drewnianym klocku rzeźbionym w kwiaty lotosu stał młynek modlitewny. Zdumiało mnie to - wiedziałem, że kobiety nie mają wstępu do górskich kaplic, a już nigdzie nie spotkałem takiej mieszanki symboli, jakby mieszkali tu wspólnie Tajemny Bóg, Oświecony oraz duchy gór.

Przemówiła, jakby widziała moje myśli, głosem, w którym zabrzmiały śmiech i zdziwienie:

- Wszystko jest jednym. Zachowaj to w sercu. Wszystko jest jednym.

Dotknęła młynka, wprawiając go w ruch, a jego rytm, zda się, wlał się do moich żył i stopił z moją krwią. Zaczęła niewyraźnie recytować słowa, których nigdy przedtem nie słyszałem. Płynęły obok nas, nad nami, i ulatywały z wiatrem; a gdy zacząłem je rozumieć, zamieniły się w pożegnalne błogosławieństwo Ukrytych. W końcu wręczyła nam miseczkę i kazała napić się wody ze stawu.

Na powierzchni utworzyła się już cienka warstwa lodu; woda była tak zimna, że ścierpły mi zęby. Jo-An pośpiesznie ruszył do wyjścia, z niepokojem zerkając na północ. Ostatni raz rzuciłem okiem na świętą, siedzącą nieruchomo niczym kawałek skały. Nie mieściło mi się w głowie, że zostanie tu sama.

- Jak ona da sobie radę? - zapytałem Jo-Ana. - Przecież zamarznie na śmierć.

- Bóg się o nią zatroszczy - odparł z powagą. - Ona nie dba o to, czy umrze, czy będzie żyła.

- Tak jak ty?

- To święta osoba. Kiedyś myślałem, że jest aniołem, ale to istota ludzka, przeistoczona z łaski boga.

Nie chciał dłużej rozmawiać, jakby udzielił mu się mój niepokój.

W szybkim tempie dotarliśmy do piarżyska, które pokonaliśmy na czworakach. Po drugiej stronie widniała ścieżka na szerokość człowieka, znikająca w ciemnym lesie. Jo-An przyspieszył. Znów zaczęliśmy się wspinać.

Opadłe liście i sosnowe igły tłumiły nasze kroki, pod drzewami zapadała już noc. Szybki marsz nieco mnie rozgrzał, miałem jednak wrażenie, iż ręce i nogi ciążyły mi niczym kamienie, jakby wapienna woda, której się napiłem, z wolna zamieniała mnie w

skąłę. Zagadkowe słowa świętej zmroziły mi serce. Jaka przyszłość mnie czekała? Nie brałem dotąd udziału w żadnej bitwie - czy teraz rzeczywiście miałem walczyć aż w pięciu? Jeśli przelana krew była ceną pokoju, to pięć bitew zaiste stanowiło cenę bardzo wysoką. A myśl, że mój nienarodzony syn mógłby mnie zabić, nappełniała mnie niewymownym smutkiem.

Dogoniłem Jo-Ana i dotknąłem jego ramienia.

- Co to wszystko znaczy?

- To, co słyszałeś - odparł, zwalniając, aby nabrać tchu.

- Tobie mówiła to samo?

- Tymi samymi słowami.

- Kiedy?

- Gdy umarłem i wróciłem do życia. Chciałem żyć tak jak ona, zostać pustelnikiem na górze. Sądziłem, że mogę być jej sługą albo uczniem. Ale powiedziała, że moja praca na tym świecie jeszcze nie dobiegła końca, i wygłosiła te słowa o tobie.

- Opowiadałeś jej o mnie, o mojej przeszłości?

- Nie - wyjaśnił cierpliwie. - Nie było potrzeby, ona wszystko wie. Mówiła, że mam ci służyć, bo ty przyniesiesz pokój.

- Pokój? - powtórzyłem.

Czy właśnie pokój miała na myśli, mówiąc o pragnieniu Niebios? Nie byłem nawet pewien, co oznacza to pojęcie. Samo słowo „pokój” brzmiało jak wyjęte z fantazji Ukrytych, z historii królestwa, o którym matka szeptała mi wieczorami. Czy kiedykolwiek uda się powstrzymać wojny klanów? Cała klasa wojowników zajmowała się walką - do tego ich wychowywano i szkolono, po to żyli. Posłuszni tradycji i poczuciu honoru osobistego mieli ciągłą potrzebę zagarniania terytorium, co wiązało się z utrzymywaniem armii zgodnie z wymogami kodeksów wojennych i wciąż zmieniających się sojuszy, a nade wszystko z przytłaczającymi ambicjami watażków takich jak Iida Sadamu, a teraz również i Arai Daiichi.

- Pokój dzięki wojnie?

- A jest inny sposób? - zapytał Jo-An. - Czekają nas bitwy. Cztery wygrane, jedna przegrana.

- Dlatego już się szykujemy. Widziałeś mężczyzn w garbarni, widziałeś ich oczy. Od czasu gdy swym wypadem do zamku Yamagata miłosiernie położyłeś kres cierpieniom Ukrytych, jesteś dla tych ludzi bohaterem. A potem... to, co zrobiłeś dla pana Shigeru w Inuyamie... Nawet bez wyroczni gotowi są za ciebie walczyć. A teraz w dodatku mają pewność, że bóg jest po twojej stronie.

- Ta kobieta siedzi w górskiej kapliczce i używa młynka modlitewnego - zamyśliłem się. - A jednak pobłogosławiła nas na modłę twego ludu.

- Naszego ludu - poprawił mnie. Pokręciłem głową.

- Nie przestrzegam już tych nauk. Wiele razy zabijałem. Naprawdę wierzysz, że przemawia przez nią twój bóg?

Albowiem Ukryci głoszą, że Tajemny Bóg jest jedynym prawdziwym bogiem, a duchy czczone przez innych to jedynie złudzenia.

- Nie wiem, po co bóg każe mi jej słuchać. Ale każe, więc słucham.

Oszalał, pomyślałem, tortury i strach doprowadziły go do obłąd.

- Powiedziała: „Wszystko jest jednym”. Chyba w to nie wierzysz?

- Wierzę w nauki Tajemnego - powiedział cicho. - Przestrzegam ich od dzieciństwa. Wiem, że są słuszne. Ale wydaje mi się, że istnieje miejsce poza słowami, poza naukami, gdzie to zdanie mogłoby być prawdą. Gdzie widać, że wszystkie wiary płyną z jednego źródła. Mój brat, który był kapłanem, uznałby to za herezję. Jeszcze nie dotarłem do tego miejsca, ale ona w nim mieszka.

Milczałem, myśląc, że jego słowa odnoszą się również do mnie. Czułem, że trzy składowe mojej natury drzemia we mnie, zwinięte niczym węże, z których każdy, gdybym mu pozwolił, zdołałby uśmiercić pozostałe. Prowadząc jeden rodzaj życia, sprzeniewierzałbym się sobie w dwóch trzecich. Mogłem jedynie posuwać się naprzód - przekroczyć podziały i znaleźć sposób, aby je usunąć.

- I ty również w to wierzysz - rzekł Jo-An, jakby czytając w moich myślach.

- Chciałbym - westchnąłem. - Ale ona żyje w stanie najwyższego uduchowienia, podczas gdy ja... ja mam bardziej praktyczne podejście. Po prostu nic innego mi nie pozostaje.

- A więc jesteś tym, który przyniesie pokój.

Nie chciałem słuchać tej wyroczni. Zwiastowała zarazem coś więcej i coś mniej niż to, czego pragnąłem w życiu. Ale słowa starej kobiety zapadły mi głęboko w duszę i już nie umiałem się od nich wyzwolić.

- Ci ludzie w garbarni... twoi ludzie... nie będą walczyć, prawda?

- Niektórzy tak.

- A potrafią?

- Można ich nauczyć. Istnieje wiele innych rzeczy, które umieją robić - budować, nosić ciężary, prowadzić po sekretnych ścieżkach.

- Takich jak ta?

- Tak. Tę wydeptali węglarze. Zawsze maskują początek drogi stosem kamieni. Mają przejścia przez całe góry.

Rolnicy, niedotykalni, węglarze - żaden z tych ludzi nie powinien nosić broni ani brać udziału w wojnach klanów. Ciekawe, ilu z nich przypominało Jo-Ana lub owego wieśniaka, którego zabiłem w Matsue. Ileż odwagi i inteligencji się marnowało - aż żal byłoby ich nie wykorzystać! Gdybym ich wyszkolił i uzbroił, miałbym tylu ludzi, ilu potrzebowałem. Tylko czy wojownicy zechcieliby walczyć z nimi ramię w ramię? Czy też mnie również uznaliby za wyrzutka?

Zaabsorbowany tymi myślami poczułem nagle woń spalenizny, a po chwili dobiegł mnie wyraźny dźwięk rozmów oraz inne odgłosy ludzkiej aktywności, brzęk siekiry, trzaskanie ognia. Jo-An zauważył, że odwracam głowę.

- Już coś słyszysz?

Przytaknąłem, nasłuchując. Było ich czterech, sądząc po głosach, i być może jeszcze jeden, który nic nie mówił, lecz charakterystycznie stapał. Co niezwykle, nie słyszałem psów.

- Wiesz, że jestem półkrwi Kikuta z Plemienia. Posiadam wiele ukrytych talentów - powiedziałem.

Mimo woli wzdrygnął się lekko - owe talenty dla Ukrytych wyglądały jak czary. Mój ojciec, nawracając się na ich wiarę, odrzucił wszystkie umiejętności Plemienia, po czym zginął, gdyż złożył ślubowanie, że nigdy już nie będzie zabijał.

- Wiem - rzekł krótko Jo-An.

- Będą mi potrzebne, jeśli mam dokonać tego, czego po mnie oczekujesz.

- Plemię to dzieci diabła - mruknął, lecz zaraz dodał pośpiesznie: - Ale ty, panie, to co innego.

Uświadomiłem sobie, na jakie zagrożenie naraża się dla mnie, nie tylko ze strony sił ziemskich, lecz i nadprzyrodzonych. Z powodu swego pochodzenia byłem w jego mniemaniu równie niebezpieczny jak upiór albo wodnik. Tym bardziej zdumiewała mnie siła jego przekonań, dzięki której całkowicie złożył w moje ręce swój los.

Zapach dymu stawał się coraz mocniejszy. Na naszych ubraniach i skórze zaczęły osiadać drobinki popiołu, złowieszczo przypominające śnieg, ziemia poszarzała, aż wreszcie wyszliśmy na rozległą polanę.

Stało tam kilka pieców węglowych, okrytych mokrą ziemią i darnią, z których rozpalony był tylko jeden, błyskając czerwienią przez szpary. Trzech ludzi rozbierało piece i pakowało węgle, kolejny klęczał przy ognisku, nad którym zwisał z trójnoga parujący czajnik. Czterech - byłem jednak pewien, że słyszałem pięciu. Wtem za moimi plecami rozległy się ciężkie kroki oraz syk odruchowo wciąganego powietrza, który często poprzedza atak. Odepchnąłem Jo-Ana i jednym susem obróciłem się twarzą do napastnika.

Największy człowiek, jakiego zdarzyło mi się spotkać, zmierzał ku mnie, wyciągając ręce - a raczej jedną rękę i kikuta. Ten widok sprawił, że powstrzymałem cios. Zostawiłem na ścieżce sobowtóra, po czym przemknąłem za plecy wielkoluda i krzyknąłem, unosząc wysoko nóż, aby wyraźnie zobaczyć, że mogę zaraz poderżnąć mu gardło.

- To ja! - zawołał Jo-An. - To ja, durniu!

Człowiek przy ogniu ryknął śmiechem, węglarze zbliżyli się pędem.

- Panie, nie rób mu krzywdy! - jęknęli błagalnie. - Nie chciał zrobić nic złego. Po prostu go zaskoczyłeś.

Olbrzym opuścił ręce i stanął z jedyną dłonią odwróconą w geście poddania.

- To niemowa - wyjaśnił Jo-An. - Ale nawet bez ręki jest silny jak dwa woły. Ciężko pracuje.

Węglarze, najwyraźniej przerażeni, że ukarzę ich największy skarb, rzucili mi się

do stóp i jęli prosić o litość. Dałem im znak, by wstali, i przykazałem lepiej pilnować swego wielkoluda.

- Mogłem go przecież zabić!

Wówczas powitali mnie, jak należy, poklepalili Jo-Ana po ramieniu i nie przestając się kłaniać, zaprosili mnie, bym usiadł przy ogniu. Wręczono mi czarkę herbaty; nie miałem pojęcia, z czego ją zaparzyli, nigdy nie piłem nic podobnego, ale przynajmniej była gorąca. Tymczasem Jo-An zwołał na stronie szeptaną naradę, najwyraźniej nieświadom, że słyszę każde słowo.

Najpierw wyjaśnił, kim jestem, wywołując stłumione okrzyki i dalsze ukłony, po czym oznajmił, że muszę jak najprędzej dostać się do Terayamy. Po krótkiej sprzeczce o to, którą drogę wybrać i czy lepiej wyruszyć natychmiast, czy poczekać do rana, wszyscy wrócili do ogniska i zasiedli w kręgu, wlepiając we mnie oczy, płonące w ciemnych twarzach niczym węgle. Byli szarzy od popiołu i sadzy, nędznie ubrani, a jednak zimno nie robiło na nich wrażenia. Wypowiadali się jako grupa, wyraźnie wspólnie myśleli i odczuwali. Wyobrażałem sobie, że tutaj, w lesie, przestrzegali własnych reguł, żyjąc jak dzikusy, niemal jak zwierzęta.

- Nigdy przedtem nie rozmawiali ze szlachcicem - powiedział Jo-An. - Jeden chciał wiedzieć, czy jesteś herosem Yoshitsune, powracającym z głównego łądu. Wyjaśniłem, że choć wędrujesz po górach jak Yoshitsune i wielu ludzi cię ściga, zostaniesz jeszcze większym bohaterem, on bowiem poniósł klęskę, tobie zaś bóg zapewni powodzenie.

- Czy pan pozwoli nam ścinać drzewa, gdzie zechcemy? -zapytał jeden ze starszych mężczyzn, nie zwracając się do mnie, lecz do Jo-Ana. - Nie wolno nam już wchodzić do wielu części lasu. Gdybyśmy ścięli drzewo bez pozwolenia... - wymownym gestem przeciągnął palcem po szyi.

- Głowa za drzewo, ręka za gałąź - dodał inny. Chwycił olbrzymia za okaleczone ramię i podniósł je do góry. Kikut zagoił się, tworząc pomarszczoną, siną bliznę, a w miejscach, gdzie rana została przypalona, biegly pod górę szare zacieki.

- Strażnicy klanu Tohan urządzili go tak kilka lat temu. Widzieli, że nic nie pojmuje, a mimo to odjęli mu dłoń.

Olbrzym wyciągnął ku mnie ramię, kiwając głową ze smutną i zdziwioną miną.

Wiedziałem, że Otori również zabraniają bezplanowej wycinki drzew, pragnąc jak najdłużej chronić lasy, nie słyszałem jednak, by stosowali tak niehumanitarne kary. Zastanawiałem się, jaki sens ma takie okaleczanie człowieka - czyżby życie istoty ludzkiej naprawdę było warte mniej niż drzewa?

- Pan Otori odzyska wszystkie te ziemie - oznajmił Jo-An. - Będzie rządził od morza do morza. Zaprowadzi sprawiedliwość.

Znów się ukłonili, przysięgając, że będą mi wiernie służyć, ja zaś obiecałem, że zrobię dla nich, co w mojej mocy, kiedy nadejdzie pora. Następnie nakarmili nas mięsem małych ptaszków, które schwytali w sidła, oraz duszonym zającem. Nie licząc

rosółu z kurczaka u zapaśników, nie pamiętałem już, kiedy ostatni raz jadłem mięso, jednak tamta potrawa w porównaniu z obecną wydała mi się mdła. Szarak, mający stanowić zwieńczenie pobytu na górze, został schwytany we wnyki tydzień temu i zakopany, aby nie znalazł go żaden wścibski urzędnik, któremu zachciałoby się skontrolować obóz. Smakował ziemią i krwią.

Podczas posiłku ułożyli plan na następny dzień. Uzgodnili, że jeden z nich zaprowadzi mnie do granicy - dalej nie ośmielali się zapuszczać, sądząc jednak, że droga do Terayamy jest prosta i dobrze widoczna. Mieliśmy wyruszyć o pierwszym brzasku; podróż nie powinna mi zająć więcej niż dwanaście godzin, jeżeli oczywiście nie spadnie śnieg.

Wiatr obrócił się nieco na północ, niosąc groźbę mrozu. Węglarze już przedtem zaplanowali, że tego wieczora rozbiorą ostatni piec, a następnego dnia zaczną schodzić na dół. Jo-An obiecał, że zastąpi w ich gronie człowieka, który miał iść ze mną jako przewodnik.

- Nie mają nic przeciwko pracy z tobą? - zapytałem go, gdy zostaliśmy sami.

Węglarze stanowili dla mnie zagadkę: jedli mięso, a więc nie byli wyznawcami Oświeconego, nie modlili się przed jedzeniem jak Ukryci oraz, inaczej niż wieśniacy, akceptowali niedotykalnego, z którym pracowali i jedli posiłki.

- Też są niedotykalni - odparł. - Palą nie tylko drewno ale i zwłoki. Ale nie należą do Ukrytych; czczą duchy lasu zwłaszcza boga ognia. Wierzą, że bóg ten jutro zejdzie z nimi z góry i zamieszka u nich przez zimę, ogrzewając ich domy, i że wiosną odprowadzą go z powrotem na górę. - W głosie Jo-Ana zabrzmiała nuta potępienia. - Próbowałem im opowiadać o Tajemnym Bogu, ale twierdzą, że nie mogą porzucić boga przodków, któż bowiem rozpaliby ich piece?

- Może wszystko jest jednym - zażartowałem zeń delikatnie, gdyż mięso i ciepło dostarczone przez boga ognia trochę podniosły mnie na duchu.

Obdarzył mnie swoim nieśmiałym uśmiechem, lecz nic już nie mówił. Wyglądał, jakby ogarnęło go bezbrzeżne znużenie.

Kiedy się ściemniło, węglarze zaprosili nas do szałas, skleconego z gałęzi i skór, które, jak się domyślałem, dostali od garbarzy w zamian za węgiel. Wszyscy wczolgaliśmy się do środka i zbili w kłębek dla ochrony przed zimnem. W rezultacie było mi całkiem ciepło w głowę, która znalazła się bliżej pieca, jednak plecy zupełnie mi zlodowaciały, a gdy się odwróciłem, miałem wrażenie, że rzęsy przymarzają mi do policzków.

Niewiele spałem tej nocy. Wsłuchany w głębokie oddechy śpiących mężczyzn leżałem, rozmyślając o przyszłości.

Sądziłem, że uciekając, ściągam na siebie wyrok śmierci z rąk Plemienia, co dzień rano spodziewałem się, że nie doczekam wieczoru, lecz święta kobieta zwróciła mi życie. Moje talenty, myślałem, ujawniły się stosunkowo późno; wielu chłopców, z którymi ćwiczyłem w Matsue, zdradzało pierwsze oznaki uzdolnień już w wieku ośmiu

czy dziewięciu lat. Ile lat będzie miał mój syn, kiedy przyjdzie mu ze mną się zmierzyć? Być może zaledwie szesnaście - tylko trochę mniej, niż ja liczyłem sobie w tej chwili. Dzięki owym ponurym rachunkom zyskałem pewną gorzką nadzieję.

Nie wiedziałem, czy dać wiarę wyroczni. Jutro miałem znaleźć się w Terayamie i przeczytać zapiski Shigeru na temat Plemienia; jutro miałem znów trzymać w dłoni Jato. Na wiosnę zamierzałem zgłosić się do Araiego i przekazać mu tajne informacje o Plemieniu. Chciałem go także prosić o wsparcie w walce ze stryjami Shigeru, albowiem było dla mnie oczywiste, że pierwsze starcie muszę stoczyć właśnie z nimi. Gdyby udało mi się pomścić śmierć Shigeru i objąć należny mi spadek, tym samym zyskałbym to, co było mi najbardziej potrzebne - twierdzę w niezdobytym mieście Hagi.

Jo-An zapadł w niespokojny sen, jęczał i nieustannie się wiercił. Zrozumiałem, że prawdopodobnie dręczy go ból, choć na jawie nie dawał nic po sobie poznać. Przed świtem mróz trochę zelżał; zasnąłem głęboko na mniej więcej godzinę, a gdy się obudziłem, w uszach rozbrzmiewał mi miękki, szeleszczący odgłos, którego tak się obawiałem. Podczołgałem się do wyjścia z szałas. W świetle ognia ujrzałem drobne płatki spadające w ognisko z delikatnym sykiem.

- Śnieg pada! - krzyknąłem, potrząsając Jo-Anem. Śpiący zerwali się natychmiast i w blasku pochodni jęli pośpiesznie zwijać obóz; podobnie jak ja, nie chcieli dać się odciąć od świata tu, na górze. Cenne węgle z ostatniego pieca zostały zawinięte w skóry, po czym węglarze zmówili nad ogniskiem krótką modlitwę i zgarnawszy żar do żeliwnego kociołka, ruszyli w dół.

Śnieg, nadal miąłki i suchy, w ogóle nie zalegał na ziemi, lecz natychmiast topniał. Niemniej wstający świt ukazał nam niebo zasłane ciężkimi chmurami, zwiastującymi dalsze opady. Wiatr także przybrał na sile - gdyby śnieg zaczął padać na dobre, rychło zamieniłby się w zamieć.

Nie mieliśmy czasu na posiłek ani nawet na herbatę; węglarze, skończywszy pracę, chcieli jak najszybciej znaleźć się na dole. Jo-An przyszedł się pożegnać i padł przede mną na kolana. Podniosłem go i mocno objąłem. Jego ciało w moich ramionach było chude i wątle jak ciało staruszka.

- Spotkamy się na wiosnę - obiecałem. - Poślę po ciebie do mostu niedotykalnych.

Owładnięty niemym uczuciem skinął głową, jakby nie chciał dopuścić, bym znikł mu z oczu. Ostatni węglarz chwycił pakunek i zarzuciwszy go sobie na ramiona, ruszył za pozostałymi, schodzącymi gęsiego po stoku. Jo-An wykonał niezdarny gest, ni to błogosławieństwo, ni to machnięcie ręki, po czym odwrócił się i odszedł, lekko zgięty pod ciężarem brzemienia. Odprowadziłem go wzrokiem, przyłapując się na tym, że bezgłośnie powtarzam znajome słowa pożegnania Ukrytych.

- Chodźmy, panie - ponaglił z niepokojem mój przewodnik. Ruszyłem za nim.

Wspinaliśmy się długo, prawie trzy godziny. Mój towarzysz przystawał tylko po to, by czasem złamać gałązkę, zaznaczając w ten sposób drogę powrotną. Wciąż padał drobny i suchy śnieg, lecz im wyżej się znajdowałem, tym więcej leżało go na ziemi, aż

wreszcie wszystko, drzewa i grunt pod stopami, okryła warstwa białego pudru. Rozgrzany szybką wspinaczką byłem jednak bardzo głodny i w brzuchu aż mi burczało - najwyraźniej mięso, zjedzone poprzedniego wieczora, wzbudziło w nim fałszywe oczekiwania. Nie miałem pojęcia, która godzina: niebo przybrało jednolicie brązowo-szarą barwę, a ziemia promieniowała osobliwym, złudnym blaskiem ośnieżonego krajobrazu.

Gdy mój przewodnik wreszcie się zatrzymał, znajdowaliśmy się w połowie drogi do najwyższego szczytu. Ścieżka, którą szliśmy, skręcała w dół. Przez woal spadających płatków dostrzegłem dolinę, a w niej potężne konary cedrów i buków, powoli spowijane bielą.

- Dalej nie pójde - powiedział węglarz. - Chcesz mojej rady, zawróć ze mną. Idzie zamieć. Do świątyni jeszcze prawie dzień drogi, nawet w dobrą pogodę. Pójdiesz, przepadniesz w śniegu.

- Nie mogę zawrócić. Odprowadź mnie jeszcze kawałek. Dobrze zapłacę.

Ale nie zdołałem go przekonać, chyba zresztą mi na tym nie zależało; człowiek ów, pozbawiony towarzyszy, robił wrażenie samotnego i niepewnego. Choć protestował, dałem mu połowę monet, które mi jeszcze zostały, a on w zamian wręczył mi zajęczą gołęń ze sporą ilością mięsa.

Opisał drogę, która mnie czekała, w miarę możliwości wskazując charakterystyczne punkty w zamglonej dolinie. Płynie tam rzeka - powiedział, nieświadom, że już od dawna słyszę jej szum - która wyznacza granicę lenna. Nie ma na niej mostu, ale w pewnym miejscu zwęża się tak, że można przez nią przeskoczyć. Nurt jest szybki, a w rozlewiskach mieszkają wodne duchy, dlatego trzeba uważać, żeby nie wpaść do wody. Przeprawa ta uchodzi za najłatwiejszą, więc czasem krążą tam patrole, ale to mało prawdopodobne w taki dzień jak dziś.

Znalazłszy się za granicą lenna, miałem schodzić na wschód, aż dotrę do niewielkiej kaplicy. Tam ścieżka się rozgałęziała: powinienem iść w prawo, niższą odnogą, cały czas kierując się na wschód, inaczej mógłbym znów zacząć się wspinać. Wiatr wiał z północnego wschodu, należało więc obracać się ku niemu lewym ramieniem.

W tym miejscu, dla podkreślenia swych słów, towarzysz dwukrotnie poklepał mnie po lewym ramieniu i zajrzał mi w twarz oczyma wąskimi niczym szparki.

- Nie wyglądasz na wielkiego pana - rzekł, wykrzywiając twarz w uśmiechu. - Ale i tak: powodzenia.

Podziękowałem mu i ruszyłem w dół.

Kość ogryzłem po drodze, po czym złamałem ją i wyssałem szpik. Śnieg, coraz gęstszy i wilgotniejszy, powoli topniał na moich ramionach i głowie. Węglarz miał rację, nie wyglądałem na wielkiego pana. Rozczochrane włosy, nieobcinane od czasu, gdy Yuki ostrzygła mnie na aktora, sięgały mi poniżej uszu, od wielu dni się nie goliłem. Moje ubranie było brudne i przemoczone na wskroś, ja sam z pewnością pachniałem

niezbyt wytwornie. Próbowałem sobie uzmysłowić, kiedy ostatnio się kąpałem - i nagle wróciło do mnie wspomnienie stajni zapaśników owej pierwszej nocy po wyruszeniu z Matsue, ogromnego budynku łaźni oraz podsłuchanej rozmowy Akio i Hajime.

To spowodowało, że zadałem sobie pytanie, gdzie jest teraz Yuki i czy słyszała już o mojej ucieczce, jednak myśl o dziecku sprawiała mi głęboki ból; świadomość, że nigdy nie zobaczę syna, który będzie wychowywany tak, by mnie znienawidzić, okazała się nie do zniesienia. W kółko roztrząsałem mściwe słowa Akio, aż wreszcie doszedłem do wniosku, że Kikuta lepiej znali moje usposobienie niż ja sam.

Szum rzeki stawał się coraz głośniejszy, zda się, wypełniał ośnieżony krajobraz. Nawet kruki ucichły, a gdy dotarłem nad wodę, ujrzałem, że głązy na brzegu mają już białe czapy. Rzeką, spływającą wodospadem z pobliskich gór, rozlewała się tu w jezioro, po czym, pokonując kolejne progi, tworzyła wąski przełom między dwiema kamiennymi platformami. Do krawędzi stromych urwisk przywarły wiekowe, powykręcane sosny; pejzaż ów, pobielony śniegiem, jakby czekał, by namalował go Sesshu.

Przycupnąłem za głazem, gdzie niewielka sosenka - właściwi z krzak, a nie drzewo - z trudem trzymała się cienkiej warstwy gleby. Stąd przyjrzałem się zasypanej śniegiem ścieżce i miejscu, w którym należało przeskoczyć rzekę. Zamarłem.

Nurt spienionej wody na kamieniach nie był całkiem jednostajny; od czasu do czasu uspokajał się i następowała chwila niesamowitej ciszy, jakby oprócz mnie rzeki słuchał ktoś jeszcze. Bez trudu wyobraziłem sobie wodniki mieszkające w jej głębiach, zatrzymujące i uruchamiające przepływ kuszące i prowokujące istoty ludzkie, zwabiane na brzeg. Miałem wrażenie, że wręcz słyszę ich oddechy, lecz kiedy już już zaczynałem je rozróżniać, znów rozlegał się plusk i huk wody, co doprowadzało mnie do szaleństwa. Chwilami myślałem, że tracę czas, nasłuchując duchów rzeki, skryty za krzakiem, który stopniowo znikał pod śniegiem - a mimo to powoli nabierałem przekonania, że naprawdę ktoś oddycha, i to niedaleko.

Tuż za wąskim przesmykiem rzeka opadała o jakieś dziesięć stóp, po drodze rozlewając się w kilka jeziorzek. Moją uwagę przyciągnął nagły ruch w jednym z nich: uzmysłowiłem sobie, że mam przed sobą czapkę, prawie całkiem białą, pomimo śniegu łowiącą w rzece ryby. Symbol Otori na granicy lenna Otori! To musiał być znak, a może nawet potwierdzenie od Shigeru, że nareszcie dokonałem właściwego wyboru.

Czapla, zanurzona po kolana w wodzie, z wolna posuwała się w moją stronę. Ciekawe, pomyślałem, czy znajdzie coś do jedzenia w środku zimy, kiedy żaby i ropuchy śpią ukryte w mule. Wyglądała na spokojną i wolną od lęku, jakby miała pewność, że na tym odludziu nic jej nie grozi. Patrzyłem na nią, czując się równie bezpieczny jak ona, myśląc już o tym, że zaraz podejdę do rzeki i przeskoczę na drugi brzeg, gdy wtem coś ją zaniepokoiło. Płynnym ruchem odwróciła wąską głowę i natychmiast poderwała się do lotu. Wielkie skrzydła raz klasnęły nad wodą, po czym bezszelestnie znikły za zakrętem.

Co zobaczyła? Wyteżyłem wzrok. Rzeka na chwilę ucichła; dobiegł mnie szmer oddechu, a moje rozszerzone nozdrza wyczuły w północno-wschodnim wietrze ślad zapachu człowieka. Nie dostrzegłem nikogo, ale wiedziałem, że ktoś tam jest i czeka niewidzialny w śniegu.

Zajmował taką pozycję, że gdybym skierował się wprost do przejścia, z łatwością przeciąłby mi drogę. A skoro potrafił tak długo pozostawać niewidzialny, musiał pochodzić z Plemienia i na brzegu zauważyłby mnie natychmiast. Jediną moją nadzieją było zaskoczenie, próba przedostania się przez rzekę nieco wyżej, w trochę szerszym miejscu.

Dalsza zwłoka nie miała sensu. Głęboko, bezgłośnie zaczerpnąłem tchu i wybiegłem spod sosen, kierując się w dół zbocza. Niepewny, co jest pod śniegiem, starałem się jak najdłużej trzymać ścieżki, a gdy wreszcie zboczyłem ku rzece, ujrzałem, jak mój wróg podnosi się z ośnieżonej ziemi. Był cały ubrany na biało; przez moment poczułem ulgę, że nie jest niewidzialny, jak sądziłem, tylko po prostu zamaskowany - może wcale nie pochodził z Plemienia, lecz był strażnikiem granicznym - ale już rozwierała się przede mną czarna szczelina. Skoczyłem.

Ogarnął mnie huk rzeki, po czym zapadła cisza, w której dobiegł mnie świst za plecami. Rzuciłem się na ziemię i z całej siły wczepiłem palce w oblodzoną skałę. Pocisk ze świstem przeleciał mi nad głową - gdybym stał, trafiłby mnie prosto w kark - po czym na śniegu przed sobą ujrzałem ślad w kształcie gwiazdki. Tylko członkowie Plemienia używali pocisków o takim przekroju.

Przetoczyłem się w bezpieczne miejsce i natychmiast stałem się niewidzialny, pragnąc w tym stanie dotrzeć pod osłonę lasu. Niestety, całkiem zapomniałem o śladach na śniegu. Na szczęście mój przeciwnik, skacząc przez rzekę, również się pośliznął, co dało mi pewną przewagę - na szczęście, gdyż wyglądał na większego i cięższego ode mnie, zapewne też potrafił szybciej biegać.

W lesie rozdzieliłem się na dwoje i zbiegłem na dół, wysyłając swój wizerunek w górę zbocza; wiedziałem, że nie zdołam długo uciekać i jedyną szansą jest zastawienie pułapki. Ścieżka przede mną okrążała duży głaz, nad którym zwisał konar drzewa. Wpadłem za zakręt i chwyciwszy w zęby nóż, podciągnąłem się na gałąź. Żałowałem, że nie mam Jato; wprawdzie wciąż jeszcze nosiłem garotę i szpikulec, które miały mi posłużyć do zabicia Ichiro, ale trudno jest uśmiercić członka Plemienia jego własną bronią, podobnie jak trudno jest go pokonać za pomocą plemiennych sztuczek.

Ledwie zdążyłem uciszyć oddech i stać się niewidzialnym, gdy usłyszałem, że wróg na widok mego drugiego ja waha się, po czym znów rusza biegiem w moim kierunku. Nie mogłem dłużej czekać. Runąłem na niego niczym kamień, a kiedy zatoczył się pod moim ciężarem, znalazłem lukę w sztywnej osłonie jego szyi i z całej siły wbiłem mu nóż w tętnicę, tnąc na ukos przez krtań, tak jak uczył mnie Kenji. Stęknął zdziwiony - członkowie Plemienia raczej nie występowali w roli ofiar - a potknięcie przerodziło się w upadek, podniósł dłonie do krwawiącego gardła, skąd

jeszcze przez chwilę dobiegał świst oddechu, po czym znieruchomiał twarzą do ziemi, a jego krew zabarwiła śnieg na czerwono.

Przeszukałem zwłoki, zabierając kilka ostrzy i krótki miecz szlachetnego wyrobu, znalazłem również zapas trucizn. Nie miałem pojęcia, kim był napastnik; zdjąłem mu rękawice, lecz na dłoniach nie było prostych linii typowych dla Kikuty, nie dostrzegłem też tatuaży.

Zostawiłem ciało na pastwę kruków i lisów, które zapewne z radością powitały niespodziewany zimowy posiłek, po czym oddaliłem się najciszej i najszybciej, jak umiałem - zabity mógł mieć towarzyszy, którzy czekali na mnie nad rzeką. Serce waliło mi jak szalone; ucieczka i walka rozgrzały mnie, lecz przede wszystkim czułem głęboką, pierwotną radość, że to nie ja leżę martwy na śniegu.

Jednakże fakt, że Plemię tak szybko mnie dogoniło i wiedziało, dokąd zmierzam, trochę mnie zaniepokoił. Czy ciało Akio zostało odnalezione? Czyżby konny posłaniec zdążył już dostarczyć wiadomość z Hagi do Yamagaty? A może Akio żył? Przeklinałem się za to, że nie poświęciłem chwili, by go uśmiercić. Oczywiście, powinienem był bardziej się przejąć, zrozumieć, że Plemię nie przestanie mnie ścigać do końca życia - i rozumiałem to doskonale, lecz przede wszystkim czułem wściekłość, że chcą mnie zatłuc jak psa, pomieszaną z dziką satysfakcją, że ich pierwsza próba speliła na niczym. Co prawda udało im się zgładzić mego ojca, lecz sam Kenji przyznał, że nikt nie zdołałby nawet zbliżyć się do niego, gdyby nie poprzysiągł sobie, że przestanie zabijać. Wiedziałem, że jestem równie zdolny jak on, może nawet bardziej, i nie zamierzałem powtórzyć jego błędu. Zamierzałem kontynuować dzieło Shigeru i złamać potęgę Plemienia.

Wszystkie te myśli wirowały mi w głowie, gdy parłem do przodu w głębokim śniegu, dodając mi sił i wzmacniając wolę przetrwania. Kiedy wyładowałem złość na Plemię, zwróciłem swój gniew przeciwko panom Otori, których zdrada wydawała mi się jeszcze większa. Wojownicy, rzekomo ceniący sobie nade wszystko honor i lojalność, dopuszczali się równie samolubnych i zdradzieckich czynów jak członkowie Plemienia. Stryjowie Shigeru wysłali go na pewną śmierć, a teraz usiłowali wydziedziczyć mnie. Nie wiedzieli, nieszczęśni, co ich czeka!

Gdyby jednak ujrzeli mnie teraz, brnącego po kolana w śniegu, źle ubranego, marnie wyposażonego, bez wojska, pieniędzy i ziemi, z pewnością moje groźby nie spędziłyby im snu z powiek.

Nie mogłem zatrzymać się na odpoczynek; musiałem dotrzeć do Terayamy lub paść z wyczerpania, jednak od czasu do czasu schodziłem ze ścieżki i nasłuchiwałem, czy nikt mnie nie ściga. Przez cały dzień towarzyszył mi jedynie szum wiatru i cichy syk spadających płatków - ale pod wieczór, gdy zaczęło się ściemniać, odniosłem wrażenie, że z dołu dobiegają melodyjne tony.

Był to ostatni dźwięk, jaki spodziewałem się usłyszeć na tej górze, w gęstym, ośnieżonym lesie - owo granie fletu, samotne niczym jęk wiatru w sosnach, ulotne jak

padający śnieg- Dreszcz przeszedł mi po plecach, nie tylko dlatego, że muzyka zazwyczaj tak na mnie wpływa. Poczułem głęboki lęk; nabrałem przekonania, że znalazłem się na krawędzi świata i słyszę głosy duchów. Wspomniałem górskie upiory, które wabią ludzi pod ziemię, aby trzymać ich w niewoli przez tysiące lat, i pożałowałem, że nie potrafię powtórzyć modlitw, których uczyła mnie matka, mimo że nie wierzyłem już w ich moc.

Muzyka brzmiała coraz głośniejsze. Zbliżałem się do jej źródła i nie potrafiłem się zatrzymać, zupełnie jakby jej czar nieodparcie mnie przyciągał. Za zakrętem ścieżka się rozwidlała. Przypomniałem sobie słowa przewodnika - rzeczywiście, przede mną, ledwie dostrzegalna, widniała kapliczka i trzy złożone w ofierze pomarańcze, płonące jaskrawą barwą pod czapkami ze śniegu. Za kapliczką stał drewniany szałas, kryty strzechą. Na ten widok lęk mnie opuścił i niemal roześmiałem się w głos - nie upiora słyszałem, lecz jakiegoś mnicha lub pustelnika, który w poszukiwaniu oświecenia wycofał się w góry.

Poczułem zapach dymu i myśl o cieple sprawiła, że przyspieszyłem kroku. Wyobraziłem sobie gorące węgle, przy których osuszę przemoczone stopy, teraz ciężkie niczym bloki lodu, niemal czułem na twarzy gorący powiew. Drzwi szałasów były otwarte, by wpuścić światło i wypuścić dym, lecz flecista nie widział mnie ani nie słyszał - cały zatracił się w żalosnej, nieziemskiej muzyce.

Lecz ja już domyśliłem się, kim jest - noc w noc słyszałem tę melodię, gdy czuwałem przy grobie Shigeru. To był Makoto, młody mnich, który wówczas udzielił mi pociechy. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, zamknawszy oczy w dłoniach trzymał długi, bambusowy flet prosty; mniejszy flet poprzeczny leżał na poduszce obok niego. Przy wejściu dymił rozpalony kociołek z węglem, na podwyższeniu z tyłu widniało rozłożone posłanie. Oparty o ścianę stał kij do walki, ale nie dostrzegłem żadnej innej broni.

Wszedłem do środka - mimo kociołka było tu tylko trochę cieplej niż na zewnątrz - i cicho zagadnąłem:

- Makoto?

Nie otworzył oczu ani nie przestał grać. Powtórzyłem jego imię. Melodia zadrgała, grający opuścił instrument.

- Daj mi spokój - przemówił znużonym szeptem. - Przestań mnie dręczyć. Przepraszam. Przepraszam.

Gdy podniósł flet, ukląknę i dotknąłem jego ramienia. Wówczas otworzył oczy, spojrzał na mnie i ku memu zaskoczeniu zerwał się na równe nogi. Odrzucił flet pod ścianę, chwycił kij i zaczął się cofać, groźnie nim potrząsając; jego oczy były pełne bólu, twarz wychudzona, jakby długo pościł.

- Zostaw mnie - wykrztusił chrapliwie. Wstałem.

- Makoto - rzekłem łagodnie. - Nie jestem wrogiem. To ja, Otori Takeo.

Zrobiłem krok ku niemu, ale natychmiast zamachnął się na mnie kijem.

Upprzedziłem cios i sparowałem go; na szczęście w skąpej przestrzeni nie zdołał набrać impetu, inaczej złamałby mi obojczyk, lecz i tak powalił mnie na ziemię. Siła uderzenia wstrząsnęła ciałem Makoto, który wypuścił kij z dłoni i wlepił zdumiony wzrok w moją leżącą postać:

- Takeo? - zachłysnął się. - To naprawdę ty? Nie twój duch?

- Jestem prawdziwy do tego stopnia, że niemal mnie ogłuszyłeś - mruknąłem, podnosząc się i niepewnie ruszając ramieniem. Upewniłem się, że nie jest złamane, po czym sięgnąłem za pazuchę po nóż. Czułem się pewniej, trzymając go w dłoni.

- Wybacz! - zawołał. - Nigdy bym cię nie uderzył! Ale tyle razy widziałem twoją zjawę... - wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć, lecz zaraz się cofnął. - Nie mogę uwierzyć, że to ty. Co za dziwny los przywiódł cię tu o tej godzinie?

- Zmierzam do Terayamy. Dwukrotnie proponowano mi tam schronienie. Teraz chciałbym skorzystać z zaproszenia, przynajmniej do wiosny.

- Nie do wiary, że to ty - powtórzył. - Jesteś przemoczony. Pewnie przemarzłeś. - Rozejrzał się po małym pomieszczeniu. - Mam tak niewiele...

Ruszył ku pościeli, potknął się o kij, podniósł go i odstawił na bok, po czym ściągnął z łóżka cienką, konopną derkę.

- Zdejmij ubranie, wysuszymy je. I owiń się w to.

- Muszę iść dalej - odparłem. - Posiedzę tylko chwilę przy ogniu.

- Dziś nie dotrzesz do Terayamy. Za godzinę będzie ciemno, a droga trwa co najmniej pięć godzin. Zanoć tutaj a rano pójdziemy razem.

- Do tej pory zamieć zasypie ścieżkę - powiedziałem - Wolałbym, żeby śnieg uwięził mnie w Terayamie, a nie poza nią.

- Pierwszy śnieg w tym roku. W górach obfity, ale poniżej zamienia się w deszcz.

- Uśmiechnął się i zacytował stary wiersz: - „W noc, gdy wichur w zawody z deszczem hula...” - niestety, jestem równie ubogi jak ów poeta i jego rodzina!

Był to jeden z pierwszych utworów, jakie nauczył mnie pisać Ichiro, którego wizerunek z przeraźliwą jasnością stanął mi przed oczami. Zadygotałem gwałtownie; teraz, gdy nie byłem już w ruchu, rzeczywiście miałem wrażenie, że zamarzam. Powoli zacząłem ściągać przemoczone części odzieży, a Makoto brał je ode mnie i rozpościarał przy kociołku, do którego dorzucił trochę drewna.

- To chyba krew - zauważył, widząc plamy. - Jesteś ranny?

- Nie, ktoś próbował mnie zabić na granicy.

- Więc to jego krew?

Skinąłem głową, niepewny, ile powiedzieć, nie narażając jego i siebie.

- Ktoś cię śledził?

- Albo mnie śledził, albo zastawił zasadzkę. I tak już będzie do końca mego życia.

- Powiesz mi dlaczego? - Przytknął zapaloną draskę do knota kaganka, który zaskwierczał i zajął się opornie. - Mam niewiele oleju - przeprosił, po czym wyszedł na zewnątrz zamknąć okiennice. Czekala nas długa noc.

- Mogę ci ufać? - zapytałem. Roześmiał się.

- Nie mam pojęcia, co przeżyłeś od naszego ostatniego spotkania ani co cię teraz tu sprowadza. I ty nic nie wiesz o mnie; gdybyś wiedział, nie zadawałbyś tego pytania. Opowiem ci wszystko później, ale tymczasem tak, możesz mi ufać. Nawet jeśli nie ufasz nikomu, zaufaj mnie.

W jego głosie zabrzmiało głębokie wzruszenie.

- Zagrzeję zupę - dodał, odwracając się. - Przykro mi, nie mam herbaty ani wina.

Przypomniałem sobie, jak mnie pocieszył w chwili straszliwej żałości po śmierci Shigeru. Uspokoił wówczas targające mną wyrzuty sumienia i trzymał w objęciach, aż smutek ustąpił pożądaniu i oba uczucia doznały ukojenia.

- Nie mogłem zostać z Plemieniem - rzekłem cicho. - Odszedłem od nich; będą mnie ścigać, dopóki mnie nie zgładzą.

Makoto wziął garnek z kąta izby i ostrożnie umieścił go na węglach, po czym spojrzał na mnie.

- Chcieli, bym odszukał zapiski, które Shigeru robił na ich temat - ciągnąłem. - Wysłali mnie do Hagi; miałem zabić mego nauczyciela Ichiro i oddać im notatki. Ale oczywiście ich nie znalazłem.

Makoto uśmiechnął się, nic nie mówiąc.

- To jeden z powodów, dla których muszę dotrzeć do Terayamy. Bo właśnie tam są te zapiski; wiedziałeś o tym prawda?

- Chcieliśmy ci powiedzieć - przyznał - ale kiedy postanowiłeś odejść z Plemieniem, zobowiązania wobec pana Shigeru nie pozwoliły nam podjąć ryzyka. Powierzył nam swoje notatki, gdyż nasza świątynia jest jedną z nielicznych w Trzech Krainach, do której nie przeniknął żaden członek Plemienia.

Nalał zupy do miski i podał mi ją.

- Mam tylko jedno naczynie. Nie spodziewałem się gości, a już z pewnością nie ciebie!

- A ty skąd się tu wziąłeś? - zapytałem. - Zamierzasz spędzić tu zimę?

Nie powiedziałem, że wątpię, czy zdołałby ją przetrwać. Może zresztą wcale tego nie chciał. Wypiłem łyk zupy; była gorąca i słona, to wszystko, co dało się o niej powiedzieć. Najwyraźniej nie miał nic innego do jedzenia. Co się stało z pełnym życia człowiekiem, którego poznałem w Terayamie? Co go doprowadziło do stanu takiej rezygnacji, wręcz przygnębienia?

Owinałem się szczelniej derką i przysunąłem do ognia. Jak zawsze, zacząłem nasłuchiwać. Coraz silniejszy wiatr gwizdał w poszyciu strzechy, od czasu do czasu chwiejąc płomieniem lampy, która rzucała na ścianę pokraczne cienie. Odgłos na zewnątrz nie był już miękkim oddechem śniegu, lecz stukotem czegoś twardszego i bardziej mokrego.

Po zamknięciu drzwi w szałasie zrobiło się cieplej, moje ubranie parowało. Wysączyłem zupę i oddałem miskę Makoto. Napełnił ją, upił trochę, po czym odstawił

na ziemię.

- Zimę albo resztę życia, zależy, co dłużej potrwa - odparł, zerknął na mnie i spuścił wzrok. - Trudno mi z tobą rozmawiać, Takeo, bo mój kłopot w dużym stopniu wiąże się z twoją osobą, skoro jednak Oświecony uznał za stosowne cię tu sprowadzić, muszę chociaż spróbować. Twoja obecność wszystko zmienia. Mówiłem ci już, że prześladuje mnie twój duch, nawiedzasz mnie w nocy. Walczę z tą obsesją ze wszystkich sił. Przez całe życie - ciągnął, uśmiechając się szyderczo - pracowałem nad tym, by się uwolnić od świata zmysłów. Pragnąłem jedynie oświecenia, dążyłem do świętości. Nie mówię, że nic mnie z nikim nie wiązało - wiesz, jak to jest, gdy mężczyźni żyją razem bez kobiet, a Terayama nie stanowi wyjątku. Ale nigdy nikogo nie pokochałem. Nikt mnie nie opętał tak jak ty. - Ironiczny uśmiech znów wykrzywił jego wargi. - Nie będę wnikał, dlaczego tak się stało. To nieważne, a poza tym chyba sam nie bardzo wiem. Ale po śmierci pana Shigeru odchodziłeś od zmysłów z żalości i wzruszyło mnie twoje cierpienie. Chciałem cię pocieszyć.

- I pocieszyłeś - powiedziałem cicho.

- Dla mnie to było coś więcej niż pociecha! Nie przypuszczałem, że tak silnie to przeżyję. To, co czułem, sprawiało mi radość, byłem wdzięczny, że doświadczyłem czegoś tak niezwykłego, a jednocześnie nie mogłem tego znieść. W porównaniu z tym uczuciem moje dążenia duchowe były czczym pozorem. Poszedłem do opata i oznajmiłem, że sądzę, iż powinienem opuścić klasztor i wrócić do świata. Zaproponował, bym wyjechał na jakiś czas i przemyślał swoją decyzję. Na Zachodzie mam przyjaciela z dzieciństwa, Manoru który od dawna prosił, bym go odwiedził. Wiesz, że gram trochę na flecie; poproszono mnie, bym dołączył do Manoru i aktorów, którzy wystawiali dramat *Atsumori*.

Zamilkł. Podmuch wiatru cisnął o ścianę kroplami deszczu. Lampa zafalowała gwałtownie, niemal zgasła. Nie miałem pojęcia, co powie Makoto, lecz serce zabiło mi żywiej i poczułem, że tętno dławi mnie w gardle - nie tyle z pożądania, aczkolwiek zachowałem tamto wspomnienie, ile z obawy, że usłyszę coś, czego usłyszeć nie chciałem.

- Mój przyjaciel jest jednym z domowników pana Fujiwary.

Pokręciłem głową - nigdy o takim nie słyszałem.

- To szlachcic, żyjący na wygnaniu z dala od stolicy. Jego dobra graniczą z majątkiem Shirakawa.

Sam dźwięk jej nazwiska był jak cios w brzuch.

- Widziałeś panią Shirakawa? Przytaknął.

- Powiedziano mi, że jest umierająca - rzekłem. Serce waliło mi tak mocno, że niemal wyrzywało się z piersi.

- Była poważnie chora, ale wyzdrowiała. Lekarz pana Fujiwary uratował jej życie.

- Ona żyje? - Mętne światło lampy, zda się, pojaśniało i szalas wypełnił blask. - Kaede żyje?

Wpatrywał się w moją twarz z wyraźnym bólem.

- Tak, ku mojej najgłębszej radości; gdyby umarła, ja byłbym sprawcą śmiertelnego ciosu.

Zdziwiłem się, nie wiedząc, o czym mówi.

- Co się stało?

- Domownicy pana Fujiwary znali ją jako panią Otori. Powszechnie uważano, że potajemnie poślubiła pana Shigeru w Terayamie owego dnia, gdy przybył na grób brata, a ja poznałem ciebie. Nie spodziewałem się, że zastanę ją w domu pana Fujiwary, nic również nie wiedziałem o rzekomym ślubie. Jej obecność całkowicie mnie zaskoczyła. Gdy mi ją przedstawiono, byłem pewien, że jest twoją żoną i że zaraz pojawisz się i ty. Nieopatrznie się z tym wyrwałem; w ten sposób nie tylko pojąłem siłę swej obsesji na twoim punkcie, z którą, jak sądziłem, zdołałem się już uporać, ale co gorsza, w okamgnieniu zdemaskowałem Kaede, i to w obecności ojca.

- Ale po co Kaede miałaby cokolwiek udawać?

- Po co jakakolwiek kobieta udaje zameżną? Niemal umarła, gdyż poroniła dziecko.

Odjęło mi mowę.

- Jej ojciec wypytał mnie dokładnie - mówił Makoto. - Wiedziałem, że w Terayamie nie odbył się żaden ślub. Próbowałem udzielać wymijających odpowiedzi, jednak już przedtem powziął pewne podejrzenia, a moje słowa, choć zdawkowe, tylko je potwierdziły. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale jego umysł był poważnie zmaćcony. Często mówił o samobójstwie, a po rozmowie ze mną rozciął sobie brzuch w jej obecności. Wstrząs spowodował poronienie.

- To było moje dziecko - wyszeptalem. - Powinna być moją żoną. I będzie.

Lecz gdy usłyszałem własne słowa, zdrada, jakiej dopuściłem się wobec Kaede, wydała się jeszcze bardziej przerażająca. Nie sądziłem, by kiedykolwiek zdołała mi wybaczyć.

- Tak przypuszczałem - mruknął Makoto. - Ale kiedy to się stało? Co ty sobie myślałeś? Dziewczyna takiego pochodzenia? Z takiego rodu?

- Oboje myśleliśmy, że czeka nas śmierć. To było tej nocy, gdy zginął Shigeru i padła Inuyama. Nie chcieliśmy umierać bez... - nie mogłem mówić dalej.

- Nie potrafiłem dalej żyć - podjął po chwili Makoto. - Namiętność zawiodła mnie z powrotem w świat cierpienia, od którego chciałem uciec. Wiedziałem, że wyrządziłem nieodwracalną krzywdę innej czującej istocie, choć była tylko kobietą, a zarazem pragnąłem jej śmierci, gdyż ty ją kochałeś, a ona z pewnością kochała ciebie. Widzisz, nic przed tobą nie ukrywam, musisz poznać mnie z najgorszej strony.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który mógłby cię potępić. Skutki mego własnego postępowania są o wiele bardziej okrutne.

- Ale ty, Takeo, żyjesz w tym świecie, jesteś jego częścią. Ja chciałem być inny, co okazało się przejawem straszliwej pychy. Wróciłem do Terayamy i poprosiłem opata, by

mi pozwolił oddalić się do tego szałas, gdzie chciałem złożyć swoją grę na flecie i resztki targających mną uczuć w ofierze Oświeconemu. Pragnąłem mu służyć, choć utraciłem już nadzieję na własne oświecenie, którego nie jestem godny.

- Wszyscy żyjemy w świecie - odparłem. - Gdzież indziej mielibyśmy żyć?

Wymawiając te słowa, usłyszałem głos Shigeru: „Lecz rzeka wciąż płynie za progiem, a świat czeka na zewnątrz. To świat, w którym musimy żyć”.

Makoto wpatrywał się we mnie błyszczącymi oczami, jego twarz nagle stała się jasna i otwarta.

- Czy właśnie tę nowinę miałem usłyszeć? Czy dlatego zostałeś mi przysłany?

- Nie bardzo wiem, jakie będzie moje własne życie - odparłem. - Jakże mógłbym zgłębić twoje? Ale to była jedna z pierwszych rzeczy, których nauczył mnie Shigeru. Musimy żyć w świecie.

- Więc niech jego nauka będzie dla nas wskazówką - rzekł Makoto, który w oczach odzyskiwał energię. Zrezygnowany, czekający na śmierć, teraz błyskawicznie wracał do życia. - Spełnisz jego życzenia?

- Ichiro kazał mi zemścić się na stryjach Shigeru i odzyskać swoje dziedzictwo, co zamierzam uczynić. W jaki sposób tego dokonam, nie mam pojęcia. I muszę poślubić panią Shirakawa. Tego również życzył sobie Shigeru.

- Pan Fujiwara pragnie się z nią ożenić.

Chciałem odepchnąć tę myśl od siebie; nie mogłem uwierzyć, że Kaede wysłaby za kogoś innego. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Nigdy nie pokocham nikogo oprócz ciebie”. A jeszcze przedtem powiedziała: „Tylko z tobą jestem bezpieczna”. Znałem opinię, jaka o niej krążyła: że każdy mężczyzna, który jej dotknie, musi umrzeć. Jednak ja z nią spałem i przeżyłem - i dałem jej dziecko. A potem ją porzuciłem, niemal umarła, poroniła... Czy mogła mi wybaczyć?

- Pan Fujiwara woli mężczyzn niż kobiety - ciągnął Makoto. - Ale pani Shirakawa najwyraźniej go opętała. Małżeństwo, które jej proponuje, ma być czystą formalnością, chodzi mu o to, by ją chronić. Przypuszczalnie jej majątek również nie jest mu obojętny; dobra Shirakawa są rozpaczliwie zaniedbane, ale jest jeszcze Maruyama.

Widząc, że milczę, dodał:

- To kolekcjoner. Ona stanie się jedną z jego zdobyczy. Jego zbiory nigdy nie widują światła dziennego, ogląda je tylko kilku zaufanych przyjaciół.

- Nie może jej spotkać taki los!

- A jaki ma wybór? Ma szczęście, że nie została całkiem zhańbiona. To, że przeżyła śmierć tylu mężczyzn, z którymi była związana, to i tak dostateczny wstyd. Ale poza tym jest w niej coś nienaturalnego. Powiadają, że kazała zgładzić dwóch poddanych ojca, którzy nie chcieli jej służyć. Czyta i pisze jak mężczyzna. I podobno zbiera wojsko, by na wiosnę odzyskać Maruyamę.

- W takim razie być może sama się obroni - zauważyłem.

- Kobieta? - zawołał Makoto ze wzgardą. - To niemożliwe!

Moje serce wezbrało podziwem dla Kaede. Jakiegoż miałbym w niej sojusznika! Jako małżeństwo władalibyśmy połową terytorium Seishuu. Dzięki Maruyamie zyskałbym środki do walki z panami Otori; gdybym się z nimi uporał, tylko byłoby ziemie Tohan, obecnie należące do Araiego, stałyby między mną a władzą „od morza do morza”, którą przepowiedziała mi wyrocznia.

Teraz jednak, z nadejściem śniegów, wszystkie te plany musiałem odłożyć do wiosny. Mimo wyczerpania płałem z niecierpliwości. Obawiałem się, że Kaede zrobi coś nieodwracalnego, zanim zdążę się z nią zobaczyć.

- Powiedziałeś, że pójdziesz ze mną do świątyni?

Makoto przytaknął:

- Tak, wyruszymy, gdy tylko się rozjaśni.

- A gdybym na ciebie nie trafił, zostałbyś tu całą zimę?

- Nie mam złudzeń - odparł cicho. - Zapewne bym tu umarł. Prawdopodobnie uratowałeś mi życie.

Rozmawialiśmy do późnej nocy - przynajmniej Makoto mówił, jakby po tygodniach milczenia obecność innego człowieka go wyzwoliła. Opowiedział mi trochę o swojej przeszłości. O cztery lata ode mnie starszy, pochodził z rodu wojownika niskiej rangi, który do Yaegahary służył Otorim, a po klęsce został zmuszony do zaprzysiężenia wierności klanowi Tohan. Wychowano go do wojennego rzemiosła, lecz jako piąty syn w ubożającej rodzinie nie mógł liczyć na zbyt wiele, toteż od dzieciństwa podsycano w nim zamiłowanie do nauki i zainteresowanie religią. Kiedy rodzina zaczęła podupadać na dobre, został wysłany do Terayamy, liczył sobie wówczas jedenaście lat. Jego trzynastoletni brat również miał wstąpić do nowicjatu, lecz po jednej zimie uciekł i słuch po nim zaginął. Najstarszy brat poległ pod Yaegaharą, ojciec zmarł wkrótce po nim, dwie siostry poślubiły wojowników Tohan i od dawna nie dawały znaku życia. Matka Makoto nadal mieszkała w rodzinnym gospodarstwie z dwoma pozostałymi braćmi, którzy nie uważali się już za członków klasy rycerskiej. Odwiedzał ją dwa, trzy razy do roku.

Rozmawialiśmy swobodnie, niczym starzy przyjaciele; przypominałem sobie, jak bardzo tęskniłem za takim towarzyszem podczas wędrówki z Akio. Makoto, starszy i lepiej wykształcony ode mnie, okazywał powagę i rozagę, całkiem odmienne od mojej lekkomyślnej natury; a przecież, o czym miałem się przekonać, był silnym i odważnym mężczyzną - uczonym mnichem, lecz również wojownikiem.

Wysłuchałem relacji z przerażających wydarzeń, które po śmierci Shigeru przetoczyły się przez Yamagatę i Terayamę.

- Byliśmy uzbrojeni, gotowi do powstania. Iida, świadom, że rośniemy w siłę i bogactwo, od pewnego czasu groził zniszczeniem świątyni. Wiedział, jak wielką niechęć wzbudza władza Tohańczyków, i zamierzał w zarodku zdławić wszelki opór. Sam widziałeś, jak ludzie odnosili się do pana Shigeru, a jego śmierć roznieciła w nich niewyobrażalny żal i poczucie utraty. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Zamieszki

w miastach, których Tohan obawiali się za życia Shigeru, po jego odejściu wybuchły tym gwałtowniej. Bunt zrodził się spontanicznie: wojownicy Otori, mieszczanie zbrojni w kije, nawet wieśniacy z kosami i kamieniami, wszyscy ruszyli na zamek. Byliśmy gotowi przyłączyć się do natarcia, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Iidy i zwycięstwie Araiego pod Inuyamą. Wojska Tohan musiały się wycofać; ścigaliśmy ich do Kushimoto, gdzie spotkaliśmy ciebie z głową Iidy. Już wtedy rozniosła się historia o tym, jak uratowałeś Shigeru. Powoli zaczęto odgadywać, kim jest tak zwany Anioł z Yamagaty.

Westchnął i dmuchnął w resztki żaru. Lampa już dawno zgasła.

- Lecz gdy wróciliśmy do Terayamy, nie sprawiałeś wrażenia bohatera. Byłeś zagubiony i pełen smutku, a w dodatku stanąłeś wobec rozdzierającego wyboru. Kiedy się poznaliśmy, zaciekawileś mnie, uznałem cię jednak za dziwaka, utalentowanego, ale słabego; twój zmysł słuchu był dla mnie wybrykiem natury, cechą niemal zwierzęcą. Dotąd sądziłem, że znam się na ludziach, dlatego zdziwiłem się, że zaproszono cię ponownie, nie mogłem też pojąć zaufania, którym obdarzał cię Shigeru. Później zrozumiałem, że nie jesteś taki, jaki się wydajesz, dostrzegłem twoją odwagę i siłę twoich uczuć. I pokochałem cię. Już mówiłem, że nie zdarzyło mi się to nigdy przedtem, mówiłem też, że nie wyjawię ci powodu... ale wyjawilem. - I dodał po chwili: - Więcej o tym nie wspomnę.

- Nie ma w tym nic złego - powiedziałem. - Wręcz przeciwnie. Potrzebuję przyjaźni bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- A wojska nie?

- To musi poczekać do wiosny.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- A twoje powołanie, poszukiwanie oświecenia?

- Moim powołaniem będzie sprawa, o którą walczysz - odparł. - Po cóż inaczej Oświecony by cię tu przywiódł, żebyś mi przypomniał, iż żyjemy w świecie? Jest między nami silna więź; teraz widzę, że nie muszę się z niej uwalniać.

Ogień prawie zgasł. Nie widziałem już twarzy Makoto Drzałem pod cienką derką, zastanawiałem się także, czy zasnę, czy kiedykolwiek uda mi się zasnąć, czy też już zawsze będę nasłuchiwał oddechu skrytobójcy. W świecie, który wydawał się całkowicie wrogi, oddanie Makoto głęboko mnie wzruszyło. Nie wiedząc, co powiedzieć, wziąłem go za rękę i mocno ścisnąłem.

- Posiedzisz na warcie, a ja tymczasem trochę się prześpię?

- Oczywiście.

- Obudź mnie za kilka godzin. Ty też musisz odpocząć, zanim pójdziemy.

Kiwnął głową. Owinąłem się w drugą derkę i położyłem na łóżku. Węgle żarzyły się słabo, słyszałem, jak gasną z sykiem. Na zewnątrz wiatr trochę ucichł, z dachu kapła woda, jakieś małe stworzenie szeleściło w słomie. Rozległo się pohukiwanie sowy i mysz ucichła. Zapadłem w niespokojny sen; śniłem, że topiły się jakieś dzieci, a

ja wielokrotnie rzucałem się na pomoc do lodowatej wody, lecz nie zdołałem ich uratować.

Obudziło mnie zimno. Do szłaśu przenikało blade światło świtu. Makoto siedział w pozycji medytacyjnej, oddychając wolno, niemal niedosłyszalnie, wiedziałem jednak, że czuwa. Przyglądałem mu się przez kilka chwil, ale gdy otworzył oczy, odwróciłem wzrok.

- Powinieneś był mnie obudzić - powiedziałem.

- Czuję się wypoczęty. Nie potrzebuję wiele snu. Dlaczego nigdy na mnie nie patrzysz? - zapytał zaniepokojony.

- Mógłbym cię uśpić. To jedna z umiejętności Plemienia, którą odziedziczyłem. Powinienem nad nią panować, ale zdarzało mi się mimowolnie wywołać u kogoś sen. Więc staram się nie patrzeć ludziom w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że nie tylko świetnie słyszysz? Co jeszcze umiesz?

- Umieję stać się niewidzialny, przynajmniej na tak długo, by zbić przeciwnika z tropu albo przemknąć się obok straży. I potrafię wywołać wrażenie, że stoję w miejscu, z którego już odszedłem, lub że jestem w dwóch miejscach naraz. Nazywamy to użyciem drugiego „ja”.

Przyglądałem mu się ukradkiem, gdyż byłem ciekaw, jak zareaguje.

Bezwiednie wzdrygnął się nieco.

- Bardziej to podobne do demona niż anioła - mruknął. - Czy wszyscy w Plemieniu potrafią robić takie rzeczy?

- Różni ludzie mają różne talenty. Ja najwyraźniej odziedziczyłem więcej, niż mi się należało.

- Nic nie wiem o Plemieniu, nie wiedziałem nawet, że istnieje, dopóki po waszych odwiedzinach latem opat nie powiedział mi o twoich z nim związkach.

- Wiele osób sądzi, że te zdolności to czary.

- A jak jest naprawdę?

- Nie wiem, bo nie wiem, w jaki sposób z nich korzystam. Otrzymałem je, nie szukałem ich specjalnie. Ale można je doskonalić poprzez ćwiczenia.

- Zapewne, jak wszystkich talentów, można ich używać by czynić dobro albo zło.

- Plemię chce ich używać wyłącznie do własnych celów - powiedziałem cierpko. - Dlatego nie mogą pozwolić, bym żył. Jeżeli ze mną pójdziesz, też znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Jesteś na to przygotowany?

Wzruszył ramionami.

- Tak. Ale czy ciebie to nie przeraża? Większość ludzi omdlewałaby ze strachu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Często mówiono, że jestem nieustraszony, lecz to określenie wydawało mi się zbyt podniosłe jak na stan, który przypominał niewidzialność, dar, z którym się urodziłem. Brak lęku nachodził mnie co pewien czas, ale utrzymanie go wymagało wysiłku, więc podobnie jak każdy człowiek poznałem strach. Nie miałem ochoty o tym myśleć. Wstałem i podniosłem ubranie. Nie całkiem

wyszło, wciąż było wilgotne i lepilo się do skóry. Kiedy wyszedłem na dwór za potrzebą, przeniknął mnie wilgotny chłód. Śnieg przestał padać, zaspy zamieniły się w błotnistą maź. Wokół szałasów i kapliczki nie dostrzegłem ludzkich śladów, z wyjątkiem własnych, już na pół zatartych. Schodząca w dół ścieżka niknęła we mgle, w górach i w lesie panowała cisza, zakłócana jedynie podmuchami wiatru. W oddali słyszałem krakanie wron, gdzieś bliżej smutno pogwizdywał mały ptaszek. Nie dobiegały mnie żadne odgłosy ludzkiej aktywności - ani stuk siekiery o drzewo, ani świątynne dzwony, ani szczekanie wioskowego psa. Źródło przy kapliczce bulgotało cicho. Umyłem twarz oraz dłonie w lodowatej, czarnej wodzie, po czym napiłem się do syta.

To było całe nasze śniadanie. Makoto spakował swój skromny dobytek, wsadził flety za pas i chwycił kij do walki. Widząc, że nie ma innej broni, dałem mu krótki miecz, zdobyty poprzedniego dnia, który natychmiast również wetknął za pas obok fletów.

Wirujące, pojedyncze płatki towarzyszyły nam przez całe rano, na szczęście śnieg nie zdążył zasypać drogi, rzecz jasna świetnie Makoto znanej. Było ślisko; często przewracałem się lub wpadałem po kolana do jakiegoś wykrotu i niebawem moje ubranie było tak przemoczone jak poprzedniego dnia. Jeden za drugim, szybko schodziliśmy wąską ścieżką, prawie nie odzywając się do siebie. Makoto najwyraźniej zabrakło już słów, mnie zaś pochłoneło nasłuchiwanie - oddechu, trzasku gałązek, brzęku puszczonej cięciwy, świstu noża w locie. Czułem się jak ścigane zwierzę, zagrożone, zapędzone w pułapkę.

Światło pojaśniało, nabierając perłowego odcienia, pozostało takie przez blisko trzy godziny, po czym znów zaczęło się ściemniać. Śnieg padał coraz gęstszy i już nie topniał. Kiedy około południa przystanęliśmy, aby napić się wody ze strumyka, natychmiast zaatakował nas chłód.

- To północna rzeka, która przepływa obok świątyni - rzekł Makoto. - Pójdziemy jej brzegiem. Przed nami niecałe dwie godziny drogi.

O ileż łatwiejsza wydawała mi się ta wędrówka niż podróż z Hagi! Niemal się rozluźniłem; do Terayamy zostały dwie godziny, miałem towarzysza. Dotrę do świątyni, myślałem i co najmniej przez zimę będę bezpieczny. Plusk rzeki zagłuszał wszystkie inne dźwięki; nic nie ostrzegło mnie przed czekającą na nas zasadzką.

Było ich dwóch i wypadli na nas z lasu niczym wilki. Spodziewali się jednak tylko jednej osoby - mnie. Obecność Makoto ich zaskoczyła; sądząc, że mają przed sobą nieszkodliwego mnicha, najpierw rzucili się na niego, zapewne w nadziei, że ucieknie. Jeden natychmiast przypłacił to życiem, padając pod ciosem Makoto z roztrzaskaną czaszką. Drugi zamachnął się na mnie długim mieczem. Zdziwiło mnie to, gdyż członkowie Plemienia raczej nie nosili takiej broni; stałem się niewidzialny, przemknąłem pod jego ramieniem i ciąłem z całej siły w dłoń. Nóż ześliznął się po rękawicy, więc ukazałem swe drugie „ja” i pchnąłem ponownie. Tym razem sięgnąłem celu - z prawego nadgarstka popłynęła krew. Drugie „ja” zniknęło, ja sam zaś, wciąż

niewidzialny, skoczyłem napastnikowi do gardła. Jakże żałowałem, że nie mam przy sobie Jato i nie mogę porządnie walczyć! Wróg nadal mnie nie widział, i gdy niechcący złapał mnie za ramiona, wydał okrzyk przerażenia. Jego wzrok, wlepiony w moją twarz, zmętniał; pojąłem, że zaczynam się ukazywać, lecz w owej chwili Makoto zaszedł go od tyłu i strzaskał kij na jego karku. Ciężkie ciało zabójcy zważyło się na mnie bez czucia.

Czym prędzej się uwolniłem i pociągnąłem Makoto pod osłonę skał - na stoku wzgórz mogli się czaić dalsi napastnicy. Najbardziej obawiałem się łuczników, którzy mogli nas wystrzelać jak kaczki. Jednakże drzewa rosły tu gęsto i nie dostrzegliśmy nikogo.

Makoto ciężko dyszał, oczy mu błyszczały.

- Teraz rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o swych talentach!

- Sam jesteś nieźle utalentowany! Dziękuję!

- Kim są ci ludzie?

Podszedłem do leżących. Pierwszy był Kikuta - poznałem to po jego dłoniach - ale drugi pod zbroją nosił godło Otori.

- Wojownik - rzekłem, wpatrując się w czapkę. - To wyjaśnia, dlaczego użył miecza. Tamten pochodzi z Plemienia, z rodziny Kikuta.

Nie znałem go, lecz był to mój krewny, z którym łączyły mnie linie na dłoniach. Natomiast wojownik Otori poważnie mnie zaniepokoił. Czy przyszedł z Hagi? Co robił w towarzystwie skrytobójcy z Plemienia? Najwyraźniej cały świat już wiedział, że zmierzam do Terayamy! Moje myśli zwróciły się ku Ichiro; przeraziłem się, że ta wiadomość pochodzi od niego, wydobyta wiadomymi metodami. A może zdradził mnie Jo-An lub jeden z biedaków, których o to podejrzewałem? Może zamachowcy czekali już na nas w świątyni?

- Zupełnie zniknąłeś - Makoto nie mógł wyjść z podziwu. - Widziałem tylko twoje ślady na śniegu. To niesamowite. - Uśmiechnął się szeroko; jego twarz się przeobraziła, wręcz trudno było uwierzyć, że mam przed sobą zrozpaczonego flecistę z poprzedniej nocy. - Już dawno nie stoczyłem porządnej walki. To zdumiewające, jak zetknięcie ze śmiercią dodaje życiu urody.

Śnieg wydawał się bielszy, a ziąb bardziej przenikliwy niż dotąd. Poczułem straszliwy głód i zatęskniłem za przyjemnościami zmysłów - gorącą kąpielą, jedzeniem, winem dotykiem nagiej skóry kochanki.

Ruszyliśmy naprzód ze zdwojoną energią. Bardzo się nam przydała - w ciągu ostatniej godziny wiatr jeszcze się wzmógł i śnieg zaczął padać gęściej. Pod koniec szliśmy niemal po omacku, jednak Makoto ani na chwilę nie zboczył z drogi, dając mi kolejny powód do wdzięczności.

Od moich ostatnich odwiedzin w świątyni budynki otoczono drewnianym parkanem. Przy bramie zatrzymali nas wartownicy, lecz gdy ujrzeli Makoto, powitali go z radością. Obawiali się już o niego i z ulgą przyjęli powrót towarzysza.

Ponownie zaryglowano bramę i zasiedliśmy bezpiecznie na wartowni, gdzie zostałem poddany uważnym oględzinom.

- Pan Otori Takeo szuka tu schronienia na zimę - wyjaśnił Makoto. - Powiadomicie opata o naszym przybyciu?

Jeden z wartowników pośpiesznie oddalił się przez dziedziniec, pochylony pod naporem zawieruchy, która pobieliła go, zanim dotarł do drzwi klasztoru. Rozłożyste dachy głównej świątyni nosiły już śniegowe czapy, a nagie gałęzie wiśni i śliw ugiwały się pod ciężarem kwiatów zimy.

Strażnicy zaprosili nas do ognia. Byli to młodzi mnisi, mniej więcej w wieku Makoto, uzbrojeni w łuki, włócznie i kije. Poczęstowali nas herbatą, która smakowała mi jak nigdy dotąd. Para unosząca się z napoju i naszych ubrań stworzyła w pomieszczeniu przytulną, ciepłą atmosferę.

Walczyłem ze sobą, by się jej nie poddawać; nie chciałem usnąć, jeszcze nie teraz.

- Czy ktoś nas szukał?

- Dziś rano dostrzeżono obcych na zboczu góry. Minęli świątynię i poszli do lasu. Nie mieliśmy pojęcia, że was szukają. Baliśmy się trochę o Makoto - mogli to być bandyci - ale w taką pogodę nie chcieliśmy wysyłać nikogo na zewnątrz. Pan Otori przybył w ostatniej chwili; drogą, którą schodziliście, już nie da się przejść. Teraz świątynia aż do wiosny będzie zamknięta.

- To dla nas zaszczyt, że wróciłeś - wtrącił nieśmiało inny; spojrzenia, które wymienili między sobą, uzmysłowiły mi, że świetnie pojmują, co oznacza moje przybycie.

Po kilku minutach wrócił posłaniec.

- Nasz opat wita pana Otori - wysapał - i prosi, byś wziął kąpiel i zjadł posiłek. Porozmawia z tobą wieczorem.

Makoto dopił herbatę, skłonił mi się sztywno i oświadczył, że musi się przygotować do wieczornej modlitwy. Zachowywał się tak, jakby spędził cały dzień w klasztorze, jakby nie brnął przez zamieć i nie zabił dwóch ludzi. Był oficjalny i chłodny; wiedziałem, że mam w nim serdecznego przyjaciela, lecz teraz stał się jednym z mnichów, ja zaś musiałem ponownie się nauczyć, jak być panem. Wiatr wył w krokwiach dachu, śnieg wciąż padał nieubłaganie. Dotarłem bezpiecznie do Terayamy - miałem całą zimę, by zmienić kształt swego życia.

Do pokoiw gościnnych przy świątyni zaprowadził mnie ten sam młody człowiek, który przyniósł wiadomość od opata. Wiosną i latem pokoje te były pełne gości i pielgrzymów, teraz jednak ziały pustką. Choć w obawie przed śnieżycą zamknięto okiennice zewnętrzne, nadal panowało tu dojmujące zimno. Wiatr ze świstem przenikał przez szpary w ścianach, przez większe otwory wpadał śnieg, tworząc maleńkie zaspy. Mnich wskazał mi drogę do łaźni, zbudowanej nad gorącym źródłem, gdzie ściągnąłem mokrą, zabłoconą odzież i gruntownie się wyszorowałem, po czym zanurzyłem się w gorącej wodzie. Doznanie było jeszcze cudowniejsze, niż

sobie wyobrażałem. Wspomniałem ludzi, którzy chcieli mnie zabić w ciągu minionych dwóch dni, i przeszła mnie intensywna radość, że żyję. Woda wokół mnie parowała i bulgotała; poczułem przypływ wdzięczności, że wypływa ze źródła, aby obmyć moje obolałe ciało i ogrzać zmarznięte kończyny. Pomyślałem o górach, które z równą łatwością pluły ogniem i drżały, niszcząc budynki niczym domki z klocków, sprawiając, że ludzie stawali się bezradni jak owady wypełzające z płonącego polana. Ta góra mogła mnie pochwycić i zamrozić na śmierć, lecz zamiast tego obdarzyła mnie gorącą wodą.

Na ramionach miałem sińce od rąk wojownika; na szyi, gdzie musnął mnie jego miecz, widniało długie, płytkie cięcie. Za to prawy nadgarstek, który dokuczał mi od chwili, gdy Akio wykręcił go w Inuyamie, nadrywając ścięgna, wyraźnie się wzmocnił. Po podróży byłem jeszcze chudszy niż zwykle, ale poza tym czułem się nieźle. No i byłem już czysty.

W pomieszczeniu za łaźnią rozległy się kroki, a potem wołanie mnicha, że zostawił mi w pokoju suche ubranie i coś do jedzenia. Wynurzyłem się z wody czerwony jak rak, wytarłem do sucha zostawionymi w tym celu szmatami i po zaśnieżonym pomoście pobiegłem do pawilonu.

Był pusty, lecz na podłodze leżały części garderoby: czysta opaska biodrowa, pikowana bielizna, jedwabna szata wierzchnia i pas. Szatę barwy dojrzałych śliwek zdobił ciemno-fioletowy wzór oraz godło Otori, wyhaftowane srebrem na plecach. Powoli naciągnąłem ją na siebie, rozkoszując się dotykiem tkaniny - od dawna nie miałem na sobie nic tak wspaniałego. Ciekawe, pomyślałem, skąd wzięła się w świątyni i kto ją tu zostawił. Czyżby Shigeru? Poczułem wokół siebie jego delikatną obecność i obiecałem sobie, że od rano pójdę na jego grób - on mi podpowie, jak dokonać zemsty.

Zapach jedzenia przypominał mi o głodzie. Posiłek był obfitszy niż wszystko, co jadłem ostatnio, lecz pochłonałem go w niespełna dwie minuty. Potem, aby nie zasnąć i nie utracić ciepła po kąpieli, wykonałem kilka energicznych ćwiczeń, po czym zasiadłem w pozycji medytacyjnej.

Przez wiatr i zawieję słyszałem głosy mnichów, recytujących modlitwy w głównej sali świątyni. Zimowa noc, samotny pokój z jego wspomnieniami i duchami przeszłości, spokojne słowa starożytnych sutr połączyły się w jedno przejmujące, gorzko-słodkie doznanie. Dreszcz przebiegł mi po plecach; żałowałem, że nie potrafię go wyrazić, że nie uważałem, kiedy Ichiro próbował uczyć mnie poezji. Pragnąłem ująć pędzel w dłoń - skoro nie umiałem wyrazić swych uczuć słowami, może potrafiłbym je namalować?

„Wróć do nas - powiedział stary mnich - kiedy to wszystko się skończy...” Częścią swego jestestwa pragnąłem to uczynić, spędzić resztę swoich dni w tym cichym miejscu. Jednak przypomniałem sobie, że nawet tutaj podsłuchiłem wojenne plany; mnisi byli teraz uzbrojeni, świątynia ufortyfikowana. Nic się nie skończyło - prawdę

mówiąc, dopiero się zaczynało.

Modlitwy dobiegły końca i usłyszałem miękki tupot stóp mnichów, udających się na posiłek, a potem na krótki sen, z którego dzwon miał ich poderwać o północy. Od strony krużganka rozległy się kroki i znajomy posłaniec odsunął drzwi.

- Panie Otori - rzekł z ukłonem - nasz opat życzy sobie widzieć się z tobą.

Wstałem i podążyłem za nim. - Jak masz na imię?

- Norio, panie - odparł i szeptem dodał: - Urodziłem się w Hagi.

Nie powiedział nic więcej; reguła świątyni wymagała, by nie odzywano się bez potrzeby. Okrążyliśmy główny dziedziniec, już całkowicie pokryty śniegiem, mijając refektarz, gdzie milczący mnisi klęczeli w rzędach przed swymi miseczkami, oraz główną salę, gdzie w półmroku połyskiwała złota figura. Dalej mieścił się ciąg niewielkich pomieszczeń używanych jako biura i pokoje do nauki. Ze środka dobiegał stukot modlitewnych paciorków oraz powtarzana szeptem sutra.

- Wasza świątobliwość, twój gość jest tutaj - zawołał półgłosem Norio, zatrzymując się przed wejściem.

Na widok opata głęboko się zawstydziłem - był to ten sam stary mnich, którego poznałem, gdy pierwszy raz odwiedziłem Terayamę, i miał na sobie to samo zniszczone ubranie. Wówczas uznałem go za jednego ze starców dożywających w świątyni swoich dni, a nie za jej głowę; własne sprawy pochłaniały mnie do tego stopnia, że nie zadałem sobie trudu, by się dowiedzieć, kim jest. Padłem na kolana i dotknąłem czołem maty. Podszedł do mnie szybko i w swój bezpośredni, naturalny sposób poprosił, bym usiadł prosto. Objął mnie serdecznie, a następnie odsunął się nieco i z rozjaśnioną uśmiechem twarzą uważnie popatrzył mi w oczy. Jego szczerą radość udzieliła mi się i odwzajemniłem uśmiech.

- Pan Otori - powiedział. - Ogromnie się cieszę, że bezpiecznie do nas wróciłeś. Poświęciłem ci wiele myśli. Masz za sobą mroczny czas.

- Jeszcze się nie skończył. Ale chciałbym prosić o gościnę na zimę. Wygląda na to, że ściga mnie, kto może, potrzebuję więc schronienia, żeby się przygotować.

- Makoto opowiadał mi o twoim położeniu. Zawsze jesteś tu mile widziany.

- Chciałbym od razu wyjaśnić: zamierzam odebrać rodowi Otori należny mi spadek i ukarać ludzi odpowiedzialnych za śmierć Shigeru. To może narazić świątynię na niebezpieczeństwo.

- Jesteśmy na to gotowi - odparł opat z pogodą.

- Czynisz mi wielką grzeczność, na którą nie zasłużyłem.

- Sądzę, że wkrótce odkryjesz, iż ci z nas, których z Otori łączą długotrwałe związki, uważają się za twoich dłużników - odpowiedział. - A poza tym wierzymy w twoją przyszłość

Bardziej niż ja sam, pomyślałem. Poczułem, że się rumienię; nie do wiary, że mnie pochwalił, po tych wszystkich błędach, które popełniłem! Miałem wrażenie, iż jestem przebrany w szatę Otori oszustem, z krzywo obciętymi włosami bez pieniędzy,

bez wojska, bez miecza.

- Wszystkie przedsięwzięcia zaczynają się od pierwszego czynu - rzekł opat, jakby czytał w moich myślach. - Twoim pierwszym czynem było przybycie tutaj.

- Przysłał mnie mój nauczyciel, Ichiro. Ma się tu ze mną spotkać na wiosnę. Doradził mi, bym oddał się pod opiekę pana Araiego. Od razu powinienem był to zrobić.

Opat zmrużył oczy w uśmiechu.

- Nie, gdybyś to zrobił, Plemię nie pozwoliłoby ci żyć. Byłeś wtedy bardziej bezbronny niż teraz, nie znałeś bowiem nieprzyjaciela. Dziś masz znacznie lepsze pojęcie o potędze Plemienia.

- Ile o nich wiecie?

- Shigeru często mi się zwierzał i zasięgał mej rady. Podczas jego ostatniej wizyty długo rozmawialiśmy o tobie.

- Nic nie słyszałem.

- Postarał się, byś tego nie słyszał; poszliśmy do wodospadu, dopiero później wróciliśmy do tego pokoju.

- I rozmawialiście o wojnie.

- Chciał gwarancji, że świątynia i miasto powstaną, kiedy Iida zostanie zabity. Wahał się, czy należy podejmować próbę zamachu; obawiał się, że posyła cię na pewną śmierć. Jak się okazało, wieść o jego śmierci wzniciła powstanie, któremu nie zdołalibyśmy przeszkodzić, nawet gdybyśmy chcieli. Weź jednak pod uwagę, że Arai zawarł sojusz z Shigeru, a nie z całym klanem Otori; jeśli będzie mógł zawłaszczyć sobie ich terytoria, to z pewnością tak uczyni. Do lata wybuchnie wojna. - Zamilkł na chwilę, po czym podjął: - Stryjowie Shigeru zamierzają zawłaszczyć jego ziemie i ogłosić, że zostałeś adoptowany bezprawnie. Inaczej mówiąc, nie dość, że brali udział w spisku, by go zgładzić, to jeszcze obrażają jego pamięć. Dlatego cieszę się, że chcesz odzyskać swoje dziedzictwo.

- Ale czy Otori kiedykolwiek przyjmą mnie do siebie? - pokazałem mu dłonie. - Jestem naznaczony jako Kikuta.

- O tym porozmawiamy później. Zdziwisz się, ilu z nich czeka na twój powrót. Na wiosnę ochotnicy sami cię odszukają.

- Jeden wojownik Otori już próbował mnie zabić - rzekłem nieprzekonany.

- Makoto mówił mi o tym. W klanie nastąpił rozłam, czego Shigeru się spodziewał i zdążył się z tym pogodzić. Nie stało się to z jego winy - nasiona niezgody zostały posiane po śmierci jego ojca, gdy stryjowie uzurpowali sobie władzę.

- Uważam, że są odpowiedzialni za jego śmierć. Ale im więcej się dowiaduję, tym większe czuję zdziwienie, że pozwolili mu żyć aż tak długo!

- Długość naszego życia to sprawa przeznaczenia - oznajmił opat. - Panowie Otori boją się własnego ludu. Ich wieśniacy mają krewką naturę i opinię niezależnych; inaczej niż poddani Tohan, nigdy nie zostali złamani do końca. Shigeru ich znał i

szanował, czym zaskarbił sobie życzliwość i szacunek. Stanowili jego ochronę przed stryjami. Teraz przeniosą swoją lojalność na ciebie.

- Być może - odparłem - ale na razie mam poważniejszy kłopot. Plemię skazało mnie na śmierć.

W świetle lampy spokojna twarz opata miała barwę kości słoniowej.

- Jak mniemam, jest to kolejny powód, dla którego się tu zjawieś.

Sądziłem, że będzie mówił dalej, ale zamilkł, patrząc na mnie wyczekująco.

- Pan Shigeru prowadził zapiski - zacząłem ostrożnie, ścisząc głos, mimo że pokój był wytłumiony. - Zapiski o Plemieniu i jego działalności. Miałem nadzieję, że mi je udostępnicie.

- Przechowaliśmy je dla ciebie. Zaraz po nie pošlę. I, oczywiście, przechowaliśmy coś jeszcze.

- Jato.

Skinął głową.

- Będzie ci potrzebny.

Przywołał Norio, po czym kazał mu iść do składu i przynieść skrzynkę oraz miecz.

- Shigeru nie chciał wpływać na twoje postanowienia - powiedział, słuchając kroków Norio oddalającego się krużgankiem. - Miał świadomość, że pochodzenie może być dla ciebie przyczyną konfliktu lojalności i duchowego rozdarcia. Był przygotowany na to, że opowiesz się po stronie rodziny Kikuta. W takim przypadku nikt oprócz mnie nie zyskałby dostępu do jego zapisków. Skoro jednak wybrałeś Otori, notatki Shigeru należą do ciebie.

- Kupiłem sobie kilka miesięcy życia - mruknąłem z nutą pogardy dla samego siebie. - W moim wyborze nie ma nic szlachetnego; jego wartość polega jedynie na tym, że nareszcie zacząłem postępować zgodnie z wolą pana Shigeru. A i to właściwie pod przymusem, skoro Plemię depcze mi po piętach. Natomiast do Otori należę tylko przez adopcję, którą wszyscy będą kwestionować.

Opat znów uśmiechnął się promiennie, a jego mądre oczy zabłyśły współczuciem.

- Wola Shigeru to powód równie dobry jak inne.

Wyczułem, że wie coś więcej i chce się tym ze mną podzielić, ale w owej chwili na zewnątrz zabrzmiały kroki. Mimowolnie zesztywniałem, lecz po chwili rozpoznałem wracającego Norio, tym razem nieco cięższego - niósł przecież skrzynkę i miecz. Odsunął drzwi, wszedł i uklęknął, kładąc ładunek na macie za moimi plecami. Nie odwróciłem głowy, lecz usłyszałem delikatne stuknięcie. Na myśl, że znów wezmę Jato do ręki, serce zabiło mi żywiej, trochę z radości, a trochę z lęku.

Norio zamknął za sobą drzwi i znów na klęczkach przybliżył się do opata, umieszczając przed nim cenne przedmioty tak, abym i ja je widział. Oba opakowano w kawałki starej tkaniny, kryjącej ich prawdziwą moc. Opat odwinął Jato i oburącz mi go

podał. Przyjąłem go w ten sam sposób, uniosłem nad głowę, po czym skłoniłem się, czując w dłoniach znajomy ciężar. Marzyłem o tym, by dobyć miecza i obudzić jego stalową pieśń, nie mogłem jednak tego zrobić w obecności opata. Z czią umieściłem broń na podłodze obok siebie i zacząłem, aż opat rozpakuje skrzynkę.

Pachniała rutą; od razu rozpoznałem ten zapach. W rzeczy samej, tę właśnie szkatułkę niosłem pod okiem Kenjiego górską ścieżką, sądząc, że to dar dla świątyni. Czyżby mój opiekun naprawdę nie wiedział, co zawiera?

Stary mnich podniósł pokrywę - nie była zamknięta na klucz - i woń ruty stała się mocniejsza.

- Najpierw masz przeczytać to - rzekł, podając mi jeden ze zwojów. - Takie polecenie przekazał mi Shigeru. - Kiedy brałem zwój, z niespodziewanym uczuciem dodał: - Nie sądziłem, że ta chwila kiedykolwiek nadejdzie.

Spojrzałem mu w oczy. Głęboko osadzone w pomarszczonej twarzy, były mimo to błyszczące i bystre jak u dwudziestolatka. Wytrzymał mój wzrok; pojąłem, że ten człowiek nigdy nie zapadnie w sen Kikuta. W oddali trzykrotnie zadzwonił mniejszy dzwon. Oczyma duszy ujrzałem mnichów zatopionych w modlitwie lub medytacji, poczułem duchową moc tego świętego miejsca, skupioną i odzwierciedloną w osobie siedzącego przede mną starca. Znów zalała mnie fala wdzięczności dla niego i dla wiary, która dodawała mu sił - dla Niebios i rozmaitych bogów, którzy mimo mej niewiary, zda się, wzięli moje życie pod opiekę.

- Przeczytaj to - ponaglił. - Do reszty możesz zajrzeć później, lecz ten przeczytaj teraz.

Rozwinałem papier, wpatrując się w charakter pisma. Rozpoznałem rękę Shigeru oraz znaki, wśród których ujrzałem moje imię, ale słowa nie miały żadnego sensu. Wodząc spojrzeniem to tu, to tam, bardziej rozwinałem papier i ujrzałem morze imion, przypominające to, co Gosaburo objaśniał mi w Matsue. Zacząłem się domyslać, o co chodzi. Wróciłem do wstępu i jeszcze raz uważnie go przeczytałem... a potem jeszcze raz.

Wreszcie spojrzałem na opata.

- To prawda?

Zaśmiał się cicho.

- Chyba tak. Nie widzisz swojej twarzy, więc nie dostrzegasz głównego dowodu. Być może masz dłonie Kikuty, ale rysy w całości należą do Otori. Matka twego ojca była szpiegiem Plemienia, zatrudnionym przez klan Tohan. Wysłano ją do Hagi, kiedy ojciec Shigeru, Shigemori, zaledwie wyrósł z wieku chłopięcego. Związali się, najwyraźniej bez wiedzy i zgody Plemienia, a owocem tego związku był twój ojciec. Twoja babka musiała być osobą wielkiej przemyślności; po powrocie do Plemienia nic nikomu nie powiedziała, lecz poślubiła jakiegoś krewnego i wychowała dziecko na Kikutę.

- Zatem Shigeru i mój ojciec to bracia? Był moim stryjem?

- Widząc ciebie, trudno temu zaprzeczyć. Kiedy Shigeru ujrzał cię po raz

pierwszy, uderzyło go podobieństwo do jego zmarłego młodszego brata, Takeshiego. Oczywiście, oni obaj także byli do siebie bardzo podobni; gdybyś miał dłuższe włosy, wyglądałbyś kubek w kubek tak samo jak Shigeru w młodości.

- Skąd się dowiedział o całej tej historii?

- Częściowo z kronik rodzinnych. Jego ojciec zawsze podejrzewał, że spłodził dziecko z tą kobietą, i przed śmiercią mu się z tego zwierzył. Reszty Shigeru domyślił się sam. Odnalazł miejsce pobytu twego ojca i odkrył, że ten miał syna. Zapewne twój ojciec był tak samo rozdarty jak ty; mimo wychowania w rodzinie Kikuta oraz umiejętności, sporych nawet jak na Plemię, wciąż usiłował od niego uciec. Już samo to dowodzi, że miał mieszaną krew - wyraźnie brakowało mu fanatyzmu, właściwego pełnoprawnym członkom Plemienia. Shigeru zbierał materiały o Plemieniu od chwili, gdy poznał Muto Kenjiego. Spotkali się pod Yaegaharą; Kenji brał udział w potyczce i był świadkiem śmierci Shigemoriego, po czym zabrał jego miecz i oddał go Shigeru - tu opat zerknął na Jato. - Ale być może znasz tę historię.

- Kenji raz o tym napomknął.

- Kenji pomógł Shigeru uciec przed żołnierzami lidy. Obaj byli młodzi i szybko nawiązali przyjaźń. Wyświadczali sobie rozmaite przysługi; całymi latami wymieniali wiadomości na rozmaite tematy, czasem, trzeba powiedzieć, nieświadomie. Nie sądzę, by nawet Kenji zdawał sobie sprawę, jak przebiegły i skryty potrafił być Shigeru.

Milczałem. Odkrycie było zdumiewające, gdy się jednak nad nim zastanowiłem, wyjaśniało wiele rzeczy. To krew Otori płynąca w moich żyłach tak skwapliwie chłoneła naukę zemsty po masakrze w Mino; to ona połączyła mnie z Shigeru tak silną więzią. Znów za nim zatęskniłem, żałując, że wcześniej o niczym nie wiedziałem, ale przede wszystkim poczułem radość, że pochodzimy ze wspólnego pnia - że naprawdę jestem Otori.

- To potwierdzenie, że dokonałem właściwego wyboru - powiedziałem wreszcie głosem zdławionym ze wzruszenia. - Lecz jeśli mam zostać wojownikiem Otori, muszę się jeszcze bardzo wiele nauczyć. - Gestem wskazałem zwoje w szkatułce. - Nawet czytam marnie!

- Masz przed sobą całą zimę - uśmiechnął się opat. - Makoto pomoże ci w czytaniu i pisaniu. Na wiosnę powinieneś udać się do Araiego, by poznać rzemiosło wojenne w praktyce. Tymczasem będziesz studiował je w teorii oraz doskonalił walkę na miecze.

Przerwał na chwilę i znów się uśmiechnął. Widziałem wyraźnie, że ma w zanadrzu kolejną niespodziankę.

- Będę cię uczył osobiście - oznajmił. - Zanim zostałem powołany do służby Oświeconemu, powiadano, że znam się trochę na tych sprawach. Moje imię w świecie brzmiało Matsuda Shingen.

Nawet ja o nim słyszałem. Matsuda był najświetniejszym wojownikiem Otori starszego pokolenia, bohaterem młodych ludzi w Hagi. Widząc malujące się na mej

twarzy zaskoczenie, opat zachichotał:

- Myślę, że czeka nas bardzo przyjemna zima. Dużo ćwiczeń na rozgrzewkę. Zabieraj swoje rzeczy, panie Otori, zaczynamy jutro rano. Przerwy w nauce poświęć medytacjom. Makoto obudzi cię o godzinie Tygrysa.

Skłoniłem się przed nim, owładnięty uczuciem wdzięczności. Machnął ręką niecierpliwie.

- Spłacamy tylko stary dług.

- Nie - zaprzeczyłem. - To ja na zawsze pozostanę waszym dłużnikiem. Zrobię wszystko, co rozkażecie. Jestem do waszych usług.

Byłem już przy drzwiach, kiedy zawołał:

- Może miałbym jedną prośbę... Odwróciłem się i padłem na kolana.

- Co tylko zechcesz!

- Zapaść włosy! - odparł ze śmiechem.

Idąc za Norio do pokoju gościnnego, nadal słyszałem jego chichot. Mnich niósł skrzynkę z papierami, ja nie wypuszczałem z rąk Jato. Wiatr trochę ucichł, śnieg zrobił się ciężki i mokry - tłumiał dźwięki, otulał góry, odcinał świątynię od świata.

W pokoju przygotowano już posłanie. Podziękowałem Norio i życzyłem mu dobrej nocy. Palily się dwie lampy; w ich świetle wydobyłem Jato z pochwy, po czym wpatrzyłem się w ostrze, rozmyślając o ogniu, w którym wykuto owo połączenie delikatności, siły i śmiertelnej ostrości. Wielokrotnie skuwana stal połyskiwała pięknym falistym wzorem. To był dar dla mnie od Shigeru, tak jak moje imię i moje życie. Ująłem miecz oburącz i powtórzyłem starożytne ruchy, których nauczył mnie w Hagi.

Jato śpiewał mi o wojnie i krwi.



Rozdział ósmy

Kaede wracała z daleka, z czerwonej krainy otoczonej oceanem krwi i ognia. W gorączce widziała straszliwe obrazy; ocknęła się wśród znajomych światła i cieni rodzinnego domu. Przebywając w niewoli Noguchi, często śniła, że budzi się w domu, aby naprawdę obudzić się kilka chwil później do rzeczywistości życia w zamku. Teraz więc leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, czekając na owo drugie przebudzenie, czując lekkie klucie w dole brzucha - zastanawiała się tylko, dlaczego śni się jej woń moksy.

- Wróciła do nas!

Obcy głos - męski - zaskoczył ją. Poczuła na czole dotknięcie; poznała rękę Shizuki i przypomniała sobie, ile razy ta dłoń, mocna i chłodna, odgradzała jej umysł od nacierających koszmarów. Miała wrażenie, że nie pamięta nic innego - coś się z nią stało, ale myśli uciekały przed tym wspomnieniem. Ruch przywiódł jej na myśl upadek. Pewnie spadła z Raku, małego siwka, którego podarował jej Takeo - tak spadła i straciła jego dziecko.

Jej oczy wypełniły się łzami. Miała świadomość, że nie myśli jasno, ale wiedziała: dziecko nie żyje. Poczuła, że dłoń Shizuki oddała się, po czym wraca z lekko ogrzaną chustką i wyciera jej twarz.

- Panienko! - szepnęła Shizuka. - Panienko Kaede! Kaede usiłowała podnieść rękę, ale coś najwyraźniej ją przytrzymało i delikatnie kłuło.

- Nie próbuj się poruszać - ostrzegła Shizuka. - Jesteś pod opieką doktora Ishidy, lekarza pana Fujiwary. Teraz na pewno wyzdrowiejesz. Nie płacz, panienko!

- To normalne - dobiegł ją głos medyka. - Ci, którzy otarli się o śmierć, zawsze płaczą, gdy wracają do życia, z radości bądź ze smutku, nigdy nie potrafiłem tego orzec.

Sama Kaede również nie wiedziała. Łzy popłynęły wartko, a gdy ustały, zasnęła.

Przez kilka dni spała, budziła się, trochę jadła i znowu spała. Potem, kiedy zaczęła mniej spać, leżała z zamkniętymi oczami, nasłuchując odgłosów domostwa. Słyszała głosik Hany, odzyskującej pewność siebie, łagodne odpowiedzi Ai, śpiew Shizuki, czasem strofującej Hanę, która chodziła teraz za nią jak cień, by się jej przypodobać. Był to dom kobiet - mężczyźni trzymali się z dala - kobiet świadomych, że znalazły się na krawędzi katastrofy i nadal grozi im niebezpieczeństwo, którego na razie udało się uniknąć. Jesień z wolna przechodziła w zimę.

Medyk, jedyny mężczyzna, mieszkał w pawilonie gościnnym. Był to niski, zręczny człowiek o długich palcach i spokojnym głosie; codziennie odwiedzał Kaede, która nabrała do niego zaufania, wyczuwając, że jej nie osądza. Nie uważał, że jest

dobra albo zła - w rzeczy samej, w ogóle nie myślał w tych kategoriach. Po prostu chciał, żeby wyzdrowiała.

Używał sposobów, których wyuczył się na głównym łądzie - złotych i srebrnych igieł, liści piołunu, roztartych i przypalanych na skórze, oraz naparu z brzozonej kory. Był pierwszą znaną jej osobą, która odbyła taką podróż; czasem leżała i słuchała jego głosu, gdy opowiadał Hanie o zwierzętach, które tam widział, ogromnych wielorybach w morzu oraz niedźwiedziach i tygrysach na łądzie.

Kiedy mogła już wstawać i wychodzić na dwór, doktor Ishida zaproponował, by odprawić nabożeństwo za utracone dziecko. Kaede zaniesiono w lektyce do świątyni, gdzie długo klęczała przed kaplicą Jizo, opiekuna wodnych dzieci, zmarłych, zanim się narodziły. Opłakiwała dziecko, którego życie trwało tak krótko, dziecko poczęte i umarłe pośród przemocy - a przecież zrodzone z miłości.

Nigdy cię nie zapomnę, obiecywała w głębi serca, modląc się, aby następnym razem jego podróż była szczęśliwsza. Wreszcie poczuła, że duch dziecka jest bezpieczny aż do następnej wędrówki ku życiu. Podobną modlitwę zmówiła za dziecko Shigeru, świadoma, że nie licząc Shizuki, jest jedyną osobą, która wie o jego krótkiej egzystencji. Łzy znów popłynęły z jej oczu, lecz gdy wróciła do domu, miała przemożne wrażenie, że z jej barków spadł wielki ciężar.

- Teraz musisz znowu zacząć żyć - pocieszał ją doktor Ishida. - Jesteś młoda, wyjdiesz za mąż, urodzisz inne dzieci.

- Chyba nie jestem przeznaczona do małżeństwa - odparła Kaede.

Uśmiechnął się, sądząc, że żartuje. Oczywiście, pomyślała, to musi być żart. Kobiety z jej klasy, w jej położeniu, zawsze wychodziły za mąż, a raczej były wydawane za mąż za kogoś, kogo uważano za najkorzystniejszą partię. Ale małżeństwa takie aranżowali ojcowie, wodzowie klanów bądź też inni władcy, ona zaś najwyraźniej nie miała nikogo takiego nad sobą. Ojciec nie żył, starsi pracownicy ojca również; Seishuu, w tym rody Shirakawa i Maruyama, byli bez reszty pochłonięci sytuacją po obaleniu klanu Tohan oraz niespodziewaną, zawrotną karierą Araiego Daiichi. Któż miałby jej dyktować, co ma robić? Gdzie był teraz Arai? Może powinna oficjalnie zawrzeć z nim sojusz i uznać go za suzerena? Jakie były wady lub zalety takiego posunięcia?

- Bardzo spoważniałaś - rzekł medyk. - Czy mogę zapytać, co tak zajmuje twe myśli? Spróbuj się nie martwić.

- Muszę postanowić, co mam robić - odpowiedziała.

- Namawiam, abys nie robiła nic, dopóki nie będziesz silniejsza. Nadchodzi zima. Musisz odpoczywać, dobrze się odżywiać i bardzo uważać, by się nie przeziębć.

I muszę scalić swoje ziemie, pomyślała, nawiązać łączność z Sugitą Hiroki w Maruyamie, aby go powiadomić, że zamierzam upomnieć się o swój spadek, a także zdobyć

pieniądze i żywność dla swych poddanych. Ale nie powiedziała tego głośno.

Odzyskawszy siły, zajęła się domem, który chciała doprowadzić do porządku

przed nadejściem śniegów. Wszystkie tkaniny zostały wyprane, położono nowe maty, naprawiono drzwi i parawany, wymieniono dachówki i kafle. Ogród odzyskał urodę. Nie miała pieniędzy, by zapłacić za to wszystko, znalazła jednak chętnych do pracy za obietnicę wynagrodzenia na wiosnę, ponadto co dzień uczyła się zaskarbiać sobie ich wierność spojrzeniem lub dobrym słowem.

Przeniosła się do pokoi ojca i nareszcie zyskała nieograniczony dostęp do jego ksiąg. Całymi godzinami ćwiczyła się w czytaniu i pisaniu, aż Shizuka, obawiając się o jej zdrowie, przyprowadzała jej Hanę dla rozrywki. Wówczas Kaede bawiła się z siostrzyczką, ucząc ją czytać i używać pędzla jak mężczyzna. Pod surowym okiem Shizuki Hana utraciła trochę poprzedniej dzikości i okazała się równie żadna wiedzy jak Kaede.

- Obydwie powinnyśmy były urodzić się jako chłopcy - westchnęła Kaede.

- Wtedy ojciec byłby z nas dumny - dodała Hana, która w skupieniu kreśliła znaki, przygryzając język.

Kaede nie odpowiedziała. Nigdy nie mówiła o ojcu i starała się o nim nie myśleć. Prawdę mówiąc, nie potrafiła już odróżnić realnych wydarzeń, poprzedzających jego śmierć, od swych późniejszych chorobliwych majaczeń. Nie chciała o nic pytać Shizuki i Kondo, obawiając się, co może usłyszeć. Była w świątyni, odprawiła żałobny rytuał i zamówiła piękny, rzeźbiony kamień na grób ojca, jednak nadal lękała się jego ducha, który unosił się w czerwonej mgłę jej gorączki. Choć pocieszała się myślą, że nie zrobiła nic złego, nie umiała go wspominać bez ukłucia wstydu, który skrywała za zasłoną gniewu.

Będzie mi bardziej pomocny martwy niż żywy, uznała wreszcie i rozgłosiła, że wraca do nazwiska Shirakawa, gdyż z woli ojca jest jego spadkobierczynią i zamierza pozostać w rodzinnym domu. Kiedy po stosownym okresie żałoby wrócił Shoji i zaczął z nią przeglądać rachunki i notatki, dostrzegła w jego zachowaniu cień dezaprobaty, jednakże w dokumentach panował tak okropny nieład, że zyskała pretekst, by się rozgniewać i go poskromić. Wręcz nie do wiary, że dopuszczono do tak szybkiego upadku gospodarstwa. Bała się, że nie wystarczy jedzenia nawet dla poddanych i ich rodzin, nie mówiąc już o ludziach, których dopiero zamierzała zatrudnić. Tym gryzła się najbardziej.

Z pomocą Kondo przejrzała arsenał i zbrojownię, wydając polecenie, by dokonano napraw i uzupełniono braki. Zaczęła bardziej polegać na jego doświadczeniu i ocenach; kiedy doradził, by ponownie ustanowiła granice swych dóbr, co mogłoby powstrzymać wypadki wrogów i dało żołnierzom możliwość ćwiczenia sztuk wojennych, zgodziła się, instynktownie wyczuwając, że wojsko powinno być zajęte i czymś zaciekawione. Po raz pierwszy doceniła lata spędzone w zamku, kiedy to dowiedziała się mnóstwo o broni i wojowaniu. Od tej pory Kondo regularnie wypuszczał się w okolice z piątką lub szóstką konnych, przywożąc z tych wycieczek cenne informacje.

Poleciała, by Kondo i Shizuka dyskretnie rozpuścili wśród wojska wieści: sojusz z Araith, wyprawa do Maruyamy na wiosnę, szanse na awans i bogactwo.

Pan Fujiwara jej nie odwiedzał, choć regularnie przysyłał prezenty, suszone persymony, wino i ciepłą, pikowaną odzież. Ishida powrócił do rezydencji swego pana, wiedziała więc, że z pewnością powiadomi go o stanie jej zdrowia, gdyż nie ośmieli się nic przed nim zataić. Nie chciała się widzieć z Fujiwarą - czuła wstyd, że go oszukała, żałowała, że utracił dla niej szacunek, toteż z ulgą rezygnowała ze spotkania twarzą w twarz. Żywe zainteresowanie, jakim ją darzył, odpychało ją i wytrącało z równowagi równie silnie, jak jego biała skóra i oczy kormorana.

- To pożyteczny sojusznik - powiedziała Shizuka.

Stały w ogrodzie, nadzorując wymianę rozbitej kamiennej latarni. Dzień był chłodny i jasny, wyrzało dawno niewidziane słońce. Kaede patrzyła na parę ibisów na polach ryżowych za bramą; ich blad różowe, zimowe upierzenie jarzyło się na tle ściętej mrozem, nagiej ziemi.

- Był dla mnie bardzo dobry - odrzekła. - Wiem, że za pośrednictwem doktora Ishidy zawdzięczam mu życie. Ale nie zmartwiłabym się, gdybym go więcej nie ujrzała.

Ibisy, jeden za drugim, brodziły po kałużach na skraju pola, mącąc krzywymi dziobami błotnistą wodę.

- A poza tym - dodała - w jego oczach jestem już skażona. Będzie mną gardził bardziej niż przedtem.

Shizuka nie powiedziała Kaede, że Fujiwara pragnie i poślubić, teraz również o tym nie wspomniała.

- Musisz podjąć jakąś decyzję - stwierdziła cicho. - Inaczej do wiosny wszyscy umrzemy z głodu.

- Z niechęcią myślę, że miałabym prosić o pomoc - odparła Kaede. - Nie chcę uchodzić za żebraczkę, bezsilną i zrozpaczoną. Wiem, że w końcu będzie trzeba udać się do Araith, ale poczekam z tym do końca zimy.

- Podejrzewam, że ptaki zlecają się znacznie wcześniej - mruknęła Shizuka. - Zapewne Araith sam kogoś przyśle.

- A ty, Shizuko? - zainteresowała się dziewczyna. Postument został ustawiony, latarnia umocowana. Wieczorem Kaede zamierzała wstawić do niej lampę; w zamrażniętym ogrodzie pod czystym niebem będzie wyglądała pięknie. - Co zamierzasz? Przypuszczalnie nie zostaniesz ze mną na zawsze, prawda? Masz przecież inne sprawy. Jak się czują twoi synowie? Pewnie za nimi tęsknisz. Czy Plemię wydało ci jakieś polecenia?

- Nic nowego, poza tym, bym nadal dbała o twoje interesy - spokojnie odpowiedziała Shizuka.

- Czy zabraliby moje dziecko, tak jak zabrali Takeo? - zapytała Kaede, lecz zaraz dodała: - Nie, nie odpowiadaj, to już nie ma sensu. - Czując bliskość łez, mocno zacisnęła wargi. Po chwili milczenia zagadnęła: - Pewnie powiadamasz ich o moich

działaniach i decyzjach?

- Od czasu do czasu, jeśli dzieje się coś ważnego, wysyłam list do mego wuja, na przykład wtedy, gdy otarłaś się o śmierć. Dam mu znać również, jeśli postanowisz wyjść za mąż.

- Tego nie zrobię.

W gasnącym świetle popołudnia pióra ibisów jaśniały ciepłym różem. Powietrze znieruchomiało. Robotnicy ukończyli już pracę i w ogrodzie zapanowała cisza. W owej ciszy Kaede znów usłyszała obietnicę białej bogini: Bądź cierpliwa.

Nie wyjdę za nikogo innego, ślubowała w duchu po raz kolejny. Będę cierpliwa.

To był ostatni słoneczny dzień, potem zrobiło się zimno i mokro. Kilka dni później Kondo powrócił z patrolu w ulewnym deszczu, pośpiesznie zeskoczył z konia i krzyknął do kobiet:

- Na drodze są obcy. Żołnierze pana Araiego, pięciu lub sześciu konnych.

Kaede kazała mu zebrać na dziedzińcu, kogo się da, i udawać, że w każdej chwili może wezwać posiłki.

- Powiedz kobietom, by przygotowały jedzenie - poleciła Shizuue. - Wszystko, co mamy najlepszego. Goście muszą odnieść wrażenie, że żyjemy w dobrobycie. Pomóż mi się przebrać i zawołaj siostry. Potem się ukryj.

Włożyła najwytworniejszą szatę od pana Fujiwary, jak zawsze wspominając dzień, gdy obiecała ją Hanie.

Włoży ją, kiedy do niej dorośnie, pomyślała, a ja przysięgam, że będę obecna, by to zobaczyć.

Przyszły Hana i Ai. Hana trajkotała podniecona, podskakując dla rozgrzewki. Za nimi podążała Ayame z kociołkiem pełnym rozpalonych węgli. Kaede wzdrygnęła się na ten widok; obawiała się, że po odjeździe wysłańców Araiee będą jeszcze bardziej trzęsły się z zimna.

- Kto przyjeżdża? - zagadnęła nerwowo Ai. Zmizerniała od śmierci ojca i choroby Kaede; oba te wstrząsy poważnie ją osłabiły.

- Ludzie Araiego. Musimy zrobić dobre wrażenie. Dlatego pożyczyłam sobie szatę Hany.

- Tylko jej nie pobrudź, starsza siostro - ostrzegła Hana z jękiem poddając się Ayame, która jęła rozczesywać jej włosy. Zazwyczaj spinała je grzebieniem - rozpuszczone sięgały dziewczynce do pięt.

- Czego chcą? - Ai pobladła z przejęcia.

- Zapewne nam powiedzą.

- Muszę przy tym być? - błagalnie zapytała Ai.

- Tak, włóż tę drugą szatę od pana Fujiwary i pomóż Hanie się ubrać. Musimy być razem, kiedy przybędą.

- Dlaczego? - zdziwiła się Hana.

Kaede nie odpowiedziała. Sama nie bardzo знаła powód. W wyobraźni ujrzała

obraz: trzy córki pana Shirakawy w opustoszałym domu, dalekie, piękne, niebezpieczne... takie właśnie muszą się ukazać wojownikom Araiego.

Wszechmiłosierna, wszechwspółczująca, pomóż mi, modliła się do białej bogini, gdy Shizuka wiązała jej pas i rozczesywała włosy.

Zza bramy dobiegł stukot kopyt, a następnie głos Kondo, witającego gości z należytą mieszaniną uprzejmości i pewności siebie. Kaede podziękowała Niebiosom za zdolności aktorskie Plemienia, mając nadzieję, że sama zachowa się równie przekonująco.

- Ayame, zaprowadź naszych gości do pawilonu gościnnego - poleciła. - Podaj im posiłek i herbatę. Najlepszą herbatę w najpiękniejszej porcelanie. Kiedy skończą, poproś, by ich przywódca przyszedł do mnie na rozmowę. Hana, jeżeli jesteś gotowa, chodź tu i usiądź przy mnie.

Shizuka pomogła Ai zawiązać szatę i szybko ją uczesała.

- Ukryję się tak, żeby wszystko słyszeć - szepnęła.

- Zanim odejdiesz, otwórz okiennice - poprosiła Kaede. - Zobaczymy jeszcze trochę słońca.

Przed chwilą ustał deszcz i kapryśne promienie rzucały srebrzysty blask na ogród i pokój.

- Co mam robić? - zapytała Hana, klękając obok siostry.

- Kiedy mężczyźni wejdą, musisz uklonąć się w tej samej chwili co ja. A potem wyglądaj najpiękniej, jak umiesz. Ja będę mówić.

- To wszystko? - Hana była wyraźnie rozczerowana.

- Obserwuj ich niepostrzeżenie. Potem mi powiesz, co o nich sądzisz. Ty również, Ai. Z niczym się nie zdradzajcie, na nic nie reagujcie - jak posługi.

Ai uklękła z drugiej strony Kaede. Drżała, ale zdołała się opanować.

Złociste drobiny kurzu tańczyły w ostatnich smugach słońca, zalewających dziewczętą powodzią światła. Z ogrodu dobiegał plusk świeżo oczyszczonego wodospadu, wezbranego deszczem. Na skale zamigotał błękitny cień nurkującego zimorodka.

Z pawilonu gościnnego dolatywał gwar męskich głosów. Kaede wydało się wręcz, że wyczuwa nieznajomy zapach Zesztywniała. Wyprostowała się, jej umysł zamienił się w lód. Przeciwwstawię ich sile swoją siłę, pomyślała. Będę pamiętać, jak łatwo umierają.

Niebawem usłyszała głos Ayame, oznajmiającej, że pani Shirakawa gotowa jest przyjąć gości. Po chwili przywódca i jeden z jego ludzi zbliżyli się do domu i wstąpili na werandę. Ayame padła na kolana przy wejściu, podwładny uklęknął na zewnątrz. Dowódca samotnie przekroczył próg.

Kaede zaczęła, aż przybysz ogarnie je wzrokiem, po czym nisko się skłoniła; Ai i Hana w tej samej chwili przywarły do podłogi.

I wszystkie wyprostowały się jednocześnie.

Wojownik uklęknął.

- Jestem Akita Tsutomu z Inuyamy - przedstawił się. - Przybywam do pani Shirakawa z polecenia pana Arai. - Dotknął czołem maty i pozostał zgięty w ukłonie.

Kaede powiedziała:

- Witaj, panie Akita. Jestem wdzięczna tobie, że zechciałeś odbyć tak męczącą podróż, oraz panu Arai, że cię przysłał. Z chęcią dowiem się, w jaki sposób mogę mu być pomocna. Usiądź prosto - dodała.

Patrzyła wprost na niego. Wiedziała, że kobiety powinny spuszczać oczy w obecności mężczyzn, ale nie czuła się już jak kobieta; prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy kiedykolwiek jeszcze będzie taką kobietą. Zauważyła, że Hana i Ai także wpatrują się w Akite matowym, nieprzeniknionym wzrokiem.

Był to mężczyzna w średnim wieku, o rzędnych, wciąż ciemnych włosach. Miał niewielki, lekko zagięty nos, nadający mu wygląd drapieżnego ptaka, oraz, jakby dla kontrastu, kształtne usta o wydatnych wargach. Jego ubranie, mimo że poplamione w podróży, wyróżniało się dobrą jakością; dłonie miał kwadratowe, o krótkich palcach i silnych, odstających kciukach. Robił wrażenie człowieka praktycznego, ale także konspiratora biegłego w podstępach. Nie dostrzegła w nim nic, co wzbudzałoby zaufanie.

- Pan Arai chciałby zapytać o twoje zdrowie - rzekł, przyglądając się bacznie siostrze, po czym znów zwrócił się do Kaede. - Doniesiono nam, że chorowałaś.

- Już wyzdrowiałam - odrzekła. - Możesz podziękować panu Araiemu za jego troskę.

Lekko pochylił głowę. Wyglądał na speszonego, jakby czuł się swobodniej wśród mężczyzn niż wśród kobiet i nie bardzo umiał z nią rozmawiać. Ciekawa była, co wiedział o jej położeniu i czy znał powód jej niedomagania.

- Z wielkim żalem usłyszeliśmy o śmierci pana Shirakawa - powiedział. - Pan Arai martwi się, że zostałaś bez opieki, i pragnie cię zapewnić, że uważa wasz sojusz za równie silny jak umowę z członkiem własnej rodziny.

Hana i Ai błyskawicznie zerknęły na siebie, po czym podjęły milczącą obserwację gościa, wprowadzając go w jeszcze większe pomieszczenie. Odchrząknął.

- A zatem pan Arai zaprasza ciebie i twoje siostry do Inuyamy w celu omówienia sojuszu oraz przyszłości pani Shirakawa.

To niemożliwe, pomyślała, choć nic nie powiedziała. Wreszcie uśmiechnęła się lekko.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Na razie jednak stan zdrowia nie pozwala mi na podróż, a poza tym wciąż odprawiam żałobę po ojcu i nie wypada, bym oddalała się z domu. Zbliża się koniec roku; wybierzemy się do Inuyamy na wiosnę. Możesz powtórzyć panu Araiemu, że uważam nasz sojusz za wiążący i jestem mu wdzięczna za opiekę. W miarę możliwości będę zasięgać jego rady oraz powiadamiać go o swoich decyzjach.

Hana i Ai znów wymieniły spojrzenia. To naprawdę niesamowite, pomyślała Kaede i nagle ogarnął ją śmiech.

- Jestem zmuszony nalegać, aby pani Shirakawa niezwłocznie pojechała ze mną - rzekł Akita.

- To absolutnie niemożliwe - odparła, mierząc go wzrokiem. - Nie sędzę, byś mógł na cokolwiek nalegać.

Reprimenda zaskoczyła go; na jego szyję i policzki wypełzła plama czerwieni.

Hana i Ai pochyliły się nieco ku przodowi, a ich spojrzenia stały się jeszcze bardziej przenikliwe. Słońce skryło się za chmurami, pokój pociemniał, w dach uderzył krótki deszcz. Bambusowe dzwonki zadźwięczały głucho.

- Proszę o wybaczenie - wymamrotał Akita. - Oczywiście, zrobisz, co uznasz za stosowne.

- Przyjadę do Inuyamy na wiosnę - powtórzyła. - Możesz to przekazać panu Araiemu. Zapraszam cię na nocleg, sędzę jednak, że powinienes wyjechać jutro rano, żeby zdążyć do domu, zanim spadną śniegi.

- Pani Shirakawa - skłonił się do podłogi. Kiedy wycofywał się tyłem, zapytała nagle:

- Kto ci towarzyszy?

Pozwoliła, by do jej głosu zakradło się rozdrażnienie; wiedziała, że zyskała nad nim przewagę. Coś w całej scenie, w jej siostrach, w niej samej go wystraszyło, niemal czuła to nosem.

- Syn mojej siostry Sonoda Mitsuru i trzech służący.

- Zostawisz tu siostrzeńca. Na zimę przejdzie do mnie na służbę, a potem odprowadzi nas do Inuyamy. Będzie gwarancją twojej dobrej wiary.

Wlepił wzrok w podłogę, zaskoczony poleceniem, a przecież, pomyślała z gniewem, każdy mężczyzna na jej miejscu zażądałby tego samego. Pozostawiwszy krewniaka, wuj będzie mniej skłonny do zafałszowania jej słów przed Araim.

- Oczywiście, nasze wzajemne zaufanie jest rękojmią zaufania, jakim darzę pana Araiego - oświadczyła, coraz bardziej zniecierpliwiona jego wahaniem.

- Nie widzę powodu, aby nie miał zostać - ustąpił w końcu Akita.

Mam zakładnika, pomyślała, zaskoczona poczuciem mocy, jakie dała jej ta świadomość. Skłoniła się Akicie, który znów uderzył czołem o ziemię, Hana i Ai poszły w jej ślady. Kiedy odchodził, mżyło, lecz po chwili rozbłysło słońce, zamieniając krople deszczu lgnące do gałęzi i ostatnich jesiennych liści w maleńkie kawałki tęczy. Dała znak siostrze, by nie ruszały się z miejsc.

Przy wejściu do pawilonu gościnnego Akita obejrzał się i jeszcze raz bacznie im się przyjrzał, one jednak siedziały nieruchomo, czekając, aż zniknie. Po chwili słońce skryło się za chmury i znów zaczęło padać.

Ayame, dotychczas klęcząca w cieniu, podniosła się i zamknęła okiennice. Kaede mocno przytuliła Hanc.

- Dobrze się spisałam? - zapytała dziewczynka, mrużąc lśniące z emocji oczy.
- Cudownie, jak czarodziejka. Ale dlaczego zerkaliście tak na siebie?
- Nie powinnyśmy tego robić - odparła Ai zawstydzona.
- To okropnie dziecinne. Bawiłyśmy się tak, kiedy mama albo Ayame nas uczyły; nigdy nie wiedziały, czy naprawdę to widzą, czy tylko im się zdaje. Hana to wymyśliła. Ale przy ojcu nigdy nie odważyłybyśmy tak się zachować, a ten to taki wielki pan...

- Jakoś samo tak wyszło - zachichotała Hana. - Nie spodobało mu się, co? Oczywiście zaczęły mu latać i okropnie się spocił.

- Trudno go nazwać wielkim panem - mruknęła Kaede.
- Arai mógł przysłać kogoś godniejszego.
- Wtedy byś posłuchała? Zabrałabyś nas do Inuyamy?
- Nie, nawet gdyby przybył tu sam Arai - odrzekła stanowczo Kaede. - Niech na mnie zaczekają.

- Chcesz wiedzieć, co jeszcze zauważyłam? - zagadnęła Hana.
- Mów.
- Pan Akita bał się ciebie, starsza siostró.
- Masz bystry wzrok - roześmiała się Kaede.
- Nie chcę wyjeżdżać - szepnęła Ai. - Nie chcę opuszczać domu.
Kaede popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Kiedyś będziesz musiała wyjść za mąż. Być może w przyszłym roku pojedziesz do Inuyamy i zostaniesz tam przez jakiś czas.

- Ja też? - zapytała Hana.
- Możliwe - potwierdziła Kaede. - Wielu mężczyzn będzie chciało cię poślubić.
W imię sojuszu ze mną, pomyślała, zasmucona, że przyjdzie jej w ten sposób wykorzystać siostry.

- Pojadę tylko, jeśli Shizuka też pojedzie - oznajmiła Hana.
Kaede uśmiechnęła się i znów przytuliła siostrzyczkę. Nie było sensu jej wyjaśniać, że dopóki w Inuyamie rządzi pan Arai, Shizuka nie może się tam pojawić.

- Idź i powiedz Shizu, żeby tu przyszła. Ayame, lepiej sprawdź, co możemy dać tym ludziom na kolację.

- Cieszę się, że kazałaś im wyjechać - wybuchnęła służąca. - Nie stać nas, by ich dłużej karmić. Zbyt przyzwyczaili się do dobrego jedzenia. - Pokręciła głową. - Chociaż muszę powiedzieć, panienko Kaede, że ojciec nie pochwaliłby twego zachowania.

- Lepiej nic nie mów - ucięła Kaede. - I jeśli chcesz zostać w tym domu, nigdy już nie odzywaj się do mnie tym tonem

Ayame aż się wzdrygnęła.

- Tak, pani Shirakawa - wymamrotała, padła na kolana i tyłem wycofała się z pokoju.

Zapadał zmierzch. Po chwili Shizuka przyniosła lampę i Kaede odesłała siostry,

by się przebrały.

- Dużo słyszałaś? - zapytała, kiedy się oddaliły.

- Wystarczająco dużo, a Kondo powtórzył mi, co mówili, kiedy pan Akita wrócił do pawilonu. Uważa, że w tym domu panują siły nadprzyrodzone. Napawasz go przerażeniem. Powiedział, że jesteś niczym jesienny pająk, złocisty i śmiercionośny, który tka cudowną sieć, by łowić w nią mężczyzn.

- Jakie to poetyckie - mruknęła Kaede.

- Owszem, Kondo też był tego zdania!

Okiem duszy Kaede ujrzała ironiczny błysk w oku żołnierza. Pewnego dnia, przyrzekła sobie, Kondo spojrzy na nią bez ironii. Będzie musiał potraktować ją poważnie - on oraz wszyscy mężczyźni, którzy sądzą, że są tacy potężni.

- A mój zakładnik, Sonoda Mitsuru, on też jest przerażony?

- Twój zakładnik! - wybuchnęła śmiechem Shizuka. - Jak odważyłaś się to zaproponować?

- Źle zrobiłam?

- Nie, wręcz przeciwnie, teraz myślą, że jesteś znacznie silniejsza, niż pierwotnie uważali. Młody człowiek trochę się niepokoi na myśl, że tu zostanie. Gdzie zamierzasz go umieścić?

- Niech Shoji zabierze go do siebie i zajmie się nim. Ja z pewnością go tutaj nie chcę - zawahała się, po czym dodała z nutą goryczy: - Będzie lepiej traktowany niż ja niegdyś. Ale co z tobą? Nic ci nie grozi?

- Arai z pewnością wie, że tu jestem. Młody człowiek może mówić, co chce; jego wuj, pan Akita, postara się, żeby ci się niczym nie narazić. Twoja siła mnie chroni - chroni nas wszystkich. Arai pewnie sądził, że znajdzie cię samotną i zrozpaczoną, desperacko pragnącą pomocy. Teraz usłyszysz coś całkiem innego. Mówiłam ci, że wkrótce zlecają się ptaki!

- A kto będzie następny?

- Kondo wysłał wieści do Maruyamy. Wydaje mi się, że jeszcze przed nastaniem zimy ktoś stamtąd przybędzie.

Kaede również miała taką nadzieję; jej myśli często zwracały się ku ostatniemu spotkaniu z krewniaczką i złożonej wówczas obietnicy. Ojciec ostrzegł ją, że będzie musiała walczyć o dziedzictwo, lecz nie wiedziała, jakich napotka przeciwników i jak przygotować się do wojny. Kto ją tego nauczy? Kto poprowadzi wojsko w jej imieniu?

Następnego dnia pożegnała Akite i jego ludzi, zadowolona, że ich pobyt trwał tak krótko, a następnie powitała jego siostrzeńca, przekazując go pod opiekę Shojiemu. Świetnie rozumiała, jakie wrażenie wywiera na młodzieńcu - nie potrafił oderwać od niej wzroku i drżał na całym ciele - ale interesował ją wyłącznie jako zakładnik.

- Daj mu jakieś zajęcie - poleciła Shojiemu. - Traktuj go dobrze i z szacunkiem, lecz nie pozwól, by dowiedział się zbyt wiele o naszych sprawach.

Przez kilka następnych tygodni u jej bram zaczęli zjawiać się ludzie; rozeszły się

tajemne wieści, że zamierza zgromadzić wojsko. Przybywali pojedynczo, po dwóch bądź po trzech, nigdy w większych grupach - żołnierze, których panowie zostali zabici lub wydziedziczeni, nędzne niedobitki wieloletniej wojny. Razem z Kondo wymyślali dla nich próby i pytania - nie chciała bandytów ani głupców - ale odprawiała niewielu, gdyż byli to głównie doświadczeni wojownicy. Liczyła, że z nadejściem wiosny utworzą rdzeń jej armii, choć kwestia, jak zdoła ich wykarmić i utrzymać przez całą długą zimę, napawała ją nieustanną troską.

Kilka dni przed przesileniem zimowym Kondo powiadomił ją, że przybył dawno oczekiwany posłaniec:

- Zjawił się pan Sugita z Maruyamy i jego ludzie.

Powitała ich z radością; tak jak ona, nosili w sercach pamięć o pani Maruyama, poza tym przywykli do przyjmowania rozkazów od kobiety. Szczególnie ucieszyło ją spotkanie z Sugitą, którego pamiętała z podróży do Tsuwano. Ongiś pożegnał się tam, by wrócić do domu, aby pod nieobecność swej pani zapewnić jej ziemiom ochronę przed atakiem. Obecnie, przepełniony smutkiem po jej śmierci, zamierzał dopilnować, by jej życzenia zostały spełnione. Co więcej, jako człowiek praktyczny przywiózł również ryż i inny prowiant.

- Nie chcę powiększać twoich trudności - wyjaśnił.

- Nie są aż tak wielkie, byśmy nie zdołali nakarmić starych przyjaciół - roześmiała się Kaede.

- Tej zimy wszystkim będzie ciężko - rzekł, zafrasowany. - Powodzie, śmierć lidy, kampania wojenna Araiego... Zebrano zaledwie ułamek tego co zwykle.

Kaede zaprosiła go, by zjadł z nią posiłek, zostawiając innych członków jego świty pieczy Shojiego i Kondo. Krótco omówili wypadki w Inuyamie, po czym przeszli do rozmowy o dziedzictwie Maruyama. Sugita odnosił się do Kaede z szacunkiem, podszytym serdeczną zażyłością, niczym wuj albo kuzyn. Czuła się przy nim swobodnie; nie bał się jej, ale traktował ją z należytą powagą.

Gdy skończyli jeść i uprzątnięto naczynia, przeszedł do rzeczy:

- Życzeniem mojej pani było, aby jej dobra przeszły pod twoją opiekę. Z radością dowiedziałem się z twego listu, że zamierzasz upomnieć się o spadek, toteż wyruszyłem natychmiast, by cię zapewnić o swoim poparciu. Wielu z nas ci pomoże; powinniśmy zaplanować działania jeszcze przed nadejściem wiosny.

- Taki jest mój zamiar i skorzystam z każdej pomocy - odparła Kaede - ale nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Czy będę mogła po prostu przejąć ziemie? Do kogo teraz należą?

- Do ciebie - oznajmił. - Jesteś kolejną spadkobierczynią w linii żeńskiej i moja pani wyrażnie sobie tego życzyła. Ale kilka innych osób również wysuwa do nich roszczenia; twoją główną rywalką jest pasierbica pani Maruyama, zameżna z krewnym pana lidy. Arai nie zdołał go pokonać, on zaś wciąż jeszcze dysponuje sporymi siłami - częściowo Tohańczykami ocalałymi po upadku zamku Noguchi, częściowo ludźmi

Seishuu, którym nie w smak są rządy Araiego. Zimują na dalekim zachodzie, lecz z wiosną ruszą na Maruyamę. Jeśli nie podejmiesz szybkich i stanowczych kroków twoje ziemie zostaną zajęte i zniszczy je wojna.

- Obiecałam pani Naomi, że do tego nie dopuszczę - westchnęła Kaede - ale nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza.

- Wielu ludzi pragnie ci pomóc - rzekł cicho, pochylając się ku niej. - Przysłała mnie rada starszych z prośbą, abys do nas przybyła, i to szybko. Pod rządami pani Naomi dobra Maruyama kwitły, wszyscy mieliśmy dość żywności, nawet najubożsi byli w stanie wykarmić rodziny. Handlowaliśmy z głównym łodem, kopaliśmy srebro i miedź, rozwinęły się drobne manufaktury. Sojusz między panem Arai, panem Otori Shigeru oraz rodem Maruyama przyniosłby dobrobyt całej Środkowej Krainie. Stało się inaczej, lecz chcemy ocalić, co się da.

- Zamierzam na wiosnę odwiedzić pana Araiego - powiedziała Kaede. - Wówczas oficjalnie przypieczętuję nasz układ.

- A więc musisz postawić mu warunek, aby poparł cię w sprawie Maruyamy. Tylko Arai ma dość siły, by nakłonić twoją rywalkę i jej męża, aby odstąpili od roszczeń bez walki; gdyby zaś odmówili, tylko on posiada armię, która zdoła ich pokonać. Szybkość jest najważniejsza. Kiedy tylko drogi będą przejezdne, jedź do Inuyamy i wróć do nas z poparciem Araiego. - Spojrzał na nią, uśmiechnął się i dodał: - Wybacz, nie zamierzałem wydawać ci rozkazów, wyrażam jedynie nadzieję, że posłuchasz mojej rady.

- Tak uczynię - zgodziła się. - Już o tym myślałam, a ty utwierdziłeś mnie w zamiarze.

W dalszej rozmowie ustalili, jakie siły zdoła zmobilizować Sugita, po czym Kaede odebrała od niego przysięgę, że nie przekaże dóbr nikomu innemu. W pewnej chwili wojownik wtrącił od niechcienia:

- Szkoda, że pan Otori Takeo nie żyje. Gdybyś za niego wyszła, dzięki jego nazwisku i związkom z klanem Otori twoja pozycja bardzo by się wzmocniła.

Serce Kaede, zda się, przestało bić i opadło z piersi do żołądka.

- Nic nie słyszałam o jego śmierci - wykrztusiła, starając się opanować drżenie głosu.

- Hmm, powtarzam tylko, co mówią ludzie. Nie znam szczegółów. To by wyjaśniało jego zniknięcie. Oczywiście, to mogą być tylko pogłoski.

- Oczywiście - potwierdziła Kaede, myśląc z rozpaczą: A może leży martwy gdzieś w polu albo w górach i nigdy się o tym nie dowiem.

- Panie Sugita, jestem trochę zmęczona - wyszeptała. - Proszę mi wybaczyć.

- Pani Shirakawa - skłonił się i wstał. - W miarę możliwości zachowajmy łączność. Na wiosnę oczekujemy cię w Maruyamie; klanowe wojsko z pewnością poprze twoją sprawę. Jeśli coś się zmieni, dam ci jakoś znać.

Obiecała zrobić to samo; pragnęła jak najszybciej się go pozbyć. Kiedy odszedł i

upewniła się, że wrócił do pokoi gościnnych, wezwała Shizukę, po czym zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

Na widok towarzyszki chwyciła ją za ramiona.

- Czy coś przede mną ukrywasz?

- Pani? - Shizuka spojrzała na nią zdumiona. - O co chodzi? Co się stało?

- Sugita mówi, że słyszał, iż Takeo nie żyje.

- To tylko plotka.

- Słyszałaś ją?

- Tak. Ale w nią nie wierzę. Gdyby nie żył, ktoś by nas powiadomił. Ależ zbladłaś! Usiądź na chwilę. Nie wolno ci się przemęczać, znowu się rozchorujesz. Przygotuję posiłek.

Przeszła do pokoju sypialnego. Kaede osunęła się na podłogę; serce waliło jej jak młotem.

- Tak się boję, że zginie, zanim zdążę się z nim zobaczyć!

Shizuka uklękła przy niej, rozwiązała jej pas i pomogła zdjąć odświętne szaty, przywdziane na przyjęcie gości.

- Wymasuję ci głowę. Siedź spokojnie.

Kaede jednak niespokojnie się kręciła, mierzwiła włosy, ścisnęła i rozluźniała pięści. Dotyk dłoni Shizuki nie przyniósł jej ukojenia, przeciwnie, przypominał jej tamto nieznosne popołudnie w Inuyamie oraz wypadki, które nastąpiły później. Dygotała na całym ciele.

- Dowiedz się, Shizuko! Muszę mieć pewność! Natychmiast poślij do wuja z zapytaniem. Niech Kondo zaraz wyrusza!

- Wydawało mi się, że już o nim zapomniałaś - mruknęła Shizuka, masując czoło dziewczyny.

- Nie mogę o nim zapomnieć. Próbowалам, ale sam dźwięk jego imienia sprawia, że wszystko wraca. Pamiętasz ten dzień, gdy go ujrzałam w Tsuwano? Pokochałam go, ogarnęła mnie gorączka. To jakby czary, choroba, z której nic mnie nie wyleczy. Mówiłaś, że nam przejdzie, ale to nigdy nie nastąpi!

Jej czoło pod palcami Shizuki płonęło.

- Mam posłać po Ishidę? - zaniepokoiła się towarzyszka.

- Dręczy mnie pożądanie - wyznała cicho Kaede. - Doktor Ishida nic na to nie poradzi.

- Pożądanie dość łatwo zaspokoić - odparła rzeczowo Shizuka.

- Ale ja pragnę tylko jego. Nic i nikt inny nie przyniesie mi ulgi. Wiem, że muszę jakoś żyć bez niego, że mam obowiązki wobec rodziny, które powinnam i zamierzam spełnić. Ale jeśli umarł, muszę o tym wiedzieć.

- Napiszę do Kenjiego - obiecała Shizuka. - Jutro wyślę Kondo, choć właściwie nie możemy się bez niego obejść.

- Niech jedzie!

Shizuka przyrządziła jej napar z wierzbowych gałązek, które zostawił Ishida, ale Kaede spała niespokojnie, a rano była nieswoja i rozgrzowana.

Przyszedł Ishida, zastosował mokse oraz swoje igły, po czym skarcił ją łagodnie, że o sobie nie dba.

- To nic poważnego - pocieszył Shizukę, kiedy wyszli na zewnątrz. - Minie za dzień lub dwa. Jest zbyt wrażliwa i zbyt wiele od siebie wymaga. Powinna wyjść za mąż.

- Jest tylko jeden mężczyzna, za którego zgodziłaby się wyjść, a to niemożliwe.

- Ojciec dziecka?

Shizuka przytaknęła.

- Wczoraj usłyszała pogłoskę, że on nie żyje. Wtedy zaczęła się gorączka.

- Aha. - Jego oczy przybrały odległy, nieobecny wyraz. Ciekawe, czy wspomina kogoś lub coś z młodości, zaintrygowała się Shizuka.

- Obawiam się najbliższych miesięcy - rzekła głośno. - Boję się, że kiedy śnieg odetnie nas od świata, ona zacznie wyobrażać sobie najgorsze i popadnie w przygnębienie.

- Przywiozłem jej list od pana Fujiwary. Chciałby, żeby go odwiedziła i została kilka dni. Może zmiana otoczenia ją rozerwie i podniesie na duchu.

- Pan Fujiwara jest za dobry dla tego domu i poświęca nam zbyt wiele uwagi - Shizuka przyjęła list, używając oficjalnej formy podziękowania. Ze zdwojoną świadomością odczuwała obecność mężczyzny obok siebie; jego zamysłone spojrzenie, przelotne dotknięcie jego ręki rozpały w niej iskrę. W czasie choroby Kaede miała okazję spędzić z nim wiele czasu i zaczęła podziwiać jego cierpliwość oraz talent. Inaczej niż większość znanych jej mężczyzn, był dobrym człowiekiem.

- Przyjdiesz jutro? - zapytała, zerkając na niego.

- Oczywiście! Odbiorę odpowiedź pani Kaede na zaproszenie. Czy będziesz jej towarzyszyła do pana Fujiwary?

- Oczywiście! - odparła, żartobliwie go przedrzeźniając.

Uśmiechnął się i położył dłoń na jej ramieniu, tym razem celowo. Dotyk jego palców sprawił, że przeszył ją dreszcz. Od tak dawna nie spała z mężczyzną; nagle ogarnęło ją pragnienie, by poczuć jego dłoń na swoim ciele, by się położyć w jego objęciach. Zasłużył na to swoją dobrocią.

- Do jutra - rzekł, patrząc na nią ciepło, jakby odgadł jej uczucia i je podzielał.

Wsunęła sandały i pobięła zawołać tragarzy z lektyką.

Gorączka Kaede opadła i pod wieczór dziewczyna częściowo odzyskała energię. Przez cały dzień leżała bez ruchu pod ogromną stertą pierzyn, przy piecyku, na którego rozpalenie nalegała Ayame, i rozmyślała o przyszłości. Możliwe, że Takeo nie żył; dziecko umarło już wcześniej. Z całego serca pragnęła podążać za nimi na tamten świat, choć rozum mówił jej, że rezygnacja z życia i opuszczenie tych, którzy na niej polegali, jest niedopuszczalną słabością - tak postępowały kobiety, nie mężczyźni.

Shizuka ma rację, myślała, tylko jeden człowiek może mi teraz pomóc. Zobacze, co uda mi się uzyskać od Fujiwary.

Shizuka oddała jej list, który rano przyniósł Ishida. Fujiwara przysłał również noworoczne podarki: ciasteczka ryżowe o specjalnych kształtach, suszone sardynki i słodkie kasztany, rolady z wodorostów i wino ryżowe. Hana i Ai krzątały się w kuchni, szykując odświeżający posiłek.

- Pochlebia mi, używając pisma mężczyzny, zakłada bowiem, że je rozumiem - powiedziała Kaede. - Ale nie znam tak wielu znaków! - Westchnęła głęboko. - Muszę się jeszcze mnóstwo dowiedzieć. Czy wystarczy mi jedna zima?

- Pojedziesz do pana Fujiwary?

- Chyba tak. Może on będzie mnie uczył? Myślisz, że się zgodzi?

- Niczego innego nie pragnie - odparła cierpko Shizuka.

- Sądziłam, że nie chce już mnie znać, ale pisze, że czekał, aż wyzdrowieję. Teraz czuję się dobrze; lepiej nie będzie - w głosie Kaede zabrzmiało zwątpienie. - Muszę wyzdrowieć, muszę zająć się siostrami, majątkiem, ludźmi.

- Jak już wielokrotnie mówiłam, Fujiwara jest dla ciebie najlepszym oparciem.

- Może nie najlepszym, ale w tej chwili jedynym. Mimo to wciąż mu nie ufam. Czego on ode mnie chce?

- A ty czego chcesz od niego?

- To proste. Po pierwsze, wiedzy, po drugie, pieniędzy oraz żywności, by zebrać wojsko i je wykarmić. Tylko co ja dam mu w zamian?

Shizuka zawahała się, czy wspomnieć o małżeńskiej propozycji Fujiwary, lecz postanowiła się wstrzymać, w obawie, że znów wpędzi Kaede w gorączkę. Niech szlachcic mówi sam za siebie - zresztą była przekonana, że tak się stanie.

- Zwraca się do mnie „pani Shirakawa” - zatroskała się tymczasem Kaede. - Wstydę się z nim spotkać po tym, jak go oszukałam.

- Na pewno już słyszał, że twój ojciec życzył sobie, abyś nosiła nazwisko rodowe. Wszyscy wiedzą, iż przed śmiercią mianował cię spadkobierczynią. Dopilnowaliśmy, żeby to się rozeszło.

Kaede spojrzała na nią, niepewna, czy to nie kpina, ale Shizuka była całkiem poważna.

- Naturalnie, musiałam postąpić zgodnie z życzeniem ojca - przyznała.

- W takim razie pan Fujiwara nie musi wiedzieć nic więcej. Córką przede wszystkim winna być posłuszna.

- Tak powiada Kung-fu Tzu - rzekła Kaede. - To prawda, że pan Fujiwara nie musi wiedzieć nic więcej, podejrzewam jednak, że bardzo chciałby dowiedzieć się wszystkiego. Oczywiście, jeżeli nadal się mną interesuje.

- Zainteresuje się - upewniła ją Shizuka, myśląc w duchu, że Kaede jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Choroba i żałoba starły z jej twarzy ostatnie ślady dziecinności, nadając jej wyraz melancholijny i nieodgadniony.

Dzięki podarunkom Fujiwary należycie świętowały Nowy Rok, jedząc kluski gryczane oraz czarną fasolę, którą Ayame odłożyła jeszcze późnym latem. O północy udały się do świątyni, by posłuchać kapłanów medytujących i bijących w dzwony w intencji wygaśnięcia ludzkich namiętności. Kaede zdawała sobie sprawę, że powinna modlić się o wyzwolenie od uczuć, o oczyszczenie, jednak przyłapała się na tym, że prosi o to, czego pragnęła najbardziej - o życie Takeo, a potem o pieniądze i władzę.

Następnego ranka kobiety z dworu wzięły świece, kadzidło i latarnie, po czym zaopatrzone w pomarszczone mandarynki, kasztany i persymony udały się do grot, z których rzeka Shirakawa bierze swój początek, zanim wypłynie na powierzchnię przez ciąg podziemnych pieczar. Przed kamieniem, któremu woda nadała postać Białej Bogini, odprawiły swój własny rytuał. Mężczyźni nie mieli tutaj wstępu; złamanie zakazu groziło zawaleniem góry i zasypaniem źródeł rzeki. Przy wejściu do groty na tyłach kaplicy mieszkało małżeństwo starych ludzi, lecz tylko kobieta wchodziła do środka, aby złożyć bogini ofiarę. Klęcząca na mokrej skale Kaede z trudem rozróżniała mamrotane starczym głosem nieznane słowa; skupiwszy myśli na swojej matce oraz pani Maruyama, ze wszystkich sił zaczęła je błagać o pomoc i wstawiennictwo. Kiedy poczuła na sobie opiekuńczy wzrok bogini, pojęła, jak ważne jest dla niej to święte miejsce.

Nazajutrz wyjechała do Fujiwary. Hana, która ku swemu gorzkiemu rozczarowaniu została w domu, rozplakała się rzewnymi łzami; w końcu rozstawiała się nie tylko z Kaede, ale i z Shizuką!

- To tylko kilka dni - obiecała Kaede.

- Dlaczego nie mogę z tobą jechać?

- Pan Fujiwara cię nie zaprosił. Poza tym wcale by ci się tam nie podobało. Musiałabyś grzecznie się zachowywać, mówić oficjalnym językiem i prawie cały dzień siedzieć bez ruchu.

- Tobie też się nie spodoba?

- Pewnie nie - westchnęła Kaede.

- Przynajmniej najesz się pyszności - rzekła tęsknie Hana. - Ach, przepiórki!

- Skoro my będziemy jadły u niego, tutaj więcej zostanie dla ciebie - powiedziała Kaede. Prawdę mówiąc, był to jeden z powodów, dla których cieszyła się, że wyjeżdża na jakiś czas - choć bez końca sprawdzała zapasy żywności i obliczała dni do końca zimy, było jasne, że jedzenia nie starczy do wiosny.

- No i ktoś musi zabawiać młodego Mitsuru - wtrąciła Shizuka. - Powinnaś się postarać, by nie tęsknił za domem.

- Niech Ai się tym zajmie - mruknęła niechętnie Hana.

- On lubi Ai.

Kaede również to zauważyła. Co prawda siostra pozornie nie okazywała wzajemności, ale w sprawach uczuć zawsze była nieśmiała - a poza tym, myślała Kaede, jakie znaczenie miały jej uczucia? Wkrótce będzie trzeba zaręczyć Ai, w przyszłym roku

kończy czternaście lat. Kto wie, gdyby Sonoda Mitsuru został zaadoptowany przez swego wuja, być może stanowiłby całkiem dobrą partię, jednak Kaede nie zamierzała tanio sprzedać siostry.

Za rok, pomyślała, chłopcy będą ustawiać się w kolejce, żeby poślubić którąś z sióstr Shirakawa.

Słowa małej wywołały na twarzy Ai lekki rumieniec.

- Uważaj na siebie, starsza siostró - szepnęła, obejmując Kaede. - Nie martw się o nas. Zajmę się wszystkim.

- Nie jedziemy daleko - pocieszyła ją Kaede. - Poślijcie po mnie w razie potrzeby. -I nie mogąc się powstrzymać, dodała: - A gdyby były dla mnie jakieś wiadomości, gdyby wrócił Kondo, natychmiast dajcie mi znać.

Do domu pana Fujiwary przybyły wczesnym popołudniem. Dzień, początkowo pochmurny i ciepły, zrobił się chłodny; w czasie podróży wiatr obrócił się ku północnemu wschodowi, niebo się przetało i temperatura spadła.

Manoru, który wyszedł im na powitanie, przekazał pozdrowienia od swego pana, po czym zaprowadził je do pokoi - nie w pawilonie gościnnym, gdzie mieszkały przedtem lecz do innego budynku, nie tak ozdobnego, który jednak dzięki swej wytwornej prostocie i stonowanym barwom wydał się Kaede znacznie piękniejszy. Była wdzięczna gospodarzowi za ten objaw wrażliwości, obawiała się bowiem, iż w pokoju, w którym ojciec poznał jej sekret, mógłby się ukazać jego gniewny duch.

- Pan Fujiwara przypuszcza, że dziś wieczór pani Shirakawa wolałaby odpocząć - rzekł cicho Manoru. - Przyjmie cię jutro, jeżeli to ci odpowiada.

- Dziękuję - odparła Kaede. - Proszę, powtórz panu Fujiwarze, iż jestem całkowicie do jego usług. Uczynię wszystko, czego zażąda.

Napięcie było niemal wyczuwalne. Mamoru bez wahania użył jej nazwiska; tuż po przyjeździe obrzucił ją krótkim spojrzeniem, jakby sprawdzając, czy coś się w niej zmieniło, ale poza tym w ogóle na nią nie patrzył, wiedziała jednak, ile potrafi dostrzec, pozornie wcale jej nie obserwując. Wyprostowała się i spojrzała nań z lekką wzgardą; niech się jej przygląda, ile tylko zechce, niech wzoruje na niej rolę, które odgrywa na scenie - i tak zawsze będzie tylko imitacją. Nie obchodziło jej, co sobie o niej myślał. Natomiast zdanie Fujiwary miało dla niej znaczenie; pewnie mną gardzi, myślała, lecz jeśli okaże mi to choćby drgnieniem brwi, wyjadę i nigdy się z nim już nie zobaczę, bez względu na to, co mógłby dla mnie zrobić.

Z ulgą przyjęła wiadomość, że spotkanie zostało przełożone. Pod wieczór zajrzał do nich Ishida i sprawdził jej tętno i źrenice. Obiecał, że przyrządzi nowy napar na oczyszczenie krwi i wzmocnienie żołądka; poprosił, by nazajutrz przysłała po niego Shizukę.

Przygotowano gorącą kąpiel, po której Kaede zrobiło się cieplej - także wskutek uczucia zazdrości, jaką wzbudziła w niej ilość drewna użyta do ogrzania wody. Następnie milczące pokojówki przyniosły im do pokoju jedzenie.

- To tradycyjny zimowy posiłek dla pań - wykrzyknęła zachwycona Shizuka, widząc sezonowe smakołyki: kawałki surowej dorady i ośmiornicy, duszonego węgorza z zieloną pachnotką i chrzanem, kiszone ogórki, solony korzeń lotosu, rzadko spotykane czarne grzyby oraz łopiany, misternie ułożone na tackach z laki. - Tak właśnie jada się w stolicy! Ciekawe, ile kobiet w całych Trzech Krainach siada dziś do tak wytwornej uczy!

- Wszystko tu jest wytworne - odparła Kaede. Jakże łatwo, pomyślała, o luksus i dobry gust, kiedy ma się pieniądze!

Skończyły jeść i myślały już o tym, by się położyć, gdy rozległo się delikatne stukanie do drzwi.

- To pewnie pokojówki idą przygotować nam pośłania - rzekła Shizuka i podeszła do drzwi, lecz gdy je odsunęła, jej oczom ukazał się Mamoru. Na jego włosach topniały białe drobiny.

- Proszę o wybaczenie - powiedział - ale właśnie zaczął padać pierwszy śnieg i pan Fujiwara pragnie złożyć pani Shirakawa wizytę. Widok z tego pawilonu jest szczególnie piękny.

- Ten dom należy do pana Fujiwary - odparła Kaede - a ja jestem jego gościem. To, co go cieszy, cieszy również i mnie.

Mamoru się oddalił i usłyszała, że mówi coś do pokojówek; zjawily się po chwili, z czerwoną, pikowaną szatą, w którą pomogły jej się ubrać. Eskortowana przez Shizukę wyszła na werandę. Leżały tam okryte skórą poduszki, a rozwieszone na drzewach latarnie rzucały migotliwe światło na wirujące płatki. Po obu stronach lśniącego białą skalnego ogródka wznosiły się dwie niskie sosny o kunsztownie uformowanych gałęziach, ujmujące pejzaż jakby w ramę; za nimi majaczył ciemniejszy górski masyw, ledwie widoczny przez padający śnieg. Kaede milczała, oczarowana urodą tej sceny, jej czystością i ciszą.

Powoli, niemal bezszelestnie, zbliżył się do nich pan Fujiwara. Uklękł i przywarł czołami do ziemi.

- Pani Shirakawa - powitał ją. - Jestem ci ogromnie wdzięczny, po pierwsze, że zechciałaś zaszczyścić mój niegodny dom swoją obecnością, po drugie, że spełniłaś mój kaprys i pozwoliłaś mi podziwiać pierwszy śnieg w swoim towarzystwie. Proszę, usiądź prosto - dodał. - Musisz się porządnie otulić, nie wolno ci się zaziębić.

Szeregiem weszli służący, niosący kociołki z węglem, dzbany wina, czarki i futrzane okrycia. Mamoru chwycił jedno z nich i narzucił jej na ramiona, drugim zaś owinał siedzącego obok Fujiwarę. Kaede gładziła włosie z przyjemnością, niewolną jednak od odrazy.

- Pochodzą z głównego ładu - wyjaśnił Fujiwara, gdy wymienili wstępne uprzejmości. - Ishida przywozi je ze swoich wypraw.

- Co to za zwierzę?

- Wydaje mi się, że jakiś rodzaj niedźwiedzia.

Nie umiała sobie wyobrazić niedźwiedzia takiej wielkości. Próbowwała

przedstawić go sobie w naturalnych warunkach, w jego własnym otoczeniu; zapewne był potężny, powolny, dziki - a przecież ludzie zabili go i obdarli ze skóry. Zastanawiała się, czy jego duch pozostał w futrze i czy ma jej za złe, że korzysta z jego ciepła. Zadrżała.

- Doktor Ishida jest nie tylko mądry, ale i odważny, skoro podejmuje tak niebezpieczne wyprawy.

- Najwyraźniej dręczy go niezaspokojona żądza wiedzy. Oczywiście, powrót do zdrowia pani Shirakawa jest dlań najwyższą nagrodą.

- Zawdzięczam mu życie - powiedziała cicho.

- A więc jest mi jeszcze droższy, niż byłby ze względu na własne zalety.

Wyczuła w jego głosie zwykłą ironię, lecz ani śladu wzdargi. W rzeczy samej, trudno było o większy komplement.

- Jaki piękny jest pierwszy śnieg - westchnęła. - A jednak pod koniec zimy z utęsknieniem czekamy, aby stopniał.

- Lubię śnieg. Podoba mi się jego biel, sposób, w jaki spowija świat. Pod jego pokrywą wszystko staje się czyste.

Mamoru podał im czarki z winem, po czym zniknął w ciemnościach. Służba się usunęła. Oczywiście, nie zostali naprawdę sami, niemniej złudzenie było tak przemożne, jakby na całym świecie istniało tylko ich dwoje, żarzące się kociołki, ciężkie zwierzęce futra i śnieg.

Przez dłuższy czas patrzyli nań w milczeniu, po czym Fujiwara zawołał, by przyniesiono więcej lamp.

- Pragnę widzieć twoją twarz - powiedział, pochylając się i wbijając w nią głodne spojrzenie, jakim wpatrywał się w swoje skarby. Kaede podniosła wzrok i spojrzała na śnieg za jego plecami, który padał coraz gęściej, wirując w smugach światła latarni, przesłaniając zarys gór, spowijając wszystko kokonem.

- Może piękniejsza niż kiedykolwiek - mruknął jakby do siebie; odniosła wrażenie, że w jego głosie słyszy ton ulgi. Wiedziała, że gdyby choroba zostawiła na niej ślad, Fujiwara wycofałby się uprzejmie i nie chciał jej więcej oglądać - wszyscy w domu Shirakawa mogliby umrzeć z głodu, a on nie wykonałby najmniejszego gestu współczucia. Jakiż on zimny, pomyślała i poczuła, że jej własne ciało ziębnie, nie dała jednak nic po sobie poznać. Nadal patrzyła w dal, pozwalając, by śnieg wypełnił jej oczy i oślepił swym blaskiem. Zamierzała być chłodna, lodowata niczym celadon. Jeżeli zechce ją pojąć, musi zapłacić najwyższą cenę.

Wypił, napełnił czarękę i ponownie ją wychylił, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Milczeli. W końcu odezwał się raptownie:

- Będziesz musiała kogoś poślubić.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż - odparła, po czym przelekła się, że była zbyt obcesowa.

- Wyobrażałem sobie, że tak powiesz, gdyż zawsze masz inne zdanie niż reszta

świata. Niemniej musisz wyjść za mąż ze względów praktycznych. Nie ma innej możliwości.

- Moja reputacja jest bardzo niekorzystna. Zbyt wielu związanych ze mną mężczyzn zginęło. Nie chcę stać się przyczyną dalszych zgonów.

Poczuła, że jego zainteresowanie rośnie, zauważyła, że grymas jego ust się pogłębia. Nie powodowało nim pożądanie, wiedziała o tym, lecz to samo pragnienie, którego zapach wyczuła już wcześniej - starannie ukrywana, paląca ciekawość, chęć poznania wszystkich jej tajemnic.

Wezwał Mamoru, każąc mu odprawić służbę i udać się na spoczynek.

- Gdzie twoja służąca? - zapytał. - Każ jej poczekać w środku. Chcę z tobą pomówić na osobności.

Kaede wydała Shizuce polecenia.

- Czy jest ci dostatecznie ciepło? - podjął po chwili Fujiwara. - Nie możesz znów się rozchorować. Ishida powiada, że jesteś podatna na nagłe napady gorączki.

Oczywiście, Ishida wszystko mu o mnie opowiada, pomyślała.

- Dziękuję, na razie jest mi ciepło i wygodnie - odrzekła. - Ale pan Fujiwara wybaczy, jeżeli nie pozostanę długo. Bardzo szybko się męczę.

Chce mnie poślubić, pomyślała wstrząśnięta. Ogarnął ją głęboki niepokój. Gdyby Fujiwara się oświadczył, jakże mogłaby odmówić? Mówiąc jego słowami, „ze względów praktycznych” było to doskonałe rozwiązanie. Spotkałby ją zaszczyt większy, niż zasługiwała, zniknęłyby jej kłopoty zaopatrzeniowe i pieniężne, zawarłaby nader korzystny sojusz. A przecież pojmowała, że on woli mężczyzn, że ani jej nie pragnie, ani nie kocha. Modliła się, by nie powiedział nic więcej, gdyż nie wiedziałyby, jak mu odmówić. Obawiała się siły jego woli, dzięki której zawsze brał, co chciał, i zawsze dopinał swego. Wątpiła, czy zdoła mu się przeciwstawić: nie dość, że bałaby się zrobić mu afront, wprost niewyobrażalny dla człowieka jego rangi, ale, co ważniejsze, oprócz przerażenia wzbudzał w niej dziwną fascynację, dającą mu przewagę, której charakter nie do końca pojmowała.

- Nigdy nie widziałam niedźwiedzia - zauważyła, chcąc zmienić temat, i ciałniej otuliła się futrem.

- W tutejszych górach żyją małe niedźwiedzie. Kiedyś, po szczególnie długiej zimie, jeden nawet zabłąkał się do ogrodu. Kazałem go schwycić i zamknąć w klatce, ale umarł z tęsknoty. Oczywiście, był nieporównanie mniejszy. Pewnego dnia Ishida opowie nam o swych podróżach. Chciałabyś posłuchać?

- Bardzo. To jedyny znany mi człowiek, który kiedykolwiek był na głównym łądzie.

- Wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Trzeba się liczyć z atakiem piratów, nie mówiąc już o sztormach.

W owej chwili Kaede wolałaby stawić czoło tuzinowi niedźwiedzi lub dwudziestu piratom niż pozostać w towarzystwie tego niesamowitego człowieka. Nie

miała pojęcia, co powiedzieć; prawdę mówiąc, prawie nie mogła się poruszyć.

- Mamoru i Ishida powtórzyli mi, co się o tobie mówi: że kto cię pragnie, umiera.

Kaede nie odpowiedziała. Nie dam się spieszyć, powtarzała w duchu. Nie zrobiłam nic złego. Uniosła głowę i spojrzała wprost na rozmówcę; jej twarz była spokojna, spojrzenie pogodne.

- A jednak - ciągnął - z tego, co mówił Ishida, wnoszę, że istniał człowiek, który cię pożałował, a mimo to umknął śmierci.

Poczuła, że jej serce skręca się i skacze niczym ryba, przebita nożem kucharza. Oczy Fujiwary zabłyśły, na policzku zagrał mały mięsień. Odwrócił od niej wzrok i wpatrzył się w ogród. Pyta o to, o co nie wolno pytać, pomyślała. Powiem mu, ale zapłaci mi za to. Widząc jego słabość, uświadomiła sobie własną siłę. Stopniowo wracała jej odwaga.

- Kto to był? - wyszeptał.

Panowała cisza, przerywana jedynie miękkim szelestem śniegu, tchnieniem wiatru w gałęziach sosen i pomrukiem wody.

- Pan Otori Takeo.

- Tak, to mógł być tylko on - westchnął, a Kaede zadała sobie pytanie, z czym zdradziła się dotychczas i co Fujiwara wie o Takeo. Teraz pochylił się ku niej, ukazując twarz w świetle lampy.

- Opowiedz mi o tym.

- Mogłabym ci opowiedzieć wiele rzeczy - rzekła powoli. - O tym, jak pan Shigeru został zdradzony i zginął, o tym, jak pan Takeo się zemścił, i o tym, co zdarzyło się owej nocy, gdy umarł Iida i padła Inuyama. Lecz każda historia ma swoją cenę. Co dasz mi w zamian?

Uśmiechnął się i tonem współnika zapytał:

- A czego pani Shirakawa sobie życzy?

- Potrzebuję pieniędzy, by wynająć żołnierzy i ich wyposażyć, oraz żywności dla moich domowników.

Niemal się roześmiał.

- Większość kobiet w twoim wieku poprosiłaby o nową szatę lub wachlarz. Ale ty zawsze zdołasz mnie zaskoczyć!

- A więc zgadzasz się na moje warunki? - czuła, że okazując śmiałość, nie ma nic do stracenia.

- Owszem. Za Iidę dam ci pieniądze, za Shigeru korce ryżu. A za tego, który przeżył - bo zakładałam, że wciąż żyje - co mam ci dać za historię Takeo?

Głos mu się zmienił, kiedy wymawiał to imię, jakby je smakował; znów zastanowiło ją, skąd wie o Takeo i co o nim słyszał.

- Ucz mnie - zażądała. - Jest tyle rzeczy, których muszę się dowiedzieć. Ucz mnie, jakbym była chłopcem.

Skłonił głowę przytakująco.

- Z przyjemnością będę kontynuował nauki, których udzielał ci ojciec.
- Ale to musi pozostać między nami. Masz zachować wszystko w tajemnicy, ukryte tak jak skarby w twojej kolekcji. Te historie przeznaczone są tylko dla ciebie. Nikt inny nie może ich poznać.

- Dzięki temu staną się cenniejsze i tym bardziej godne pożądania.

- Nikt ich dotychczas nie słyszał - dodała cicho Kaede.

- I kiedy ci je opowiem, nigdy już ich nie powtórzę.

Wiatr wzmógł się nieco, dmuchając śniegiem na werandę; płatki zasyczały w zetknięciu z lampami i kociołkami.

Kaede czuła, że zimno przenika ją na wskroś i stapia się z chłodem jej serca i ducha. Marzyła o tym, by opuścić Fujiwarę, wiedziała jednak, że nie może się ruszyć, póki on jej nie pozwoli.

- Zmarzłaś - zauważył i klasnął w dłonie.

Z cienia wyłonili się służący, którzy zdjęli z Kaede ciężkie futro i pomogli jej wstać.

- Z góry się cieszę na twoje opowieści - powiedział, życząc jej dobrej nocy z niezwykłą dlań serdecznością. Kaede nie była jednak pewna, czy przypadkiem nie zawarła umowy z demonem prosto z piekieł. Modliła się, by nie poprosił jej o rękę; nigdy nie dałaby się zamknąć w klatce tego pięknego, zbytkownego domu, ukryta niczym skarb, który tylko on mógłby oglądać.

Pod koniec tygodnia wróciła do domu. Pierwszy śnieg stopniał i ponownie zamarzał, zrobiło się ślisko, lecz drogi były przejezdne. Z okapów budynków zwisały topniejące sople, mokre i lśniące w blasku słońca. Fujiwara dotrzymał słowa: jako nauczyciel był surowy i wymagający, a przed powrotem do domu zadał jej mnóstwo pracy. Żywność dla jej domowników i żołnierzy wysłał już przedtem.

Dni w jego domu mijały jej na nauce, noce na opowiadaniu. Instynktownie wiedziała, co chce usłyszeć, i przywoływała dlań szczegóły, których pamięci nie była świadoma: barwy kwiatów, śpiew ptaków, dokładny opis pogody, dotknięcie dłoni, zapach szaty, światło lampy na czyjejś twarzy. Oraz podskórne prądy żądz i zmywy, o których wiedziała i nie wiedziała zarazem, a które dopiero teraz, podczas opowiadania, odkrywały się także przed nią. Snuła swoją opowieść jasnym, miarowym głosem, nie okazując wstydu, żalu ani smutku.

Niechętnie przystał na jej wyjazd, lecz wymówiła się koniecznością opieki nad siostrami. Zdawała sobie sprawę, że pragnie, by została z nim na zawsze, i milcząco opierała się temu pragnieniu. A przecież, zda się, wszyscy je dzielali; służba spodziewała się tego i odnosiła się do niej trochę inaczej, jakby była kimś więcej niż szczególnie mile widzianym gościem; pytano ją o zgodę i o zdanie, wiedziała jednak, że działa się tak na jego polecenie.

Pożegnała go z głęboką ulgą, z obawą myśląc o kolejnym spotkaniu. Lecz gdy po powrocie do domu ujrzała jedzenie, drewno na opał i pieniądze, które przysłał, ogarnęła

ją wdzięczność, że uchronił jej rodzinę od głodowej śmierci. Jestem w pułapce, myślała owej nocy, leżąc w łóżku. Nigdy nie zdołam mu się wymknąć. Ale jakie mam inne wyjście?

Długo nie mogła zasnąć i rano późno wstała. Gdy się obudziła, Shizuki nie było w pokoju, a na wołanie zjawiała się Ayame z herbatą.

- Shizuka rozmawia z Kondo - oznajmiła, napełniając czarkę. - Wrócił wczoraj w nocy.

- Powiedz jej, by tu przyszła - zażądała Kaede. Spojrzała na czarkę, jakby nie wiedziała, co z nią zrobić.

Upiła łyk, odstawiła naczynie na tacę, po czym znów je podniosła. Dłonie miała lodowate; ścisnęła czarkę, usiłując je rozgrzać.

- Tę herbatę przysłał pan Fujiwara - pochwaliła Ayame.

- Całą skrzynkę. Czyż nie jest pyszna?

- Zawołaj Shizukę! - krzyknęła gniewnie Kaede. - Powiedz, żeby natychmiast tu przyszła!

Po chwili w pokoju zjawiała się Shizuka i uklękła przed Kaede z posępną miną.

- Co się stało? - zawołała dziewczyna. - Nie żyje? Czarka zadrżała w jej dłoniach, kilka kropel upadło na matę.

Shizuka odstawiła naczynie i mocno ścisnęła ją za rękę.

- Nie wolno ci rozpaczać. Nie wolno ci chorować. On żyje. Ale porzucił Plemię, które ogłosiło na niego wyrok.

- Co to znaczy?

- Pamiętasz, co ci powiedział w Terayamie? Że jeśli z nimi nie pójdzie, nie pozostawią go długo przy życiu? Teraz chodzi o to samo.

- Ale dlaczego? - zapytała Kaede. - Dlaczego? Nie rozumiem.

- Takie jest Plemię. Posłuszeństwo jest dla nich wszystkim.

- Więc dlaczego od nich odszedł?

- Nie wiadomo. Doszło do jakiejś kłótni, sporu. Wysłano go z zadaniem, z którego nie wrócił. - Shizuka zawahała się.

- Kondo sądzi, że może być w Terayamie. Jeżeli tak, przez zimę nic mu nie grozi.

Kaede wyjęła dłonie z rąk Shizuki i wstała.

- Muszę tam pojechać.

- To niemożliwe. Świątynia jest odcięta od świata.

- Muszę się z nim zobaczyć! - zawołała Kaede. Jej oczy w bladej twarzy płonęły. - Skoro porzucił Plemię, znowu stanie się Otori. A skoro będzie Otori, możemy się pobrać!

- Pani! - Shizuka również wstała. - Co to za szaleństwo? Nie możesz tak po prostu za nim biegać! To niesłychane, nawet gdyby drogi były przejezdne! Jeżeli istotnie chcesz tego, o czym mówisz, lepiej wyjdź za Fujiwarę! Wiesz, że on tego pragnie!

Kaede z trudem zapanowała nad sobą.

- Nic nie powstrzyma mnie przed podróżą do Terayamy. W rzeczy samej, powinnam tam się udać... na pielgrzymkę... aby podziękować wszechmiłosiernemu za uratowanie mi życia. Obiecałam, że gdy śniegi stopnieją, pojadę do Inuyamy, do Araiego. Po drodze wstąpię do świątyni. Nawet gdyby pan Fujiwara istotnie zechciał mnie poślubić, nie mogę tego uczynić, nie radząc się pana Araiego. Och, Shizuko, kiedy wreszcie będzie ta wiosna?



Rozdział dziewiąty

Zimowe dni wlokły się nieznosnie. Co miesiąc Kaede jeździła na tydzień do pana Fujiwary, gdzie opowiadała historię swego życia, najczęściej wieczorami, kiedy padał śnieg albo gdy księżyc zalewał zamarznięty ogród lodową poświatą. Rozmówca zadawał wiele pytań i kazał jej powtarzać niektóre fragmenty.

- To nadaje się na sztukę teatralną - mówił wielokrotnie. - Może spróbowałbym napisać coś takiego.

- Nikomu nie mógłbyś jej pokazać.

- Nie, rozkosz polegałaby na samym pisaniu. Oczywiście, dzieliłbym tę rozkosz z tobą. Moglibyśmy raz wystawić tę sztukę dla naszej przyjemności, a potem kazać zgładzić aktorów.

Często wygłaszał podobne uwagi, nie przejawiając najmniejszej emocji, co przerażało ją coraz bardziej, choć starannie skrywała swoje lęki. Za każdym kolejnym powtórzeniem jej twarz stawała się coraz bardziej podobna do maski, ruchy coraz bardziej wystudiowane, jakby bez końca odgrywała swe życie na scenie, skonstruowanej równie starannie jak doskonale zbudowany teatr, w którym Mamoru i inni młodzieńcy odtwarzali swe role.

Dotrzymał słowa i w ciągu dnia uczył ją, jakby była chłopcem. Rozmawiał z nią męskim językiem i jej również kazał mówić w tym stylu. Niekiedy dla jego zabawy przebierała się w stroje Mamoru i wiązała włosy na karku. Nieustanne granie wyczerpywało ją - ale wciąż się uczyła.

Dotrzymał także pozostałych obietnic; pod koniec każdej wizyty wysyłał do jej domu ładunek żywności i wręczał Shizuce pewną sumę pieniędzy. Kaede liczyła monety z taką samą chciwością, z jaką oddawała się nauce. W jednym i drugim widziała walutę na przyszłość, za którą mogła kupić władzę i wolność.

Wczesną wiosną nastąpiło załamanie pogody i fala chłódów zmroziła kwiaty śliwy na gałęziach. W miarę wydłużania się dni rosła również niecierpliwość Kaede; większe mrozy, a po nich świeże opady śniegu doprowadzały ją niemal do szału. Wręcz czuła, jak jej umysł szamocze się niczym schwytany ptak, nie śmiała jednak nikomu zwierzyć się ze swych uczuć, nawet Shizuce.

W pogodne dni chodziła do stajni i patrząc, jak Amano puszcza konie galopem po podmokłych łąkach, długo przyglądała się Raku. Zdawało się jej, że koń często spogląda pytająco ku północnemu wschodowi i smakuje przenikliwy wiatr.

- Wkrótce - obiecywała mu. - Wkrótce ruszymy w drogę.

Wreszcie w trzecim miesiącu księżyc się obrócił, przynosząc ciepły wiatr z

południa. Kaede wyrwał ze snu dźwięk wody lejącej się z okapów, pluszczącej w ogrodzie, pędzącej ku wodospadom. W ciągu trzech dni śnieg zniknął. Świat leżał nagi i błotnisty, czekając, aż znów wypełnią go barwy i dźwięki.

- Muszę wyjechać na jakiś czas - oświadczyła Kaede Fujiwarze podczas ostatniej wizyty. - Pan Arai wzywa mnie do Inuyamy.

- Poprosisz go o zgodę na zamążpójście?

- Muszę z nim porozmawiać, zanim coś postanowię - odparła cicho.

- W takim razie cię puszczam. - Jego usta wygięły się w uśmiechu, który wszakże nie objął oczu.

Od miesiąca, czekając na odwilż, czyniła przygotowania, wdzięczna losowi za pieniądze Fujiwary. Teraz wyjechała w ciągu tygodnia, w jasny, chłodny poranek, gdy słońce raz po raz znikało za goniącymi po niebie obłokami, pchanymi wschodnim wiatrem, ostrym i rześkim. Hana błagała, by jej nie zostawiać; początkowo Kaede zamierzała wziąć ją ze sobą, zaczęła w niej jednak narastać obawa, że w Inuyamie Arai może zatrzymać siostrę jako zakładniczkę. Na razie Hana była bezpieczniejsza w domu - a poza tym, gdyby Kaede zastała Takeo w Terayamie, być może wcale nie pojechałaby do stolicy, czego nie chciała przyznać nawet przed sobą. Gwarancją nietykalności Kaede był zakładnik Mitsuru, powierzony opiece Shojiego. Ai nie miała ochoty jej towarzyszyć.

Zabrała Kondo, Amano i pozostałych mężczyzn. Chciała podróżować szybko, świadoma, że życie jest krótkie, a każda godzina bezcenna. Przywdziała męski strój i dosiadła Raku. Dobrze zniósł zimę, prawie nie tracąc na wadze, a teraz ruszył do przodu ze skwapliwością dorównującą jej własnej. Zaczynał już tracić zimową sierść i jego szorstkie, szare włosy lgnęły do jej ubrania.

Towarzyszyła jej również Shizuka oraz jedna z domowych służących, Manami. Shizuka postanowiła, że odprowadzi Kaede co najmniej do Terayamy, a gdy ta uda się w dalszą podróż do stolicy, skorzysta z okazji, by odwiedzić swoich synów, mieszkających w górach za Yamagatą. Manami była rozsądną, praktyczną kobietą; niebawem sprawy posiłków i zakwaterowania w przydrożnych zajazdach tak ją pochłonęły, że nieustannie targowała się o ceny gorącej wody oraz jedzenia, budząc przerażenie właścicieli i zawsze wychodząc na swoje.

- Nie muszę się martwić, kto się tobą zajmie, kiedy cię opuszczę - zażartowała Shizuka trzeciego wieczora, gdy słuchały, jak Manami łaje karczmarza za marne, zapchlone posłania. - Manami językiem powstrzyma smoka w locie.

- Będę za tobą tęsknić - westchnęła Kaede. - Wydaje mi się, że jesteś moją odwagą; nie wiem, czy potrafię być dzielna bez ciebie. Kto mi będzie mówił, co się naprawdę dzieje pod przykrywką kłamstw i udawania?

- Sądzę, że sama doskonale to rozróżniasz - odparła Shizuka. - Przecież zostanie z tobą Kondo. Beze mnie zrobisz na Arai lepsze wrażenie!

- Czego mam oczekiwać z jego strony?

- Zawsze opowiadał się po twojej stronie i nadal będzie cię popierał. Jest szczodry i lojalny, chyba że uzna, iż został oszukany bądź zlekceważony.

- Wydał mi się porywczy.

- Owszem, bywa wręcz nierozważny. Jest gorący w każdym sensie tego słowa, uparty i namiętny.

- Bardzo go kochałaś?

- Byłam jeszcze dziewczynką; został moim pierwszym kochankiem. Głęboko go pokochałam, a i on musiał mnie kochać po swojemu. Trzymał mnie przy sobie przez czternaście lat.

- Spróbuję go uprosić, aby ci wybaczył - wykrzyknęła Kaede.

- Nie wiem, czego się bardziej lękam, jego wielkoduszności czy jego wściekłości - odparła Shizuka, wspominając doktora Ishidę i dyskretny, ogromnie zadowalający romans, jaki nawiązała z nim zimą.

- Więc może wcale o tobie nie wspominać?

- Zazwyczaj lepiej jest nic nie mówić - zgodziła się Shizuka. - A poza tym Arai będzie zajęty głównie twoim małżeństwem i sojuszami, jakie zdoła zawrzeć dzięki niemu.

- Nie wyjdę za mąż, dopóki nie ugruntuję swoich praw do Maruyamy - oświadczyła Kaede. - Najpierw musi mi w tym pomóc.

Lecz przede wszystkim muszę zobaczyć się z Takeo, pomyślała. Jeśli nie zastanę go w Tearayamie, postaram się o nim zapomnieć. To będzie znak, że wspólne życie nie jest nam sądzone. Ale och, miłosierne niebiosy, niechże on tam będzie!

Im wyżej pięli się w góry, tym mniej widoczne były skutki odwilży. Ścieżki, na których wciąż jeszcze zalegały rozległe zaspy, miejscami pokrywał lód. Choć kopyta koni owinięto słomą, posuwali się bardzo wolno, toteż niecierpliwość Kaede rosła z minuty na minutę.

Wreszcie pewnego popołudnia przybyli do zajazdu u stóp świętej góry, gdzie Kaede odpoczywała z panią Maruyama podczas pierwszych odwiedzin w świątyni. Zamierzali spędzić tu noc i rano wyruszyć na ostatnie wzniesienie.

Kaede spała niespokojnie; nie mogła przestać myśleć o towarzyszach poprzedniej podróży, których imiona zapisano już w księgach umarłych. Wyraźnie przypomniła sobie ów dzień - jakże beztroscy wydawali się wszyscy, a tymczasem snuli plany skrytobójstwa i wojny domowej! Nic z tego nie rozumiała, była zaledwie dziewczynką, potajemnie hołubiącą uczucie. Ogarnęła ją fala litości dla owej niewinnej, naiwnej istoty. Od tamtej pory całkowicie się zmieniła - tylko jej miłość pozostała ta sama.

Niebo za okiennicami pobladło, rozśpiewały się ptaki. Pokój wydał się jej nieznosnie duszny; Manami chrapała lekko. Kaede cicho wstała, narzuciła pikowaną szatę i odsunęła drzwi prowadzące na dziedziniec. Zza ściany dobiegły ją uderzenia końskich kopyt, po czym rozległo się łagodne parsknięcie. Pewnie stajenni już wstali, uznała, lecz usłyszawszy w bramie kroki, cofnęła się za okiennicę.

W świetle brzasku wszystko jawiło się mgliste i niewyraźne. Na dziedzińcu zamajaczyła jakaś postać. To on, zadrżała. I zaraz: Nie, to być nie może.

Z mgły wyszedł ku niej Takeo.

Ukazała się i ujrzała wyraz jego twarzy w chwili, gdy ją rozpoznał. Zalała ją fala ulgi. Jest dobrze, pomyślała. Żyje. Kocha mnie.

Bezszelestnie wstąpił na werandę i padł przed nią na kolana. Ona również uklękła.

- Usiądź prosto - szepnęła.

Przez dłuższy czas wpatrywali się w siebie, ona, jakby chciała się nim nasycić, on z ukosa, unikając jej wzroku. Siedzieli skrepowani; tyle rzeczy ich dzieliło.

Wreszcie Takeo powiedział:

- Poznałem swojego konia. Pomyślałem, że musisz tu być, ale nie mogłem w to uwierzyć.

- Słyszałam, że tu mieszkasz. Że grozi ci niebezpieczeństwo, ale żyjesz.

- Niebezpieczeństwo nie jest zbyt wielkie. Najwięcej grozi mi z twojej strony - że mi nie wybaczysz.

- Nie mogę ci nie wybaczyć - odparła po prostu. - Tylko nie opuszczaj mnie więcej.

- Mówiono mi, że masz wyjść za mąż. Bałem się tego przez całą zimę.

- Rzeczywiście, jest ktoś, kto pragnie mnie poślubić: pan Fujiwara. Ale nie został jeszcze moim mężem ani nawet narzeczonym.

- A więc natychmiast się pobierzemy. Przybyłaś do świątyni z pielgrzymką?

- Taki miałam zamiar. Potem wybierałam się do Inuyamy.

Badawczo przyglądała się jego twarzy. Wyglądał doroślejsze rysy i bardziej stanowcze usta. Włosy, krótsze niż ongiś, nie były ściągnięte do tyłu na modłę wojownika lecz opadały na czoło gęstą, lśniąca falą.

- Dam ci eskortę na górę i przyjdę dzisiaj do kobiecych pokojów w świątyni. Musimy wiele omówić. Nie patrz mi w oczy - ostrzegł. - Nie chcę, żebyś zasnęła.

- Nic nie szkodzi. Sen rzadko mnie odwiedza. Spraw, bym spała do wieczora, wtedy czas szybko minie. Kiedy zeszyłam razem mnie uśpiłeś, przyszła do mnie Biała Bogini, która kazała mi cierpliwie na ciebie czekać. Przybyłam, aby jej za to podziękować. I za to, że uratowała mi życie.

- Słyszałem, że byłaś umierająca - szepnął, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Po chwili zapytał z wysiłkiem: - Czy jest z tobą Muto Shizuka?

- Tak.

- I służący z Plemienia, Kondo Kiichi? Przytaknęła.

- Trzeba ich odprawić. Reszta ludzi na razie może zostać. Masz jakąś kobietę, która mogłaby ci towarzyszyć?

- Tak - powiedziała Kaede. - Ale nie sędzę, aby Shizuka cię skrzywdziła. - Jednak już mówiąc te słowa, zawahała się: A skąd ja to wiem? Czy mogę zaufać Shizuce? Albo

Kondo? Przecież widziałam, jaki jest bezwzględny.

- Plemię wydało na mnie wyrok śmierci - rzekł Takeo. - Dlatego każdy jego członek stanowi dla mnie zagrożenie.

- Czy to bezpieczne tak wychodzić na zewnątrz?

Uśmiechnął się.

- Nigdy nie mogłem wytrzymać w zamknięciu. Lubię wędrować nocą, patrzeć na miejsca i ludzi. Teraz rozglądam się po okolicy, na wypadek, gdyby Otori zaatakowali mnie za granicą lenna. Właśnie wracałem, kiedy zobaczyłem Raku. Poznał mnie, słyszałaś?

- On też na ciebie czekał - odparła i poczuła, że w jej brzuchu rośnie lęk. - Czy wszyscy chcą twojej śmierci?

- Nie uda im się. Jeszcze nie teraz. Dziś wieczorem powiem ci dlaczego.

Pragnęła, by wziął ją w objęcia, jej ciało mimowiednie skłoniło się ku niemu. Takeo natychmiast wyciągnął ku niej ramiona. Poczuła bicie jego serca i dotyk jego ust na szyi. Potem wyszeptał:

- Ktoś już wstał. Muszę iść.

Nic nie słyszała. Takeo odsunął się delikatnie.

- Do wieczora.

Popatrzyła nań, szukając jego wzroku, na poły oczekując, że wprawi ją w głęboki sen, ale już zniknął. Krzyknęła zdumiona - na dziedzińcu nie było po nim śladu, tylko gong wiatrowy brzęknął donośnie, jakby poruszony oddechem przechodnia. Serce jej łomotało - czyżby nawiedził ją jego duch? Czyżby śniła? I co zastanie po przebudzeniu?

- Co panienka tu robi? - zapiszczała przejęta Manami.

- Zaziebisz się na śmierć!

Kaede otuliła się szatą. Istotnie, drżała.

- Nie mogłam spać - odparła powoli. - I coś mi się przywidziało...

- Wracaj do środka. Poślę po herbatę.

Manami wsunęła sandały i pośpiesznie podreptała przez dziedziniec.

Spod okapów tam i z powrotem śmigały jaskółki. Zapachniało dymem z rozpalanych kuchni i ognisk. W stajni rżały karmione konie; tak jak poprzednio, Kaede rozpoznała głos Raku. W ostrym powietrzu poranka nagle poczuła woń kwiatów i jej serce wezbrało nadzieją. To nie był sen. On tu jest. Za kilka godzin będą razem. Nie miała ochoty wchodzić do środka; chciała zostać na miejscu i wspominać jego wygląd, dotknięcie, zapach.

Wróciła Manami, niosąc tacę z herbatą. Znów ofuknęła Kaede, po czym zagoniła ją do pokoju.

Shizuka właśnie się ubierała. Rzuciła okiem na Kaede i wykrzyknęła:

- Widziałaś Takeo!

Kaede nie odpowiedziała od razu, lecz przyjęła od Manami czarkę z herbatą i powoli ją wysączyła. Wiedziała, że musi być ostrożna: wszak Shizuka pochodziła z

Plemienia, które wydało na Takeo wyrok śmierci. Co prawda zapewniła Takeo, że ze strony Shizuki nie spotka go nic złego, ale skąd mogła o tym wiedzieć? Mimo wszystko nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, nie potrafiła zapanować nad twarzą, jakby opadła z niej jakaś maska.

- Idę do świątyni - powiedziała. - Muszę się przygotować. Manami pójdzie ze mną. Shizuko, możesz już jechać do swoich synów. I zabierz ze sobą Kondo.

- Sądziłam, że Kondo pojedzie z tobą do Inuyamy - zdziwiła się Shizuka.

- Zmieniłam zdanie. Powinien jechać z tobą. Wyjeżdżajcie zaraz, natychmiast.

- Takeo pewnie tak zarządził - westchnęła Shizuka. - Nie udawaj przede mną, wiem, że się z nim widziałas.

- Powiedziałam, że z twojej strony nie ma się czego lękać. Nie zrobisz mu krzywdy?

- Lepiej o to nie pytaj - odparła ostro Shizuka. - Skoro go nie widzę, to nie mogę go skrzywdzić. Ale jak długo zamierzasz zostać w świątyni? Nie zapominaj, że Arai czeka na ciebie w Inuyamie!

- Nie wiem. Wszystko zależy od Takeo. - Nie potrafiąc się pohamować, Kaede dodała: - Powiedział, że musimy się pobrać. Musimy i tak się stanie.

- Nie wolno ci nic zrobić, zanim nie porozmawiasz z Arai - rzekła Shizuka z naciskiem. - Jeśli wyjdiesz za mąż bez jego zgody, to go obrazisz. Będzie głęboko dotknięty, a nie możesz sobie pozwolić na wzniecenie jego wrogości. To twój najpotężniejszy sojusznik. A pan Fujiwara? Jesteście niemal po słowie. Jego też zamierzasz obrazić?

- Nie mogę poślubić Fujiwary! - wykrzyknęła Kaede. - On akurat najlepiej wie, że nie wyjdę za nikogo oprócz Takeo. Na innych mężczyzn sprowadzam śmierć; ale Takeo jest moim życiem, a ja jego.

- Świat widzi to inaczej - pokręciła głową Shizuka. - Pamiętaj, co powiedziała pani Maruyama: wszyscy ci wojownicy i władcy z łatwością zniszczą kobietę, jeśli uznają, że kwestionuje ona ich przewagę nad sobą. Fujiwara jest pewien, że go poślubisz, i z pewnością radził się już Araiego w tej sprawie. To związek, który Arai może tylko poprzeć. A poza tym Takeo ma przeciwko sobie całe Plemię i długo nie pożyje.

Nie patrz tak na mnie; jest mi przykro, kiedy muszę sprawiać ci ból. Ale właśnie dlatego, że tak mi na tobie zależy, powiem ci jedno: co ci przyjdzie z moich obietnic, że nigdy go nie skrzywdzę, skoro podejmą się tego setki ludzi? I prędzej czy później ktoś go zabije. Nikt nie zdoła bez końca uciekać przed Plemieniem. Powinnaś przyjąć do wiadomości, że taki los go czeka.

Co zrobisz po jego śmierci, jeżeli teraz obrazisz wszystkich, którzy ci sprzyjają? Utracisz wszelkie szanse na Maruyamę i zgubisz Shirakawę. Twoje siostry zginą bez ciebie. Arai jest twoim suzerenem; powtarzam, musisz jechać do Inuyamy i zdobyć jego zgodę na ślub, w przeciwnym razie tylko go rozwścieczysz. Wierz mi, doskonale wiem,

jak on rozumuje.

- Czy Arai potrafi powstrzymać nadejście wiosny? - zapytała Kaede. - Czy może rozkazać śniegom, by nie topniały?

- Wszyscy mężczyźni lubią sądzić, że to potrafią. Kobiety osiągają swoje cele, godząc się z ich przekonaniem, a nie z nim walcząc.

- Pan Arai dowie się, że jest inaczej - rzekła Kaede zdławionym głosem. - Przygotuj się. Ty i Kondo musicie wyjechać za godzinę.

Odwróciła się. Serce biło jej jak oszalałe, w jej brzuchu, piersiach, gardle wzbierało podniecenie. Potrafiła myśleć tylko o tym, że wkrótce się z nim połączy. Jego widok, jego bliskość znów obudziły w niej gorączkę.

- Jesteś szalona - syknęła Shizuka. - Przekroczyłeś granice rozsądku. Ściągniesz nieszczęście na siebie i swoich bliskich.

Jakby na potwierdzenie obaw Shizuki rozległ się nagły huk; budynek jęknął, okiennice załomotały, rozdzwoniły się gongi wiatrowe. Pod ich stopami zatrzęsa się ziemia.



Rozdział dziesiąty

Kiedy tylko stopniały śniegi i przyszła odwilż, wartko niczym woda rozeszły się wieści, że przebywam w Terayamie i zamierzam wystąpić o swoje dziedzictwo do panów Otori. I niczym woda, najpierw cienką strużką, potem szeroką falą, do świątyni zaczęli napływać wojownicy. Niektórzy nie mieli panów, jednak w większości byli to Otori, którzy uznali zasadność mych roszczeń do spadku po Shigeru. Moja historia już stała się legendą, ja sam zaś awansowałem do roli bohatera nie tylko w oczach młodzieńców z klasy rycerskiej, lecz także w mniemaniu wieśniaków i rolników z ziem Otori, pogrążonych w skrajnej desperacji wskutek ciężkiej zimy, zwiększonych podatków i drakońskich praw, które narzucili im stryjowie Shigeru, Shoichi i Masahiro.

Powietrze rozbrzmiewało odgłosami wiosny. Wierzby przystroiły się w złotozielone kity. Nad zalanymi polami śmigały jaskółki, budujące gniazda pod okapami budynków świątynnych. Co noc donośniej brzmiały żabie głosy, donośne kumkanie żaby rogatej, rytmiczny rechot żaby drzewnej i słodki dzwoneczek małej żabki zielonej. Na groblach rozpętało się szaleństwo kwiatów, kaczeńców, rzeżuchy i jaskraworóżowej wyki. Ibis, żurawie i czaple powróciły nad rzeki i jeziora.

Opat Matsuda Shingen pozwolił mi swobodnie czerpać z niemałych zasobów świątyni; dzięki temu mogłem poświęcić pierwsze tygodnie wiosny na przysposobienie nowo przybyłych, uzbrojenie ich i wyekwipowanie. Z Yamagaty i innych miast nadciągnęli kowale i płatnerze, którzy jęli zakładać warsztaty u stóp świętej góry. Co dzień przybywali handlarze koni, próbując ubić interes, co im się zwykle udawało, gdyż kupowałem tyle wierzchowców, ile tylko mogłem. Bez względu na to bowiem, ilu ludzi zdołałbym zebrać i jak dobrze byliby wyposażeni, wiedziałem, że nie starczy mi czasu i środków, by zgromadzić tak wielką armię piechoty, jaką dysponował Arai. Musiałem polegać na małych, lecz zwrotnych grupach konnych, czyniąc swym głównym orężem szybkość i zaskoczenie.

Jedni z pierwszych zjawili się bracia Miyoshi, Kahei i Gemba, z którymi ćwiczyłem w Hagi. Owe dni, gdy toczyliśmy walki na drewniane miecze, wydawały mi się niezmiernie odległe. Obecność braci wiele dla mnie znaczyła, o wiele więcej, niż przypuszczali, padając przede mną na kolana i prosząc, bym pozwolił im do siebie dołączyć - był to znak, że najlepsi z Otori nie zapomnieli Shigeru.

Bracia przyprowadzili trzydziestu ludzi oraz, co równie cenne, przynieśli wiadomości z Hagi.

- Shoichi i Masahiro wiedzą już, że wróciłeś - rzekł Kahei. Był kilka lat ode mnie starszy i miał wojenne doświadczenie, ponieważ jako czternastolatek walczył pod

Yaegaharą. - Ale nie traktują tego zbyt poważnie. Sądzą, że wystarczy jedna potyczka, by cię przepędzić. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nie chciałbym cię obrazić, ale wyobrażają sobie, że jesteś niezdara.

- Tylko w tej roli mnie widzieli - odparłem. Przypomniał mi się towarzysz lidy, Abe, który sądził podobnie i któremu Jato udzielił nauczki. - W pewnym sensie to prawda; rzeczywiście, ze względu na młody wiek znam wojnę tylko teoretycznie. Ale mam po swojej stronie słusność i jestem spadkobiercą Shigeru.

- Ludzie powiadają, że zostałeś namaszczoney przez Niebiosy - wtrącił Gemba. - Mówią, że posiadasz moce nie z tego świata.

- To wiadomo! - roześmiał się Kahei. - Pamiętasz starcie z Yoshitomim? Tyle, że on sądził, iż twoje zdolności są rodem z Piekła, nie z Niebios.

W swoim czasie stoczyłem z synem Masahiro walkę na drewniane miecze. Był wówczas lepszym szermierzem niż ja, miałem jednak inne talenty, jego zdaniem oszukańcze, których użyłem, by uniknąć śmierci z jego ręki.

- Zabrali dom i majątek Shigeru? - zapytałem. - Słyszałem, że noszą się z tym zamiarem.

- Na razie nie, głównie dlatego, że Ichiro, nasz stary nauczyciel, odmówił ich wydania. Stanowczo oznajmił, że bez walki się nie podda. Panowie Otori nie bardzo chcą wszczynać z nim awanturę, obawiają się ludzi Shigeru, to znaczy twoich.

Z ulgą powitałem wiadomość, że Ichiro żyje. Miałem nadzieję, że wkrótce przyjedzie do świątyni, gdzie będę mógł go chronić; odkąd zaczęła się odwilż, co dzień go wyglądałem.

- Poza tym nie są pewni poparcia mieszczan - dodał Gemba. - Nie chcą nikogo drażnić. Drżą ze strachu przed rewoltą.

- Zawsze woleli spiskować po cichu - sarknąłem.

- Na tym podobno polegają negocjacje - rzekł cierpko Kahei. - Próbowali już negocjować z tobą?

- Nie miałem od nich żadnych wieści. Ale nie ma czego negocjować. Ponoszą odpowiedzialność za śmierć Shigeru; próbowali go zamordować w jego własnym domu, a gdy to się nie udało, oddali go w ręce lidy. Nie mogłbym się z nimi układać, nawet gdyby tego chcieli.

- Masz jakiś plan? - zapytał Kahei, mrużąc oczy.

- Nie jestem w stanie zaatakować Otori w Hagi; musiałbym dysponować znacznie większymi siłami. Chyba powinienem zwrócić się do Araiego... ale nic nie zrobię do przybycia Ichiro. Obiecał, że wyruszy, gdy tylko drogi będą przejezdne.

- Może wyślesz nas do Inuyamy? - zaproponował Kahei. - Siostra naszej matki jest żoną zausznika Araiego. Dowiemy się, czy przez zimę zmienił do ciebie nastawienie.

- We właściwym czasie na pewno tak uczynię - obiecałem, zadowolony, że znalazłem sposób, aby porozumieć się z Araim pośrednią drogą. Nie powiedziałem im

jednak o swym postanowieniu, że odnajdę Kaede, gdziekolwiek jest, ożenię się z nią, a potem przejmę wraz z nią ziemie Maruyama i Shirakawa - oczywiście jeśli mnie zechce i jeśli już nie wyszła za mąż...

Każdy dzień wiosny zwiększał moją niecierpliwość. Pogoda była kapryśna, jednego dnia słońce, następnego mróz. Śliwy zakwitły podczas burzy gradowej; pojawiły się pąki kwiatów wiśni, a zimno nadal trzymało. Wszędzie jednak - zwłaszcza we krwi - wyczuwałem oznaki wiosny. Dzięki zdyscyplinowanemu trybowi życia, jaki prowadziłem przez całą zimę, byłem sprawniejszy niż kiedykolwiek, zarówno fizycznie, jak umysłowo. Nauki Matsudy, niezmacona życzliwość, jaką mnie darzył, świadomość korzeni Otori -wszystko to dodawało mi pewności siebie. Rozdwojenie natury mniej dawało mi się we znaki, mniej cierpiałem wskutek konfliktu lojalności. Nie ujawniałem dręczącego mnie niepokoju, nauczyłem się z niczym nie zdradzać. Ale nocami wracałem myślami do Kaede i czułem przypływ pożądania. Tęskniłem za nią, obawiając się, że wyszła za kogoś innego i na zawsze jest dla mnie stracona. Nie mogąc spać, wymykałem się z pokoju i świątyni, poznawałem okolicę, czasem docierałem nawet do Yamagaty. Wielogodzinne medytacje, nauka i ćwiczenia udoskonaliły moje zdolności i nie bałem się, że ktoś mnie zauważy.

Co dzień spotykałem się z Makoto na wspólną naukę, lecz za obopólną, milczącą zgodą nie dotykaliśmy się nawzajem. Nasza przyjaźń osiągnęła inny poziom, jak sądziłem, na

całe życie. Nie sypiałem też z kobietami. Do świątyni ich nie wpuszczano, strach przed zamachem kazał mi unikać zamtuzów, poza tym nie chciałem spłodzić kolejnego dziecka. Często rozmyślałem o Yuki; nie mogąc się powstrzymać, pewnej bezksiężycowej nocy drugiego miesiąca poszedłem pod dom jej rodziców. W ciemnościach kwiaty śliwy połyskiwały bielą, lecz w środku nie paliło się światło, a przy bramie stał tylko jeden wartownik. Doszły mnie słuchy, że jesienią ludzie Araiego splądrowali dom, który wyglądał na opuszczony, wywietrzył nawet zapach fermentującej soi.

Rozmyślałem o naszym dziecku. Byłem pewien, że będzie to chłopiec, którego Plemię wychowa w nienawiści do mnie i którego przeznaczeniem będzie wypełnienie wroźby ślepej kobiety z gór. Świadomość, jaka przyszłość mnie czeka, nie oznaczała bynajmniej, że mogłem jej uniknąć; tylko tym mocniej odczuwałem gorycz i smutek ludzkiego żywota.

Zastanawiałem się, gdzie jest teraz Yuki - może w jakiejś zapadłej górskiej wiosce na północ od Matsue - i często wspominałem jej ojca, Kenjiego. Ten zapewne przebywał znacznie bliżej, w jednej z tajemnych osad Muto, nieświadom, że w zapiskach Shigeru znalazłem spis kryjówek Plemienia i przez całą zimę uczyłem się go na pamięć. Nie byłem jeszcze pewien, jak wykorzystam tę wiedzę: czy dzięki niej zaskarbię sobie wybaczenie i przyjaźń Araiego, czy też użyję jej do własnych celów, by zmieść z powierzchni ziemi tajną organizację, która skazała mnie na śmierć.

Dawno temu Kenji przysiągł, że będzie mnie chronił, póki żyję. Zlekceważyłem tę obietnicę, uznając ją za część jego podstępnej natury, ponadto nie wybaczyłem mu zdrady Shigeru. Pojmowałem jednak, że bez niego nie zdołałbym dokonać dzieła zemsty, nie mogłem też zapomnieć, że owej nocy poszedł ze mną na zamek w Inuyamie. Gdybym mógł wybrać sobie pomocnika, z pewnością wybrałbym jego, ale nie sądziłem, by kiedykolwiek sprzeciwił się nakazom Plemienia. Jeżeli mieliśmy się spotkać, to tylko jako wrogowie, pragnący zabić się nawzajem.

Kiedyś, gdy wracałem do domu o świcie, dobiegło mnie gwałtowne dyszenie zwierzęcia i na ścieżce pojawił się wilk. Wywęszył mnie, lecz mnie nie dostrzegł; byłem tak blisko, że widziałem jaskraworudą szczecinę za jego uszami i czułem odór jego oddechu. Warknął ze strachu, cofnął się, odwrócił i zniknął w poszyciu. Usłyszałem, że staje i znów węszy, nosem równie wrażliwym jak moje uszy. Światy naszych zmysłów były podobne - w moim rządził słuch, a w jego węch. Zaciekało mnie jego dzikie i samotne życie; w Plemieniu wołano na mnie Pies, ja sam wołałem jednak uważać się za wilka, takiego jak ten, za istotę bez właściciela.

Aż wreszcie nadszedł ranek, kiedy ujrzałem mego konia Raku. Było to pod koniec trzeciego miesiąca, w porze kwitnienia wiśni. Wspinałem się stromym szlakiem pod coraz jaśniejszym niebem, wpatrzony w ośnieżone szczyty gór, oblane różem przez wschodzące słońce. Pod murem gospody zobaczyłem uwiązane do poręczy obce konie. Najwyraźniej nikt jeszcze nie wstał, choć z drugiej strony dziedzińca doleciał stukot odsuwanej okiennicy. Odruchowo obrzuciłem wzrokiem zwierzęta i w chwili, gdy rozpoznałem siwą maść i karą grzywę Raku, ten odwrócił łeb i na mój widok zarżał z radości.

Dałem go Kaede w podarunku; było to niemal wszystko, co mi zostało po upadku Inuyamy. Czyżby go sprzedała lub komuś oddała? Czy też Raku przywiózł ją tu do mnie?

Stajnie od pawilonu gościnnego dzielił niewielki dziedziniec, gdzie w cieniu sosen stało kilka kamiennych latarni. Idąc obok nich ku werandzie, usłyszałem, że za okiennicą ktoś oddycha. Rozpaczliwie zapragnąłem ujrzeć Kaede - i zarazem zyskałem całkowitą pewność, że za chwilę ukaże się moim oczom.

Była jeszcze piękniejsza niż w mojej pamięci. Choroba uczyniła ją szczuplejszą i bardziej kruchą, uwydatniając subtelność jej rysów, smukłość szyi i nadgarstków. Łomotanie serca zagłuszyło odgłosy świata wokół mnie. Mieliśmy dla siebie tylko kilka chwil, zajazd już się budził. Podbiegłem i padłem przed nią na kolana.

Niebawem - zbyt szybko! - zaczął się ruch w pokoju kobiet. Przybrałem niewidzialną postać i nagle zniknąłem, aż Kaede za moimi plecami z przestachem wciągnęła oddech. Uświadomiłem sobie, że nie zdążyłem jej uprzedzić o swoich talentach; o tylu rzeczach chciałem jej powiedzieć, lecz nie wiedziałem, kiedy znajdziemy na to czas. Gongi wiatrowe rozdzwoniły się, gdy pod nimi przechodziłem, mój koń zastrzygł uszami, zdziwiony, że mnie czuje, a nie widzi.

Wróciła mi widzialna postać. Szedłem żwawo pod górę, przepełniony radosną energią, jakbym wypił czarodziejski napój. Kaede była tutaj. Nie wyszła za mąż. Będzie moja.

Jak co dzień skręciłem na niewielki cmentarz i uklęknęłam przy grobie Shigeru. O tej wczesnej godzinie nie było tu nikogo, pod drzewami panował półmrok. Słońce ledwie muskało czubki cedrów, na zboczach z drugiej strony doliny zawisła mgła, szczyty gór, zda się, płynęły w morzu piany. Wodospad gaworzył nieprzerwanie, miękkim pluskiem odpowiadała mu strużka wody, spływająca rynnami i rurami do ogrodowych zbiorników i stawów. Słyszałem śpiewy modlących się mnichów, wznoszący się i opadający rytm sutr, nagłą, czystą melodię dzwonu. Cieszyłem się, że Shigeru przebywa w tym cichym miejscu. Przemówiłem do jego ducha, prosząc, aby przekazał mi swoją mądrość i siłę. Wyznałem to, o czym bez wątpienia już wiedział - że zamierzam spełnić jego ostatnie prośby. A przede wszystkim, że zamierzam poślubić Shirakawa Kaede.

Nagle poczułem gwałtowne drżenie - ziemia zatrzęsała się pode mną. Ogarnęła mnie pewność, że postępuję słusznie, ale także przemożne wrażenie, że czas nagli. Ślub powinien odbyć się natychmiast.

Coś zmieniło się w pieśni wody; odwróciłem głowę. Tuż pod powierzchnią dużego stawu migotliwą, złotoczerwoną ławą kłębiły się i przepychały karpie. Makoto sypał im pokarm, a na jego zamysłonej twarzy malowały się spokój i pogoda.

Przed oczami miałem czerwień i złoto - barwy szczęścia, powodzenia, małżeństwa.

Widząc, że nań patrzę, Makoto zawołał: - Gdzie byłeś? Opuściłeś pierwszy posiłek.

- Zjem później. - Wstałem i zbliżyłem się do niego. Nie potrafiłem pohamować podniecenia. - Jest tutaj pani Shirakawa. Czy zejdiesz z Kahei, żeby przyprowadzić ją na górę do kobiecych pokojów gościnnych?

Strząsnął do wody resztki prosa.

- Powiem Kahei. Sam wolałbym nie iść. Nie chciałbym przypominać jej bólu, którego stałem się przyczyną.

- Masz rację. Tak, poproś tylko Kahei, żeby przyprowadził ją przed południem.

- Po co przyjechała? - zapytał Makoto, zerkając na mnie z ukosa.

- Przybyła z pielgrzymką, aby podziękować za wyzdrowienie. Ale skoro tu jest, zamierzam ją poślubić.

- Tak po prostu? - zaśmiał się bezradośnie.

- Dlaczego nie?

- Mam bardzo niewielkie doświadczenie w sprawach zaślubin, ale wydaje mi się, że członkowie wielkich rodów, takich jak Shirakawa albo, skoro już o tym mowa, Otori, muszą uzyskać zgodę władcy klanu.

- Ja sam jestem głową klanu i sam udzielam sobie zgody - odparłem żartobliwie,

uważając, że Makoto robi z igły widły.

- Ty to co innego. Ale pani Shirakawa? Jej rodzina może mieć wobec niej inne plany.

- Ona nie ma rodziny - czułem, że wzbiera we mnie gniew.

- Nie bądź głupcem, Takeo. Każdy ma jakąś rodzinę, zwłaszcza niezamężne dziewczęta, dziedziczki wielkich dóbr.

- Mam nie tylko prawo, ale i obowiązek się z nią ożenić skoro była zaręczona z moim przybranym ojcem - odparłem, coraz bardziej wzburzony. - Shigeru wyraźnie życzył sobie, bym tak postąpił.

- Nie złość się na mnie - Makoto odczekał chwilę. - Wiem, co do niej czujesz. Mówię tylko to, co powie ci każdy.

- Ona też mnie kocha!

- Miłość nie ma nic wspólnego z małżeństwem. - Pokręcił głową, patrząc na mnie jak na dziecko.

- Nic mnie nie powstrzyma! Jest tutaj i nie pozwolę, by znów mi się wymknęła! W tym tygodniu się pobierzemy.

Odezwał się świątynny dzwon. Starszy mnich przechodzący przez ogród spojrzał na nas karcąco. Makoto przez cały czas mówił półszepem, lecz ja podniosłem głos aż do krzyku.

- Muszę iść na medytację - rzekł mój towarzysz. - Może ty też powinienes. Pomyśl, co robisz, zanim podejmiesz działanie.

- Już postanowiłem. Idź i medytuj, sam powiadomię Kahei. A później porozmawiam z opatem.

O tej porze zaczynała się moja dwugodzinna lekcja walki mieczem, na którą już nieco się spóźniłem. Pośpiesznie odszukałem braci Miyoshi, którzy akurat schodzili na dół, by pomówić z płatnerzem.

- Pani Shirakawa? - zdziwił się Kahei. - Czy to aby bezpieczne zbliżać się do niej?

- Czemu tak mówisz? - oburzyłem się.

- Takeo, bez obrazy. Wszyscy wiedzą, że przez nią mężczyźni umierają.

- Tylko ci, którzy jej pragną - wtrącił Gemba i zerknąwszy na mnie, dodał: - Tak mówią ludzie!

- Ale mówią też, że jest piękna; tak piękna, iż każdy, kto na nią spojrzy, zaraz jej pragnie - ciągnął ponuro Kahei. - Wysyłasz nas na pewną śmierć!

Nie byłem w nastroju do błazeństw, lecz ich słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że konieczny jest szybki ślub. Kaede powiedziała, że tylko ze mną jest bezpieczna, a teraz zrozumiałem dlaczego: małżeństwo ze mną mogło ją ocalić od klątwy, która najwyraźniej nad nią ciążyła. Wiedziałem, że dla mnie nigdy nie będzie zagrożeniem; inni, którzy jej pożąдали, zginęli, lecz ja połączyłem się z nią cieleśnie i przeżyłem.

Nie zamierzałem jednak wyjaśniać tego wszystkiego braciom Miyoshi.

- Przyprowadźcie ją do pomieszczeń dla kobiet, jak najszybciej się da - rzekłem krótko. - Dopilnujcie, by nie towarzyszył jej żaden z jej ludzi. Sprawdźcie, czy Muto Shizuka i Kondo Kiichi dziś wyjeżdżają. Niech zabierze tylko jedną kobietę. Traktujcie obie z najwyższą uprzejmością i uprzedźcie, że odwiedzę je w godzinie Małpy.

- Takeo doprawdy nie zna lęku - mruknął Gemba.

- Pani Shirakawa zostanie moją żoną.

To ich zaskoczyło. Zrozumieli, że sprawa jest poważna, toteż nie powiedzieli nic więcej, lecz uklonili się sztywno i poszli ku wartowni, skąd wynurzyli się wkrótce w otoczeniu pięciu lub sześciu ludzi. Oczywiście, nieświadomi, że słyszę ich uwagi, tuż za bramą nie powstrzymali się od kpin na temat modliszki pożerającej partnera; miałem wręcz ochotę ich dogonić i dać im nauczkę, ale byłem już spóźniony na lekcję z opatem. Śmiech, cichnący na zboczu góry, towarzyszył mi jeszcze, gdy wbiegałem do sali, w której odbywały się ćwiczenia.

Opat już tam był, ubrany w mnisie szaty. Ja wciąż miałem na sobie zwyczajny przyodziewek, który wkładałem na swe nocne wyprawy, przerobiony z czarnego stroju Plemienia - spodnie do kolan, opinacze i buty z jednym palcem - świetnie nadający się zarówno do walki mieczem, jak i do biegania po murach i dachach. Ale długie poły i szerokie rękawy nie krępowały Matsudy w najmniejszym stopniu. Ja zazwyczaj kończyłem treningi zasapany i ociekający potem; on pozostawał chłodny i opanowany, jakby spędził te dwie godziny na modlitwach.

Klęknąłem, chcąc przeprosić za spóźnienie, lecz tylko pytająco zmierzył mnie wzrokiem i skinieniem głowy wskazał kij.

Podniosłem go ze stojaka. Był ciemny, prawie czarny, dłuższy i znacznie cięższy niż Jato. Od codziennych z nim ćwiczeń mięśnie moich ramion i nadgarstków nabrały siły i elastyczności, wreszcie wyleczyłem się z kontuzji prawej ręki, nabytej w walce z Akio w Inuyamie. Z początku kij zachowywał się jak uparty koń gryzący wędzidło; jednak stopniowo udało mi się nad nim zapanować i teraz operowałem nim tak zręcznie jak pałeczkami do jedzenia.

Precyzja podczas treningu była równie niezbędna jak w prawdziwej walce, gdyż fałszywy ruch mógł skończyć się zmiażdżeniem czaszki lub pęknięciem mostka. Mieliśmy za mało ludzi, by ryzykować, że się pozabijamy lub pokaleczymy na ćwiczeniach.

Gdy wznosiłem kij do pozycji bojowej, zalała mnie fala znużenia. W nocy niewiele spałem i od wieczornego posiłku nie miałem nic w ustach. Potem jednak pomyślałem o Kaede, takiej, jaką zobaczyłem o świcie, ujrzałem jej postać klęczącą na werandzie. Poczułem przypływ energii i w owym ułamku sekundy pojąłem, jak jest mi niezbędna.

Zazwyczaj nie stanowiłem dla Matsudy godnego przeciwnika; teraz doznałem przeobrażenia, jakby wszystkie elementy ćwiczeń stopiły się w jedno, a twardy, niezłomny duch ze środka mej istoty przeniknął w ramię władające mieczem. Po raz

pierwszy uzmysłowiłem sobie, że jestem o czterdzieści lat młodszy od Matsudy. Dostrzegłem jego wiek, jego słabość. Dostrzegłem, że jest na mojej łasce.

Powstrzymałem atak i opuściłem kij. W tej samej chwili jego broń znalazła odsłonięty punkt na mojej szyi, zadając mi cios, od którego zakręciło mi się w głowie. Miałem szczęście, że nie uderzył z pełną siłą.

Jego oczy, na ogół pogodne, jarzyły się nieskrywanym gniewem.

- To będzie dla ciebie nauczka - warknął. - Po pierwsze, żebyś się nie spóźniał, po drugie, żebyś w walce nie okazywał miękkości.

Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale mi nie pozwolił.

- Nie spieraj się ze mną. Pierwszy raz dostrzegam jakiś przebłysk, który dowodzi, że praca z tobą nie jest kompletną stratą czasu, a ty od razu wszystko zaprzepaszczasz. Dlaczego? Mam nadzieję, że nie z litości nade mną? Pokręciłem głową.

- Mnie nie oszukasz - westchnął. - Widzę to w twoich oczach; widzę tego chłopca, który przybył tu w zeszłym roku i wzruszył się obrazami Sesshu. Tym chcesz zostać? Artystą? Powiedziałem ci wtedy, że możesz tu wrócić, uczyć się i rysować - tego właśnie chcesz?

Nie miałem ochoty odpowiadać, lecz cierpliwie czekał, odparłem więc:

- Częściowo tak, ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę spełnić życzenia Shigeru.

- Jesteś pewien? Poświęcisz się temu zadaniu całym sercem?

Usłyszałem w jego głosie ton całkowitej powagi i w tym samym duchu odpowiedziałem: - Tak.

- Będziesz dowodził wieloma ludźmi, niektórych poprowadzisz na śmierć. Masz dość wiary w siebie, by to uczynić? Jeśli posiadasz jakąś słabość, Takeo, to tylko tę: zbyt łatwo się litujesz. Wojownik potrzebuje sporej domieszki bezwzględności, czarnej krwi. Pod twym przywództwem zginie wielu ludzi, wielu sam zabijesz. Kiedy raz wstąpisz na tę ścieżkę, musisz pójść nią do końca. Nie wolno ci przerwać ataku i opuścić gardy tylko dlatego, że zlitowałeś się nad przeciwnikiem.

Czułem, że krew napływa mi do twarzy.

- Więcej tego nie zrobię. Nie zamierzałem cię obrazić. Wybacz mi.

- Wybaczę ci, jeśli znów zdołasz zadać taki cios i należycie go wykończyć.

Przyjął pozycję bojową, wpatrując mi się w oczy. Bez obawy odwzajemniłem jego spojrzenie; nigdy nie zapadł w sen Kikuta, ja zaś nigdy nie próbowałem mu go narzucić. Nigdy też celowo nie skorzystałem wobec niego z niewidzialności ani z drugiego „ja”, choć czasem w ogniu walki czułem, jak mój obraz zaczyna się rozdawać.

Jego kij przeciął powietrze niczym błyskawica. Przestałem myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem przeciwnika; istniały tylko ciosy kija, podłoga pod naszymi stopami, przestrzeń wokół nas, którą wypełnialiśmy nieledwie tańcem. Tego dnia jeszcze dwukrotnie doszedłem do punktu, w którym pojąłem, że mam nad nim przewagę, lecz już ani razu nie zawahałem się pójść za ciosem.

Kiedy skończyliśmy, nawet Matsuda lekko się zaróżowił, być może wskutek

wiosennej pogody. Wycierając twarz przyniesionym przez Norio ręcznikiem, powiedział:

- Nigdy nie sądziłem, że wyrośniesz na mistrza miecza, ale dokonałeś więcej, niż się spodziewałem. Kiedy się skupisz, jest nieźle, wcale nieźle.

Zaniemówiłem, słysząc taką pochwałę.

- Niech ci to nie uderzy do głowy - zaśmiał się. - Po południu znów się spotkamy. Mam nadzieję, że odrobiłeś lekcję strategii.

- Tak, panie. Ale muszę porozmawiać z tobą o czymś innym.

- W związku z panią Shirakawa?

- Skąd wiedziałeś?

- Już wcześniej doszły mnie słuchy, że zmierza do świątyni. Podjęto przygotowania, aby przyjąć ją w kobiecych pokojach gościnnych. To dla nas wielki zaszczyt. Dziś pójde złożyć jej wizytę.

Brzmiało to jak mało znacząca pogawędka o przypadkowym gościu, jednak zdążyłem już poznać Matsudę: wszystko, co robił, miało znaczenie. Bałem się, że plan małżeństwa z Kaede wzbudzi w nim obawy podobne do tych, jakie wyrażał Makoto, lecz prędzej czy później musiałem mu wyjawić swe zamiary. Myśli te w jednej chwili przemknęły mi przez głowę, po czym uświadomiłem sobie, że jeśli winienem od kogoś uzyskać pozwolenie, to właśnie od niego.

- Pragnę poślubić panią Shirakawa - rzekłem, padając na kolana. - Czy mogę prosić cię o zgodę? I czy ceremonia mogłaby odbyć się tutaj?

- Po to przybyła? Ma pozwolenie swojej rodziny i klanu?

- Nie, jest tu w innym celu - chce podziękować za wyzdrowienie z choroby. Lecz jednym z ostatnich życzeń Shigeru było, abym poślubił panią Shirakawa, a skoro sam los ją tu przywiódł...

W moim głosie zabrzmiała błagalna nuta. Opat również ją usłyszał.

- Takeo, z twojej strony nie ma trudności - rzekł z uśmiechem. - Ty chcesz postąpić słusznie. Ale ona? Czy może wyjść za mąż bez zgody klanu i pana Araiego?... Okaż cierpliwość, zwróć się do niego o pozwolenie. W zeszłym roku sprzyjał temu małżeństwu. Nie widzę powodu, dla którego miałby zmienić zdanie.

- W każdej chwili mogą mnie zamordować! - wybuchnąłem. - Nie mam czasu na cierpliwość! A w dodatku chce ją poślubić ktoś inny.

- Są zaręczeni?

- Nic oficjalnego. Ale on oczekuje, że dojdzie do małżeństwa. To szlachcic, którego dobra graniczą z jej majątkiem.

- Fujiwara - rzekł Matsuda.

- Znasz go?

- Wiem, kto to jest. Wszyscy wiedzą, z wyjątkiem półanalfabetów takich jak ty. To bardzo stosowny związek. Majątki ulegną połączeniu, wszystko odziedziczy syn Fujiwary, a co najważniejsze, ponieważ Fujiwara prawie na pewno niebawem wróci do

stolicy, Arai będzie miał przyjaciela na cesarskim dworze.

- Nie będzie miał, bo ona nie wyjdzie za Fujiwarę! Wyjdzie za mnie, i to w tym tygodniu!

- Zmiażdżą cię. - Matsuda nie odrywał oczu od mojej twarzy.

- Nie zrobią tego, jeżeli pomogę Araiemu zniszczyć Plemię. A po ślubie natychmiast zamieszkamy w Maruyamie. Pani Shirakawa jest prawowitą spadkobierczynią tych ziem, jak również dóbr swego ojca. Dzięki temu zyskam środki, by zmierzyć się z Otori.

- Jako plan działania wygląda to całkiem nieźle - przyznał. - Jednak wiele ryzykujesz. Arai może całkowicie się obrazić. Moim zdaniem byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś poszedł do niego na służbę i nauczył się wojaczki. No i nie powinienes robić sobie wroga z takiego człowieka jak Fujiwara. Twoje zamierzenia, mimo że śmiałe, mogą ostatecznie położyć kres twym szansom i nadziejom. Nie chciałbym, aby tak się stało. Pragnę doczekać spełnienia wszystkich życzeń Shigeru. Czy stawka jest warta gry?

- Nic mnie nie powstrzyma przed ślubem - mruknąłem.

- Jesteś w niej zadurzony. Nie pozwól, by to wpłynęło na twój osąd.

- To więcej niż zadurzenie. Ona jest moim życiem, a ja jej.

Westchnął.

- Wszyscy w pewnym wieku tak sądzimy o jakiejś kobiecie. Wierz mi, to nie trwa długo.

- Pan Shigeru i pani Maruyama kochali się głęboko całymi latami - ośmieliłem się zaprzeczyć.

- No cóż, pewnie we krwi Otori płynie jakieś szaleństwo - odparł, lecz jego twarz złagodniała, a oczy przybrały wyraz zamyślenia. - To prawda - powiedział wreszcie. - Ich miłość przetrwała. I opromieniała wszystkie ich plany i nadzieje. Gdyby zdołali się pobrać i zawrzeć sojusz, o którym marzyli, jednoczący Środkową Krainę z Zachodem, kto wie, co by osiągnęli? - Schylił się i poklepał mnie po ramieniu. - Być może ich duchy otrzymały drugą sposobność w osobach twojej i pani Shirakawa? Nie mogę też zaprzeczyć, że ustanowienie bazy wypadowej w Maruyamie to bardzo rozsądny pomysł. Z tego powodu, jak również z szacunku dla zmarłych, zgadzam się na to małżeństwo. Możesz rozpocząć niezbędne przygotowania.

- Nigdy nie widziałem takiego ślubu - wyznałem, gdy już należycie wyraziłem swoją wdzięczność i pokłoniłem się do ziemi. - Co trzeba zrobić?

- Zapytaj kobietę, która z nią przyjechała; ona z pewnością powie ci o wszystkim.

- Zanim wyszedłem, usłyszałem, jak mruczy pod nosem: - Mam nadzieję, że ze starości nie zgłupiałem do reszty.

Dochodziła pora południowego posiłku. Poszedłem się umyć, po czym ubrałem się starannie w jedwabną szatę z godłem czapli, jakich kilka podarowano mi w Terayamie, gdy zjawiłem się tutaj po wędrownce przez śnieg. Jadłem w roztargnieniu,

nie czując smaku, cały czas nasłuchując, czy już się zjawiała.

Wreszcie przed salą jadalną rozległ się głos Kahei. Przywołałem go.

- Pani Shirakawa jest w kobiecych pokojach gościnnych -oznajmił - a z Hagi przybyło kolejnych pięćdziesięciu ludzi. Zakwaterujemy ich we wsi. Gemba się tym zajmie.

- Zobaczę się z nimi wieczorem - powiedziałem, podniesiony na duchu obiema wiadomościami.

Zostawiwszy przyjaciela przy jedzeniu, wróciłem do swego pokoju, gdzie klęknąłem przy stoliku do pisania i wyjąłem zwoje, które kazał mi przeczytać opat. Myślałem, że umrę z niecierpliwości, czekając na spotkanie z Kaede, lecz stopniowo sztuka wojenna mnie wciągnęła: analizy przegranych i wygranych bitew, strategia i taktyka, rola Nieba i Ziemi. Miałem przedstawić plan zdobycia Yamagaty - zadanie całkowicie teoretyczne, gdyż Yamagatą, za pośrednictwem tymczasowego namiestnika, nadal władał Arai, choć krążyły pogłoski, że Otori chcą odbić utraconą fortecę i gromadzą wojska w pobliżu Tsuwano na południowej granicy. Matsuda zamierzał zwrócić się do Araiego i zawrzeć pokój w moim imieniu; wtedy mógłbym dążyć do odzyskania spuścizny Otori, pozostając u niego na służbie. Obecnie jednak miałem dotkliwą świadomość, iż poślubiając Kaede, narażam się na jego wrogość i może będę musiał wziąć Yamagatę szturmem. Moje studia strategiczne zyskały dzięki temu niemalą dozę realizmu.

Doskonale znałem to miasto; chodziłem jego ulicami, wspinałem się na zamek, wędrowałem po otaczających je górach i dolinach, wzgórzach i lasach. Główna trudność polegała na tym, że miałem niewielu ludzi, niespełna tysiąc. Yamagatą była zasobnym miastem, ale zima okazała się ciężka dla wszystkich. Gdybym zaatakował wczesną wiosną, czy zamek wytrzymałby długotrwałe oblężenie? A może powinienem użyć dyplomacji, a nie siły? Jaką przewagę miałem nad obrońcami?

Rozmyślenia o tych kwestiach zwróciły moje myśli ku niedotykalnemu, Jo-Anowi. Obiecałem, że poślę po niego na wiosnę, ale wciąż nie byłem pewien, czy tego chcę. Nie mogłem zapomnieć namiętnego, głodnego wyrazu jego oczu, a także oczu przewoźnika i pozostałych wyrzutków. „On należy do ciebie - opisał Jo-An przewoźnika. - Jak my wszyscy”.

Czy wolno mi było wciągać do walki niedotykalnych albo rolników, takich samych jak ci, którzy codziennie modlili się i składali ofiary na grobie Shigeru? Nie miałem wątpliwości, że w razie potrzeby mogę liczyć na tych ludzi. Ale czy tak postępowała klasa rycerska? Nigdy nie słyszałem o bitwach z udziałem wieśniaków. Zazwyczaj trzymali się z dala od walk, darząc jednaką nienawiścią obie strony, a potem bezstronnie grabiąc trupy.

Jak to się często zdarzało, w duszy zamajaczyła mi twarz rolnika, którego zabiłem na tajemnym poletku pod Matsue. Znów usłyszałem jego krzyk: „Pan Shigeru!” Pomijając inne pobudki, chciałem wreszcie zadośćuczynić jego duchowi. Jego postać

kazała mi wspomnieć odwagę i stanowczość takich jak on - zalety, które na razie szły na marne. Czy przestałby mnie nawiedzać, gdybym je wykorzystał?

Rolnicy zamieszkujący ziemię Otori, zarówno obecne, wokół Hagi, jak i te oddane Tohańczykom, z Yamagatą włącznie, kochali Shigeru. Już raz powstał, rozwścieczeni jego śmiercią; byłem przekonany, że poprą także i mnie, obawiałem się jednak, że jeśli skorzystam z ich usług, mogę utracić lojalność swoich wojowników.

Powróciłem do problemu Yamagaty: gdybym pozbył się tymczasowego dowódcy, którego Arai osadził na zamku, szansa, że miasto podda się bez długotrwałego oblężenia, znacznie by się zwiększyła. Potrzebowałem skrytobójcy, któremu mógłbym zaufać. Co prawda nawet Plemię przyznało, że jestem jedynym, któremu udało się w pojedynkę zakraść do fortecy, ale pomyśl, bym powtórzył ten wyczyn jako przyszły głównodowodzący, nie wydawał się zbyt fortunny. Moje myśli zaczęły błędzić, co przypomniało mi, że poprzedniej nocy prawie nie spałem. Byłem ciekaw, czy potrafiłbym uczyć chłopców i dziewczęta tak, jak robiło to Plemię. Nawet osoby nie posiadające wrodzonych zdolności mogły wiele zyskać dzięki uporczywym ćwiczeniom. Dostrzegałem też zalety posiadania siatki szpiegowskiej; może istniał jakiś niezadowolony członek Plemienia, którego zdołałbym nakłonić, aby mi służył? Odsunąłem na razie tę myśl, ale miała jeszcze do mnie wrócić.

Dzień robił się coraz cieplejszy, czas zwolnił. Muchy, zbudzone z zimowego snu, brzęczały przy okiennicach. W lesie rozległo się gruchanie pierwszej wierzbówki, dobiegł mnie świst jaskółczych skrzydeł i trzaskanie dziobów chwytających owady. Wokół mnie szemrały odgłosy świątyni - uderzenia stóp, szelest szat, modlitewny zaśpiew, melodyjne bicie dzwonu.

Lekki wietrzyk z południa niósł woń wiosennych kwiatów. Za niecały tydzień Kaede i ja mieliśmy zostać małżeństwem. Wokół wzbierało życie, unosząc mnie na fali wigoru i energii. A ja klęczałem tutaj, zatopiony w nauce o wojnie.

Gdy wieczorem spotkałem się z Kaede, również rozmawialiśmy o strategii, nie o miłości. Nie było takiej potrzeby: mieliśmy się pobrać, zostać mężem i żoną. Skoro jednak chcieliśmy przeżyć i mieć dzieci, musieliśmy działać szybko, aby skonsolidować siły.

Instynkt nie mylił mnie owego dnia, gdy po raz pierwszy usłyszałem od Makoto, że Kaede zbiera wojsko - w istocie, był z niej nie lada sojusznik. Zgodziła się ze mną, że powinniśmy jechać wprost do Maruyamy, opowiedziała też o jesiennym spotkaniu z Sugitą Harukim. Cekał na wieści od niej, zaproponowała więc, by wysłać kogoś, kto uprzedziłby go o naszych zamiarach. Przyznałem jej rację, postanawiając wyprawić z posłańcem Gembę, młodszego z braci Miyoshi. Uznaliśmy, że nie zawiadomimy Inuyamy - im mniej Arai wiedział o naszych planach, tym lepiej.

- Shizuka twierdzi, że nasze małżeństwo go rozwścieczy - powiedziała Kaede.

Podjeżdżałem, że tak będzie. Powinniśmy byli się z tym liczyć; powinniśmy byli okazać cierpliwość. Być może, gdybyśmy zwrócili się do niego odpowiednimi kanałami,

podjąłby decyzję na naszą korzyść. Lecz ogarnęła nas przemożna obawa, że nie ma czasu do stracenia, że nasze życie może zaraz się skończyć.

Pobraliśmy się kilka dni później, przed kaplicą, w cieniu drzew otaczających grób Shigeru. Spełniliśmy w ten sposób jego życzenie, lecz jednocześnie zaprzeczyliśmy wszelkim zasadom wyznawanym przez naszą klasę. Przypuszczalnie na naszą korzyść przemawia fakt, że żadne z nas nie odebrało typowego wychowania - udało się nam, każdemu z innych powodów, uniknąć surowego treningu posłuszeństwa, jakiemu poddawane są dzieci wojowników. Zyskaliśmy swobodę, by postępować, jak nam się podoba, ale starszyzna naszych klas i rodów kazała nam za tę wolność drogo zapłacić.

Południowy wiatr nadal niósł piękną pogodę; w dzień naszego ślubu wiśnie, w pełni już rozkwitłe, unosiły się w chmurach różowości i bieli. Amano Tenzo, najstarszy rangą z ludzi Kaede, przedstawił ją i w imieniu klanu Shirakawa oddał mi za żonę. Gdy Kaede, prowadzona przez kapłankę kaplicy, ukazała się w czerwono-białym ślubnym stroju, który zdobyła dla niej Manami, jej uroda wydała mi się nadprzyrodzona, jakbym miał przed sobą świętą istotę. Wypowiedziałem swe imię, Otori Takeo, jako przodków przywołując Shigeru i klan Otori. Przekazaliśmy sobie rytualną, potrójną czarę wina, a gdy składaliśmy w ofierze święte gałązki, podmuch wiatru obsypał nas burzą płatków.

Wróżbę tę można by uznać za niezbyt korzystną, lecz owej nocy, gdy skończyło się świętowanie i wreszcie zostaliśmy sami, nie wróżby były nam w głowie. W Inuyamie kochaliśmy się w przypiływie dzikiej rozpaczy, nie spodziewając się doczekać świtu. Teraz jednak, w bezpiecznym schronieniu Terayamy, mieliśmy czas, by odkrywać nawzajem swe ciała, powoli brać i dawać rozkosz - a poza tym Yuki nauczyła mnie co nieco o sztuce miłości.

Rozmawialiśmy o naszych losach od chwili rozstania, przede wszystkim o utraconym dziecku; zwróciliśmy myśli ku jego duszy, ponownie rzuconej w cykl życia i śmierci, po czym odmówiliśmy za nią modły. Opowiedziałem Kaede o swej wyprawie do Hagi i ucieczce przez śnieg. Nie mówiłem jej natomiast o Yuki, a i ona zataiła przede mną pewne rzeczy, choć bowiem zwierzyła mi się ze spotkań z panem Fujiwarą, to nie ujawniła szczegółów umowy, którą z nim zawarła. Wiedziałem, że dał jej sporo żywności i pieniędzy, co mnie zaniepokoiło - odniosłem wrażenie, że potraktował myśl o małżeństwie poważniej niż ona. Po plecach przebiegł mi lekki dreszcz, niemal przeczucie, jednak odsunąłem je od siebie, gdyż nie chciałem, by cokolwiek zmąciło moją radość.

Przed świtem obudziłem się, trzymając ją w ramionach. Jej biała skóra była jedwabista w dotyku, równocześnie ciepła i chłodna; jej włosy, gęste i tak długie, że okrywały nas oboje niczym szal, pachniały jaśminem. Kiedyś sądziłem, że jest jak kwiat na wysokiej górze, piękna i całkowicie niedostępna, lecz oto była tu ze mną - była moja. Świat zatrzymał się pośród cichej nocy, gdy w pełni to sobie uświadomiłem. Poczułem pod powiekami ukłucie łez. Niebiosy były łaskawe. Bogowie mnie kochali. Dali mi Kaede.

Przez kilka kolejnych dni Niebiosa nadal się uśmiechały, obdarzając nas słoneczną, łagodną, wiosenną pogodą. Wszyscy w świątyni cieszyli się naszym szczęściem, od Manami, która promieniała z zachwyty za każdym razem, gdy przynosiła nam poranną herbatę, po opata, który podjął ze mną lekcję, kpiąc niemiłosiernie, gdy przyłapał mnie na ziewaniu. Dziesiątki ludzi zadały sobie trud, by wejść na górę, przynosząc nam podarunki i życzenia pomyślności, tak samo jak uczyniliby wieśniacy w Mino.

Tylko Makoto wypowiadał się w innym tonie.

- Wesel się, póki możesz - powtarzał. - Wierz mi, raduję się razem z tobą, ale obawiam się, że szczęście nie potrwa długo.

Wiedziałem już o rym; nauczył mnie tego Shigeru. „Śmierć przychodzi nagle, a życie jest kruche i krótkie - powiedział owego dnia w Mino, gdy ocalił mi życie. - Nie odmienia tego żadne modlitwy ani zaklęcia”. Właśnie owa kruchość życia sprawiała, że było tak cenne. Odczuwaliśmy szczęście tym mocniej, że wiedzieliśmy, jakie bywa ulotne.

Kwiaty wiśni opadły, dni robiły się coraz dłuższe, szła nowa pora roku. Minęła zima, pełna przygotowań; wiosna ustępowała przed latem, a lato było czasem wojny. Czekало nas pięć bitew - cztery wygrane i jedna przegrana.

Podziękowania

Chciałabym serdecznie podziękować Fundacji Asialink oraz wszystkim przyjaciołom w Japonii i Australii, którzy pomogli mi pisać i zbierać materiały do *Opowieści rodu Otori*.

Jestem szczególnie wdzięczna pani Sugiyama Kazuko za kaligrafię oraz Simonowi Higginsowi za porady z dziedziny sztuk walki.